

Steel Danielle

Wieści z Wietnamu

STANY ZJEDNOCZONE

Listopad 1963 — Czerwiec 1968

Rozdział I

Tego dnia w Sayannah było chłodno i szaro. Od oceanu wiał lodowaty wiatr. Suche liście szeleściły pod nogami kilku par przechadzających się po Forsyth Park. Kobiety gawędziły, paląc ostatniego papierosa przed powrotem do pracy. Na korytarzach szkoły średniej nie było żywego ducha. O pierwszej dzwonek oznajmił koniec przerwy i uczniowie siedzieli w swoich klasach. Z jednej z sal dobiegał śmiech, w innych panowała cisza przerywana tylko skrzypieniem kredy. Drugoklasiści desperacko walcząc z nudą, starali się napisać nie zapowiedziany sprawdzian z wychowania obywatelskiego. Ostatnia klasa słuchała informacji o zasadach przyjmowania do szkół wyższych. Temat był bardzo aktualny, ponieważ papiery mieli składać w następnym tygodniu, tuż przed Świętem Dziękczynienia. W tym samym czasie, gdy odbywały się lekcje, w Dallas padły strzały. Mężczyzna jadący limuzyną osunął się nagle w ramiona swojej żony, a tył jego głowy dosłownie eksplodował. Nikt jeszcze w tym momencie nie rozumiał, co zaszło. Paxton Andrews w Sayannah, przysłuchując się wykładowi o wymaganiach rad uczelnianych, walczyła z ogarniającą ją sennością. Nagle poczuła, że nie wytrzyma już ani chwili dłużej i za chwilę zaśnie.

Na szczęście o pierwszej pięćdziesiąt zabrzmiał dzwonek. Wszystkie drzwi otworzyły się i fala uczniów, uwolnionych nareszcie od sprawdzianów, wykładów, literatury francuskiej i egipskich faraonów zalała korytarze. Dziewczyny i chłopcy przechodzili do innych sal, zatrzymując się od czasu do czasu przy swoich szafkach, żeby zmienić książki, opowiedzieć dowcip i się pośmiać. I wtedy nagle rozległ się krzyk. Długi, przejmujący lament, dźwięk, który przeszył powietrze jak strzała. Rozległ się gwałtowny tupot kroków w stronę narożnego pokoju, zazwyczaj używanego jedynie przez nauczycieli. Został włączony odbiornik telewizyjny i setki młodych ludzi o zatroskanych twarzach wciskało się do małego pomieszczenia, żeby zobaczyć, co się stało. Wszyscy wykrzykiwali, wołali i gorączkowo rozprawiali, tak że nikt nie słyszał, co mówiono w telewizji. Niektórzy starali się ich uciszyć. — Cicho tam! Nic nie słyszać!

— Czy on jest ranny?... czy on... — Nikt nie miał odwagi wypowiedzieć tych słów. — Co się dzieje?... Co się stało?... Prezydent Kennedy został postrzelony... prezydent... nie wiem... w Dallas... Co się stało?... Prezydent Kennedy... Czy on nie... — Na początku nikt me wierzył. Zebrani oczekiwali, łudzili się, że to może kiepski żart.

— Słyszałeś, że prezydent Kennedy został postrzelony?

— Taak... No i co dalej? Dokończ ten dowcip, kolego. — Ale nie było dalszego ciągu. Zamiast tego słysząc było tylko bezładną gadaninę, nie kończące się pytania i żadnych odpowiedzi.

Na ekranie telewizora po raz kolejny pojawił się obraz kawalkady samochodów rozsypującej się nagle i odjeżdżającej z pośpiechem. Walter Cronkite, prezenter telewizyjny, był szary na twarzy.

— Prezydent został poważnie ranny.

Szmer przeszedł przez tłum zgromadzony w maleńkim pokoju w szkole średniej w Sayannah.

— Co on powiedział?... Co on powiedział? — dopytywał się ktoś z tyłu.

— Powiedział, że prezydent jest poważnie ranny. — Uczniowie znajdujący się bliżej telewizora przekazywali informacje pozostałym. Trzy pierwszoklasistki zaczęły płakać.

Paxton stała w rogu, otoczona podekscytowanym tłumem i, przygnębiona, obserwowała je.

Nagle w pokoju zapanowała niesamowita cisza. Nikt się nie ruszał, tak jakby bał się zakłócić i tak delikatną równowagę, jakby

nawet najmniejsze poruszenie mogło zmienić bieg wydarzeń... Paxton pomyślała o innym dniu, sześć lat temu. Miała dopiero jedenaście lat... „Tato jest ranny, Pax.” Jej brat George przekazał tę wiadomość. Mama była z tatą w szpitalu. Lubił latać samolotem na zebrania i tego dnia musiał lądować awaryjnie z powodu nagłej burzy w pobliżu Atlanty.

— Czy on?... Czy wyjdzie z tego?...

— Ja... — Głos George’a załamał się, a jego oczy przekazywały tę straszną prawdę, przed którą chciała uciec i której nie chciała przyjąć do wiadomości. Miała wtedy jedenaście lat, a George dwadzieścia pięć. Między nimi było czternaście lat różnicy i przepaść nie do przebycia. Paxton przyszła na świat przez przypadek, jak to jej matka szeptem wyjaśniała przyjaciółkom, przypadek, za który Cariton Andrews nigdy nie przestał być wdzięczny losowi, a który ciągle wprawiał w zdumienie jego żonę. Beatrice Andrews liczyła dwadzieścia siedem lat, kiedy urodził się George. Chociaż przez pięć lat starała się zająć w ciąży, to okres, gdy nosiła w sobie dziecko, wspominała później jako koszmar. Dzień w dzień przez dziewięć miesięcy miała mdłości, a poród okazał się okropnym przeżyciem. Beatrice męczyła się przez czterdzieści dwie godziny, by w końcu wydać na świat syna przez cesarskie cięcie. Mimo że był pięknym dorodnym bobasem, Beatrice Andrews przyrzekła sobie, że już nigdy nie będzie rodzić dzieci. Za nic nie chciała tego ponownie doświadczać. Cariton okazał żonie zrozumienie. Zupełnie zwariował na punkcie swego syna. George był wesołym, nierozkapryszonym, rozsądnym i wysportowanym chłopcem poważnie podchodzącym do nauki, co także cieszyło jego matkę. Wiedli spokojne, beztrudne życie. Cariton prowadził dobrze prosperującą kancelarię adwokacką, Beatrice natomiast odgrywała ważną rolę w Towarzystwie Historycznym, Lidze Młodzieżowej oraz w Stowarzyszeniu Cór Wojny Domowej. Jej życie było wypełnione. W każdy wtorek grywała w brydża. To właśnie przy tej okazji po raz pierwszy poczuła, że coś jest z nią nie w porządku. Złapały ją gwałtowne mdłości. Początkowo przypuszczała, że zjadła coś nieświeżego na śniadanie wydane przez Ligę tego ranka. Poszła więc do domu i natychmiast położyła się do łóżka. Trzy tygodnie później już wiedziała. Zaszła w ciążę, mając czterdzieści jeden lat, czternastoletniego syna oraz męża, który wydawał się zachwycony tym faktem. Tę ciążę przechodziła wprawdzie znacznie łatwiej, ale to nie poprawiło zbytnio jej samopoczucia. Beatrice wydawała się sobie napiętnowana i była bardzo zażenowana swym stanem. Jej rówieśnice myślały już o wnukach. Nie chciała jeszcze jednego dziecka, nigdy nie chciała go mieć, i nic, co mówił jej mąż, nie mogło przynieść jej uspokojenia. Nawet maleńka, z anielską buzią i blond włoskami dziewczynka, którą włożono jej w ramiona, gdy już obudziła się po porodzie, nie wydawała się być dla niej żadnym pocieszeniem. Wszystko o czym mogła opowiadać całymi miesiącami to, jak niezręcznie czuje się z niemowlęciem u boku. Stale zresztą zostawiała dziecko pod opieką grubej, czarnoskórej kobiety, którą zaangażowała, będąc jeszcze w ciąży. Nazywała się Elizabeth McQueen, a wszyscy wołali na nią Queenie. Właściwie nie była to zawodowa opiekunka. Urodziła jedenaścioro własnych dzieci, z których tylko siedmioro żyło, i była najrzadszym z rzadkich darów Południa — starą, ukochaną czarną nianią. Przepelniała ją miłość do wszystkich, a szczególnie do dzieci i niemowląt. Kochała więc Paxton z czułością, jaką nie obdarzyłaby jej nawet rodzona matka, a już z całą pewnością nie Beatrice Andrews, która nadal źle się czuła w towarzystwie córki i z nie wyjaśnionych powodów

trzymała się od niej z daleka. Wydawało się jej, że mała ma zawsze lepkie rączki, którymi ciągle przestawia delikatne buteleczki perfum na toaletce, niezmiennie je zresztą rozlewając. W jakiś sposób matka i dziecko zdawały się nawzajem irytować. To Queenie uspokajała płaczącą Paxxie, to w jej ramiona chroniła się, gdy bała się czegoś lub gdy coś ją bolało. Niania nie opuszczała jej nawet na chwilę.

Queenie nie rozstawała się z rodziną Andrewsów. Tak naprawdę nie знаła takich miejsc, które chciałyby odwiedzić, a jej dzieci miały już własne życie. Zresztą nie mogła sobie wyobrazić, co stałoby się z Paxxie, gdyby jej akurat zabrakło. Wprawdzie ojciec był zawsze dobry dla dziewczynki i bardzo ją kochał, ale z matką to już zupełnie odrębna historia. W miarę jak Paxton dorastała, pogłębiała się obcość między nią a matką. Mając dziesięć lat, Paxton zdawała sobie sprawę z tego, że prawie nic ich nie łączy. Trudno było nawet uwierzyć, że są choćby dalekimi krewnymi. Treścią życia Beatrice stały się wydarzenia i nowinki towarzyskie, spotkania brydżowe i imprezy dobroczynne na rzecz Stowarzyszenia Cór Wojny Domowej. Właściwie nie interesowało jej, kiedy mąż wracał do domu. Słuchała jedynie uprzejmie tego, co mówił wieczorami przy stole, ale nawet Paxton spostrzegła, że matka wydaje się nudzić w towarzystwie ojca. Cariton także to zauważył. Chociaż nigdy by się do tego nie przyznał, odczuwał, podobnie jak Paxton, chłód emanujący z Beatrice. Beatrice Andrews była obowiązkowa, lojalna, zorganizowana, dobrze ubrana, miła, uprzejma, doskonale wychowana, ale obce jej były jakieś gwałtowniejsze uczucia. Po prostu taką miała naturę. Wiedziała o tym także Queenie, chociaż wyraziła to inaczej, niż zrobiłyby to Carlton. Już dawno powiedziała swoim córkom, że serce matki młodej Paxxie jest zimniejsze i mniejsze niż pączki brzoskwini w zimie. Jedynie to, co Beatrice Andrews czuła do swego syna George'a, wydawało się najbardziej zbliżone do miłości. Między nimi istniał ten rodzaj bliskiego porozumienia, na które nigdy by nie pozwoliła Paxton. Podziwiała i szanowała syna za jego chłodny, beznamiętny sposób patrzenia na świat, dzięki któremu ostatecznie zainteresował się medycyną. Imponowało jej, że syn zostanie lekarzem. W sekrecie opowiadała przyjaciółkom, że George jest inteligentniejszy od swego ojca i właściwie, pod wieloma względami, przypomina swego dziadka, ojca Beatrice, który zasiadał w Sądzie Najwyższym stanu Georgia. Była pewna, że George pewnego dnia dokona czegoś wielkiego. A co mogłaby osiągnąć Paxton? Ukończy szkołę, wyjdzie za mąż i będzie rodzicem dzieci. To nie wydawało się Beatrice godne podziwu, choć ona sama tak właśnie postąpiła. Za namową ojca poszła do Sweet Briar i dwa tygodnie po końcowych egzaminach poślubiła Caritona. Tak naprawdę jednak, mimo że dobrze się czuła w towarzystwie kobiet i korzystała z każdej okazji, aby z nimi przebywać, nie darzyła szacunkiem przedstawicielek własnej płci. To mężczyźni wzbudzali w niej podziw, gdyż dokonywali wielkich czynów. Nie miała więc żadnych wątpliwości, że przeznaczeniem tego ładnego dziecka o blond włoskach, wciskającego wszędzie lepkie rączki, nie są wielkie czyny.

* * *

Z telewizora dobiegał monotony głos Waltera Cronkite'a. Paxton wraz z innymi z zapartym tchem wpatrywała się w szklany ekran. Ci nieliczni, którzy nadal wymieniali między sobą jakieś

uwagi, robili to szeptem. Co kilka minut Cronkite łączył się z reporterami przebywającymi w holu szpitala Parkland Memorial w Dallas, dokąd przewieziono prezydenta.

Nie możemy jeszcze udzielić ostatecznych odpowiedzi na wasze pytania, poinformował jeden z nich. Wiemy jedynie, że stan prezydenta jest krytyczny, ale w ciągu ostatnich kilku minut nie napłynęły nowe informacje. Po tej wiadomości jeden z nauczycieli włączył inny program, gdzie akurat Chet Huntley mówił prawie dokładnie to samo, co usłyszeli przed chwilą.

Uczniowie z przerażeniem na twarzach popatrzyli na siebie. Paxton znowu przypomniała sobie George'a, który przyszedł po nią do szkoły, żeby powiadomić ją o wypadku ojca.

Samolot lecący w dół... i twarz George'a, gdy to mówił. Właśnie wtedy skończył studia i czekał na rozpoczęcie praktyki w szpitalu Grady Memorial w Atlancie. Wykształcenie zdobył na Południu, chociaż jego ojciec był absolwentem Harvardu i zachęcał go do pójścia w swoje ślady. Beatrice uważała jednak, że każdy powinien trzymać się swych korzeni i popierać szkoły na Południu.

Była już druga. Paxton stała w rogu pokoju, starając się uwierzyć, że wszystko będzie dobrze. Powstrzymywała łzy nie będąc pewna, czy płacze z powodu prezydenta, czy też swego ojca, który zmarł w dzień po katastrofie samolotu. Jego obrażenia okazały się bardzo poważne.

Beatrice i George pojechali do szpitala, a Paxton czekała w domu z Queenie. Wszyscy uważali, że jest za mała, by oglądać ojca w takim stanie. Nigdy go więcej nie zobaczyła. Odszedł, zabierając swą czułość, miłość i rozległą wiedzę o świecie, fascynację ludźmi, historią i rzeczami nie związanymi z Sayannah. Był typem dżentelmena starej daty, a mimo to nie pasował do klasy, z której pochodził. I za to Paxton kochała go najbardziej. Uwielbiała go również za sposób, w jaki przytulał ją mocno do siebie, za brzmienie jego głosu, gdy podczas długich spacerów dyskutowali o interesujących ją tematach, takich jak wojna, Europa i jak to jest, gdy się studiuje na Harvardzie. Kochała jego głos i świeży zapach wody po goleniu, który unosił się wokół niego, i charakterystyczne zmrużenie oczu w uśmiechu, i jak mówił, że jest z niej dumny... Gdy grano „Amazing Grace”, podczas pogrzebu, czuła, jakby to ona sama umarła. Queenie siedziała

w tylnym rzędzie i łkała tak głośno, że Paxton, zajmująca miejsce pomiędzy matką i bratem, słyszała jej zawodzenia.

Życie Paxton po śmierci ojca nigdy nie było już takie samo. Tak jakby razem z nim odeszły na zawsze chwile, które spędzili razem, podziwiając zapach polnych kwiatów, rozmawiając w biurze, gdy musiał pracować w sobotnie ranki. Nie miały przed sobą tajemnic. Paxie posiadała rodzaj intuicji pozwalającej jej odgadywać stan ludzkich uczuć. Kiedyś powiedziała ojcu, iż jest przekonana, że matka tak naprawdę wcale jej nie kocha. Już się tym nie przejmowała. Po prostu tak było. Ona miała Queenie i swojego tatę.

— Myślę... myślę, że ona potrzebuje kogoś takiego jak George. On jej nie denerwuje i rozróżnia z nią o rzeczach, które ją interesują. Jest w pewien sposób taki sam jak ona, prawda, tatusiu? — Więcej spostrzegała, niż rozumiała. Cariton Andrews miał podobne odczucia, chociaż nigdy by tego nie wyznał swojej jedynej córce.

— Ona nie wyraża swych uczuć tak jak ty lub ja — powiedział szczerze, siadając w starym skórzanym fotelu, na którym Paxie lubiła się bujać, aż groziło to upadkiem. — Ale to nie znaczy, że ich nie posiada. — Uznał, że musi bronić żony, chociaż zdawał sobie sprawę, że córka mówiła prawdę. Beatrice była zimna jak lód. Obowiązkowa i lojalna, we własnym mniemaniu idealna żona, prowadziła wzorowy dom. W stosunku do męża zachowywała się grzecznie i uprzejmie, nigdy by go nie oszukała, nie obraziła i nie zdradziła. Wydawała się skończoną damą, nie sposób jej było cokolwiek zarzucić, prócz tego, że nie potrafiła nikogo pokochać, z wyjątkiem George'a, oczywiście. Choć i wobec niego nie obnosiła się z matczyną miłością. Ich syn był po prostu tak bardzo do niej podobny, że nie spodziewał się niczego ponad to, co otrzymywał. Lecz Carltonowi i Paxie to nie wystarczało.

— Ona cię kocha, Paxie. — Kiedy ją o tym zapewniał, Paxton uważała, że kłamał z dobroci serca. Zupełnie nie orientowała się, do czego jest lub nie jest zdolna matka. Ojciec wiedział to dużo lepiej.

— Kocham cię, tato. — Bez najmniejszego wahania rzuciła się w jego ramiona. Nigdy przed nim niczego nie ukrywała. Ojciec roześmiał się, gdy o mało me spadł z fotela.

— Hej, ty... Zaraz będę leżał przez ciebie na podłodze. — Pragnął, by Paxton studiowała w Radcliffe. Trzymając ją w objęciach, wyobrażał ją sobie jako dorosłą i piękną pannę, dumę i podporę jego starości. Była wszystkim, o czym kiedykolwiek marzył — ciepła, kochająca,

troskliwa i opiekuńcza. Była dla niego wszystkim, chociaż on sam w pełni nie zdawał sobie z tego sprawy.

A potem odszedł, zostawiając ją samą z matką i bratem. Paxton dużo się uczyła i cały czas czytała. Pisała też do ojca, tak jakby on wcale nie umarł, ale wyjechał w podróż, a ona mogła wysłać mu listy. Oczywiście nie robiła tego. Czasami chowała je, a czasami po prostu darła, ale bardzo pomagał jej fakt, że pisała. Był to jakby dalszy ciąg obcowania z ojcem, namiastka rozmowy. Bardzo tego potrzebowała, ponieważ nie mogła rozmawiać z „nimi”. Miała wrażenie, że matkę denerwowało wszystko, co mówiła. Beatrice nigdy nie przyznała Paxxie racji, zawsze miała odmienny pogląd, różną opinię na wiele spraw. Czasami Paxton czuła się, jakby przybyła z innej planety. Nie mogła szukać pomocy u George’a, ponieważ był dokładnie taki sam jak matka. Napominał Paxton, żeby się odpowiednio zachowywała i postarała zrozumieć matkę. Chciał, żeby była rozsądna i pamiętała o tym, kim jest i skąd pochodzi, co tylko pogłębiało zamęt w jej głowie. Kim tak naprawdę była? Córką ojca czy „ich”? Kto miał rację? W głębi serca nie żywiła wątpliwości. Wiedziała doskonale, że to ojciec był dla niej wzorem do naśladowania. Zaakceptowała i przyjęła za swoje jego umiłowanie świata. Gdy George zakończył staż w Grady Memorial, a ona miała już szesnaście lat, uświadomiła sobie, że musi wyrwać się z Południa i dostać do Radcliffe. Matka chciała, żeby Paxton studiowała u Agnes Scott lub Mary Baidwin, czy też w Sweet Briar, gdzie sama swego czasu zdobywała wiedzę. Pomysł, żeby jej córka uczyła się do Radcliffe, uznała za niepoważny.

„Nie musisz jechać do szkoły na Północy. Tu, na miejscu, mamy wszystko, czego potrzebujesz. Popatrz na swego brata. Mógł pojechać wszędzie, ale został tutaj, w Georgii” — zwykła mawiać. Sama myśl o tym, że ona też tu zostanie na zawsze, przysparzała Paxton o klaustrofobię. Za wszelką cenę chciała uciec od przyjaciółek matki, ich ciasnych prowincjonalnych poglądów, od tego wszystkiego, co słyszała o „okropnościach” integracji. O prawach obywatelskich mogła dyskutować tylko z przyjaciółmi lub z Queenie. Wprawdzie Queenie była konserwatystką i uważała, że czarni powinni tkwić tam, gdzie ich przypisała historia, a nie zajmować miejsc białych. Możliwość wymieszania się tych dwóch ras przerażała ją. Tylko jej dzieci i wnuki podzielały opinię Paxton, która uważała, że istniejący stan rzeczy jest zły i nie bała się o tym mówić lub pisać w szkolnych wypracowaniach. Wiedziała, że ojciec nie tylko poparłby ją, ale jeszcze podtrzymałby jej zapał. Był to jednak temat, o którym nauczyła się nie rozmawiać z matką ani z bratem. Tej jesieni złożyła podania z prośbą o przyjęcie do sześciu uczelni na Północy i dwóch w Kalifornii. Były to: Vassar, Wellesley, Radcliffe, Smith oraz, na Zachodzie, Stanford i Uniwersytet Kalifornijski w Berkeley. Tak naprawdę nie miała zamiaru wybierać żeńskiej szkoły, Radcliffe było jedynym miejscem, w którym pragnęła się uczyć. Złożyła podania do dwóch uczelni na Zachodzie, gdyż jej szkolny doradca uważał, że nie powinna niczego zaniedbać. W końcu, zupełnie nie przekonana, czy mądrze postępuje, wysłała podanie do Sweet Briar tylko po to, żeby zrobić przyjemność matce. Przyjaciółki Beatrice powtarzały ciągle, jaka to będzie szczęśliwa w tej szkole, jakby jej pójście do Sweet Briar było już sprawą przesądzoną.

Teraz nie mogła nawet o tym myśleć. Nie odrywała wzroku od zegara. Była dopiero druga. Minęło pół godziny od chwili oddania strzałów do prezydenta i dziesięć minut, od momentu gdy zaczęli oglądać telewizję, śledząc bieg wydarzeń. Cały naród modlił się w jego intencji, podczas gdy rodzina Kennedych była świadoma bolesnej prawdy, tak jak Paxton sześć lat temu, gdy zginął jej ojciec. że to już koniec.

Minutę po drugiej Walter Cronkite przynębnym wzrokiem spojrzął w kamerę i oznajmił Amerykanom, że ich prezydent nie żyje. Spośród uczniów zgromadzonych przed telewizorem rozległ się szmer, który po chwili zmienił się w ogólny szloch i nagle niewielką salę wypełniło łkanie. Płakali wszyscy. Uczniowie i nauczyciele obejmowali się, zadając sobie

retoryczne pytanie, jak to mogło się stać. Walter Cronkite mówił dalej, przeprowadzano wywiady z dwoma lekarzami, a Paxton poczuła się tak, jakby nagle znalazła się pod wodą. Odgłosy tego, co działo się wokół, docierały do niej zniekształcone, z oddali. Paxton nawet nie zauważyła, że łzy spływają jej po policzkach. Brakowało jej tchu, jakby ktoś wycisnął z niej całe powietrze, a ona nie mogła go na nowo zaczerpnąć. Odczuwała ból i ogromny smutek, prawie nie do zniesienia. Dobrze

znała i pamiętała te odczucia. Wydało się jej, że jeszcze raz traci ojca. W chwili śmierci miał pięćdziesiąt siedem lat, a John Kennedy tylko czterdzieści sześć, ale obaj odeszli w pełni sił, przepełnieni pasją, pomysłami i ekscytacją życiem. Obaj też zostawili rodziny, dzieci, które ich tak bardzo kochały. Po Jacku Kennedym żałobę będzie nosił cały naród, po Caritonie Andrewsie tylko ci, którzy go znali. Dla Paxton nie miało to znaczenia. Wiedziała, co muszą czuć dzieci prezydenta, znała ten bezbrzeżny smutek, poczucie straty, żal i gniew. To było przerażające, złe. Jak ktoś mógł coś takiego uczynić? Wybiegła na korytarz i bez słowa opuściła szkołę z oczami pełnymi łez. W pędzie minęła domy dzielące ją od Habersham. Zapłakała i trzasnęła drzwiami. Wpadła do holu. Bardziej niż kiedykolwiek przypominała swojego ojca, kiedy był chłopcem:

Łśniące jasne włosy i wielkie zielone oczy, wiecznie ciekawe świata. Była przerażająco blada. Rzuciła torbę z książkami i pospieszyła do kuchni, żeby odnaleźć Queenie.

Queenie, nucąc, krzątała się po swoim królestwie, które tak kochała. Miedziane rondle lśniły na półkach, a w powietrzu unosił się zapach pieczonego ciasta. Niania odwróciła się zdumiona na widok Paxton, która stała przed nią z przerażonymi oczami i policzkami mokrymi od łez.

— Co się stało, dziecinko? — Zdenerwowana Queenie z trudem podniosła swe ogromne ciało z krzesła i ruszyła w stronę dziewczyny, którą wychowała i kochała jak nikogo na świecie.

— Ja... - Przez chwilę Paxton nie wiedziała, co powiedzieć. Zabrakło jej słów na wyrażenie swoich uczuć. W końcu spytała: — Nie oglądałaś dzisiaj telewizji?

Queenie była zagorzałą miłośniczką seriali, ale teraz pokręciła przecząco głową.

— Nie. Twoja mama zabrała wczoraj telewizor z kuchni do naprawy. Był zepsuty. A ja nigdy nie oglądam telewizji w salonie. Wydawała się urażona, że ktoś mógłby ją o to podejrzewać.

— Dlaczego pytasz? — Zastanawiała się, czy coś strasznego nie wydarzyło się w mieście. A może coś złego stało się z doktorem George'em albo panią Andrews?... Może któreś z dzieci było w coś zamieszane? Różne przypuszczenia przychodziły jej do głowy, ale z pewnością me była przygotowana na to, co powiedziała Paxton.

— Prezydent Kennedy został zastrzelony.

— Och, mój Boże! — Queenie opadła ciężko na najbliższe krzesło i wyraz przerażenia pojawił się w jej oczach. Spojrzała pytająco na Paxton.

— Nie żyje. — Paxton znów zaczęła płakać. Uklękła obok Queenie i objęła ją ramionami. Powróciło to dojmujące poczucie straty i zdrady. Queenie przytuliła ją do siebie i obie płakały nad śmiercią człowieka, którego nawet nie znały, a który zginął tak młodo. I za co? Dlaczego? Dlaczego to zrobili? Jak ktoś mógł być tak zły? Jakiemu celowi miało to służyć? I dlaczego on? Dlaczego człowiek mający dwoje małych dzieci i młodą żonę? Dlaczego w ogóle ktoś? I dlaczego właśnie ktoś tak pełen życia, będący nadzieją i obietnicą zmian na lepsze dla tak wielu ludzi? Paxxie opłakiwała go w ramionach Queenie, a stara Murzynka tuliła ją do siebie i kołysała jak małe dziecko.

— Cicho dziecinko... Nie mogę w to uwierzyć. Dlaczego ktoś miałby zrobić coś takiego? Czy oni wiedzą, kto to był?

— Chyba nie. — Kiedy chwilę później przeszły do salonu i włączyły telewizor, uzyskały odpowiedzi na niektóre z tych pytań. Człowiek nazywający się Lee Haryey Oswald śmiertelnie postrzelił policjanta, który wyśledził go w składnicy książek, skąd padły strzały o pierwszej trzydziści. Wszyscy byli przekonani, że jest on zabójcą prezydenta. Oswald został

zatrzymany. Policjant i prezydent, jak również jeden z agentów ochrony, nie żyli, a gubernator Teksasu, John Connally, był poważnie ranny, choć jego życiu nie zagrażało niebezpieczeństwo. Ciało prezydenta znajdowało na pokładzie samolotu Air Force One, w drodze do Waszyngtonu. Towarzyszyła mu żona oraz wiceprezydent Johnson z małżonką. Z wcześniejszych doniesień wynikało, że został on lekko ranny, lecz później zdementowano tę informację. Cały naród był w szoku. Paxton i Queenie stały przed telewizorem oniemiałe, ciągle nie mogąc uwierzyć własnym uszom i oczom. Patrzyły w ekran, a łzy ciekły im po policzkach. Tak zastała je Beatrice, gdy kilka minut później weszła do salonu. W każdy piątek po południu chodziła do fryzjera i właśnie teraz wróciła z cotygodniowej wizyty. Wiedziała już, co się stało, i teraz, gdy przyłączyła się do córki i niani, wyglądała na przygnębioną. Kilka kobiet wybiegło z zakładu z mokrymi włosami, fryzjerzy przerwali pracę. Każdy miał łzy w oczach. Kiedy po raz pierwszy podano tę straszną wiadomość, Beatrice Andrews siedziała przy umywalce. Wymogła jednak na fryzjerze, żeby ją uczesał, i nawet przekonała jedną z dziewcząt, by ta dokończyła jej manicure. Nie zniósłaby, gdyby musiała przełożyć to, co sobie zaplanowała. Miała mnóstwo do zrobienia w ten weekend przed Świętem Dziękczynienia, a jej klub brydżowy organizował proszony obiad. Nawet przez myśl jej nie przeszło, że nikt w najbliższej przyszłości nie będzie chodzić na proszone obiady. Wszelkie uroczystości zostały odłożone, a cały naród pogrążył się w żałobie. Beatrice uważała, że niektóre kobiety posunęły się zbyt daleko w okazywaniu smutku. Wiedziała, czym jest prawdziwa rozpacz, straciła przecież męża. Uznała, że me powinno się tak ostentacyjnie obnosić swych uczuć z powodu śmierci osoby publicznej.

Beatrice Andrews stanęła w milczeniu obok swej córki i kobiety, która ją wychowała. Usiadła, żeby obejrzeć Lyndona Johnsona, który składał przysięgę na pokładzie Air Force One i tym samym przejmował urząd prezydencki. Queenie nadal stała, gdyż jej pracodawczyni nie zaproponowała, żeby usiadła. Na ekranie pojawiła się sędzina Sarah Hughes, odbierająca przysięgę od Lyndona Johnsona, oraz Jacqueline Kennedy. Miała na sobie ten sam różowy kostium, w który była ubrana w chwili, gdy padły strzały. Kostium splamiony krwią jej męża. Pokazała światu zmęczoną, zgaszoną twarz, przez którą przemknął cień smutku, gdy Lyndon Johnson został mianowany prezydentem. Paxton opadła wolno na krzesło obok swojej matki. Łzy lały się jej po policzkach. Wpatrywała się z niedowierzaniem w ekran, nie mogąc zrozumieć tego, co się wydarzyło.

— Jak ktoś mógł ważyć się na coś takiego? — załkała. Queenie potrząsnęła tylko głową i ciągle popłakując, wróciła do kuchni.

— Nie wiem, Paxton. Mówi się o spisku, ale myślę, że nikt jeszcze nie potrafi odpowiedzieć na pytanie, dlaczego to się stało. Współczuję pani Kennedy i jej dzieciom. To musi być dla nich straszne.

Słowa matki znów przypomniały Paxton ojca. Chociaż nie został on zamordowany, to przecież zginął tragicznie, a jego odejście nadal bardzo bolało. Może zawsze tak będzie. Z pewnością dzieci prezydenta też zawsze będą odczuwać brak ojca. Dlaczego to musiało się wydarzyć?

— Żyjemy w okropnych czasach — mówiła dalej matka. — Te wszystkie zamieszki na tle rasowym. Zmiany, które próbował wprowadzić... Może to jest cena, jaką w końcu za to zapłacił — dodała Beatrice Andrews oschłym tonem i wyłączyła telewizor. Paxton wpatrywała się w nią, zastanawiając się, czy kiedykolwiek ją zrozumie.

— Sądziś, że to z powodu praw obywatelskich? Uważasz, że dlatego to się stało? — Nagle Paxton poczuła złość. Dlaczego matka myśli w ten sposób? Dlaczego chciałaby, żeby wszystko pozostało tak jak dawniej? Dlaczego musieli mieszkać na Południu? Dlaczego musiała się urodzić w Sayannah?

— Wcałę nie mówię, że dlatego to się stało, Paxton. Twierdzą jedynie, że jest to możliwe. Nie można wywrócić wszystkiego do góry nogami, zmieniać tradycji, do której od setek lat przywykliśmy, i me zapłacić za to. Może to jest właśnie cena. Z pewnością straszliwa cena. Paxton z niedowierzaniem patrzyła na matkę. Klótnia nie była dla nich niczym nowym.

— Mamo, jak możesz mówić, że ludzie przyzwyczaili się do segregacji rasowej? Jak możesz w ogóle tak mówić? Myślisz, że niewolnicy byli zadowoleni?

— Niektórzy z nich, tak. Mieli się wtedy o wiele lepiej niż teraz, pod warunkiem, że ich właściciele byli odpowiedzialnymi ludźmi.

— Och, mój Boże! — I ona w to wierzyła. Paxton wiedziała, że tak właśnie było. — Popatrz, jak czarni dzisiaj żyją. Nie umieją czytać ani pisać, pracują jak woły, są wykorzystywani i nie mają takich samych przywilejów jak ty czy ja, mamuś. — Bardzo rzadko zwracała się tak do matki. Tylko wtedy, gdy była zdesperowana albo bardzo zaangażowana w to, o czym mówiła, lub przybita tak jak teraz. Beatrice Andrews zdawała się tego nie zauważać.

— Być może nie umieliby żyć z tymi przywilejami, Paxton. Nie wiem. Chcę tylko powiedzieć, że nie można z dnia na dzień zmienić świata bez żadnych konsekwencji. A tak właśnie się stało.

Paxton nie odezwała się już ani słowem. Poszła do swego pokoju, położyła się na łóżku i płakała aż do obiadu. Błada, z zapuchniętymi oczami, zeszła na dół, gdy przyjechał jej brat, aby jak w każdy piątek zjeść z nimi obiad. Robił to zawsze we wtorki i piątki, chyba że miał dyżur lub musiał się udzielać towarzysko, co zresztą zdarzało się bardzo rzadko. George, podobnie jak matka, wyznawał zupełnie inne poglądy niż jego młodsza siostra. Uśmiechał się tylko, gdy przedstawiała swe opinie na różne tematy, lub też prychał z dezaprobatą i zapewniał, że z czasem zmieni zdanie. To dlatego rzadko zdobywała się na szczerą wobec brata bądź matki. Częściej milczała i zachowywała pełen szacunku dystans. Nie potrafiła ich przekonać do swoich racji, a wszelkie próby przeprowadzenia z nimi poważnej dyskusji spęłzały na niczym. Swoje zdanie zachowywała dla przyjaciół czy też bardziej liberalnych nauczycieli bądź przedstawiała je w szkolnych wypracowaniach. Rozmawiała też z Queenie, gdy uważała, że niania ją zrozumie. Ta stara kobieta posiadała życiową mądrość. Była uważnym słuchaczem. Paxton mogła z nią porozmawiać o szkołach, do których złożyła podania, i swoich zamierzeniach. Przyznała szczerze i otwarcie, że nie chce zostać na Południu. Queenie ogarniał smutek na myśl o wyjeździe Paxxie, ale wiedziała, że będzie to z korzyścią dla jej wychowawcy. Zbyt przypominała swojego ojca, żeby było inaczej.

— Myślę, że to spisek Kubańczyków — stwierdził George tego wieczoru przy stole. — Jestem pewien, że dowiemy się znacznie więcej, gdy tylko śledztwo pójdzie tym tropem. — Paxton patrzyła na brata, zastanawiając się, czy w jego słowach może tkwić choć trochę prawdy. George był inteligentnym, chociaż niezbyt lotnym, mężczyzną. Większość czasu poświęcał wybranemu zawodowi i nic oprócz tego tak naprawdę go nie zajmowało. Miał raczej ograniczone poglądy. Wyraźnie interesował się jedynie odkryciami naukowymi w medycynie, szczególnie nowinkami o początkowym stadium cukrzycy u dorosłych. Żaden z tych tematów nie wydawał się Paxton zbyt fascynujący. George przekroczył niedawno trzydziestkę i rok wcześniej o mało się nie zaręczył, jednak związek ten rozpadł się, zanim doszło do czegoś poważniejszego. Paxxie odniosła wtedy wrażenie, że matka odetchnęła z ulgą, choć dziewczyna pochodziła z dobrej rodziny. Beatrice powtarzała nieraz, że jej syn jest jeszcze za młody, by się żenić. Uważała, że powinien się urządzić, zanim weźmie sobie na kark żonę i dorobi się gromadki dzieci.

W każdym razie Paxton nie lubiła dziewcząt, z którymi spotykał się jej brat. Były zawsze bardzo ładne, ale głupiutkie i powierzchowne. Nie interesowały się niczym i nie można było z nimi poważnie rozmawiać. Ostatnia, którą przyprowadził na przyjęcie wydane przez ich matkę, chichotała przez cały wieczór jak nastolatka, chociaż miała dwadzieścia jeden lat. Z rozbijającą szczerością wyznała, że nie poszła na studia, gdyż miała kiepskie

stopnie, ale uwielbia działać w Lidze i nie może doczekać się swego występu na pokazie mody, który odbędzie się w tym tygodniu. Pod koniec wieczoru Paxton gotowa była ją udusić. Dziewczyna George'a okazała się tak głupia i irytująca, że Paxxie nie wyobrażała sobie, jak brat w ogóle może z nią wytrzymać. Kiedy wychodzili, dosłownie lepiła się do niego. Wciąż chichotała. Paxton doszła wtedy do wniosku, że prawdopodobnie zniechęciła się do niego, którą w końcu poślubi jej brat, gdyż będzie ona milutka, nieskomplikowana, bezmyślna, skromna i bardzo „południowa”. Paxton pochodziła z Południa, ale w jej przypadku oznaczało to tylko miejsce urodzenia i nie było usprawiedliwieniem dla ułomności intelektu czy charakteru. Jednak wokół przeważały dziewczęta, których ambicje ograniczały się do zdobycia tytułu „piękności z Południa”. Nawet jeśli oznaczało to kobietę niezbyt wykształconą, z lekka ograniczoną czy wręcz głupią. Paxton nie znosiła tego typu dziewcząt, lecz było jasne, że George nie podzielał tej niechęci.

Paxton nie mogła tej nocy spać. Ciągle wracała do salonu, aby obejrzeć w telewizji najnowsze wiadomości. O trzeciej nad ranem zasiadła przed szklanym ekranem na dobre. Około wpół do piątej zobaczyła, jak wnoszono do Białego Domu trumnę, obok której szła pani Kennedy.

Przez następne trzy dni Paxton rzadko wstawiała od telewizora. W sobotę widziała, jak rodzina i członkowie rządu przyszedli pożegnać człowieka, którego kochali. W niedzielę była świadkiem, jak przewieziono trumnę na Kapitol i jak Jacqueline Kennedy klęczała obok swojej małej córeczki Karoliny. Ich twarze były zmartwiałe od bólu. Potem Paxton widziała, jak Lee Oswald, przewożony właśnie do innego więzienia, został zastrzelony przez Jacka Ruby'ego. Nie wierzyła własnym oczom, myśląc, że to jakaś Pomyłka. Wydawało się, że to niemożliwe, aby jeszcze jeden człowiek zginął w tym nie kończącym się koszmarze.

W poniedziałek oglądała pogrzeb. Gdy usłyszała żałobny dźwięk bębnów, wybuchnęła spazmatycznym płaczem. Widok koma bez jeźdźca znowu przypomniawszy jej ojca. Smutek nie miał końca, ból nie ustawał, żal trwał wiecznie. Nawet matka wydawała się Wstrząśnięta wydarzeniami poniedziałkowego wieczoru. Podczas

obiadu prawie nie odzywała się do córki. Queenie ciągle jeszcze ocierała oczy, gdy Paxton weszła do kuchni, aby z nią porozmawiać. Dziewczyna usiadła na krześle i bezmyślnie przyglądała się, jak niania sprząta, potem pomogła wytrzeć naczynia. Beatrice poszła na górę zadzwonić do przyjaciółki. Jak zwykle matka i córka nie miały sobie nic do powiedzenia, nie umiały się nawzajem pocieszyć czy wesprzeć na duchu. Zbyt się od siebie oddaliły.

— Sama nie wiem dlaczego, ale ciągle czuję się tak, jakby ponownie zmarł tatuś... Chociaż oczekuję, że wydarzy się coś innego. Na przykład, że za chwilę wejdzie do domu i powie mi, że to tylko jakiś niemądry żart, wielkie nieporozumienie. Albo że Walter Cronkite pojawi się w wiadomościach i oznajmi, że to był test, a tak naprawdę prezydent spędza weekend w Palm Beach z żoną i dziećmi i bardzo im przykro z powodu całego zamieszania... Ale wcale tak się nie dzieje, tylko ta okropna sytuacja trwa. Jest prawdziwa. To bardzo dziwne uczucie. Queenie pokiwała głową. Rozumiała doskonale Paxton.

— Wiem, dziecinko. Tak jest zawsze, kiedy ktoś utniera. Siedzisz wtedy i czekasz, by ktoś ci powiedział, że to się nie wydarzyło. Było tak samo, kiedy straciłam swoje małeństwo. Musi upłynąć bardzo dużo czasu, żeby ból ustał.

Trudno było teraz myśleć z radością o Święcie Dziękczynienia. Jak odczuwać wdzięczność za pogmatwane, niełatwe życie w świecie pełnym zła i przemocy, w którym ludzie ginęli w kwiecie sił. Paxton wyobrażała sobie, jak bardzo zdesperowana i przygnębiona musi być rodzina Kennedych. Jacqueline Kennedy zadbała o najdrobniejsze szczegóły. Na kartach zawiadamiających o mszy świętej własnoręcznie napisała: „Dobry Boże, zaopiekuj się swym sługą, Johnem Fitzgeraldem Kennedym”, a także kazała wydrukować wyjątki z jego przemówienia inauguracyjnego. To był koniec pewnej ery, czasu, który przeminął, zanim naprawdę się zaczął. Pochodnia została przekazana nowemu pokoleniu, ale ludzie dzierżący ją teraz nie wiedzieli, dokąd z nią podążać.

Queenie wyłączyła światło i pocałowała Paxton na dobranoc. Jakiś czas stały jeszcze w ciemnościach, stara i młoda, czarna i biała, a wszechogarniający smutek otaczał je jak mgła. Po chwili Queenie zeszła na dół do swojego pokoju, a Paxton poszła na górę do swojego, zastanowić się nad tym, co zostało stracone i co czekało ich w przyszłości. Miała wrażenie, że jest coś winna człowiekowi, którego życie przerwano tak brutalnie. Tak samo jak była winna swemu ojcu... i samej sobie. Musi być kimś, dla nich, musi zrobić coś ważnego w życiu, coś, co się liczyło. Ale co? To było pytanie. Leżała w łóżku i myślała o tych dwóch mężczyznach i o tym, w co wierzyli. Jednego z nich kochała i знаła dobrze, co do drugiego, mogła się tylko domyślać. I nagle zapragnęła rozpocząć prawdziwe życie i tak jak oni pójść do Harvardu. Leżała w łóżku z zamkniętymi oczami i bezgłośnie obiecała mm, że zrobi coś ze swoim życiem, że zostanie kimś, z kogo byliby dumni. Teraz pozostało jej tylko czekać do wiosny... i modlić się o przyjęcie do Radcliffe.

Rozdział II

Ostatnie zawiadomienia przysły w drugim tygodniu kwietnia. Sweet Briar przysłało zgodę już w marcu, a Vassar, Wellesley i Smith na początku kwietnia. Niestety, żadna z tych uczelni nie interesowała Paxton. Starannie ułożyła listy na biurku i nadal czekała na ten najważniejszy, z Radcliffe. Dwie uczelnie w Kalifornii były dla niej jedynie pewnym zabezpieczeniem. Modliła się, by przyjęto ją do wymarzonego Radcliffe, ale w głębi ducha nie wierzyła, że jej odmówią. Przecież ojciec studiował w Harvardzie, no i miała bardzo dobre stopnie. Nie doskonałe, ale bardzo dobre. Martwiła się tylko o swoje wyniki w sporcie. Nie były imponujące. Nie mogła się też pochwalić zbyt wieloma zainteresowaniami pozaszkolnymi. Uwielbiała pisać wiersze i opowiadania, chodziła na kurs fotografii, jako dziecko brała lekcje baletu. W pierwszej klasie wstąpiła do kółka teatralnego, ale wkrótce zrezygnowała, gdyż obawiała się, że będzie to kolidowało z nauką. A przecież niejednokrotnie słyszała, że do Harvardu mieli wstęp ludzie wszechstronni, o szerokich zainteresowaniach. Mimo to nadal była prawie pewna, że ją przyjmą. Matka była bardzo zadowolona, kiedy przysłano zgodę ze Sweet Briar. Jej zdaniem Paxton otrzymała już najważniejszą odpowiedź. Oczywiście z przyjemnością opowiadała przyjaciółkom, że córka dostała się też do innych szkół, ale, podobnie jak Paxton, nie była tym specjalnie zachwycona. Szkoły w Kalifornii mogły dla Beatrice Andrews równie dobrze znajdować się na innej planecie. Nalegała, żeby Paxton postąpiła rozsądnie i wybrała Sweet Briar, nie czekając nawet na pozostałe odpowiedzi.

— Nie mogę tego zrobić, mamo — spokojnie oznajmiła Paxton, a jej wielkie, zielone oczy utkwione były w twarzy, która zawsze wydawała się obca. — Dawno już coś sobie przyrzekłam. — Była to nie tylko obietnica złożona sobie samej, ale rodzaj spłaty długu zaciągniętego u ojca.

— Nigdy nie będziesz szczęśliwa w Bostonie, Paxton. Tamtejsza pogoda jest okropna. No i szkoła jest ogromna. Bliżej domu czułabyś się o wiele lepiej. Zawsze możesz potem zrobić dyplom w Harvardzie, jeśli zechcesz.

— Poczekajmy lepiej, aż się tam dostanę. Tak będzie rozsądniej. — Lecz to, co wydawało się Paxton racjonalne, było zupełnie nieracjonalne dla jej matki. Drażnił ją upór Paxton w sprawie wyboru szkoły. Pewnego sobotniego popołudnia pojawił się George. Paxton uśmiechała się do siebie, słuchając jego wywodów. Rozmowa z bratem przypominała

rozmowę z matką. Oboje byli głęboko przekonani, że jej życie musi toczyć się blisko nich i że głupotą jest próbować rozwinąć skrzydła i poszerzać horyzonty.

— A co myślisz o tacie, George? Wcale mu nie zaszkodziło, że studiował w jankeskiej szkole. — Lubiła go drażnić. George, pomijając wszystkie jego zalety, nie posiadał, niestety, poczucia humoru, jakim obdarzony był ich ojciec.

— To nie to samo, Paxton. I ty dobrze o tym wiesz. Nie jestem zwariowany na punkcie Południa. Myślę tylko, że dla kobiety Sweet Briar jest najlepszym wyborem. Mama ma rację. Nie ma potrzeby, żebyś jechała aż do Bostonu.

— Wyobraź sobie, co by się stało, gdyby królowa Izabella powiedziała Kolumbowi, że nie ma potrzeby, aby wyprawiał się tak daleko. Ameryka nie zostałaby odkryta... — Śmiała się z niego, ale jego to najwyraźniej nie bawiło.

— Mama ma rację. Ciągłe jesteś dzieckiem. Koniecznie chcesz udowodnić, że tak nie jest. Nie jesteś mężczyzną i nie ma najmniejszego powodu, abyś studiowała w Harvardzie. Nie zrobisz kariery jako lekarz bądź prawnik i dlatego nie ma sensu, żebyś wyruszała gdzieś dalej. Powinnaś być blisko domu, razem z nami. Co będzie, jeśli mama zachoruje? Nie jest już taka młoda. Potrzebuje nas. — Próbował wszystkich sposobów, łącznie z wywołaniem poczucia winy, ale to tylko doprowadzało jego siostrę do szału. Nie mogła zrozumieć, dlaczego tak bardzo im zależało, żeby się nie rozwijała. Wydawało im się, że mogą dysponować jej życiem.

— Mama ma pięćdziesiąt osiem lat, me dziewięćdziesiąt trzy, George! A ja nie zamierzam siedzieć tu przez resztę mojego życia, czekając, aż będę jej potrzebna na stare lata. I skąd, do diabła, możesz cokolwiek wiedzieć o moich planach zawodowych? Więc dowiedz się, że chcę zostać chirurgiem. Czy w tej sytuacji zgadzasz się, że mogę studiować na Północy, czy też uważasz, że mam piec ciasteczka tylko dlatego, że jestem kobietą?

— Ależ wcale tak nie uważam. — George wydawał się dotknięty jej szczerością.

— Wiem o tym. — Spróbowała się uspokoić. — A Sweet Briar jest wspaniałą szkołą. Ale ja całe życie marzyłam o studiach w Radcliffe.

— A co będzie, jeśli się nie dostaniesz? — Popatrzył na nią ze złością.

— Dostanę się. Muszę. — Obiecała to ojcu. Przysięgła, że będzie z niej dumny i że pójdzie w jego ślady.

— Ale jeśli jednak się nie dostaniesz? — Domagał się bezlitośnie odpowiedzi. — Czy wtedy zgodzisz się zostać na Południu?

— Może... Nie wiem... — Miejscowe szkoły nie pociągały jej specjalnie, nie myślała też poważnie o Stanford czy Berkeley. Nie wyobrażała sobie wyjazdu do Kalifornii. Nie знаła tam nikogo. — Zobaczę.

— Myślę, że powinnaś się nad tym zastanowić, Paxton. I lepiej dobrze wszystko rozważ, zanim zasmucisz mamę.

Dlaczego musiał jej to robić? To nie było w porządku. Dlaczego ona miała poświęcić dla nich swoje życie? Czego od niej chcieli? Dlaczego pragnęli, żeby została w Sayannah? To było bez sensu. Tylko po to, żeby chodziła z mamą na obiady i spotkania Stowarzyszenia Cór Wojny Domowej? Żeby w końcu wstąpiła do klubu brydżowego? I żeby nie przyniosła wstydu Beatrice? Dlatego miała tu zostać? Ale ona wcale tego nie chciała. Pragnęła czegoś więcej. Była zdecydowana studiować dziennikarstwo w Radcliffe.

Często opowiadała o tym Queenie. Stara niania była jedyną osobą, która zachęcała ją do realizacji marzeń, która miała dla niej tyle miłości, że uznawała jej prawo do wolnego wyboru drogi życiowej. Jedyne czarna piastunka wiedziała, czego potrzebuje Paxxie, i chciała, by uniezależniła się od matki i brata — dwojga ludzi, którzy oczekiwali od niej tak wiele, dając jednocześnie tak mało. Paxton miała prawo do czegoś więcej. Była inteligentna, pełna pomysłów. Zasługiwała na lepsze życie niż to, jakie wiodłaby, gdyby pozostała w Sayannah. A jeśli kiedyś chciałaby wrócić do domu, Queenie czekałaby na nią z otwartymi ramionami.

Ale nie miała zamiaru błagać jej, by nie wyjeżdżała, ani też, jak inni, zrzędzić z powodu jej decyzji.

List przyszedł we wtorek po południu. Leżał już w skrzynce, kiedy wróciła do domu. Przyszło też zawiadomienie ze Stanford. Paxton wstrzymała na chwilę oddech, widząc upragnioną kopertę. Było ciepło, wiosenne popołudnie, Paxxie szła nieśpiesznie, rozmyślając o chłopcu, który właśnie tego dnia zaprosił ją na bal maturalny. Był przystojnym, wysokim i ciemnowłosym młodzieńcem, a Paxton podkochiwała się w nim przez cały ubiegły rok, ale on miał inną dziewczynę. Teraz nagle okazało się, że jest wolny. Paxton była pełna marzeń i planów. Miała zamiar opowiedzieć o nich Queenie, gdy zobaczyła list, którego nie mogła się już doczekać. Cała jej przyszłość zależała od kartki papieru zamkniętej w białej kopercie z Harvardu. Droga panno Andrews, mamy przyjemność zawiadomić panią, że została pani przyjęta... Droga panno Andrews, z przykrością zawiadamiamy, że... Co znajdzie w środku? Ręce jej się trzęsły, gdy wyjmowała koperty ze skrzynki, zastanawiając się, którą z nich otworzyć pierwszą. Usiadła na schodach i zdecydowała, że przeczyta list z Radcliffe. Przerzuciła swój długi, blond warkocz na plecy, zamknęła oczy i oparła się o balustradę, modląc się o błogosławieństwo ojca... Proszę... Proszę... Och, proszę, niech mnie przyjmą... Otworzyła oczy i szybko rozerwała kopertę. Początek listu był inny, niż oczekiwała. Nie zawierał konkretnej odpowiedzi, ale podkreślał, że Harvard jest wspaniałą uczelnią, a Paxton wspaniałą kandydatką. Dopiero w drugim akapicie znalazła to, czego szukała. Serce jej zamierało, w miarę jak czytała te straszne słowa.

„Chociaż posiada Pani wszelkie niezbędne warunki, aby być odpowiednią kandydatką na studentkę Radcliffe, uważamy, że... obecnie..., może inna uczelnia..., żałujemy, ale... jesteśmy pewni, że osiągnie Pam bardzo dobre wyniki na każdej innej, wybranej przez siebie uczelni... Życzymy powodzenia...” W oczach Paxton pojawiły się łzy, litery widziała jak za mgłą. Zawiodła swego ojca. Odrzucili ją. Wszystkie jej marzenia w jednej chwili obróciły się wniwecz. Nie przyjęto jej do Radcliffe.

I co ma teraz zrobić? Dokąd pójdzie? Czy naprawdę musi zostać na prowincjonalnym Południu? Czy zawsze będzie pędziła żywot u boku matki i brata? Czy tak już musi być? Czy do tego doszło? Czy też powinna pójść do Vassar? Smith? Wellesley? Jakoś nie pociągały jej te szkoły.

Zdenerwowana, z wahaniem, otworzyła drugą kopertę. Może czas poważnie pomyśleć o Stanford? Ale już za chwilę wszystko stało się jasne. Odpowiedź była prawie taka sama, jak ta z Radcliffe. Życzyli jej powodzenia, lecz uważali, że inna uczelnia będzie bardziej odpowiednia. W takiej sytuacji nie zostało jej nic, poza szkołami, których stanowiska już знаła, oraz wielką niewiadomą, jaką było Berkeley. Z ciężkim sercem wstała i weszła do domu. Bała się powiedzieć o wszystkim matce.

Najpierw oczywiście zwierzyła się Queenie. Niania bardzo się zasmuciła, ale wkrótce podeszła do całej sprawy filozoficznie.

— Jeśli cię nie przyjęli, to znaczy, że me było cito pisane. Pewnego dnia sama to zrozumiesz — powiedziała.

Tymczasem jednak perspektywy były przygnębiające. Nie chciała zostać na Południu, nie miała zamiaru pójść do żadnej innej żeńskiej szkoły i nie wyobrażała sobie studiów w Berkeley. I co teraz? Okazało się, że Queenie miała inne niż Paxton spojrzenie na zaistniałą sytuację.

— Co myślisz o Kalifornii? To daleko stąd, ale może ci się tam spodobać. — Jedna z córek Queenie przed kilkoma laty przeprowadziła się do Oakland i Queenie, chociaż nigdy się tam nie wybrała, uważała, że San Francisco to śliczne miasto. — Słyszałam, że tam jest pięknie. Nigdy nie zmarzniesz jak na Północy. — Uśmiechnęła się czule do dziecka, które kochała i pocieszała od tylu lat, a które przeżywało teraz pierwszy bolesny zawód w swoim życiu. — Twoja mania chyba by mnie zabiła, gdyby usłyszała moje rady, ale jestem

zdania, że powinnaś pomyśleć o Kalifornii. — Paxton skrzywiła twarz w grymasie. Matka zabiłaby je obie, gdyby usłyszała choć część ich rozmów.

— No, nie wiem... To jest tak daleko.

— Kalifornia? — Queenie wyszczerzyła zęby w uśmiechu. — Nie bądź głupiutka. To tylko kilka godzin samolotem, przynajmniej tak mówi moja Rosie. Pomyśl więc o tym i pomódl się dziś w tej intencji. Może szkoła w Berkeley będzie dla ciebie najlepszym wyjściem.

Tego wieczoru matka i brat uzyskali potwierdzenie swojej opinii w sprawie przyszłości Paxton. Odpowiedź z Radcliffe wcale ich nie rozczarowała. Przeciwnie, odczuli ulgę.

Podobnie jak Queenie uważali, że tak Paxton było pisane. Jednak w przeciwieństwie do starej niani, wydawali się zadowoleni z niepowodzenia Paxxie. — Ona sama miała wrażenie, że zawiodła ojca, ponieważ nie dostała się do jego uczelni. Chciała to komuś wyznać, opisać, jak okropnie się czuje, ale wiedziała, że nawet Queenie, nie wspominając już o matce i bracie, nie zrozumie jej. Przyjaciele przeżywali własne radości i smutki. Każdy czekał na wiadomości z uczelni, wszyscy chcieli jak najszybciej dowiedzieć się, czy zostali przyjęci, czy też odrzuceni.

Chłopiec, który zaprosił ją na bal maturalny, zadzwonił tego wieczora, ale kiedy próbowała podzielić się z nim swoimi odczuciami, nawet jej nie wysłuchał. Mógł mówić jedynie o tym, że dostał się do Chapel Hill. Tej nocy leżąc w łóżku, Paxton myślała o słowach Queenie.

Zastanawiała się, czy pomysł wyjazdu do Berkeley był w ogóle wart rozważenia. Przede wszystkim nie wiedziała, czy ją przyjmą. Jednak jeszcze pod koniec tego samego tygodnia, pod naciskiem mamy i George'a, zgodziła się na Sweet Briar, po cichu przyrzekając sobie, że w przyszłym roku znowu złoży podanie do Radcliffe i będzie próbować aż do skutku, bez względu na to, ile pracy by miało ją to kosztować. Ułożywszy ten plan, poczuła się troszkę lepiej. Łatwiej będzie jej zostać blisko domu, jeśli wie, że to nie na zawsze.

W poniedziałek przyszła odpowiedź z Berkeley. Z wielką przyjemnością informowali, że została przyjęta. Serce zaczęło jej bić mocniej i nagle, nie wiedząc nawet dlaczego, poczuła szaloną radość. Biegiem rzuciła się do kuchni, żeby pokazać list Queenie. Stara kobieta rozpromieniła się tak, jakby ta kartka papieru była najważniejsza na świecie.

— Widzisz? Oto twoja odpowiedź.

— Skąd ta pewność? — Jak ona może to wiedzieć? Jednak inne rozwiązania nie przemawiały do Paxton z równą siłą.

— Jak się teraz czujesz?

— Dobrze. Trochę się boję, ale jestem szczęśliwa.

— A inne szkoły, o których mówiłaś? Co czujesz, kiedy o nich myślisz?

— Przygnębienie, znudzenie... coś okropnego.

— To chyba me oznacza niczego dobrego. Według mnie Berkeley jest najlepszym wyjściem.

Ale musisz się zastanowić. Módl się i otwórz się dla Pana, i wsłuchaj się w siebie. Zawsze słuchaj swego serca, tego, co czujesz w środku. Ty wiesz. Wszyscy wiemy. Czujemy to tutaj.

— Z poważną miną wskazała na swój wielki brzuch. — Gdy się dobrze czujesz, wtedy wiesz, że postępujesz dobrze. Ale kiedy jest ci źle, jakby cię coś bolało i czujesz się nieszczęśliwa, wtedy na pewno popełniłaś duży błąd albo dopiero popełnisz. — Paxton śmiała się z tych prostych prawd, ale wiedziała, że Queenie jak zwykle ma rację. Ta stara kobieta była dużo mądrzejsza od Beatrice, od George'a czy nawet od Paxton.

— Chyba zwariowałam, ale myślę, że masz rację, Queenie. — Usiadła na kuchennym krześle. Wyglądała na kogoś, kto żyje w zgodzie z samym sobą. Była spokojna, silna i niezwykle jak na swój wiek dojrzała. Po śmierci ojca, czyli od prawie siedmiu lat, bardzo dużo rozmyślała.

— Co ja im teraz powiem?

— Prawdę, jeśli ją znasz. Możesz słuchać moich rad, ale sama musisz podjąć decyzję. Jesteś inteligentna. Zrobisz to, co zechcesz, i co według ciebie jest słuszne. Pomyśl o tym najpierw i będziesz wiedziała, co robić. — Znowu wskazała na swój brzuch. Paxton roześmiała się i

wstała. Była wysoka, szczupła i koścista jak ojciec, ale pełna wdzięku. Górowała wzrostem nad wieloma koleżankami, jednak nie przejmowała się tym. Ku wielkiemu zdziwieniu Queenie nie przykładała zbytnej wagi do wyglądu. Była piękna, ale jakby nie zdawała sobie z tego sprawy. Nie obchodziło jej to. Bardziej interesowały ją inne rzeczy, sprawy duchowe, uczucia i myśli, podobnie jak Carltona Andrews. Nie poświęcała uwagi swojej urodzie, co niezwykle irytowało matkę. Beatrice chciała, aby córka brała udział w pokazach mody, organizowanych przez Ligę, czy w imprezach Stowarzyszenia Cór Wojny Domowej, ale Paxton odmawiała. Była cicha i nieśmiała. Lubiła rozprawiać z nauczycielami na poważne tematy, o niedawnych zajściach w Wietnamie, śledztwie w sprawie śmierci Kennedy'ego, stanowisku Johnsona wobec problemu praw obywatelskich, Martinie Lutherze Kingu i jego marszach protestacyjnych. Z pasją obserwowała ważne wydarzenia na świecie, ich wzajemne powiązania i wpływ, jaki miały na siebie. O tym lubiła pisać, myśleć, tym chciała żyć. W tygodniu zapytała swego ulubionego nauczyciela o jego opinię na temat uniwersytetu w Berkeley.

— Myślę, że jest to jedna z najlepszych uczelni w naszym kraju. Dlaczego pytasz? —

Popatrzył jej prosto w oczy, a ona zawahała się, ale tylko na chwilę.

— Chcę wiedzieć, czy powinnam tam pójść.

— Wiadomości z Radcliffe nie były takie, jakich się spodziewałaś? — Wiedział, jak bardzo pragnęła tam się dostać, jak bardzo na to liczyła. Znał przyczynę i był przygotowany na to, że będzie rozczarowana, jeśli się nie dostanie.

— Nie przyjęli mnie. Do Stanford też nie. Wszystkie inne szkoły odpowiedziały pozytywnie. Wymieniła uczelnie, a on bez wahania doradził jej studia w Berkeley. Sam pochodził z Północy i mocno wierzył w potrzebę zdobywania różnorodnych doświadczeń. Uważał, że młodzież z Zachodu powinna kształcić się na Wschodzie, ci ze Wschodu powinni rok lub dwa pobyć na Zachodzie, a dzieciaki z Południa wyruszyć na Północ, żeby zobaczyć coś innego.

— Nie wahałbym się ani minuty, Pax. Lap swoją szansę, póki ją masz. Nie myśl nawet o Radcliffe. Zawsze możesz tam pojechać i zrobić dyplom. Teraz do diabła z tym, jedź na Zachód. — Uśmiechnął się do niej. — Spodoba ci się tam. — Gdy go słuchała, niespodziewanie przeszedł ją dreszcz podniecenia. Czyżby Queenie, jak zwykle, miała rację? Przez kilka następnych dni nic nie powiedziała matce. Pod koniec tygodnia wysłała swoje zgłoszenie do Berkeley. W piątek, podczas obiadu, powiadomiła ich o swojej decyzji.

— Dzisiaj wysłałam swoje zgłoszenie — powiedziała cicho i czekała na burzę, jaką musiały wywołać jej słowa.

— Grzeczna dziewczynka — pochwalił ją szybko brat. Wreszcie zrobiła to, czego od niej oczekiwano. Wcale nie była taka uparta,

jak twierdziła matka. — Powinnaś być z siebie dumna, Pax. — Uśmiechnęła się, słysząc te pochwały. Wiedziała, że George zaraz zmieni zdanie.

— Faktycznie jestem dumna. Dużo się nad tym zastanawiałam i jestem pewna, że podjęłam właściwą decyzję.

Matka popatrzyła na nią uważnie.

— Cieszę się, że sprawy tak się ułożyły, Paxton. — Była bardzo oszczędna w słowach.

— Ja również się cieszę — odparła Paxton.

— Wiele miłych dziewcząt studiuje w Sweet Briar. To wspinała szkoła — oznajmił George. Paxton spokojnie patrzyła na nich oboje.

— Zapewne, ale ja nie będę tam studiować. — Domownicy zamarli. Żadne z nich nie oczekiwało takiego obrotu rzeczy. — Wybieram się na Uniwersytet Kalifornijski w Berkeley. Przez moment pani Andrews i jej syn wydawali się ogłuszeni niespodziewaną wiadomością. Po chwili George wyprostował się w krześle i rzucił serwetkę na stół.

— Skąd przyszedł ci do głowy taki cholernie głupi pomysł?

Queenie, uśmiechając się nieznacznie, wyszła z pokoju, aby ponownie zapełnić półmisek pieczoną wołowiną.

— Rozmawiałam o tym ze szkolnym doradcą, a także z kilkoma nauczycielami. Uważają, że jest to bardzo dobra uczelnia i, ponieważ nie dostałam się do Radcliffe, najlepiej zrobię, decydując się na Berkeley.

— Ale Kalifornia?! — z rozpaczą zawołała matka. — Po co, na miłość boską, ktokolwiek miałby tam jechać? — Jednak wszyscy wiedzieli po co, chociaż nie chcieli tego przyznać. Paxton uciekała od nich. Od śmierci ojca nie była szczęśliwa, a oni zrobili tak niewiele, aby to zmienić. Zarówno matka, jak i brat prowadzili własne życie i tylko od czasu do czasu usiłowali zmusić Paxton do przyłączenia się do nich, mimo że nie podzielała ich zainteresowań. Oczekiwali, że dopasuje się do ich stylu, niezależnie od tego, czy jej się to podobało, czy nie. A teraz chciała pójść swoją drogą. W tej chwili wiodła ona do Kalifornii. — Czuję, że muszę to zrobić. — Intensywnie zielone oczy Paxton utkwione były w oczach matki. Nie kłóciła się, była absolutnie pewna, że postępuje właściwie. Ojciec zostawił jej niewielki spadek na opłacenie kosztów kształcenia, a to oznaczało, że matka musiała zgodzić się z decyzją Paxton. Miała swobodę wyboru i teraz właśnie zrobiła z niej użytek, zapisując się do Berkeley.

— Twój ojciec byłby zawiedziony — powiedziała zimno matka. To był cios poniżej pasa i Paxton dobrze o tym wiedziała.

— Próbowałam dostać się do Harvardu, mamo — wyjaśniła najspokojniej, jak umiała. — Po prostu się nie udało. Myślę, że ojciec by to zrozumiał. — Świetnie pamiętała opowieści ojca o tym, jak starał się zostać słuchaczem Princetown i Yale, ale nie przyjęto go i musiał zadowolić się Harvardem. Tak samo ona zadowoli się Berkeley.

— Miałam na myśli, że byłby zawiedziony twoim wyjazdem tak daleko od domu i od nas.

— Wrócę — powiedziała miękko. Lecz kiedy wymawiała to słowo, zastanawiała się, czy naprawdę tak zrobi. Czy wróci? Czy chce wrócić? Czy będzie tęskniła za domem, czy też zakocha się w Kalifornii i zapragnie pozostać tam na zawsze? Z jednej strony bardzo pragnęła zmiany, z drugiej jednak było jej przykro, że wyjeżdża. Niechętnie zostawiała przyjaciół, ale z ulgą opuszczała dom. Zawsze miała wrażenie, że nie pasuje do niego. Nie potrafiła zadowolić matki. Nie postępowała tak, jak tego od niej oczekiwano. Nie mogła zostać na Południu, z nimi, udawać, że coś ją łączy z matką i bratem, podczas gdy wcale tak nie było. Nagle zrozumiała, że stać ją na samodzielne życie w Berkeley.

— Czy pomyślałaś o tym, jak często będziesz przyjeżdżać do domu? — spytała matka oskarżycielskim tonem. Queenie obserwowała swą pracodawczynię.

— Myślę, że przyjadę do domu na święta Bożego Narodzenia, no i oczywiście w lecie. — To było wszystko, co mogła im zaoferować. W zamian chciała tylko swoją wolność. — Będę przyjeżdżać tak często, jak będę mogła. — Uśmiechnęła się do nich niepewnie, pragnąc, żeby cieszyli się wraz z nią, ale na próżno. — Wy też możecie mnie odwiedzać, jeśli będziecie chcieli.

— Wybraliśmy się raz z twoim ojcem do Los Angeles. — Matka popatrzyła na nią z dezaprobatą. — To okropne miejsce. Nigdy już tani nie pojedę.

— Berkeley jest niedaleko San Francisco. — Równie dobrze mogłaby powiedzieć „niedaleko piekła”, gdyż wyraz twarzy Beatrice nie zmienił się. Resztę posiłku zjedli w milczeniu.

Rozdział III

W dzień wyjazdu Paxton stała w przytulnej kuchni, rozglądając się dookoła. Czuła się zupełnie tak, jakby była zmuszona do opuszczenia domu. Z oczami pełnymi łez złożyła głowę na miękkiej piersi Queenie.

— Jak będę żyć tam bez ciebie? — wyszeptła, czując się jak małe dziecko. Nagle ogarnęło ją takie samo dojmujące poczucie smutku i straty, jakiego doświadczyła, kiedy zginął jej ojciec. Wiedziała, że nie będzie zbyt często widywać Queenie, chociaż stara niania zostanie w domu.

— Poradzisz sobie. — Queenie dzielnie walczyła ze łzami. Postanowiła nie okazać Paxton tego, co przeżywała. — Będiesz grzeczną dziewczynką tam, w Kalifornii. Pamiętaj, żeby dobrze się odżywiać, dużo spać i raz w tygodniu płukać te śliczne włosy sokiem z cytryny. — Robiła tak od czasu, gdy Paxton była niemowlęciem, i sobie przypisywała zasługę, że włosy dziewczyny były ciągle tak samo jasne. — Noś kapelusz od słońca i nie spal sobie skóry... — Chciała jej powiedzieć tyle rzeczy, ale przede wszystkim pragnęła ją zapewnić o swojej miłości. Przytuliła Paxton mocno do siebie. Dziewczyna odwzajemniła uścisk.

— Tak bardzo cię kocham, Queenie... Uważaj na siebie... Obiecuj mi, że będziesz o siebie dbała. Jeśli przeziębisz się w zimie — tak jak zazwyczaj — tym razem idź do lekarza.

— Nie martw się o mnie, dziecinko. Nic mi nie będzie. To ty uważaj na siebie tam... w Kalifornii... Z trudem wymówiła to słowo, a przecież to właśnie Queenie zachęcała Paxxie do wyjazdu, do skorzystania z wolności. Wreszcie oderwały się od siebie. Queenie miała wilgotne oczy. Po bladej twarzy Paxton płynęły łzy, a jej oczy wydawały się bardziej zielone niż zwykle.

— Będę za tobą bardzo tęsknić.

— Ja też. — Queenie otarła oczy fartuchem i uśmiechnęła się. Lekko poklepała dziewczynę po ramieniu. Kochała ją jak własne dziecko. Teraz, gdy Paxton przeobrażała się w młodą kobietę, miłość ta była nawet silniejsza. Były ze sobą związane na zawsze, bez względu na dzielącą je odległość, i obje zdawały sobie z tego sprawę. Paxxie po raz ostatni uścisnęła rękę ukochanej niani, ucałowała jej czarny policzek i wyszła z kuchni, żeby dołączyć do innych. — Zadzwoń do ciebie — szepnęła wychodząc.

Queenie mrugnęła do niej wesoło, ale po wyjściu Paxton zeszła do swego pokoju i się rozpłakała. Widok odjeżdżającej wychowanki był trudny do zniesienia, ale lepiej niż ktokolwiek rozumiała, że Paxxie musi wyjechać. Po śmierci ojca jej życie nie było już takie samo jak przedtem. Queenie wiedziała, że matka i brat nie chcieli być oschli i niezyczliwi, ale nie potrafili być inni. Paxton przepelniała radość życia i ciekawość świata. Swoje pasje pragnęła dzielić z ludźmi, lecz matkę przerażała gwałtowność tych uczuć, a George nie miał o nich zielonego pojęcia. Beatrice i jej syn byli do siebie podobni, podczas gdy Paxxie przypominała ojca. Czasami Queenie miała wrażenie, że opiekuje się jakimś rzadkim egzotycznym ptakiem, zapewniając mu odpowiednie warunki do przeżycia. Teraz wypuściła go na wolność. Paxton nie pasowała do tego otoczenia już od dawna i jej niania wiedziała, że dziewczyna będzie szczęśliwsza, opuszczając dom, niż w nim pozostając. Stał przed nią otworem wielki świat, a Queenie prawie nie mogła się doczekać, aż Pax go odnajdzie i pozna. Lecz w głębi serca stara Murzynka bardzo cierpiała, tracąc swą ukochaną dziewczynkę, nie mogąc jej już więcej wspierać radą ani patrzeć w oczy w czasie popołudniowych rozmów, ani też całować jej jedwabistych włosów każdego ranka przed śniadaniem. Podbiegła do okna, żeby zobaczyć, jak odjeżdżają. Zdążyła jeszcze pomachać Paxton wychylonej z okna samochodu.

W drodze na lotnisko Beatrice miała bardzo poważny wyraz twarzy. George również wydawał się zatroskany.

— Możesz jeszcze zmienić zdanie — cicho powiedziała matka. Mogło to znaczyć, że będzie tęsknić za córką.

— Myślę, że już za późno — również cicho odparła Paxton. Wciąż miała przed oczami smutną twarz Queenie i ciągle czuła ciepło jej uścisku.

— Jestem pewna, że dziekan Sweet Briar byłby szczęśliwy, gdyby tak się stało — zimnym tonem kontynuowała Beatrice. Uważała wyjazd córki za osobistą zniewagę. To, że Paxton chciała opuścić Południe i rodzinne Sayannah, godziło w jej uczucia.

— Może skorzystam z tej propozycji, jeśli nie powiedzie mi się w Kalifornii. — Paxton postanowiła być uprzejma. Wyciągnęła rękę, aby dotknąć dłoni matki, ale po zastanowieniu cofnęła ją. Beatrice nie zdobyła się na żaden czuły gest, nie rozmawiały też już więcej. Paxton zdawała sobie sprawę, że powinno ją dręczyć poczucie winy. To prawda, ogarnął ją smutek. Przecież zostawiała dom rodzinny, jaki by on nie był. Jednocześnie była podekscytowana nowymi możliwościami, jakie się przed nią otwierały. Słyszała ostatnio mnóstwo interesujących rzeczy o Uniwersytecie Kalifornijskim i nie mogła się doczekać swojego tam przybycia.

Kufer i dwie duże torby z ubraniami wysłała wcześniej. Teraz miała ze sobą tylko jedną walizkę. Gdy przyjechali na miejsce, George zajął się jej nadaniem. Wręczył siostrze kwit bagażowy i wszyscy troje przeszli do poczekalni.

Czekali na samolot. W pewnym momencie Beatrice przerwała ciszę i spiętym głosem powiedziała:

— Mam nadzieję, że będziesz miała tam ładną pogodę.

Paxton kiwnęła głową. Spojrzała na matkę i trzy napłynęły jej do oczy. Tego ranka bardzo łatwo ulegała wzruszeniom. Nawet gdy opuszczała swoją sypialnię, czuła wilgoć pod powiekami. O szóstej rano spędziła kilka minut w dawnym pokoju ojca. Zajęła krzesło naprzeciw jego biurka i opowiedziała mu o ostatnich wydarzeniach, tak jakby siedział w swoim fotelu.

— Nie dostałam się do Harvardu, tatusiu... — była to jakby spowiedź, chociaż odnosiła wrażenie, że ojciec już o wszystkim wie — ale przyjęto mnie do Berkeley. — Miała nadzieję, że ta informacja ucieszy go. Smutno jej było wyjeżdżać z domu, opuścić ludzi imiejścia, które tak dobrze знаła. Wiedziała jednak, że gdziekolwiek pojedzie, ojciec będzie jej towarzyszył. Był teraz częścią niej samej, tak samo jak był częścią porannego nieba i zachodów słońca, które podziwiała, kiedy pożyczonym samochodem jechała nad ocean. Duch jej ojca roztaczał opiekuńcze skrzydła. Miała pewność, że nigdy jej nie zostawi.

— Mamo. — Paxton wróciła do rzeczywistości. Zaszło jej w gardle. — Przykro mi z powodu Sweet Briar. To znaczy... Nie chciałam cię urazić. — To niespodziewane wyznanie zaskoczyło panią Andrews. Widać było, że nie wie, co odpowiedzieć. Cofnęła się, jakby chciała uciec przed otwartością i szczerością córki. Sama nie potrafiła okazywać uczuć. Uważała to za niestosowne.

— Przepraszam... Chciałam cito powiedzieć, zanim wyjadę. — Paxton wcześniej nauczyła się, że nie należy zostawiać nie dopowiedzianych spraw, ponieważ można nie mieć już szansy ich wyjaśnienia.

— Ja... uch... — Matka z trudnością znajdowała słowa. — W porządku. Może tak będzie dla ciebie lepiej, Paxton. Możesz przenieść się w przyszłym roku, jeśli zmienisz zdanie. — Było to ogromne ustępstwo ze strony matki i Paxton poczuła wdzięczność. Nie chciała zostawiać za sobą spalonych mostów. Nawet George nie był już tak naburmuszony, kiedy całował ją na do widzenia i przypominał, żeby się właściwie sprawowała w Kalifornii. Napomnienia brata nie były potrzebne, miała silną osobowość i nie brakowało jej upor, jednak nie sprawiała matce wielu kłopotów.

Beatrice i George machali do niej, gdy wsiadała do samolotu. Czuła ulgę, że się od nich uwalnia. Tęskniła tylko za Queenie. Samolot wzniósł się i kołował wolno nad Sayannah.

Tego miasta z pewnością nie będzie jej brakowało. Przecież wróci w rodzinne strony na Boże Narodzenie. Wielu jej przyjaciół również wyjeżdżało, chociaż większość z nich podjęła studia na miejscowych uniwersytetach. Dwie znajome osoby wybierały się na Północ i jedynie ona zmierzała do Kalifornii. Wygodnie rozparła się w fotelu i zamknęła oczy. Samolot kierował się na zachód.

Minęło dopiero południe, kiedy wylądowali w Kalifornii. Był wspaniały słoneczny dzień. Paxton zeszła ze schodków, rozglądając się dookoła. Lotnisko okazało się niezbyt duże. Większość przebywających tu ludzi nosiła dzinsy i bawełniane podkoszulki lub kwieciste koszule. Dziewczyny i kobiety miały na sobie minispódniczki albo przewiewne, zabawnie ufarbowane sukienki. Wszyscy nosili długie włosy. Paxton poczuła się jak w domu. Odebrała walizkę i wyszła z budynku, aby złapać taksówkę. Miała wspaniały nastrój. Wolna i niezależna.

Taksówkarz powiedział jej o wszystkim, o czym według niego powinna wiedzieć, o restauracjach w pobliżu szkoły, małych knajpkach chętnie odwiedzanych przez studentów, zajęciach na Telegraph Avenue. Zwrócił uwagę na jej akcent i stwierdził, że mu się podoba. Kiedy dojechali do miasteczka uniwersyteckiego, wskazał na tablice stojące na rogu Telegraph i Bancroft. Wyjaśnił, że służą różnym celom. Były tam transparenty z napisami SNCC, CORE, z symbolami pokojowymi i olbrzymi napis „Kobiety z miasteczka uczelnianego popierają pokój”. Paxton poczuła nagle, że rozpiera ją radość. Samo oddychanie tutejszym powietrzem było ekscytujące. Coraz bardziej się upewniała, że dokonała właściwego wyboru. Chciała jak najszybciej znaleźć się na miejscu, poznać innych studentów i rozpocząć zajęcia.

Wiedziała, gdzie będzie mieszkać, i taksówkarz podjechał prosto pod drzwi budynku.

Zegnając się z nią, podał jej rękę i życzył szczęścia.

Pokój, który jej przydzielono, znajdował się na drugim piętrze, na końcu korytarza. Okazało się, że jest to tak zwana czwórka, czyli dwie dwuosobowe sypialnie połączone salonikiem. Na środku saloniku stała mocno zniszczona brązowa kanapa. Ściany pokrywały liczne plakaty, a resztę umeblowania stanowiło kilka zdezelowanych krzeseł, pomarańczowy chodnik i zielony fotel. Widok tego pokoju zaskoczył Paxton. Przyzwyczała się do spokojnej elegancji domu rodzinnego w Sayannah. Jednak nie była to zbyt wygórowana cena za wolność.

Sypialnia, w której miała mieszkać, okazała się mała i zdecydowanie skromnie umeblowana. Znajdowały się tam dwa metalowe łóżka, biurko, dwie komody, proste krzesło oraz szafa o rozmiarach pozwalających jedynie na umieszczenie w niej szczotki do zamiatania.

Mieszkanki tego pokoju powinny stać się dobrymi przyjaciółkami, żeby wytrzymać ze sobą w takich warunkach. Paxton miała nadzieję, że znajdzie pokrewne dusze w swych współlokatorkach. Od razu zauważyła trzy walizki upchnięte w drugiej sypialni, a chwilę później, kiedy weszła z powrotem do saloniku,

spozobiegła jedną z nowych koleżanek, urodziwą długonogą dziewczynę o skórze koloru kawy z mlekiem. Przedstawiła się Paxton. Nazywała się Yvonne Gilbert i pochodziła z Alabamy.

— Cześć — Paxton uśmiechnęła się ciepło. Yvonne była zdecydowanie atrakcyjną dziewczyną o czarnych, lśniących oczach i imponującej fryzurze afro.

— Jestem Paxton Andrews. — Zawahała się, czy powiedzieć, skąd pochodzi. Okazało się to niepotrzebne. Dziewczyna bezbłędnie rozpoznała jej akcent.

— Karolina Północna.

— Georgia. Sayannah. — Paxton dalej się uśmiechała, ale Yvonne nagle zrobiła się uszczypliwa.

— Wspaniale. Właśnie tego nam potrzeba. Czy oni chcą powtórki z Wojny Domowej? Ktokolwiek kazał nam razem mieszkać, musiał mieć oryginalne poczucie humoru. —

Wyglądała na bardzo zdenerwowaną, lecz Paxton się tym nie przejęła.

— Nic się nie martw. Jestem po waszej stronie.

— Taak. Założę się, że tak. Nie mogę się już doczekać, żeby się dowiedzieć, skąd są te dwie pozostałe. Co powiesz o Missisipi i Tennessee? Może powinnaś założyć tu filię Stowarzyszenia Cór Wojny Domowej, złotko? To będzie naprawdę zabawne. Po prostu uwielbia.m takie sytuacje. — Celowo przeciągała samogłoski, patrząc wyzywająco na Paxxie. Potem szybko poszła do swojej sypialni i zatrzasnęła za sobą drzwi. Paxton siedziała na kanapie lekko skonsternowana. Zapowiadało się interesująco. A już na pewno inaczej niż dotąd.

Następnie pojawiła się eteryczna dziewczyna o mlecznobiałej cerze, długich do pasa kruczoczarnych włosach i porcelanowoniebieskich oczach. Miała na sobie prawie przezroczystą, białą koszulę nocną.

— Cześć — wyszeptala — jestem Dawn. — Pochodziła z Des Moines. Naprawdę miała na imię Gertruda. Wymyśliła sobie Dawn przy niewielkiej pomocy LSD, całkiem niedawno, w maturalnej klasie. Teraz postanowiła dalej używać tego poetyckiego imienia. Dawn Steinberg. Była stypendystką, grała na skrzypcach w lokalnej orkiestrze i zaoferowano jej stypendium w Berkeley. Przydzielono ją do drugiej sypialni, więc otworzyła drzwi „, które chwilę przedtem zatrzasnęły się za Yvonne. Zamknęła je delikatnie za sobą. Nikt nie czki albo przewiewne, zabawie ufarbowane sukienki. Wszyscy nosili długie włosy. Paxton poczuła się jak w domu. Odebrała walizkę i wyszła z budynku, aby złapać taksówkę. Miała wspaniałą nastrój. Wolna i niezależna.

Taksówkarz powiedział jej o wszystkim, o czym według niego powinna wiedzieć, o restauracjach w pobliżu szkoły, małych knajpkach chętnie odwiedzanych przez studentów, zajściach na Telegraph Ayenue. Zwrócił uwagę na jej akcent i stwierdził, że mu się podoba. Kiedy dojechali do miasteczka uniwersyteckiego, wskazał na tablice stojące na rogu Telegraph i Bancroft. Wyjaśnił, że służą różnym celom. Były tam transparenty z napisami SNCC, CORE, z symbolami pokojowymi i olbrzymi napis „Kobiety z miasteczka uczelnianego popierają pokój”. Paxton poczuła nagle, że rozpiera ją radość. Samo oddychanie tutejszym powietrzem było ekscytujące. Coraz bardziej się upewniała, że dokonała właściwego wyboru. Chciała jak najszybciej znaleźć się na miejscu, poznać innych studentów i rozpocząć zajęcia.

Wiedziała, gdzie będzie mieszkać, i taksówkarz podjechał prosto pod drzwi budynku.

Zegnając się z nią, podał jej rękę i życzył szczęścia.

Pokój, który jej przydzielono, znajdował się na drugim piętrze, na końcu korytarza. Okazało się, że jest to tak zwana czwórka, czyli dwie dwuosobowe sypialnie połączone salonikiem. Na środku saloniku stała mocno zniszczona brązowa kanapa. Ściany pokrywały liczne plakaty, a resztę umeblowania stanowiło kilka zdezelowanych krzeseł, pomarańczowy chodnik i zielony fotel. Widok tego pokoju zaskoczył Paxton. Przyzwyczyła się do spokojnej elegancji domu rodzinnego w Sayannah. Jednak nie była to zbyt wygórowana cena z* wolność.

Sypialnia, w której miała mieszkać, okazała się mała i zdecydowanie skromnie umeblowana. Znajdowały się tam dwa metalowe łóżka, biurko, dwie komody, proste krzesło oraz szafa o rozmiarach pozwalających jedynie na umieszczenie w niej szczotki do zamiatania.

Mieszkanki tego pokoju powinny stać się dobrymi przyjaciółkami, żeby wytrzymać ze sobą w takich warunkach. Paxton miała nadzieję, że znajdzie pokrewne dusze w swych współlokatorkach. Od razu zauważyła trzy walizki upchnięte w drugiej sypialni, a chwilę później, kiedy weszła z powrotem do saloniku, spostrzegła jedną z nowych koleżanek, urodziwą długonogą dziewczynę o skórze koloru kawy z mlekiem. Przedstawiła się Paxton. Nazywała się Yvonne Gilbert i pochodziła z Alabamy.

— Cześć — Paxton uśmiechnęła się ciepło. Yvonne była zdecydowanie atrakcyjną dziewczyną o czarnych, lśniących oczach i imponującej fryzurze afro.

— Jestem Paxton Andrews. — Zawahała się, czy powiedzieć, skąd pochodzi. Okazało się to niepotrzebne. Dziewczyna bezbłędnie rozpoznała jej akcent.

— Karolina Północna.

— Georgia. Sayannah. — Paxton dalej się uśmiechała, ale Yvonne nagle zrobiła się uszczypliwa.

— Wspaniale. Właśnie tego nam potrzeba. Czy oni chcą powtórki z Wojny Domowej? Ktokolwiek kazał nam razem mieszkać, musiał mieć oryginalne poczucie humoru. — Wyglądała na bardzo zdenerwowaną, lecz Paxton się tym nie przejęła.

— Nic się nie martw. Jestem po waszej stronie.

— Taak. Założę się, że tak. Nie mogę się już doczekać, żeby się dowiedzieć, skąd są te dwie pozostałe. Co powiesz o Missisipi i Tennessee? Może powinnaś założyć tu filię Stowarzyszenia Cór Wojny Domowej, złotko? To będzie naprawdę zabawne. Po prostu uwielbiał takie sytuacje. — Celowo przeciągała samogłoski, patrząc wyzywająco na Paxxie. Potem szybko poszła do swojej sypialni i zatrzasnęła za sobą drzwi. Paxton siedziała na kanapie lekko skonsternowana. Zapowiadało się interesująco. A już na pewno inaczej niż dotąd.

Następnie pojawiła się eteryczna dziewczyna o mlecznobiałej cerze, długich do pasa kruczoczarnych włosach i porcelanowoniebieskich oczach. Miała na sobie prawie przezroczystą, białą koszulę nocną.

— Cześć — wyszeptała — jestem Dawn. — Pochodziła z Des Moines. Naprawdę miała na imię Gertruda. Wymyśliła sobie Dawn przy niewielkiej pomocy LSD, całkiem niedawno, w maturalnej klasie. Teraz postanowiła dalej używać tego poetyckiego imienia. Dawn Steinberg. Była stypendystką, grała na skrzypcach w lokalnej orkiestrze i zaoferowano jej stypendium w Berkeley. Przydzielono ją do drugiej sypialni, więc otworzyła drzwi „, które chwilę przedtem zatrzasnęły się za Yvonne. Zamknęła je delikatnie za sobą. Nikt nie wybiegł, nikt nie krzychał. Zza drzwi nie dochodził żaden dźwięk i Paxton doszła do wniosku, że panna Gilbert zaaprobowwała nową koleżankę. Des Moines nie miało reputacji miasta pochwalającego podziały rasowe, o jaką Yvonne oskarżyła Sayannah.

Rozmyślając o nowo poznanych dziewczynach, Paxton zdecydowała się rozpakować bagaż. Dwie torby i kufer zostały dostarczone do jej pokoju poprzedniego dnia. Paxxie postanowiła zaścielić oba łóżka, aby uczynić pokój choć trochę przytulniejszym, zanim pojawi się jej współlokatorka. Zajęta układaniem swych rzeczy, zaczęła się modlić w duchu, by ta nie znana jej dziewczyna nie okazała się czarna ani zbuntowana, i żeby akceptowała ludzi z Georgii.

— Proszę Cię, Boże... — szeptała do siebie — ... Wiem, że na to nie zasługuję, a Ty masz ważniejsze rzeczy do roboty, ale proszę, zrób tak, żeby ona mnie polubiła.

Współlokatorka nie pojawiała się, więc Paxton postanowiła sama zapełnić małą lodówkę stojącą w pokoju. Przed pójściem do pobliskiego sklepu zapukała do sąsiedniej sypialni.

Upłynęła dłuższa chwila, zanim w drzwiach pojawiła się Dawn.

— Tak? — zapytała szeptem, jakby się obawiała, że ktoś ją może usłyszeć.

Paxton miała świetny słuch, ale pomimo to z trudem zrozumiała Dawn. Poza tym nie mogła oprzeć się pokusie, aby odpowiedzieć również szeptem. Nawet zwykły ton głosu wydawał się nie na miejscu w rozmowie z tą eteryczną istotą.

— Czy przynieść coś ze sklepu? — wyszeptała Paxton. — Właśnie wychodzę po zakupy. Umieram z głodu. — Nagle zateśniła za dobrze zaopatrzoną kuchnię Queenie. W Sayannah była teraz siódma wieczorem i Paxxie burczało już w brzuchu.

— Chciałabym jakąś ziołową herbatę i miód, kochanie. I kilka cytryn... i może ciemne pieczywo. — Nic z tych rzeczy nie przypadło Paxton do gustu, ale była gotowa przynieść wszystko, by zawrzeć bliższą znajomość z Dawn. Szybko zapisała zlecenie.

— A co z Yvonne? — zapytała ostrożnie. — Czy jej też coś kupić? Paxton ukradkiem zerknęła do środka i zauważyła, że one także się rozpakowały. Dawn powiesiła kilka

plakatów, a rzeczy Yvonne leżały porozrzucane wszędzie. Widać było również kolorowe koce i różowe satynowe narzuty na łóżka, które bardziej pasowały do Alabamy niż do Des Moines.

— Czy chcesz coś ze sklepu? — Paxton zwróciła się bezpośrednio do Yvonne, gdy ta z nieprzyjaznym spojrzeniem podeszła do drzwi.

— Taak. Martina Luthera Kinga. Myślisz, że go dostaniesz, cukiereczku?

— Przestań. — Paxton się zdenerwowała. — Twoje insynuacje są zupełnie bezpodstawne, biorąc pod uwagę fakt, że spotkałyśmy się po raz pierwszy dwie godziny temu i wcale mnie nie znasz. — Paxton nie bała się Yvonne, a nieuzasadnione uprzedzenia tej dziewczyny rozżłościły ją.

— A co powinnam insynuować? — Yvonne stanęła tuż przed nią, ale Paxton nie cofnęła się ani o milimetr. Wiedziała, że albo teraz wyjaśni sobie wszystko i zawrą rozejm, albo stosunki między nimi będą napięte już do końca pobytu na uczelni. Dlatego nie zawahała się stawić czoła wrogo nastawionej Yvonne. Paxton łatwo ulegała emocjom, lecz potrafiła nad nimi zapanować. Była stanowcza i odważna. Życie z matką nauczyło ją być silną i teraz nie obawiała się rozgniewanej czarnej dziewczyny z Alabamy. — Przecież jesteś z Georgii, prawda? — Yvonne atakowała dalej. — Co w takim razie mam o tobie myśleć?

— Powinnaś dać mi szansę. Tak samo jak ja powinnam dać ją tobie. Czy nie słyszałaś o prawach obywatelskich? Osądzajmy siebie na podstawie tego, kim jesteśmy, jakie wyznajemy poglądy, w co wierzymy, jak postępujemy, a nie w związku z kolorem skóry... albo dlatego, że ty jesteś czarna, a na tablicy rejestracyjnej mojego samochodu napisane jest Georgia. A może to nie mój samochód? Może w ogóle mylisz się co do mnie. Może istnieje ważny powód, dla którego nie siedzę na ganku swojego domu na Południu, wachając kwitnące magnolie i popijając herbatkę miętową. Czy pomyślałaś o tym? Założę się, że nawet do głowy ci to nie przyszło. Nie każdy biały z Południa jest krewnym George'a Wallace'a. Na miłość boską, daj mi szansę to udowodnić. To ci się może opłacić. — O to właśnie chodziło, czyż nie? O to walczył Martin Luther King.

Taak. Wspaniale. Przynies mi więc sześć puszek coli i paczkę Koolsów. — Żadnego „przepraszam” ani „proszę”. Yvonne wyniośle odwróciła się i odeszła w głąb sypialni. Paxton bez słowa dopisała jej zlecenie do listy zakupów i wyruszyła na poszukiwanie najbliższego sklepu. Pomyślała, że kontakty z Yvonne zapowiadają się interesująco. Ta czarna dziewczyna była pełna złości i nienawiści. Ciekawe, czy kiedyś dojdą do porozumienia? Paxton już przedtem próbowała nawiązać przyjaźń z czarnymi dziewczynami. W luźnym stopniu wynikało to z chęci zrobienia na złość matce i Queenie. Stare pokolenie nie akceptowało takich bliskich kontaktów między białymi i czarnymi. Queenie bardziej niż Beatrice martwiła się nieodpowiednim zachowaniem swej pupilki. Nie podzielała poglądów Paxton. Pewnego razu, gdy Paxxie wybrała się do restauracji w towarzystwie czarnej dziewczyny, którą trochę знаła, nie chciano ich obsłużyć. Paxton była sina z wściekłości. Próbowaly w trzech innych lokalach, ale w końcu dały za wygraną i zjadły paczkę chipsów na ławce w Forsyth Park. Młoda Murzynka była przyzwyczajona do takich sytuacji i rozumiała, że Paxton nie mogła niczego zmienić. Niemniej doceniła dobre chęci swojej białej rówieśniczki.

Paxton bardzo chciała wziąć udział w marszu protestacyjnym. Obawiała się jednak, że jeśli zostanie aresztowana, jej matka zamknie ją w domu na co najmniej rok. Co więcej, postawiłaby matkę w niezręcznej sytuacji, a nie miała serca jej na to narażać. Ale wiedziała, że pewnego dnia się odważy. Pewnego dnia będzie musiała to zrobić. A teraz mieszka z czarną dziewczyną, która jej nienawidzi tylko dlatego, że pochodzi z Georgii. Przechodząc przez ulicę, Paxton nagle się roześmiała. Śmiała się tak głośno, aż kilka osób odwróciło głowy. Co powiedziałyby matka, gdyby wiedziała, że współHokatorką jej córki jest Murzynka? A Queenie! Paxton była zadowolona. Miała zamiar zaprzyjaźnić się z Yvonne, bez względu na wszystko.

Kupiła to, co wpisała na listę, i dodatkowo po batoniku dla nich wszystkich, dwie cole i puszkę orzeszków dla siebie i coś, z czego mogłaby zrobić kanapki. W drodze powrotnej, na schodach, zauważyła pulchną, lecz atrakcyjną, niewysoką, rudowłosą dziewczynę, która usiłowała wciągnąć na górę trzy walizki naraz, podczas gdy bardzo przystojny, wysoki, młody blondyn siłował się z olbrzymim kufrem ważącym na oko więcej od niego.

— Co, u diabła, tatu spakowałaś, Gab? Kamienie? A może sztangi?

— Tylko kilka książek. Tam prawie nic nie ma... przysięgam...

— Akurat. Sama sobie to wnieś. Byłbym cholernym głupcem, gdybym dostał przepukliny, targając twój bagaż po całej szkole. —

Był wyraźnie zły. Paxton spróbowała niepostrzeżenie ich minąć, lecz szybko zdecydowała się zaoferować pomoc, chociaż kufer nie wyglądał zbyt zachęcająco.

— Może we trójkę damy radę go wnieść? — spytała niepewnie, patrząc to na jedno, to na drugie. Trzymała torbę z zakupami, modląc się, żeby się nie oblać rumieńcem pod spojrzeniem przystojnego młodzieńca.

— Nie rób jej żadnych przysług. Ona na to nie zasługuje. — Nie hamował wściekłości.

Paxton pomyślała przez moment, że może są małżeństwem. Jednak pewne podobieństwo ich profilów sugerowało pokrewieństwo.

— Pomogę wam, jeśli chcecie. — Paxton ponowiła propozycję, odgarniając włosy z twarzy i patrząc na uśmiechniętą rudą dziewczynę.

— To miło z twojej strony. Mój brat robi tyle zamieszania z powodu jednej małej torby.

Jednej małej torby! — wrzasnął, aż poszło echo. — Czy zdajesz sobie sprawę, ile to waży? Chyba tonę. Nie jestem pewien, czy nawet we trójkę damy radę.

— Możemy spróbować — wtrąciła Paxton. Młody człowiek zmierzył ją taksującym spojrzeniem, które wyrażało aprobatę.

— Lepiej zostawmy ją tu z tym całym bałaganem i chodźmy na piwo do Kips. To by mi się bardziej podobało.

Paxton wybuchnęła śmiechem. Rudowłosa dziewczyna nie wyglądała na rozbawioną.

— Peterze Wilsonie, jeśli pójdziesz gdziekolwiek, to cię uduszę. Nie zapominaj, że twoje prześcieradła są w mojej torbie i jeśli nie zaniesiesz tych rzeczy na górę, możesz sobie spać na gołym materacu przez cały rok.

— Łamiesz mi serce. — Peter uśmiechając się, patrzył na Paxton. — Chodźmy na piwo i chrzaimy ją i jej bagaż.

Paxton śmiała się cały czas, ale jednocześnie razem z Gab dzielnie starała się unieść kufer.

— Dalej ty, dupku żołądny... bierz się do roboty. — Dziewczyna poganiała brata. Z ciężkim westchnieniem uległ wreszcie i w końcu z trudem udało im się wtaszczyć skrzynię na schody. Paxton uświadomiła sobie, że chłopak miał rację. Kufer był bardzo ciężki. Nie mogła się nadziwić, co takiego rudowłosa tam zapakowała.

— Gdzie jest twój pokój? — Młody człowiek znowu stracił dobry nastrój i zerknął na zegarek. Miał ciekawsze rzeczy do roboty w niedzielne popołudnie, niż bawić się w tragarza swojej siostry.

— Jeszcze me wiem.

— Chryste! Czy chociaż jesteśmy w odpowiednim budynku? — Wydawało się, że za chwilę ostatecznie straci kontrolę nad swoim zachowaniem. Dziewczyna przytaknęła.

— Tak. — Pogrzebała w torebce i wyciągnęła kawałek papieru. Miała na sobie dzinsy, kwiecistą bluzkę i parę drogich mokasynów. Wszystkie jej torby i walizki były ze skóry.

— W porządku, znalazłam. — Przeczytała głośno numer i Paxton, początkowo zdumiona, uśmiechnęła się. Miała szczęście. Wszystko było jasne. Już polubiła swoją współlokatorkę.

— Będziemy mieszkać razem — oznajmiła, a wysoki młodzieniec jęknął i usiadł na kufrze, patrząc na nią ze współczuciem.

— Biedactwo. Nie masz pojęcia, w co się wpakowałaś. — Wyciągnął rękę i przedstawił się.

— Jestem Peter Wilson.

— Paxton Andrews.

— A ja Gabrielle. Gabby Wilson. — Dziewczyna uśmiechnęła się wesoło do Paxton. — Skąd jesteś? Bardzo podoba mi się twój akcent.

— Nigdy przedtem me zdawałam sobie sprawy, że w ogóle main jakiś akcent. — Paxton roześmiała się. — Cieszę się, że ktoś go zauważył. Zresztą przekonasz się za chwilę, że jedna z naszych współlokatorek nie przepada za nim.

— Powiedz jej, żeby się wypchała — przyjaźnie stwierdziła Gabby. Peter wstał i z nieszczęśliwą miną znowu zaczął siłować się z kufrem.

— Taka jest właśnie moja młodsza siostrzyczka — dama w każdym calu. Chodź tu, gaduło. Jeśli umiałaś zapakować tę skrzynię, to teraz wnieś ją na górę. Pomóż mi zanieść ją do twojego pokoju. O wpół do szóstej mam spotkanie.

— Łamiesz mi serce — powiedziała, chwytąc z pomocą Paxton drugi koniec kufra.

— Ty nadwerężasz mój kręgosłup, a to jest znacznie gorsze — narzekał, ale za moment dotarli do saloniku, gdzie postawili swój ciężar na pomarańczowym dywanie. Potem we trójkę wrócili po walizki.

- Gdzie umieścisz te wszystkie rzeczy? — zapytał chłopak, rozglądając się po niewielkim, skromnie umeblowanym pokoju.

— Jeszcze nie wiem. — Zerknęła rozbawiona na Paxton. — O rany! Kto umeblował ten pokój? Drakula? Mój Boże! Skąd wytrzasnęli te rzeczy? Z Armii Zbawienia?

— Chyba ze śmietnika — odparł Peter. — My też korzystamy z tego wspaniałego źródła zaopatrzenia.

Gabby popatrzyła na niego i pokręciła głową z dezaprobatą. Paxton, niosąc jedną z ogromnych walizek Gabby, uśmiechnęła się do Petera. Też była bardzo ciekawa, gdzie jej nowa koleżanka pomieści te wszystkie rzeczy. To było interesujące pytanie, biorąc pod uwagę niewielkie rozmiary szafy w ich pokoju.

— Jesteś studentem ostatniego roku? — zapytała Petera.

— Byłem. Skończyłem naukę w college'u w czerwcu. Teraz zaczynam podyplomowe studia prawnicze. Ale przez ostatnie dwa lata nie mieszkałem w akademiku. Na szczęście ten dzieciuch nie powiadomił o tym rodziców, inaczej chyba bym zwariował. — Znowu stali w drzwiach prowadzących do salonu i wyglądało na to, że Peter jest już jedną nogą za drzwiami.

— Teraz Gabby należy do ciebie. Rzucił okiem na stos toreb i walizek na środku pokoju, poczęstował się orzeszkami, pomachał na pożegnanie i już go me było. Gabby uśmiechnęła się do Paxton.

— Dziękuję za pomoc. I przepraszam za niego — powiedziała, gdy jej brat zniknął za drzwiami. — Jest beznadziejną ofertą, ale kocham go. Jemu nigdy bym tego nie powiedziała, lecz tobie mogę. Jest beznadziejny i kiedyś mnie bił... albo przynajmniej próbował. — Było jasne, że przepadają za sobą i Paxton przez moment pozazdrościła im tej wspaniałej więzi. Ją i George'a nigdy nie łączyło takie żywe uczucie. No, ale on był o dziesięć lat starszy od Petera i nie miał za grosz poczucia humoru.

Rozmowę przerwało wejście pozostałych dwóch mieszkank. Paxton i Gabby posilały się właśnie orzeszkami, popijając colę, gdy Dawn i Yvonne pojawiły się w drzwiach swojego pokoju i stanęły jak wryte na widok licznych walizek Gabby.

— Mój Boże! Skąd to się wzięło! — wykrzyknęła z irytacją Yvonne. — Kupiłaś dla mnie Koolsy?

— Oczywiście. — Paxton wręczyła jej paczkę, a Yvonne skwapliwie oddała odliczone pieniądze. Nie chciała żadnych prezentów z Sayannah. Dawn rozpakowała resztę zakupów, podczas gdy Paxton przedstawiła im Gabby. Yvonne, paląc papierosa, obserwowała podejrzliwie nowo przybyłą, a po chwili zapytała, skąd pochodzi.

— San Francisco. Właściwie nie wypuściłam się zbyt daleko od domu — wyjaśniła z lekkim wzruszeniem ramion. — Ale podoba mi się tu. Przez ostatnie dwa lata odwiedzałam brata, no i wszyscy moi znajomi są tutaj. W każdym razie ci, którzy studiują. — Popatrzyła na nich entuzjastycznie. — Zakochacie się w tym miejscu. — Yvonne rzuciła krótkie spojrzenie Paxton, jakby dając do zrozumienia, że nie jest tego taka pewna. Nawet Dawn nie wyglądała na całkowicie przekonaną. Powiedziała:

— Właściwie nie chciałam iść do college’u, ale moi rodzice nalegali, żebym tu przyjechała.

— Jej ojciec był profesorem angielskiego.

— Czy wolałaś pójść do szkoły bliżej domu? — Gabby interesowała się wszystkim.

Wyglądała na otwartą, szczęśliwą osobę, która łatwo nawiązuje kontakty.

— Nie. — Dawn ze smutnym uśmiechem potrząsnęła głową. — Chciałam wyjść za mąż. I oboje pragnęliśmy pojechać do Indii studiować religie Wschodu.

— A ja chcę studiować prawo — wyznała Yvonne, strząsając popiół do oliwkowozielonej, plastikowej popielniczki. — Ale to jeszcze długa droga. Otrzymałam stypendium i muszę uzyskać dobre wyniki. Inaczej wywalą mnie z trzaskiem i wrócę do Alabamy, zanim się obejrzę. A ja nie zamierzam tam wracać, dopóki nie będę mogła nic zmienić. Co ty nam powiesz o swoich planach, Sayannah? — Paxton nie podobało się to przezwisko, lecz zdecydowała się nie pogarszać sytuacji.

— Chcę zostać znaną dziennikarką. — Uśmiechnęła się do

— Będę pisać i w ten sposób zmieniać stosunki na Południu. — Yvonne skrzywiła się i zapaliła następnego papierosa. Była piękna i Paxton zastanawiała się, czy występowała już jako modelka.

— Ja nie wiem, kim chciałabym być — wyznała Gabby. — Mam zamiar dobrze się bawić i po szkole wyjść za mąż.

— Jesteś zaręczona? — Dawn popatrzyła na nią z nadzieją, że znalazła pokrewną duszę, ale Gabby pokręciła przecząco głową.

— Jeszcze nie. Nie znalazłam nikogo odpowiedniego, chociaż cały czas szukam. — Paxton i Yvonne wybuchnęły śmiechem. Paxxie była przekonana, że wokół Gabby i Yvonne będzie się kręcić dużo chłopców.

— Powinnaś tutaj znaleźć mnóstwo kandydatów — pocieszyła rudowłosą Yvonne. — Już widziałam kilku przystojniaczków.

— Ja też — z nieśmiałym uśmiechem wyznała Paxton. W drodze do sklepu spotkała kilku młodych ludzi. Brat Gabby był zdecydowanie przystojniejszy od nich, a w dodatku trochę od tamtych starszy. Przypuszczała jednak, że większość adeptów prawa nie byłaby zainteresowana znajomością ze studentką pierwszego roku. Była więc bardzo zaskoczona, gdy kilka godzin później Peter pojawił się w ich pokoju.

Dawn już się położyła, a Yvonne, ponętna w ładnej nocnej koszuli, czytała jeszcze na kanapie, kiedy niespodziewanie pojawił się Peter z kolegą. Przynieśli sześć puszek piwa. Paxton stanęła właśnie w drzwiach sypialni. Peter z nieśmiałym uśmiechem podał jej piwo.

— Przyszliśmy sprawdzić, czy nie potrzebujecie pomocy. — Paxton była zaskoczona, widząc go. Nawet Gabby nie kryła zdziwienia.

— Co ty tu robisz? — spytała podejrzliwie. — Moja odpowiedź brzmi: nie, nie dam ci pieniędzy za twój czek. — Konspiracyjnie pochyliła się do ucha Paxton. — On ciągle wypisuje czeki bez pokrycia i wyłudza ode mnie pieniądze. Nigdy nie daj się na to nabrać! — Następnie zwróciła się do kolegi brata stojącego jeszcze w progu. — Cześć, Sandy. Wejdz, nie jesteśmy rozebrane.

— Jaka szkoda! — wykrzyknął buńczucznie Sandy, ale zrobił się czerwony jak burak. Peter zachowywał się swobodnie. Zerkał to na Paxton, to na Yvonne.

— Rzeczywiście mieliśmy nadzieję, że już jesteście. Kto chce piwo? — Nawet Yvonne uśmiechnęła się, częstując Sandy’ego papierosem. Goście rozsiedli się, jeden na podłodze,

drugi na krześle. Paxton i Gabby przysiadły na kufrze, który pełni rolę stolika. Sandy, podobnie jak Peter, studiował prawo i był jednym z jego siedmiu współlokatorów. Mieszkali razem w domu na Ellsworth. Była to ruina, ale czuli się tam wspaniale.

— Wpadnijcie do nas któregoś dnia na obiad — odezwał się Peter. — Tylko przedtem musimy zamówić buldożer, żeby trochę uprzątnąć w kuchni. W piekarniku chyba ciągle leży pizza z zeszłego roku, ale nawet boję się tam zajrzeć. — Uśmiechnął się szeroko, wychylając ostatni łyk piwa. — Co ty na to? — Zwrócił się bezpośrednio do Paxton. Z bliska jego oczy były intensywnie niebieskie. — Umiesz gotować?

— Próbuję. — Uśmiechnęła się nieśmiało.

Potraflsz zrobić żeberka z kaszą? — zapytała Yvonne z nagłym zainteresowaniem. Paxton nie była pewna, czy znowu z niej nie

drwiła. — Albo wieprzowinę w jarzynach?

— Paxton zdecydowała się powiedzieć prawdę. Queenie umiała wszystko przyrządzić, ona nie.

— Najlepiej udaje mi się stek albo omlet z mielonym mięsem.

— To wystarczy — spokojnie stwierdził Peter. — Może któregoś wieczoru ugotujemy obiad albo zjemy w jakiejś knajpcie. — Przez chwilę wszyscy milczeli. Yvonne obserwowała ich z zaciekawieniem, a Sandy nie spuszczał z niej wzroku. Uważał, że jest oszałamiająca, co najwyraźniej martwiło Gabby, której od dawna się podobał. Już na samym początku pobyt w Berkeley zapowiadał się ciekawie. Dopiero co przyjechali, a Paxton była pewna, że będzie się dobrze bawić.

Chłopcy wkrótce poszli. Byli umówieni z przyjaciółmi w Kips. Po ich wyjściu Paxton ogarnęło znużenie. Dla niej była druga w nocy.

— Kiedy był tu brat Gabby, nie wyglądałaś na zmęczoną — ironicznie stwierdziła Yvonne.

— Według mnie wyglądałaś zupełnie dobrze.

— A ty wyglądałaś ślicznie według Sandy’ego — odcięła się Paxton. Tym razem obje wybuchnęły śmiechem. Yvonne została na kanapie i dalej czytała, podczas gdy Paxton i Gabby poszły do swojej sypialni przebrać się w koszule nocne.

— Nie mogę w to uwierzyć — zaczęła kilka minut później Gabby. — Nie cierpiał moich koleżanek. Nie przypominam sobie ani jednej, którą by lubił. A teraz nagle wpada tutaj z piwką na przyjacielskie pogaduszki. — Patrzyła na Paxton ze zdziwieniem. — To ty. Ty jesteś pierwszą dziewczyną, którą poznał przeze mnie i która mu się spodobała. Nie mogę w to uwierzyć — powtórzyła.

— To tylko ciekawość. Nie przyjdzie drugi raz. Na pewno na prawie jest cała masa interesujących dziewczyn.

— Wątpię. — Gabby pozostawała pod wrażeniem niezwyklej urody nowej koleżanki. Paxton najwyraźniej nie przywiązywała do niej uwagi. I to było urzekające. Poza tym Paxxie posiadała inteligencję i jakiś wewnętrzny spokój. Szybko odkrywało się jej fantastyczne poczucie humoru. Gabby podobał się też melodyjny akcent nowej przyjaciółki. Wiedziała, że jej brat nie jest głupcem. Od razu spostrzegł wyjątkowość Paxton.

— Przyjdzie. Zobaczysz. — Gabby jęknęła, gdy kładła się na wąskim, niewygodnym łóżku.

— C.hyba w tym roku będę go znacznie częściej widywała niż do tej pory. Nie jestem pewna, czy mi się to podoba.

— Z pewnością zapomni o nas najpóźniej w przyszłym tygodniu. Zapewniam cię. Może oprócz Yvonne... Ona jest niewiarygodna, prawda? Jest taka piękna! — wyszeptala z zachwytem Paxton.

— Ale to świnia — również szeptem stwierdziła Gabby.

— Wcale tak nie uważam — zaprotestowała Paxton. — Myślę, że jest po prostu przewrażliwiona na moim punkcie, bo pochodzę z Georgii.

— No, nie wiem. — Gabby zastanawiała się przez chwilę. — Ona mi wygiąda na twardą facetkę. Nie chciałabym jej podpaść.

— Może miała ciężkie życie. Niełatwo jest być czarnym w Alabamie. Gabby wzruszyła ramionami. Nie przejmowała się takimi szczegółami. Zerknęła na Paxton.

— Co sądzisz o Dawn?

— Myślę, że jest przerażona, biedactwo. Chyba wcale nie chce tu być.

— Cały czas śpi. — Rzeczywiście, Dawn ucieła sobie dwie drzemki po południu. — Może ona jest chora. Jakaś senność napadowa czy coś równie egzotycznego. — Gabby popatrzyła pytająco i Paxton się roześmiała. Poczowała ulgę, gdy odkryła, że lubi swoją nową koleżankę. Naprawdę ją polubiła. Gabby Wilson okazała się sympatyczna i zabawna i Paxton nie wyobrażała sobie milszej współlokatorki.

— Lepiej się prześpijmy — wyszeptwała. Było dobrze po północy, a Gabby ciągle trajkotała i wyglądało na to, że może tak gadać całymi godzinami. Jednak Paxton musiała natychmiast iść spać.

— Jutro mamy pierwsze spotkania na uczelni. Muszę się skonsultować ze szkolnym doradcą i wybrać sobie jakieś zajęcia.

— Nie przejmuj się. Po prostu wybierz te łatwe przedmioty, które miałaś w szkole średniej.

— Paxton wybuchnęła śmiechem słysząc tę i idę. — Nie ma sensu się umartwiać. Jesteśmy tu, żeby się dobrze bawić. Nie zapominaj o tym. — Gabby mówiła poważnie, Przyjechała do Berkeley po to, żeby miło spędzić czas. I znaleźć męża. — Pamiętaj Pax, mamy się dobrze bawić.

— Będę o tym pamiętać... — obiecała Paxton, zapadając w sen. Śniła o Queenie i o pięknej Murzynce, o przystojnym księciu, który częstował ją piwem, podczas gdy gdzieś w oddali jej brat tańczył z szaloną rudowłosą dziewczyną...

Rozdział IV

Zarówno Paxton, jak i Gabby robiły dokładnie to, co zaplanowały. Gabby zapisała się na najłatwiejsze kursy, jakie tylko mogła znaleźć, i co wieczór wy puszczała się na miasto. Natomiast Paxton wybrała najtrudniejsze z możliwych zajęcia, szczególnie inte-resowały ją przedmioty związane z dziennikarstwem i literaturą angielską. Uczęszczała też na kurs ekonomii politycznej, który ją przerażał, a także fizyki, matematyki i hiszpańskiego. Szkolny doradca, do którego zwróciła się o radę, zachęcał ją do aktywności. Paxton dobrze sobie radziła na każdym zajęciach z wyjątkiem fizyki, która, niestety, była obowiązkowa. Na szczęście wystarczyło zaliczenie. Lubiła się uczyć, cieszyła ją możliwość poszerzenia horyzontów. Mimo znacznego obłożenia nauką znajdowała czas na wypadki z Gabby i jej przyjaciółmi. Stanowili zgraną grupę. Wszędzie ich było pełno. Niektórzy udzielali się w CORE, kilku innych starało się zebrać pieniądze dla SNCC, co bardzo podobało się Paxton, gdyż organizacja ta wspierała czarnych z Południa. Pewnego wieczoru spotkała Mario Sayio, przywódcę Ruchu Wolności Słowa. Wydawało się, że Gabby zna wszystkich. Wśród jej znajomych znaleźli się także prawdziwi społecznicy, a większość z nich okazała się bardzo sympatyczna. Paxton dobrze się czuła w ich towarzystwie.

Rozpoczął się już drugi miesiąc nauki. Paxton miała już za sobą kilka poważniejszych spięć z Yvonne Gilbert. Ta czarna dziewczyna najwyraźniej postanowiła nie dać Paxton najmniejszej szansy. Korzystała z każdej okazji, aby jej dokuczyć. Zaczynało to już drażnić Paxxie. Zaczęła odpłacać pięknym za nadobne, coraz trudniej przychodziło jej powściągać złość. Nikogo nie dziwiło, zważywszy na wielką urodę Yvonne, że studentka z Alabamy w tydzień po przybyciu do Berkeley znalazła sobie chłopca. Była to gwiazda drużyny futbolowej,

czarny, przystojny olbrzym z Teksasu. Ta znajomość, a także niezwykła osobowość ambitnej Murzynki, sprawiła, że i ona stała się powszechnie znana w miasteczku akademickim. Mnóstwo chłopców zabiegało o jej względy, ale ona zdawała się być zainteresowana wyłącznie Deke'em. Zresztą jasno dała do zrozumienia kilku swoim adoratorom, że nie interesują jej biali chłopcy.

Yvonne należała do tej samej grupy co Paxton na zajęciach z fizyki, lecz nigdy się do niej nie odzywała. Rzadko kiedy ze sobą rozmawiały. Czasami wymieniały parę zdań, gdy wpadały na siebie w saloniku. A i wtedy nie była to przyjacielska pogawędka.

Dawn wydawała się żyć we własnym świecie. Dalej przesyiała większość dnia. Paxton niejednokrotnie zastanawiała się, czy ona w ogóle chodzi na jakieś zajęcia.

— Wywalą ją szybko, jeśli dalej będzie tak postępować — stwierdziła Paxton w rozmowie z Gabby, która uważała, że to nie jej problem. Ona miała swoje życie. Miło spędzała czas, spotykając się z dwoma kolegami swego brata z prawa. Jej przypuszczenia okazały się słuszne. Widziała Petera częściej niż w ostatnich latach i chociaż narzekała z tego powodu, w głębi ducha była zadowolona. Peter pojawiał się co kilka dni, żeby upewnić się, czy wszystko jest w porządku. Przynosił picie, pizzę lub jakieś ciasto, które „przypadkowo” kupił, albo też butelkę taniego wina. Gabby wiedziała, że to nie o nią się martwił. Był zainteresowany Paxton. Tych dwoje mogło całymi godzinami siedzieć na zdezelowanej kanapie albo na podłodze i popijając kawę, piwo czy colę, rozmawiać, nieraz do późnej nocy. Wydawało się, że mieli zbliżone poglądy na większość spraw i rzadko kiedy się nie zgadzali. Paxton z lekka przerażało ich podobieństwo. To było tak, jakby zostali sobie przeznaczeni. Paxton czuła pewien niepokój z tego powodu, gdyż w przeciwieństwie do Gabby nie szukała męża. Przyjechała do Berkeley, żeby się czegoś nauczyć i uczynić coś pożytecznego ze swoim życiem. pragnęła zostać dobrym, a przynajmniej pracowitym dziennikarzem, chciała jeździć po świecie i opisywać najważniejsze wydarzenia. Zamierzała pojechać do Europy, Afryki, Azji. Myślała nawet o wstąpieniu do Korpusu Pokoju. Nie miała ochoty zakochać się, ustatkować, wyjść za mąż, przeprowadzić do miłego domku na przedmieściu i otoczyć gromadką dzieci. Powiedziała o tym Peterowi, ale on tylko się roześmiał. Nawet z wyglądu był bardzo podobny do Paxton. Oboje reprezentowali ten sam typ urody. Dlatego też wielu ludzi uważało, że to Paxton, a nie Gabby, jest jego siostrą.

— Więc twierdzisz, że wyglądam na kogoś, kto zamierza się ustatkować, założyć rodzinę i mieszkać na przedmieściu? Chryste, chyba się obrazę — mówiąc to, śmiał się. Minęła druga w nocy. Gabby właśnie wróciła z randki, Dawn już dawno spała, a Yvonne była w mieszkaniu Deke'a.

— Czy ktoś tu mówił o małżeństwie? — Gabby przyłożyła rękę do ucha i zatrzymała się, czekając na odpowiedź.

— Nie, nikt. — Paxton szybko wyprowadziła ją z błędu. Leżała na podłodze obok Petera ubrana w dżinsy i podkoszulek. Uwielbiała być blisko niego, uwielbiała wszystko, co mówił, co myślał, co sobą przedstawiał. Ale nie pragnęła niczego więcej. Nie chciała zakochać się w nim, przynajmniej nie teraz. Po prostu nie mogła sobie na to pozwolić.

— Twoja przyjaciółka mnie obraża — poinformował siostrę Peter. Gładził złote włosy Paxton i uśmiechając się, patrzył w jej zielone oczy, w których był zakochany. — Chyba nazwała mnie ciemniakiem albo jeszcze gorzej.

— Nieprawda! — Rozbawiona Paxton usiadła. — Po prostu oznajmiłam, że nie mam zamiaru wychodzić za mąż, przeprowadzać się za miasto i mieć dzieci. Najpierw chcę zobaczyć trochę świata.

— A myślisz, że ja nie chcę? — Nadal wyglądał na lekko urażonego.

— On naprawdę chce zwiedzić świat — zapewniła ją Gabby. — Monte Carlo, Cap d'Antibes, Paryż, Londyn, Acapulco, St. Moritz. Wiesz, takie biedne miasteczka. — Wszyscy troje wybuchnęli śmiechem.

— Co wy sobie myślicie, że jaki jestem? — zwrócił się do obu dziewcząt. — Leniwy? Gabby знаła go zbyt dobrze, żeby przyznać mu rację.

— Nie, tylko rozpieszczony. Tak samo jak ja. — Uśmiechnęła się dobrotliwie, a on w odpowiedzi rzucił w nią pustą puszką po coli. — Przecież to prawda. Wyobrażasz sobie któreś z nas wstępujące do Korpusu Pokoju, Pax? Na samą myśl o tym dostaję dreszczy. Jakoś ciebie również nie widzę w tej roli. A ty? — zapytała go szczerze, a on potrząsnął głową.

— A jak sądzisz, dlaczego wybrałem prawo? — zauważył ironicznie. Zamierzał ukończyć prawo, mając dwadzieścia pięć lat. Przy odrobinie szczęścia mógł uniknąć powołania aż do ukończenia dwudziestu sześciu lat, a potem już nie podlegałby służbie wojskowej. Miał przyjemne poczucie bezpieczeństwa, studiując na wydziale prawa. Za nic w świecie nie chciał dać się wysłać do Wietnamu. Dwa miesiące temu, po incydencie w zatoce Tonkin, amerykański samolot po raz pierwszy zrzucił bomby na Wietnam.

— Mówiąc szczerze, zupełnie się nie widzę w Wietnamie ani w żadnym równie odległym miejscu. Co cię ciągnie do wstąpienia do Korpusu Pokoju, Pax?

— Wcale nie jestem pewna, czy chcę to zrobić. Pragnę tylko choć trochę zmienić świat — odpowiedziała poważnie. Gabby, nie zainteresowana takim tematem rozmowy, wyszła, zostawiając ich samych.

— Całe moje dotychczasowe życie spędziłam, patrząc, jak ludzie zaspakajali wyłącznie swoje zachcianki. Nie zwracali zupełnie uwagi na potrzeby innych. Ja nie chcę tak żyć. Mój ojciec bardzo troszczył się o innych. Myślę, że zrobiłby coś dla ludzi, dla świata, gdyby miał taką możliwość, gdyby się nie ożenił.

— Musiał być dobrym człowiekiem. — Peter powiedział to miękko, obserwując, jak twarz Paxton zmieniała się na myśl o ojcu.

— Był bardzo dobry. — Gdy to mówiła, wzruszenie ścisnęło ją za gardło. — Strasznie go kochałam... Moje życie bardzo się zmieniło... po jego śmierci.

— Dlaczego? — Jego głos brzmiał łagodnie. Peter zdawał sobie sprawę, że wpadł po uszy i czasami przerażało go to, tak samo jak Paxton.

— Moja mama i ja... różnimy się bardzo... — Nie chciała nic więcej powiedzieć. Nie było sensu się skarżyć. Nie mogła mu przecież wyznać, jak układały się stosunki z matką. To by zabrzmiało zbyt okropnie.

— Czy dlatego chcesz wstąpić do Korpusu Pokoju? Żeby od niej uciec?

— Nie. — Paxton uśmiechnęła się. — Ale dlatego przyjechałam do Berkeley. — Była z nim bardzo szczerą, oboje byli szczerzy wobec siebie. Nie umieli inaczej.

— Cieszę się, że to zrobiłaś — powiedział, a jego usta musnęły jej wargi. Leżeli na podłodze blisko siebie, opierając się na łokciach.

— Ja też się cieszę — odszepnęła. Peter wziął ją w ramiona i leżeli tak całując się przez dłuższą chwilę, aż nagle Gabby otworzyła drzwi sypialni i spojrzała na nich wyraźnym zainteresowaniem.

— Idziecie dzisiaj do łóżka razem czy osobno? Czy może zamierzacie leżeć tu i kokosić się całą noc? Mnie tam wszystko jedno. Zastanawiam się tylko, czy mam czekać na Pax, czy iść już spać. — Peter jęknął, a Paxton wybuchnęła śmiechem, odsuwając się od niego. Miała potargane włosy i zarumienione policzki.

— Czy ktoś ci mówił, jaka jesteś bezczelna i wścibska, Gabrielle? — Dobrze wiedział, jak bardzo nienawidziła tego imienia, i dlatego zwracał się tak do niej, gdy był zły. — Chryste, ja to mam szczęście. Zakochać się we współlokatorce mojej własnej siostry. — Wstał z podłogi

i wyciągnął rękę do Paxton. — Lepiej prześpij się trochę, kochanie. Jeśli oczywiście ta gaduła ci na to pozwoli. Nie wiem, jak ty ją znosisz.

— Po prostu zasypiam, kiedy jestem zmęczona.

— A ona pewnie cały czas gada. — Roześmiali się wszyscy troje. Peter pocałował Pax na dobranoc i wyszedł. Kiedy tylko drzwi się za nim zamknęły, Gabby zaczęła przesłuchanie.

— Czy to coś poważnego, Pax?

— Daj spokój. Znamy się przecież dopiero sześć tygodni. On ma jeszcze trzy lata do skończenia prawa, a ja cztery lata na swoich studiach. Czy możemy cokolwiek planować w takiej sytuacji? W głębi serca Paxton czuła, że pokochała Petera, chociaż nie chciała się do tego przyznać nawet przed sobą.

— Nie znasz mojego brata tak dobrze jak ja. Nigdy nie widziałam go takiego. Myślę, że się w tobie zakochał. Czy powiedział, że cię kocha? — Ostatniemu pytaniu towarzyszyło badawcze spojrzenie.

— Na miłość boską! Oczywiście, że nie. — Nie musiał. Paxton i tak wiedziała. Gabby miała rację. Paxton też się zakochała. Tylko dlaczego stało się to tak szybko i tak wcześnie? Spotkanie mężczyzny marzeń było ostatnią rzeczą, której teraz pragnęła. Co za pieskie szczęście!

— Cholera. Ja to mam pecha — narzekala Gabby, gdy kładły się do łóżek. — Ja chcę znaleźć męża, ty nie. I co się dzieje? Ty masz Petera, który aż pali się, żeby się z tobą zaręczyć, a ja kogo main? Nikogo. Jakiegoś kretyna z szopą włosów do pasa, który chce polecieć ze mną do Tybetu w następne wakacje, pod warunkiem, że zapłacę za jego bilet. Niektórzy to mają szczęście.

— Karma. — Leżąc w ciemnościach Paxton skrzywiła twarz w uśmiechu.

— Kto to jest? Czy to nie przypadkiem ten facet od wolności słowa z Bancroft?

— Nie. To jest coś, o czym cały czas mówi Dawn. Karma. Los. Kismet.

— To chyba jakieś proszki nasenne. Chryste, czy słyszałaś, jak ona wczoraj wymiotowała? Myślałam, że umiera.

— Może jest w ciąży — wyszeptala Paxton.

— Kiedy by miała czas zajść w ciążę? Przecież ona ciągle śpi. — Roześmiali się obje.

Następnie odwróciły się do ściany i zasnęły. Gabby nie zostało już nic do powiedzenia, poza tym planowała pójść rano na obowiązkowe zajęcia z muzyki. Potem też miała mnóstwo do zrobienia. Halloween wypadalo za dwa dni, więc chciała popracować nad swoim kostiumem. Miała zamiar wystąpić w stroju ze złotej lamy jako wielka dynia.

Tego samego dnia Viet Cong zaatakował bazę lotniczą w Bien Hoa, piętnaście mil na północ od Sajgonu. Była to pierwsza z wielu amerykańskich baz wojskowych, na które miały wkrótce uderzyć siły wietnamskie.

Zginęło pięciu amerykańskich żołnierzy, a siedemdziesięciu sześciu zostało rannych.

Prezydent Johnson nie zarządził żadnych działań odwetowych. Staral się utrzymać na swym stanowisku, szczególnie teraz, na cztery dni przed wyborami. Goidwater obiecywał zrównać Wietnam z ziemią i w ten sposób zakończyć amerykańskie problemy z tym krajem. Johnson natomiast przyrzekał, że nie uczyni niczego, co by mogło doprowadzić do dalszego zaostrenia sytuacji, a takie właśnie zapewnienie wszyscy chcieli usłyszeć. Trzeciego listopada znaczną większością głosów Johnson wygrał wybory. Była to odpowiedź społeczeństwa na propozycje Goidwatera dotyczące zwiększenia liczebności amerykańskich wojsk w Wietnamie.

Tydzień później Peter zapytał Paxton, co robi w Święto Dziękczynienia.

— Nic specjalnego. Do domu jest za daleko, żeby jechać nate parę dni. — Za daleko i za drogo, chociaż Święto Dziękczynienia bez indyka Queenie nie będzie prawdziwym świętem. Paxton starała się o tym nie myśleć. Planowała spędzić ten dzień, ucząc się do testu z fizyki. Może zje kanapkę z indykiem w barze, jeśli tylko nie zapomni.

— Może zechciałybyś pojechać z nami do domu. Wspomniałem o tym mamie w zeszłym tygodniu. Była zachwycona moim pomysłem. Możesz spać w pokoju gościnnym, co pozwoli ci odpocząć od nocnej paplaniny Gabby.

— Mogłoby mi tego brakować — nieśmiało zauważyła Paxton. — Jesteś pewien, że nie będę się narzucać?

— Ależ skąd! Przecież na tym właśnie polega Święto Dziękczynienia. Ludzie siadają razem do stołu, jedzą indyka i oglądają futbol. Tata i ja idziemy na mecz w sobotę i bardzo chciałbym, żebyś wybrała się z nami. Pomyślałem też, że moglibyśmy pojechać do Stinson Beach w piątek.

— Z przyjemnością z tobą pojadę. — Uśmiechnęła się. Kilka dni temu Gabby napomknęła coś mgliście na ten temat, ale Paxton nie dopytywała się zbyt. Teraz jednak nie przychodził jej na myśl inny sposób spędzenia Święta Dziękczynienia niż wizyta u państwa Wilsonów. Nie знаła rodziców Gabby i Petera, ale z tego, co o nich słyszała, wywnioskowała, że mogłaby ich polubić. Co prawda obawiała się, że jej pobyt w domu Petera zbliży ich jeszcze bardziej. Lecz chyba nie sposób było tego uniknąć. Większość ich spotkań upływała wśród kolegów i koleżanek, tylko kilka razy wychodzili gdzieś sami, ale nawet w tłumie odczuwali bardzo silne wzajemne przyciąganie.

Peter powiedział siostrze o decyzji Paxton. Gabby wpadła jak bomba do saloniku. Pax ślezczała właśnie nad książkami.

— Słyszałam, że jedziesz z nami na Święto Dziękczynienia, Pax, to cudownie! — Uśmiechnęła się radośnie. Właśnie przed chwilą rozmawiała przez telefon z matką. Marjorie Wilson chciała dowiedzieć się czegoś więcej o dziewczynie, którą będzie gościć w swym domu. Była ciekawa, czy Paxton jest poważnie zainteresowana Peterem. Zdziwiło ją, że to syn, a nie córka, zadzwonił, pytając, czy może zaprosić koleżankę Gabby na święta.

— Pokochasz moją mamę.

— Jestem pewna, że tak. — Właściwie to już ją lubiła, choć znała ją tylko z licznych opowieści Gabby. Matka i córka były sobie bardzo bliskie, a z tego, co Gabby mówiła, wynikało jasno, że dziewczyna wprost ją uwielbiała. Marjorie Wilson, podobnie jak matka Paxton, prowadziła ożywione życie towarzyskie, lecz w przeciwieństwie do Beatrice Andrews szczerze kochała swoje dzieci. Paxton nie wiedziała dokładnie, czym zajmuje się pan Wilson, ale przypuszczała, że prowadzi jakieś interesy.

Peter podjechał po nie w środę późnym popołudniem. Gabby jak zwykle miała za dużo toreb. Paxton wzięła tylko jedną. Była ubrana w elegancką granatową sukienkę, szary płaszcz i jedyne, jakie miała, nadające się do sukienki proste czarne czółenka. Wyglądała bardzo schludnie i ładnie, z włosami ściągniętymi w koński ogon i przewiązanymi granatową satynową wstążką. Założyła też małe wiktoriańskie kolczyki z perełkami, które odziedziczyła po babci.

— Wyglądasz jak Alicja w Krainie Czarów — powiedział Peter z uśmiechem na widok Paxton wsiadającej do jego zdezelowanego forda. Planował wcześniej kupno nowego mustanga, ale, jak mówił, nie zostało mu po wakacjach wystarczająco dużo pieniędzy. W nagrodę za ukończenie college'u ojciec zaproponował mu nowy samochód albo wycieczkę do Europy. Peter wybrał dwa miesiące w Szkocji, Anglii i Francji. Teraz też nie żałował swojej decyzji, mimo że dalej jeździł tym samym starym gratem, który służył mu przez lata nauki w Berkeley.

— Może powinnam wybrać coś bardziej wytwornego? — Paxton zwróciła się niepewnie do Gabby. Mogła przecież nałożyć Czarną aksamitną sukienkę.

— Wyglądasz świetnie. Nie słuchaj go. — Gabby miała na sobie czerwoną aksamitną minispódniczkę, czarny sweter i czerwone buty na wysokich obcasach, a jej rude loki upodobały ją do Shirley Tempie. — Mama na pewno włoży prostą czarną sukienkę i perły, a tata spodnie w kratę i sztruksową marynarkę. To ich mundurki.

Paxton roześmiała się nerwowo, mając nadzieję, że nie przyniesie wstydu swoim przyjaciółom, a zwłaszcza Peterowi. Niespodziewanie stało się to bardzo ważne i ta konstatacja dodatkowo przeraziła i tak już zdenerwowaną Pax. Nigdy jeszcze nie była zaproszona do cudzego domu, w charakterze „potencjalnie poważnej narzeczonej”. Odnosiła wrażenie, że tak właśnie traktuje całą sytuację Peter.

Z dużą szybkością przejechali most Bay Bridge, po czym skierowali się na zachód przez Broadway, mijając posiadłość Carol Doda i bary topless. Gdy minęli Broadway Tunnel i przecięli Van Ness pojawiły się okazałe domy. Zrobiły one na Paxton duże wrażenie i nagle poczuła się jeszcze bardziej zdenerwowana. Niespodziewanie znaleźli się na miejscu. Peter zahamował z piskiem opon przed dużym budynkiem z cegły. Gabby wyskoczyła z samochodu i zadzwoniła do drzwi. Za chwilę stali w ogromnym holu, witając się z rodzicami Petera, ubranymi dokładnie tak, jak przewidywała Gabby. Pani Wilson była niewysoką, drobną kobietą o rudych włosach uczesanych gładko w kok i jasnych zielonych oczach, przypominających oczy Paxton. Pan Wilson, podobnie jak syn, był wysoki i szczupły. Jego włosy, niegdyś blond, a teraz zupełnie siwe, nadawały mu nobliwy wygląd. Jego żona ciepło i czule przywitała się z Paxton.

Gabby zaprowadziła przyjaciółkę do gościnnego pokoju. Niedługo potem wszyscy spotkali się ponownie na dole, w imponującej, całej w drewnie, bibliotece wypełnionej oprawionymi w skórę książkami. Stały tam antyki, na podłodze leżały perskie dywany, a na kominku płonął ogień. Paxton nie miała pojęcia, że rodzice Gabby i Petera Są tak zamożni. Nagle poczuła się niezręcznie w swojej sukience, ale nikt nie zwracał uwagi na strój. Jej matka z pewnością skrytykowałaby minispódniczkę Gabby, lecz Marjorie Wilson uważała ją za zabawną. Rozmawiała z ożywieniem o przyjęciu, na którym była w ubiegłym tygodniu, a córka opowiadała jej o chłopcu, którego określiła mianem „obiecującego”. W drugim końcu pokoju Peter pytał ojca, co myśli o rozwoju sytuacji w Wietnamie.

— Atak na Bien Hoa może trochę zmienić bieg wydarzeń, czy Johnson tego chce, czy nie. Nie będziemy wiecznie siedzieć z założonymi rękami. — Peter nie chciał się spierać, gdyż wiedział doskonale, że jego ojciec jest zagorzałym zwolennikiem Goldwatera, chociaż nigdy nie dyskutowali na ten temat.

— Nie jestem przekonany, czy to najlepsze wyjście. Powinniśmy raczej wynieść się stamtąd, zanim będziemy ich mieli powyżej uszu, tak jak zrobili to Francuzi — stwierdził Peter.

— Jesteśmy od nich mądrzejsi, synu — uśmiechnął się pan Wilson. — Nie możemy przecież pozwolić komunistom zapanować nad światem, prawda? — Od lat już prowadzili tę rozmowę, a ich poglądy pozostawały niezmiennie. Peter uważał, że wojska Stanów Zjednoczonych nie powinny stacjonować w Wietnamie, natomiast jego ojciec, podobnie jak większa część starszego pokolenia, nie zgadzał się z nim. Był przekonany, że spuszcza żółtkom szybkie manto, dadzą nauczkę i wycofają się bez poważnych strat. Ale zawsze padało pytanie, co to znaczy „poważne” straty?

Panowie podeszli do pań i włączyli się do rozmowy. Paxton z rozbawieniem zauważyła, jak bardzo Peter podobny jest do swego ojca. Mieli ten sam wewnętrzny ogień, zapał, z jakim podchodzili do życia, te same bystre, niebieskie oczy, które tak jej się podobały u Petera, ten sam sympatyczny sposób bycia. W ogóle cała rodzina Wilsonów była miła i życzliwa. Paxton, siedząc z nimi przy jednym stole, nie czuła skrępowania. Zdziwiło ją trochę, że ciągle rozmawiają o porannej gazecie. Gdzieś w połowie obiadu zrozumiała, że pan Wilson pracuje w redakcji tej gazety. A potem, kiedy rozmowa zeszła na plany Petera na przyszłe lato, odkryła coś więcej, coś, co ją zdumiało. Peter mówił o pracy korespondenta. Słuchając go, Paxton zrozumiała wszystko, nawet to, dlaczego pan Wilson ukrywał SWą sympatię dla Goldwatera. Powód był całkiem prosty. Otóż „Morning Sun” oficjalnie popierało Johnsona. Gazeta ta była zawsze na wskroś demokratyczna. Ale nie jej właściciel. A tym właścicielem okazał się ojciec Gabby i Petera. Rodzina Wilsonów posiadała „Morning Sun” od przeszło stu

lat. Gdy dotarło to do Paxton, dziewczyna wybuchnęła śmiechem. Peter popatrzył na nią, nic nie rozumiejąc. Właśnie mówił, że nie jest pewien, czy następnego lata będzie zajmował się gazetą. Myślał raczej o zgłoszeniu się do pracy nad jakimś prawniczym projektem w Missisipi albo współpracy z dr. Martinem Lutherem Kingiem, świeżym laureatem pokojowej Nagrody Nobla. A Paxton się śmiała.

— Co jest w tym takiego śmiesznego? — Patrzył na nią zaskoczony. Zwykle bardzo poważnie traktowała jego plany, wiedział też, że podzielała jego poglądy na większość spraw, a szczególnie na tę.

— Nic. Bardzo przepraszam. Po prostu właśnie zdałam sobie sprawę z czegoś, o czym żadne z was nie pofatygowało się mi powiedzieć. Myślałam, że mówimy o „Morning Sun”, ponieważ wasz ojciec pracuje tam. Nie wiedziałam, że wy... że.... — Przerwała zmieszana, a Peter i jego ojciec się roześmieli.

— Nie miej do nich pretensji, Paxton. Gdy był małym chłopcem, zwykle mówił kolegom, że jego tatuś sprzedaje gazety na Mission Street. Teraz przynajmniej jego skromność nie posunęła się tak daleko. A może jednak tak? Czy to właśnie ci powiedział?

— Nie. — Potrząsnęła głową. Gabby się uśmiechnęła. Ona też nie zwierzyła się współlokatorce, czym zajmuje się jej ojciec. Obie zresztą nie lubiły się przechwalać, a Paxton wiedziała teraz dlaczego. Wilsonowie byli zamożnymi ludźmi, ale nie obnosili się ze swoim bogactwem. Należeli do klasy społecznej, której status materialny i manieri zawsze robiły ogromne wrażenie na Beatrice Andrews.

— Właściwie to żadne z nich nigdy się z tym nie zdradziło, a ja się nie dopytywałam.

— Nie wiedziałem, że to jest ważne — wyjaśnił łagodnie Peter, wierząc, że Paxton polubiła go dla niego samego, a nie pieniędzy jego ojca. Paxton szybko go w tym upewniła.

— Bo nie jest. Ale za to ciekawe. Możesz rozmawiać w domu na interesujące tematy. U mnie wymieniamy uwagi tylko o tym, kto z kim bierze ślub, kto kupił nowy dom albo który z pacjentów mego brata jest umierający.

— Czy twój ojciec też jest lekarzem? — zapytała Marjorie Wilson, uśmiechając się ciepło.

— Nie — cicho odparła Paxton, czując znajomy ucisk w sercu. Tak bardzo chciałaby, żeby jej ojciec żył. — Mój tata był prawnikiem. Zginął siedem lat temu w katastrofie samolotu. Tak mi przykro — powiedziała matka Gabby ze współczuciem.

— Mnie również. — Przebywanie wśród Wilsonów okazało się dla Paxton nowym doświadczeniem. Ta rodzina funkcjonowała w oparciu o zupełnie inne zasady. W przeciwieństwie do rodzinnego domu Paxton, każdy czuł się tu szczęśliwie. Tego wieczoru grali w domino, żartowali i śmiali się. Peter długo rozmawiał z ojcem. Wkrótce dołączyła do nich Paxton. Dyskutowali znowu o Wietnamie, o Diem, o stanowisku Johnsona wobec Rosjan po ostatnim zjeździe i pozbawieniu Chruszczowa władzy. Paxton była pełna sympatii i podziwu dla Edwarda Wilsona, dla jego inteligencji i rozsądku. Szanowała go za jego niezwykłą zdolność przewidywania, mimo że nie podzielała jego poglądów na problem wietnamski. Rozmawiali też o realiach integracji na Południu, o Martinie Lutherze Kingu, a nawet o niedawnych niepokojach wśród studentów w Berkeley. Ruch Wolności Słowa wymknął się spod kontroli, więc Rada Uczelni zajęła nieprzejednane stanowisko, zaniechując negocjacji ze studentami, z czym zgadzał się ojciec Petera. Paxton również uznała takie postępowanie władz za słuszne, chociaż pogląd ten nie był popularny w miasteczku uniwersyteckim. Okazało się, że pan Wilson dobrze znał rektora Kerra i tego ranka odbył z nim długą rozmowę.

— On nie będzie się cackał z tymi dzieciakami. Gra idzie o zbyt wysoką stawkę. Jeśli się ugnie, straci wszelką kontrolę nad wydarzeniami — podsumował Edward Wilson.

Peter gwałtownie zaoponował i długo jeszcze zażarcie się sprzeczali. Podekscytowana Paxton czuła się wspaniale w towarzystwie ludzi, którzy nie stronili od ważnych, kontrowersyjnych tematów i byli świadomi tego, co się dzieje wokół. W Sayannah miała wrażenie, że została

odcięta od realnego świata, jakby pogrzebana żywcem. Południe desperacko chwyciło się przeszłości, odwracało od terażniejszości. O tym wszystkim opowiedziała Edowi Wilsonowi.

— Ale macie tam wspaniałą prasę. W.S. Morris jest moim starym przyjacielem.

— Mam nadzieję, że w lecie będę mogła pracować w redakcji. Robię specjalizację z dziennikarstwa. — Peter uśmiechnął się do niej z durną i wziął ją za rękę. Gest ten nie umknął uwagi jego ojca. Ed Wilson nic nie powiedział. Dopiero późnym wieczorem w sypialni zwrócił się do Marjorie.

— Sądzę, że twój syn wpadł na dobre, kochanie. — Czule spojrzął na żonę. Tak bardzo kochała swe dzieci! Wiele razy za-

stanawiał się, jak się zachowa, gdy będą chciały wyfrunąć z gniazda i rozpocząć samodzielne życie. — Wydaje mi się, że ten chłopak naprawdę się zakochał.

— Ja też tak sądzę — powiedziała z zadumą, siedząc przed toaletką i czesząc swoje rude włosy. — Wiesz co? Polubiłam tę dziewczynę. Z początku była taka cicha, ale ma coś w sobie. Jej naprawdę na nim zależy, jest szczerą, bezpośrednią i bardzo uczciwą.

— I o wiele za młoda na małżeństwo — dodał jej mąż. — Ma dopiero osiemnaście lat. Głupotą byłoby nawet rozważać możliwość małżeństwa.

— Myślę, że ona na razie nie bierze pod uwagę małżeństwa. Wygląda na to, że ona chce wiele zdziałać w życiu. Może jest nawet bardziej zrównoważona niż Peter.

— Mam nadzieję, że jest. — Edward Wilson westchnął, a potem pochylił się i z czułym uśmiechem pocałował żonę w kark. — Nie mam ochoty zostać dziadkiem.

— Ani ja. — Marjorie się roześmiała. — Powinieneś porozmawiać z Gabby.

— Och, nie mów mi, że znalazła następną prawdziwą miłość w tym tygodniu. Czy mam już zacząć się martwić, czy będzie po wszystkim do następnego wtorku?

— Dużo wcześniej. Dzięki Bogu, nikt nie bierze tej dziewczyny poważnie. Ona mnie chyba do grobu wpędzi.

— Czyżby? — Ed podszedł do Marjorie, wyjął jej z ręki szczotkę i odłożył na toaletkę. — Kocham cię. Wiesz o tym? — Przytaknęła.

Bez słowa zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go namiętnie.

Potem spokojnie zgasiła światło i weszła do łóżka. Jej mąż leżał tam już i czekał, aby wziąć ją w ramiona. Byli udanym małżeństwem i tworzyli szczęśliwą rodzinę.

Widać to było wyraźnie następnego dnia, gdy wszyscy zasiedli do świątecznego stołu. Paxton nałożyła Czarną, aksamitną sukienkę, a Gabby miała na sobie biały kostium od Chanel, który jej matka kupiła w zeszłym roku w Paryżu. Prezentowała się w nim bardzo dorośle. Ed Wilson wyglądał poważnie i dystygownie, odmawiając modlitwę. Jednak Paxton pochwyciła jego porozumiewawczy uśmiech skierowany do żony.

Obiad był niezwykle obfity i smaczny. Nawet Paxton musiała przyznać, że dorównywał kulinarnym dziełom Queenie. Opowiedziała swym gospodarzom o tym, jak u niej w domu obchodzono Święto Dziękczynienia. W jej głosie słychać było niekłamana miłość, gdy mówiła o kobiecie, która ją wychowała. Po południu przyszli znajomi państwa Wilsonów i Paxton rozpoznała w jednym z nich gubernatora Kalifornii. Wszyscy rozmawiali o demonstracji, która odbyła się tego popołudnia w Berkeley. Jej organizatorem był Mario Sayio oraz inni członkowie Ruchu Wolności Słowa. Joan Baez śpiewem dodawała otuchy studentom, protestującym przeciwko stanowisku uczelni w kwestii wolności słowa. W swoim czasie władze uniwersyteckie zabroniły organizowania zbiórek pieniędzy na terenie uczelni i rozprowadzania ulotek. W końcu władze ustąpiły, przyznając Ruchowi prawo do publicznego występowania w tych samych miejscach co przedtem, ale zabroniono im namawiać do jakichkolwiek działań. Paxton uważała całe to zamieszanie za burzę w szklance wody, jednak przywileje studentów zostały zakwestionowane. Do wieczora aresztowano prawie osiemset

osób. Paxton była zadowolona, że w takiej chwili znalazła się w gronie ludzi zorientowanych, ludzi mających władzę i wpływ.

Następnego dnia oglądali w telewizyjnych wiadomościach nie kończące się demonstracje. Peter i Paxton zrezygnowali z wyjazdu do Stinson. W sobotę wybrali się z Wilsonem seniorem na mecz. W tym czasie Gabby i Marjorie Wilson pojechały po zakupy. W Dzień Dziękczynienia Paxton zadzwoniła do Sayannah i rozmawiała z matką, George'em i Queenie. Wszyscy czuli się dobrze, a ona zapewniła ich, że spędza miło czas w domu państwa Wilsonów. Tylko Queenie się o nią niepokoiła. Stara niania przyznała się, że tego roku nie przygotowała wspaniałej zapiekanki z mięsem, ponieważ Paxton nie mogła jej spróbować. Pod koniec tygodnia Paxton była już bardzo zżyta z Wilsonami. Gdy żegnała się z nimi i dziękowała za cudowną gościnę, czuła się niemal członkiem rodziny. Były to najlepsze święta, od czasu śmierci ojca. Gdy w drodze do Berkeley dziękowała Peterowi i Gabby, jej oczy lśniły ze szczęścia.

Po powrocie na uczelnię mogli jeszcze zobaczyć stojące w pogotowiu specjalne oddziały policji. Okazało się, że Yvonne i Deke zostali aresztowani za udział w manifestacji. Zwolniono ich, ale młoda Murzynka ciągle miała na rękach i ramionach rozległe siniaki, świadczące o tym, że była siłą ciągnięta do samochodu policyjnego.

— To nie było zbyt przyjemne — przyznała ponuro. — A gdzie wy podziewaliście się przez weekend? — zapytała Yvonne agresywnym tonem, gdy Peter przyniósł z samochodu ich walizki.

— W San Francisco — odparła Gabby, która nie miała zamiaru ujawniać szczegółów. — Nie musisz iść do więzienia, żeby udowodnić swoje zaangażowanie, Yvonne. Prawdę powiedziawszy, gównu mnie obchodzi, gdzie rozrzucają te cholerne ulotki. — Po raz pierwszy Gabby otwarcie przeciwstawiła się Yvonne. Miała już dość jej zjadliwych uwag i zawołanych oskarżeń.

— A co cię obchodzi? — odgryzła się Yvonne. Peter i Paxton słuchali, milcząc.

— Może to samo co ciebie. Obchodzą mnie czarni, Wietnam, obchodzą mnie ludzie, którzy postępują fair i są z tego dumni. Ale nie pozwolę się wlec do policyjnej furgonetki, aby to zmanifestować.

— Jeśli będziesz siedzieć w salonie i piłować paznokcie, myśląc, że ktoś cię wysłucha, to się mylisz. Nikt nie wiedział o problemach Południa, dopóki ludzie nie zaczęli ginać, zanim nie zaczęto ich aresztować.

— W takim razie jak to się stało, że jesteś tutaj, a nie tam? — Gabby szybko odbiła piłeczkę.

— Bo mam już tego dosyć. Nie chcę już więcej siadać w tyle autobusu, złotko. Zamierzam tu zostać do czasu, gdy będę mogła wrócić na Południe i usiąść z przodu, tak jak biali.

— Wspaniale. Tylko nie czepiaj się mnie, póki tu jesteś. Ja pilnuję swego nosa i tobie radzę to samo.

— I tak wyprowadzam się w przyszłym miesiącu — rzuciła zdenerwowana Yvonne. Nie była pewna, czy przypadkiem Gabby nie wyprowadziła jej w pole. Może rzeczywiście powinna zostać w Birmingham i walczyć z poplecznikami Wallace'a, zamiast siedzieć w Berkeley. Miała dość dusznej atmosfery Południa, dlatego stypendium w Berkeley bardzo ją ucieszyło.

— Wprowadzasz się do Deke'a? — zapytała ze średnim zainteresowaniem Gabby. Yvonne wytrąciła ją z równowagi. Paxton, która znała realia życia na Południu, nie zawsze potępiała czarną koleżankę.

Yvonne pokręciła przecząco głową.

— Nie... Ja... — Nagle się zmieszala zdała sobie sprawę, że posunęła się za daleko, wyładowując gniew na Bogu ducha winnych

koleżankach. Nie zasługiwały na to. — Nie wprowadzam się do Deke'a. Będę mieszkać z przyjaciółmi poza akademikiem. — Paxton uświadomiła sobie, że Yvonne wybrała na swoich

współlokatorów ludzi sobie podobnych. Byli zbyt rozgoryczeni, aby cieszyć się ze zdobyczy integracji, którą w końcu wywalczyli. Nie bardzo wiedzieli, co z nią począć.

— To wspaniale — wtrąciła Paxton. — Mam nadzieję, że będziesz tam szczęśliwa.

— A co z waszym pokojem? — zauważyła trzeźwo Gabby, niezbyt poruszona informacją Yvonne.

— Myślę, że możecie znaleźć kogoś na moje miejsce. — Gdy to mówiła, z pokoju wyszła Dawn.

— Ja też się wyprowadzam — powiedziała niepewnie. — To znaczy... wyjeżdżam. —

Wyglądała na zmieszaną, ale szczęśliwą. Uśmiechnęła się do wszystkich. — Jadę do domu.

— Rzucasz studia? — zdziwiła się Gabby. W Berkeley czuła się znakomicie. Jak ktoś mógłby chcieć opuszczać to miejsce? Jednak uświadomiła sobie, że Dawn mnóstwo czasu przespała.

— Wychodzę za mąż... Myślę, że na Boże Narodzenie... Jestem... — Zarumieniła się i popatrzyła na swoich jedynych znajomych w Berkeley. Odkąd tu przyjechała, nie była chyba na żadnych zajęciach. — W kwietniu urodzę dziecko.

Trzy koleżanki popatrzyły na nią ze zdumieniem. Paxton zrozumiała, że wszystkie trzy okazały się mało spostrzegawcze. Przecież Dawn miała wszystkie symptomy opisywane w książkach, a one tylko w żartach przypuszczały, że jest w ciąży.

— Jak tylko urodzi się dziecko, Daye i ja jedziemy do Nepalu zobaczyć się z naszym guru.

— To wspaniała wiadomość. — Gabby nie mogła wyjść ze zdumienia. Peter odwrócił się, żeby ukryć uśmiech. — To naprawdę wspaniała wiadomość, Dawn. — Yvonne i Dawn wróciły do swego pokoju, a Gabby lekko zirytowana zwróciła się do Paxton. — Cholera, i co teraz zrobimy z ich pokojem? Bóg jeden wie, kogo nam przydziela, a ja nie znam nikogo, kto chciałby się zamienić na pokoje w środku roku, aty?

— Dlaczego nie? — powiedziała w zadumie Paxton. — Są takie cztery dziewczyny, które bardzo chciałyby mieszkać razem, a teraz zajmują dwie dwójki. Mogłybyśmy dać im naszą czwórkę, a my wzięłybyśmy jedną z ich dwójek.

— Możecie też w drugiej sypialni urządzić garderobę albo wprowadzić się do mnie — odezwał się Peter, z nadzieją patrząc na Paxton. Weekend spędzony u jego rodziców zbliżył ich. Peter pragnął Paxton, jednak nie odważył się przyjść do jej pokoju. Wiedział, że nie chciałyby tego robić w domu jego rodziców, a poza tym Gabby powiedziała mu, że Paxton jest jeszcze dziewicą. Zastanawiał się, czy Paxton zgodziłaby się gdzieś z nim pojechać, tak by mogli być tylko we dwoje. Na razie niczego nie proponował. Czekał, aż będzie gotowa. Chciał, żeby Paxton została z nim na zawsze.

— Właściwie to nie jest taki zły pomysł — dodał. W przyszłym roku moglibyśmy razem coś wynająć. — Ten pomysł spodobał się wszystkim, ale przyszły rok wydawał się taki odległy! Dużo może się zmienić w ciągu roku. To zadziwiające, jak wiele już się zmieniło, pomyślała Paxton. Minęły zaledwie trzy miesiące, a zaprzyjaźniła się z Gabby, zakochała z wzajemnością w Peterze, rozstała z dwiema współlokatorkami, z których jedna będzie miała dziecko. Wszystko to było takie dziwne. Następne tygodnie upłynęły w mgnieniu oka. Zanim się obejrzel, wyjeżdżali do domów na święta Bożego Narodzenia. Po świętach w czasie ferii Peter wybierał się z kolegami na narty, a Gabby miała towarzyszyć rodzicom do Puerto Vallarta w Meksyku. Peter prosił Paxton, by pojechała z nim na narty, ale ona się nie zgodziła. Uznała, że po tak długiej nieobecności w domu nie powinna wyjeżdżać przed końcem ferii. I on to rozumiał.

Dwudziestego pierwszego grudnia odwiózł ją na lotnisko. Czekali na samolot i rozmawiali o zbliżających się świętach. Peter nagle spojrzął na mąż z niezwykłą powagą. Serce Paxton забиło mocniej.

— To się nie uda, sama dobrze o tym wiesz. — Zbliżały się święta, a on jej mówił, że między nimi wszystko skończone.

— Co... ja... Tak mi przykro... — Nie mogła na niego spojrzeć, to było zbyt bolesne. Opierała się, gdy ujął ją pod brodę, by popatrzeć jej w oczy.

— Nie wiesz, co mam na myśli, Pax. — Smutno pokręciła głową.

— Nie mogę dalej udawać, że jesteśmy tylko dobrymi przyjaciółmi. Kocham cię, Pax. Nigdy nikogo tak nie kochałem. Chciałbym się z tobą ożenić. Powiedz tylko kiedy. Jutro, w przyszłym tygodniu, za dziesięć lat? To nie ma znaczenia. Chcesz wstąpić do Korpusu Pokoju? Pojechać do Afryki? Na Księżyc? W porządku. Zaczekam, bo cię kocham. — Głos mu drżał, gdy to mówił. Potem wziął ją w ramiona i przytulił do siebie tak mocno, że nie mogła złapać tchu. Ich usta połączyły się w gorącym pocałunku. Tym razem Paxton nie mogła go dalej oszukiwać. Wiedziała już, jak bardzo jest w nim zakochana.

— Peter, co my teraz zrobimy? — Uśmiechała się przez łzy. Peter był szczęśliwy. Gdy trzymał ją w objęciach, czuł przyspieszone bicie jej serca. — Przede mną jeszcze trzy i pół roku nauki. Muszę skończyć studia — podkreśliła.

— Więc zaczekamy. Żaden problem. Może się zaręczymy. Chcę tylko wiedzieć, że mnie kochasz. — Popatrzył na nią uważnie. Paxton skinęła głową.

— Kocham cię... Tak bardzo cię kocham... — wyszeptała, a on pocałował ją delikatnie i czule.

— Nie mogę znieść myśli, że nie będziesz ze mną na Boże Narodzenie — wyszeptał, z ustami w jej włosach. — Czy chcesz, żebym przyleciał do Sayannah po świętach? — Pewnie, że chciała, ale nie mogła go o to prosić. Beatrice Andrews byłaby wściekła, gdyby się dowiedziała, że jej osiemnastoletnia córka jest poważnie zakochana.

— Nie. Jeszcze na to za wcześnie. Moja rodzina mogłaby to źle odebrać.

— W takim razie wracaj jak najszybciej.

Po raz ostatni wzywano pasażerów lotu do Sayannah. Wszyscy byli już na pokładzie.

— Muszę iść. Zadzwoń do ciebie z domu. — Dom... Gdzie był teraz jej dom? — Kocham cię. — A jeśli on zapomni o niej po świętach? Jeśli spotka kogoś innego? Jeśli porna kogoś na nartach? Wszystkie te myśli były wypisane na jej otwartej twarzy. Peter się roześmiał.

— Przestań, głuptasku. Kocham cię. I lepiej o tym pamiętaj. Będziesz się kiedyś nazywać Paxton Wilson. — Pocałował ją szybko na pożegnanie, a ona pobiegła do samolotu, machając mu i wołając, że też go kocha.

Rozdział V

Czuła się dziwnie, gdy wylądowała tej nocy w Sayannah.

Dochodziła północ, było zimno i ciemno. George czekał na lotnisku, żeby zawieźć ją do domu. Kiedy w końcu tam dotarła, Beatrice, mocno przeziębiona, leżała już w łóżku. Tylko wierna Queenie czekała z gorącą czekoladą i świeżo upieczonymi ciasteczkami owsianymi, za którymi Paxton przepadała. Po długiej rozłące padły sobie w ramiona bez słowa. Paxton, przepelniona uczuciem ogromnego szczęścia, pragnęła podzielić się swą radością ze starą nianią. Nie mogła się doczekać, kiedy będzie mogła opowiedzieć o Peterze. Nie przestawała o nim myśleć od momentu rozstania. Jednak George nie spieszył się do wyjścia. Wydawało się, że poczuwa się do obowiązku towarzyszenia młodszej siostrze podczas powitalnego posiłku. Zabawiał ją rozmową o znajomych, opowiedział także o nagrodzie Stowarzyszenia Cór Wojny Domowej, którą otrzymała Beatrice. Paxton próbowała wzbudzić w sobie poczucie dumy z wyróżnienia matki, ale na próżno. Popatrzyła na Queenie, uśmiechem wyrażając jej swoją miłość.

W końcu poszła na górę do swego pokoju, a George pojechał do domu. Położyła się do łóżka, cały czas rozmyślając o Peterze. Z całych sił starała się odczuwać radość z powodu powrotu do domu. Jednak tak wiele się zmieniło. Nic nie było takie samo jak przedtem. Leżała więc i tęskniła za Peterem i Kalifornią. Mimo zmęczenia nie mogła zasnąć. Bez znajomego paplania Gabby czuła się samotna.

Obudziła się rano w nie najlepszym nastroju. Towarzyszyło jej uczucie obcości. W trakcie śniadania pogratulowała matce nagrody, ale odpowiedzią było tylko chłodne podziękowanie. Potem zapadła niezręczna cisza. Wydawało się, że nie mają sobie nic do powiedzenia. Paxton gorączkowo szukała w myślach jakiegoś tematu do rozmowy. Matka nie była ciekawa jej studenckiego życia, nie zapytała nawet o koleżanki córki. Paxton nie miała pojęcia, jak napomknąć o Peterze. Dowiedziała się, że George ma fLOWą przyjaciółkę, którą będzie miała sposobność poznać przy obiedzie jeszcze tego samego dnia. Dziwne, że brat nie zdradził się z tą rewelacją. Paxton ponownie zauważyła ogromną różnicę pomiędzy jej rodziną a Wilsonami. Po raz kolejny pomyślała, że losy jej bliskich mogłyby ułożyć się inaczej, gdyby żył ojciec. Może wtedy byłiby bardziej ludzcy.

Dopiero późnym popołudniem udało się Paxton znaleźć sam na sam z Queenie. Mogła opowiedzieć o Gabby, o Peterze i Wilsonach, siedząc w ciepłej przytulnej kuchni.

— Chyba nie zrobiłaś nic, czego mogłabyś żałować, prawda? — zapytała surowo Queenie. Paxton potrząsnęła przecząco głową, chociaż nie wykluczała niczego. Zwłaszcza teraz, gdy wyznali sobie miłość, należało się spodziewać, że wcześniej czy później coś „poważnego” może się zdarzyć. Na razie mogła szczerze odpowiedzieć na pytanie niani. Wiedziała jednak, że pewnymi myślami nie będzie dzielić się z nikim, nawet z Queenie.

— Nie, Queenie, nie zrobiłam. On jest wspaniały. Spodobałby ci się. — Znowu zaczęła opowiadać o Peterze, a stara kobieta obserwowała ją z rozrzewnieniem. Oczy Paxtonjaśniały radością, gdy mówiła o chłopcu, którego poznała i pokochała w dalekiej Kalifornii.

Podoba ci się tam? Jesteś szczęśliwa?

— Och, tak. Jestem. Tam jest cudownie, tyle się dzieje. — Opisała niani zajęcia, na które uczęszczała, ludzi, których spotkała, i miejsca, które widziała. Potem konspiracyjnym szeptem zapytała o nową dziewczynę brata.

— Sama zobaczysz. Myślę, że ta dziewczyna może być poważną kandydatką na twoją bratową. — Paxton wydało się, że Queenie jej nie lubi.

— Dlaczego tak sądzisz? Paxton była zaintrygowana, ale Queenie tylko się roześmiała. Dwie godziny później zrozumiała niechęć niani. Nowa przyjaciółka George’a, Allison, okazała się kopią Beatrice. Miała takie samo uczesanie, ten sam chłód i sztywność w sposobie bycia, afektowany głos, te same maniery. Była tylko, o ile to w ogóle możliwe, jeszcze bardziej powściągliwa i spięta. Widać było, że George czuł się w jej towarzystwie doskonale.

przywykł do tego typu kobiet, chociaż dawniej nawet on wolał nieco bardziej swobodne dziewczyny. Paxton cały wieczór obserwowała uważnie narzeczoną brata. Allison tak mocno ścigała usta, że ledwo mogła je otworzyć. Jednak nie miała żadnych trudności w wyrażaniu swoich opinii. Gdy wreszcie obiad się skończył, Paxton wpadła jak burza do kuchni.

Usiadłszy u stóp niani, pozwoliła rozpuścić sobie włosy. Mój Boże! Ona jest taka sztywna, ma takie ciasne poglądy. Jak on może z nią wytrzymać? — zastanowiła się w duchu. Musiała jednak przyznać, że Allison ucieleśniała damę z Południa, a George został zbyt dobrze wyszkolony przez matkę, by tego nie docenić.

— Co mama o niej sądzi? — spytała. W odpowiedzi Queenie tylko wzruszyła ramionami.

— Nie mam pojęcia. Twoja matka mi się nie zwierza.

— Chyba musi mieć wrażenie, że patrzy w lustro. A może tego nie zauważyła?

Przez resztę wieczoru Paxton okropnie się nudziła. To samo uczucie nudy i zniecierpliwienia towarzyszyło jej przez cały czas. W Wigilię i pierwszy dzień świąt wybrała się do kościoła. Spotkała kilka dawnych koleżanek i przeżyła wstrząs, gdy odkryła, że dwie z nich wyszły za

mąż, a jeszcze inna, która wzięła ślub zaraz po maturze, była już w ciąży. Ona sama wydawała się sobie o wiele za młoda, żeby myśleć o takiej odpowiedzialności, a co dopiero podjąć dorosłe życie. Znowu pomyślała o Peterze. Dzwonił do niej kilka razy, ale na ogół udawało jej się osobiście odbierać telefon, więc nikt się nie zorientował, jak częste były ich rozmowy. Raz tylko matka uznała za stosowne zauważyć, że kolega z odległej Kalifornii nie powinien tak często niepokoić Paxton. Przy okazji Beatrice wyraziła nadzieję, że nie oznacza to „niczego nieprzyjemnego”. Miała na myśli znajomość z chłopcem, który nie pochodzi z Sayannah, z Gergii.

W czasie ferii Paxton odwiedziła redakcję miejscowej gazety. Ojciec Petera chciał ją polecić właścicielowi gazety, ale Paxton postanowiła nie nadużywać jego uprzejmości. Udało jej się samodzielnie uzyskać angaż na okres letnich wakacji, od czerwca do sierpnia. Fakt ten ucieszył ją niezmiernie, a zarazem zasmucił. Spędzi kilka miesięcy z dala od Petera.

Zauważyła, że coraz więcej znaczy w jej życiu. Nie chciała się już teraz wiązać. Przecież miała zrobić tyle rzeczy, żeby spełnić dane samej sobie obietnice. Jednak Peter przyrzekł poczekać na nią i Paxton wiedziała, że dotrzyma słowa. Mówił o tym wiele razy, gdy dzwonił do niej do Sayannah.

Paxton uzgodniła wcześniej, że wróci do Berkeley na dzień przed Sylwestrem. Matka, zajęta George'em i Allison oraz swoimi przyjaciółkami, nie miała nic przeciwko temu. Gdy Paxton oznajmiła, że pragnie przywitać Nowy Rok z przyjaciółmi, Beatrice uznała ją za „niegrzeczną”, ale w gruncie rzeczy zaakceptowała ten pomysł od razu. Ostatni ranek spędziła Paxton z Queenie, która, jak co roku, cierpiała z powodu przeziębienia. Paxton kazała jej przyrzec, że tym razem pójdzie do lekarza. Potem George zawiózł siostrę na lotnisko.

Beatrice pożegnała się z córką wcześniej, gdyż wybierała się do fryzjera. Przed rozstaniem z bratem Paxton kazała mu przekazać serdeczne ucałowania Allison. George wzdrygnął się, słysząc ten poufały zwrot.

— Czy to poważna znajomość? — Nie mogła oprzeć się pokusie zadania tego pytania. Jednak George nie znośił poufałości.

— Nie mam pojęcia, co to znaczy — odpowiedział lodowatym tonem. Paxton roześmiała się lekko. Jej brat skończył właśnie trzydzieści trzy lata i jeśli do tej pory nie dowiedział się, co to znaczy, to znalazł się w poważnych tarapatach.

— Zadawanie takich pytań nie przystoi damie. — W tym momencie Paxton przypomniała sobie, jak bardzo bezpośredni są wobec siebie Gabby i Peter. Jej życie rodzinne było zupełnie inne, a stosunki między nią a George'em sztywne i sztuczne.

— Sądzę, że Allison naprawdę cię lubi, George. I jestem pewna, że podoba się mamie. — To było wszystko, co mogła powiedzieć, nie kłamiąc. Nie chciała go oszukiwać. Zapewniać, że polubiła jego dziewczynę.

— Z pewnością mama ją lubi — przyznał niechętnie. Żałował, że siostra w ogóle poruszyła ten temat.

— Dbaj o siebie. — Pochyliła się i pocałowała go w policzek. Bez słowa wzięła Swoją torbę z jego rąk i ruszyła w kierunku samolotu, machając jeszcze na do widzenia. Peter bardzo ją odmienił. Nie umiała się zmusić do odgrywania farsy, do przyjęcia ich reguł gry, ciągłego powstrzymywania emocji, nie kończących się milczących obiadów. Obserwując Paxton, George pomyślał ze smutkiem, że jego siostrzyczka zmieniła się na niekorzyść.

W San Francisco na lotnisku czekał Peter. Ledwie Paxton wyszła z samolotu, a już porwał ją w ramiona, z radością przytulił do siebie i obsypał gorącymi pocałunkami. Trwali tak objęci, śmiejąc się i całując, a mijający ich ludzie uśmiechali się na ten widok.

— Och, Boże. Jak ja za tobą tęskniłem — zapewnił żarliwie, gdy wypuścił ją w końcu z objęć. Szli powoli ramię w ramię po odbiór bagażu. — Chyba nie wytrzymałbym bez ciebie ani minuty dłużej.

— Ja chyba też nie. — Paxton promieniała szczęściem.

— Jak było w Sayannah?

— Okropnie! — Opowiedziała mu o Allison i George'u, o wizycie w redakcji, o Queenie i z zalem stwierdziła, że zupełnie nie mogła porozumieć się z matką.

— Sądzę, że czuje się zdradzona, ponieważ wyjechałam do Berkeley. Ona zawsze taka była, zamknięta w sobie i daleka, ale teraz widzę to wyraźniej, bo wiem, że można żyć inaczej. —

Tak jak Wilsonowie dodała w myślach.

— Nie martw się, kochanie. Teraz masz mnie. — Nie było to łatwe wyznanie i Paxton poczuła się wzruszona. Jednak w dalszym ciągu w zakamarku jej serca, jak cierń, tkwił strach przed pełnym uzależnieniem się od Petera. Co się stanie, jeśli on się rozmyśli, odejdzie albo zakocha się w kimś innym? Wiedziała już, jak niebezpiecznie jest kogoś tak bardzo kochać.

Nauczyła się tego przed laty, kiedy człowiek, którego kochała bezgranicznie, który był dla niej wszystkim, odszedł bez pożegnania, w chwili gdy jego samolot roztrzaskał się o ziemię.

— Co robimy dziś wieczorem? zapytała w drodze na parking.

W gruncie rzeczy wcale jej to nie obchodziło, skoro mogła być

Z nim. Nigdy jeszcze nie była taka szczęśliwa. Może koleżanki

z Sayannah, te, które powychodziły za mąż, miały rację? Opowiedziała o nich Peterowi.

Także o tym, jak dziwnie się czuła, gdy je spotkała. W lot pojął, co mu chciała przekazać.

Zrozumiał, że nie jest jeszcze gotowa, by rozpocząć ten etap dorosłego życia. Peter był taki mądry, że rozumiał wszystko. Nigdy nie kochała go bardziej niż teraz, gdy siedzieli w jego starym samochodzie i całowali się do utraty tchu.

— Co robimy wieczorem? — Nie mógł zebrać myśli, wciąż oszołomiony jej bliskością.

Paxton roześmiała się perliście. — Miałem zamiar zawieźć cię do Tahoe, na weekend, ale z powodu sztormu zamknięto Donner Pass. Będziemy więc musieli poczekać do jutra rana.

Może wtedy otworzą. Co powiesz o kolacji i kinie?

— Znakomicie. — Pojechali do miasta. Paxton nie była pewna, czy spędzi tę noc w akademiku, czy też w domu państwa Wilsonów. Gabby jeszcze nie wróciła, więc nie mogła liczyć na jej pomoc. Peter nalegał, żeby przenocowała u niego. Zapewniał, że nie musi się niczego obawiać.

— Jesteś pewien, że zachowamy się jak należy? — zapytała go szczerze.

— Czy chcesz, żebym zachował się jak należy? — zapytał, tuląc ją do siebie.

— Sama nie wiem, czego chcę, Peter... Ja... Ciągłe mi się wydaje, że z tym także powinniśmy poczekać, ale potem przypominam sobie moje koleżanki i myślę, że jestem głupia.

— Nie oglądaj się na nie — powiedział łagodnie. — Liczysz się ty i ja. Zrobię to, co ty zechcesz, Paxxie.

Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością i zdecydowała:

— Przenocuję w gościnnym pokoju. — Pragnęła przytulić się do niego i zasnąć na jego ramieniu. Miała prawie dziewiętnaście lat, a on dwadzieścia trzy. Byli dostatecznie dorośli, żeby się pobrać, mieć dzieci, robić milion innych rzeczy, mimo to Paxton się bała. W głębi serca uważała, że me powinni iść razem do łóżka bez ślubu.

Gdy dotarli do domu Wilsonów, Peter zaniósł jej walizkę na górę, a potem zszedł do salonu w poszukiwaniu gazety z repertuarem kin. Paxton czuła się wspaniale w pięknym domu zbudowanym przez ojca Eda Wilsona. Wprost upajała się cudowną atmosferą tego miejsca.

Usiadła na łóżku i rozejrzała się. W oknach wisiały różowe, perkalowe zasłony w drobnym wzorze, na podłodze leżał jasny żółty dywan, a łazienka była wyłożona biało-różowym marmurem. Był to prawdziwie panieński pokój.

— Chciałabyś pójść na nowy film z Jamesem Bondem? — Peter przyszedł na górę z dwiema butelkami piwa i torbą chipsów. pomyślał, że Paxton może umierać z głodu po podróży.

— Jadłam w samolocie. Nawet dwa razy. — Uśmiechnęła się. — Wcześniej zrzuciła buty i przebrała się w dzinsy. Miała cudowne UCZUCIE, że wróciła do domu. Peter usiadł obok i objął ją ramieniem.

— Nie masz pojęcia, jak za tobą tęskniłem.

— Ja też za tobą tęskniłam — powiedziała cicho, przytulając się do niego. Ich usta połączył namiętny pocałunek. Powoli opadu na łóżko. Leżeli tak dłuższy czas, spleceni w ciasnym uścisku, nie mogąc się nacieszyć swą bliskością. Było im dobrze w tym przytulnym pokoju. Po chwili Peter oderwał się od Paxton i rozejrzył się dokoła.

— Nigdy nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo lubię ten pokój. A może dopiero teraz go polubiłem, bo wydaje mi się, że jest twój. — Z uśmiechem pocałował ją i przytulił, wdychając subtelną woń jej perfum. Używała „Femme”, a on uwielbiał ten zapach. Sama nazwa od razu kojarzyła mu się z nią. Kobieta.

— Może powinniśmy już wstać? — Popatrzył na nią z wahaniem. Nie tego pragnął.

— Uhm, tak — odparła cicho. — Chyba powinniśmy.

Wstali. Paxton narzuciła na siebie ciepły sweter i włożyła buty. Zgodnie z planem poszli do kina. Po filmie zjedli hamburgery w barze „Hippo”. Do domu wrócili przed północą. W korytarzu Peter pocałował Paxxie na dobranoc, a potem poszedł do swojego pokoju. Cały wieczór gadali, jak zwykle, o tysiącu interesujących ich spraw. o swoich rodzinach, przyjaciółkach, poglądach i o własnej przyszłości. Paxton ubrana w koszulę nocną nie mogła przestać myśleć o swym ukochanym. Rozstali się kilka minut temu, a ona już zaczynała za nim tęsknić. Nagle usłyszała delikatne pukanie.

— Tak? — Wiedziała, kto stał pod drzwiami, gdyż nikogo oprócz nich nie było w domu.

— To ja — usłyszała, a za chwilę w szparze drzwi ujrzała głowę Petera.

— To dobra wiadomość. — Roześmiała się. — Już się bałam, że to włamywacz.

— Tęskniłem za tobą. — Miał naburmuszoną minę małego dziecka. Gdy otworzył szerzej drzwi, Paxton zobaczyła, że był ubrany w czerwoną piżamę. Zaśmiał się, widząc jej zdumiony wzrok. — Straciłem dziesięć minut, żeby znaleźć ten strój. Inaczej przyszedłbym wcześniej. — Oboje się zaśmiali. Paxton czuła, że jest młoda, szczęśliwa i bardzo zakochana. Podeszła wolno do niego.

— Ja też za tobą tęskniłam — wyznała cicho i bez słowa zgasiła światło. Stali teraz w smudze księżycowej poświaty.

— Sam nie wiem, co robić, Pax... Nie chcę cię zranić... ani teraz, ani później... Tak bardzo cię kocham... ale tak trudno jest mi trzymać się z dala od ciebie.

— Wcale nie chcę, żebyś trzymał się z dala. — Usiedli na łóżku, żeby porozmawiać, ale już po chwili leżeli spieczeni i całowali się gorąco. Peter trzymając Paxton w objęciach, delikatnie zsunął z niej koszulę.

Chcę tylko na ciebie popatrzeć — powiedział z czułością, a jego ciało przeniknął nagły ból, gdy ujrzał jej smukłe doskonałe kształty jak rzeźbione. — Och, Boże... Jak ja cię kocham... Ona też go kochała. Teraz była tego pewna. Dlatego bez wahania odpięła guziki jego piżamy. Leżeli tak wtuleni, nie mając śmiałości, żeby zrobić następny krok. Peter gładził długie, jedwabiste włosy Paxton. Potem przesunął dłonie na jej piersi, później na uda. Pieścił ją ostrożnie, żeby jej nie spłoszyć. Ale to właśnie ona zdecydowała za niego. Nie mogła już dłużej czekać. Tak bardzo go pragnęła. Delikatnie ściągnęła z niego spodnie od piżamy, odkrywając jego męskość.

— Paxxie... — wyszeptał chrapliwie — jesteś pewna? — Skinęła z uśmiechem głową i pocałowała go łagodnie. Położył ją delikatnie na plecach, szukając tego, co chciała właśnie jemu ofiarować.

Był nieskończenie delikatny i czuły, tak że prawie nie czuła bólu. Była tylko namiętność, pożądanie, młodość i dary miłości, które chcieli sobie ofiarować. Tej nocy kochali się wiele razy. Gdy Peter się obudził, zobaczył obok siebie Paxxie. Rozrzucone włosy okalały ufną

twarz śpiącego dziecka. Na ten widok łzy zapiekły go pod powiekami. Ta dziewczyna była wszystkim, o czym marzył, wszystkim, czego chciał od życia, i co mia” nadzieję odnaleźć pewnego dnia. Teraz tylko ona wiedziała, jak bardzo ją kochał.

Rozdział VI

Czas upływał niepostrzeżenie. Zbliżał się koniec roku akademickiego. W ciągu minionych miesięcy nastąpiło zaognienie sytuacji w Wietnamie. W święta Bożego Narodzenia partyzanci zrzucili bomby na hotel Brinks w Sajgonie, gdzie byli zakwaterowani amerykańscy oficerowie. Stało się to dokładnie wtedy, gdy w hotelu zebrali się oficerowie z całego Sajgonu. Amerykanie byli wstrząśnięci. Dwóch żołnierzy zginęło, a pięćdziesięciu ośmiu zostało rannych. I znowu Lyndon Johnson nie zgodził się, żeby odpowiedzieć bombami na bomby. Nastąpił jeszcze jeden atak i w końcu, siódmego lutego, prezydent wydał rozkaz przeprowadzenia nalotów bombowych na Wietnam Północny. Dwa i pół tygodnia później, zmasowanym bombardowaniem, rozpoczęła się operacja „Grzmiący Piorun”. Za kolejne dwa tygodnie przybyły pierwsze oddziały wojsk lądowych, a ósmego marca w Da Nang wylądowały oddziały piechoty morskiej. Nie minęły następne dwa tygodnie i została zaatakowana ambasada amerykańska w Sajgonie. Amerykańska opinia publiczna zaczynała rozumieć, że konflikt wietnamski jest sprawą poważną.

W tym samym czasie w Stanach Gwardia Narodowa dostała polecenie ochrony uczestników marszu pokojowego organizowanego przez Selmę i Montgomery”ego, a Uniwersytet Stanowy Michigan przeprowadził pierwszy antywojenny strajk okupacyjny.

Jednak żaden strajk ani żaden marsz nie zatrzymały maszyny wojennej, tak samo jak bombardowanie nie powstrzymało partyzantów. W dalszym ciągu posiłki docierały na południe szlakiem Ho Chi Minha. W maju w dniu obchodów święta sił zbrojnych w całym kraju ruszyły następne antywojenne marsze protestacyjne. Peter i Paxton brali udział w jednym z nich na terenie Berkeley.

Kończył się rok akademicki. Paxton denerwowała się na myśl, że już wkrótce wyjedzie na lato do Sayannah. Przerazała ją świadomość, że nie będzie codziennie widywać Petera. Nie wyobrażała sobie ani jednego dnia bez spotkania z nim.

Peter, zgodnie ze swoimi wcześniejszymi planami, zgłosił się na ochotnika do pracy naukowej w swojej dziedzinie i szykował się do wyjazdu do Missisipi. Obiecał wpadać do niej tak często, jak tylko się da. Paxton miała spędzić lato w Sayannah, pracując w redakcji miejscowej gazety, natomiast Gabby wybierała się z rodzicami do Europy. Gdy ojciec podsunął jej pomysł podjęcia pracy wakacyjnej, prychnęła tylko z niezadowoleniem.

Przyrzekła rodzicom, że poszuka czegoś w przyszłym roku, ale teraz chciała jeszcze ostatni raz spędzić beztroskie lato, bawiąc się wesoło z przyjaciółmi na Riwierze i chodząc po sklepach z mamą w Paryżu. Ed Wilson gderał, że żona zbyt łatwo ulega córce, ale podobnie jak Gabby Marjorie uważała, że „jeszcze jeden rok” może dziewczynie zaszkodzić. Wszyscy troje opuścili Berkeley pierwszego czerwca. Przedtem Peter i Paxton spędzili ostatni weekend we dwoje w wynajętym domku nad jeziorem Tahoe. Po raz ostatni kochali się przed czekającym ich rozstaniem.

— Chyba zwariuję bez ciebie — szepnął, gładząc jej złote włosy. — Będę taki samotny w Missisipi.

— W Sayannah będzie jeszcze gorzej — stwierdziła ponuro Paxtoh. Wkrótce jednak zapomniała o całym świecie w jego ramionach. Był to długi, szczęśliwy weekend. Rodzice Petera podejrzewali, że coś zaszło między ich synem a piękną dziewczyną z Georgii. Gabby również przypuszczała, że związek przyjaciółki i brata nie ma już platonicznego charakteru. Jednak ani Paxton, ani Peter nie puścili pary z ust. Cały wolny czas spędzali ze sobą, ale mieli doskonale wyniki w nauce, więc nie było powodu do flarżek. Razem z Gabby uzgodnili, że na jesieni poszukają jakiegoś domu dla nich trojga. Paxton wiedziała, że wtedy ich tajemnica wyjdzie na jaw. To miała być cena za luksus wspólnego mieszkania.

Gabby pierwsza opuściła San Francisco. Miały zatrzymać się razem z Marjorie w Londynie w hotelu Claridge's przed dalszą podróżą do Paryża. Planowały też odwiedzić przyjaciół. Następnie Paxton, żegnana na lotnisku przez Petera, poleciała do Sayannah. On wyjeżdżał tego samego popołudnia. Do Jackson w Missisipi dotarł akurat w czasie, gdy odbywał się tam marsz protestacyjny, w trakcie którego zatrzymano wiele osób. Peter był jedną z nich. Zwolniono go za kaucją.

Pierwszego dnia w redakcji Paxton, ku swemu rozczarowaniu, odkryła, że skierowano ją do kroniki towarzyskiej. Miała zdawać relacje z tego, kto kogo gościł u siebie, w co był ubrany i czym ostatnio zajmuje się Liga i Stowarzyszenie Cór Wojny Domowej. Było to zajęcie, które nareszcie zaaprobowala jej matka, a które Paxton wydawało się bezużyteczne. Często siadywała w redakcji i wczytywała się w dalekopisy relacjonujące strajki w Alabamie czy rozwój sytuacji w Wietnamie. Prezydent Johnson tego lata dwukrotnie zwiększył pobór do wojska. Paxton wiedziała, że niektórzy jej koledzy ze szkoły zostali wysłani do Wietnamu, a w dwóch rodzinach spotkało to nawet ich młodszych braci. Jeden z nich został zabity. Paxton nie mogła tego słuchać. To ją zbyt przerażało. Co będzie, jeśli powołają Petera?

Dzwoniła do niego prawie codziennie. On też często telefonował. W końcu lipca mógł wreszcie przyjechać do niej na weekend. Planował ten wyjazd już wcześniej, ale dwa razy trafił do więzienia, poza tym praca okazała się bardziej czasochłonna, niż przypuszczał. Paxton nie posiadała się ze szczęścia, gdy wreszcie mogła odebrać go z lotniska. Jak na skrzydłach wybiegła mu naprzeciw i rzuciła się w jego ramiona. Peter był opalony, a jego włosy miały ten sam złoty odcień, co warkocz Paxton.

— Jezu! Jak wspaniale cię znowu widzieć! — Uśmiechnął się szeroko. — Jestem taki zmęczony wyciąganiem ludzi z więzienia, że ledwo patrzę na oczy.

— Na pewno nie tak zmęczony jak ja. Mam już powyżej uszu tych przyjęć i koncertów. Chryste, myślałam, że będę robić coś sensownego, a zamiast tego całe lato piszę o przyjaciółkach mojej matki. Uśmiechnął się do niej pocieszająco i pocałował czule. Miał zamiar zatrzymać się gdzieś po drodze z lotniska, by zaciągnąć ją do łóżka.

— A tak przy okazji, jak tam twoja mama?

— Bez zmian. Nie może się doczekać spotkania z tobą.

— Ho, ho. To brzmi groźnie. Znowu ją pocałował. Nie mógł przestać jej całować. Nie widział jej prawie dwa miesiące. Paxton była równie stęskniona jak on. Wynajęła mu pokój w małym, cichym hotelu za miastem. Nie chciała nieoczekiwanie natknąć się na znajomych matki. Powiedziała mu o tym w drodze do miasta.

— Czy mogę coś zasugerować? — Peter uśmiechnął się i pochylił ku niej, aby ją kolejny raz pocałować.

— Cokolwiek zechcesz. — Paxton promieniała.

— Co powiesz, żebyśmy obejrzelі sobie ten hotel w drodze do domu? — Mrugnął porozumiewawczo, a Paxton wybuchnęła śmiechem.

— To wspaniały pomysł. — Należała do niego. Wzięła dwa dni wolnego, mimo że spodziewano się jej obecności na ważnym ślubie, z którego miała później zdać relację.

Wkrótce przybyli do małego hotelu. Peter ubrany w garnitur i koszulę z krawatem wyglądał bardzo poważnie i odpowiedzialnie, gdy wpisywał do książki meldunkowej panią i pana Wilsonów. Zaniósł potem swą torbę do pokoju, który miał stać się dla nich apartamentem nowożeńców na następne kilka godzin.

Zapadała już noc, gdy Peter spojrział na zegarek. Paxton zerwała się na równe nogi z okrzykiem przerażenia.

— Mój Boże! Moja matka czeka na nas z obiadem.

— Nie jestem pewien, czy będę w stanie wstać, nie mówiąc już o jedzeniu. — Drażnił się z nią. Pociągnął ją z powrotem na łóżko. Po minucie jednak stali już pod prysznicem. Szybko się ubrali. Czuli się jak prawdziwe małżeństwo. — Czy twoja mama wie, że w tym roku będziemy razem mieszkać? — Nie chciał nieopatrnie się wygadać, gdyby okazało się, że Beatrice Andrews nie jest wtajemniczona w sprawę córki.

— Zwariowałeś? Ona myśli, że ja, Gabby i jeszcze jedna dziewczyna wynajmujemy dom, i nawet to zbytnio jej się nie podoba. Ale w końcu dała się ubłagać.

— Cudownie. W takim razie nie powinienem odbierać telefonów. — Nie przeszkadzało mu to, wyglądał raczej na rozbawionego.

Wszystko, czego chciał, to mieszkać z Paxton, nawet jeśli oznaczało to użeranie się z własną siostrą. Gdy był w Jackson, matka dzwoniła, donosząc, że Gabby próbuje uwieść każdego napotanego mężczyznę po trzydziestce.

— Myślę, że wpada w panikę — powiedział, gdy jechali z powrotem do miasta. — Chyba zgłupiała, przecież jest za młoda, żeby wyjść za mąż.

Paxton uśmiechnęła się na te słowa, a on czule ją pocałował.

— To zupełnie co innego. Ona to jeszcze dziecko, a ty nie. Chociaż myślę, że też jesteś za młoda. Jeszcze przez trzy lata. A potem... strzeż się! — Oboje wybuchnęli śmiechem. Paxton wiedziała, że Peter nigdy na nią nie naciskał. Chciał, żeby robiła to, co zaplanowała.

Chociażby jej wakacyjna praca w Sayannah. Ale nawet ona sama musiała przyznać, że bez niego była nieszczęśliwa.

Kiedy zajechali pod dom, George i matka już na nich czekali. Beatrice popatrzyła na Paxton z wyrzutem.

— Spodziewałam się was kilka godzin wcześniej. — Allison też miała brać udział w obiedzie i matka oczekiwała, że Paxton przebierze się ze względu na gościa. Rozczarowała się.

— Pokazywałam Peterowi miasto. Peter — Paxton przybrała oficjalny ton — to jest moja mama, Beatrice Andrews, mój brat George i jego... przyjaciółka Allison Lee.

Matka zwykła podkreślać, że Allison jest spokrewniona z wielkim generałem Konfederacji. Paxton całe lato spodziewała się, że George w końcu zaręczy się z panną Lee, ale on z jakiegoś powodu zwlekał. Miał trzydzieści trzy lata i nie chciał się do niczego spieszyć.

Allison była młodsza od niego tylko o dwa lata i zaczynała się niecierpliwie.

— A to Peter Wilson — przedstawiła go wszystkim, tak jakby nigdy przedtem o nim nie słyszeli. — Jego siostra, Gabby, jest moją współlokatorką. — Każdy wymamrotał uprzejme „bardzo mi miło”, Uściśnięto sobie ręce, po czym George zaproponował Peterowi drinka, a ten poprosił o dżin z tonikiem. Było upiornie gorąco i nawet wentylator niewiele pomógł.

Wszyscy jednak udawali, że tego nie zauważają. Queenie przygotowała swoje najlepsze hors d'oeuvres, a Allison, jak zwykle przesadnie poważna i spięta, nie zwróciła na nie najmniejszej uwagi. Paxton utwierdziła się w przekonaniu, że nie znosi tej kobiety.

Peter chciał zrobić dobre wrażenie na wszystkich. Beatrice była bardzo uprzejma, George wyglądał na szczerze znudzonego, natomiast Allison zdawała się nie zauważać nikogo.

Prawie wcale nie odzywała się do Paxton. Wcześniej kilka razy wspomniała George'owi, że po prostu nie rozumie jego siostry. W głębi serca jednak uważała Paxton za bezczelną i upartą dziewczynę. Tego wieczoru Allison rozprawiła o zasłonach, które zamówiła do swojej sypialni. Peter próbował wyjaśnić sens swojej pracy w Missisipi, ale nikogo to nie

interesowało. Ilekroć zaczynał o tym mówić, Beatrice zmieniała temat. Minęła dłuższa chwila, zanim zrozumiał, że matka Paxton nie pochwała tego, co robił, i stara się powstrzymać go od ośmieszenia się. Gdy to pojął, przeżył wstrząs. Ci ludzie byli dużo gorsi, niż mówiła Paxton. Byli zimni, obojętni i zacofani.

Doszedłszy do takich wniosków, zaczął opowiadać o podróży swoich rodziców do Europy. To był znacznie bezpieczniejszy temat. Beatrice była wyraźnie zainteresowana, słysząc, że państwo Wilson są na południu Francji. Najuprzejmiej jak tylko umiała, zapytała, czym zajmuje się ojciec Petera. Spojrzał zaskoczony. Sądził, że Paxton o tym wspomniała.

— Uhm... — Pracuje dla gazety w San Francisco... — Jakoś niezręcznie było dodać, że jest jednocześnie właścicielem pisma.

— Jak to miło. — Beatrice Andrews powiedziała to z oczywistą dezaprobatą.

— Czy pan planuje zostać prawnikiem? — Skinął tylko głową. Nie mógł wydobyć słowa, zniechęcony jej nieprzyjemnym tonem. Paxton miała rację. Jej matka była jak lodowiec.

— Ojciec Paxton był adwokatem. Jej brat — oczami wskazała śmiertelnie znudzonego George'a — jest lekarzem: — Teraz było jasne, jaki zawód ceniła sobie najwyżej.

— To wspaniale — powiedział Peter sztywno, zastanawiając się, jak długo jeszcze będzie musiał prowadzić tę bezsensowną rozmowę. Nie wyobrażał sobie, jak Paxton mogła wytrzymać ich codzienne towarzystwo. Nic dziwnego, że była taka nieszczęśliwa, kiedy miała wracać do domu. Bardzo się od nich różniła. — A pani, Allison, czym pani się zajmuje?

— Ja... Czemu pan... eee... — Zupełnie nie spodziewała się tego pytania. Nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. Od trzynastu lat, czyli od ukończenia szkoły średniej, czekała na zamążpójście i szukała odpowiedniego kandydata.

— No cóż... Ja... Bardzo lubię zajmować się ogrodem.

— Przecież robisz wspaniałą robotę dla nas w Lidze. Nie zapoininaj o tym, kochanie. — Głos pani Andrews przepełniony był durną. Następnie zwróciła się do Petera. — Stryjeczny pradziadek Allison to generał Lee. Ten generał Lee. Jestem pewna, że wie pan, kim był generał Lee.

— Tak, oczywiście. — Peter miał wrażenie, że za chwilę wybiegnie z tego pokoju z krzykiem. To był najdłuższy obiad w jego życiu, z nie kończącymi się okresami niezręcznego milczenia i urywanymi rozmowami o niczym. Tylko od czasu do czasu Queenie i Paxton starały się podtrzymać go na duchu, mrugając do niego porozumiewawczo lub rzucając mu ciepłe spojrzenia. Chyba minęła cała wieczność, zanim Paxton odwiozła Petera do hotelu. Śmiertelnie wyczerpany opadł ciężko na łóżko i ściągnął krawat z westchnieniem, które nie było w stanie wyrazić jego prawdziwych uczuć. Potem usiadł i popatrzył uważnie na Paxton. Wyszli z jej domu, mówiąc, że idą potańczyć.

— Mój Boże, kochanie, jak ty to wytrzymujesz? To najtrudniejsi we współzyciu ludzie, jakich kiedykolwiek spotkałem. Wiem, że nie powinienem tak mówić o twojej rodzinie, ale myślałem, że ten obiad nigdy się nie skończy.

Paxton uśmiechnęła się od ucha do ucha.

— Wiem. Czyż oni nie są okropni? Nie mam pojęcia, o czym z nimi rozmawiać. Zawsze czuję się obco.

— Bo jesteś im obca. Nawet z wyglądu nie jesteście podobni. Twój brat to najnudniejszy facet, jakiego w życiu widziałem, a jego dziewczyna najgłupsza, najsztynniejsza i najbardziej afektowana lalunia na świecie, a twoja matka..., mój Boże, ona jest jak góra lodowa.

Paxton była szczęśliwa, że ktoś wreszcie wyraził jej uczucia. W tym momencie kochała Petera bardziej niż kiedykolwiek. Poczwała, że jest na tym świecie ktoś jeszcze poza Queenie, kto ją rozmje.

— To cała mama. Świetnie ją określiłeś.

Peter ciągle nie mógł uwierzyć, że tacy ludzie naprawdę istnieją. Tak bardzo różnili się od jego rodziny i od Paxxie.

— Szkoda, że nie mogłem poznać twojego ojca.

— Ja też żałuję. On by cię polubił.

— Jestem pewien, że też bym go polubił. Z tego, co o nim opowiadałaś, wiem, że musiał być wspaniałym człowiekiem. Nie wyobrażam sobie tylko, jak mógł żyć z twoją matką.

— Myślę, że nie był z nią zbyt szczęśliwy. Miałam jedenaście lat, kiedy zginął, więc nie byłam w stanie ocenić ich małżeństwa.

— Może to i lepiej. Dzięki Bogu, przyjechałaś do Berkeley.

Nie mógł nawet wyobrazić sobie, co by się stało z Paxton, gdyby została z matką i bratem w Sayannah. To by ją zniszczyło, wypaczyło jej duszę. On sam, żeby przebrnąć przez obiad, wypił trzy szklanki dżinu. Prawdopodobnie pomyśleli sobie, że jest alkoholikiem.

Paxton została z Peterem tak długo, jak mogła, a potem odwiózł ją wynajętym samochodem do domu i patrzył, jak zamyka za sobą frontowe drzwi. Gdy weszła do holu, z ogromnym zdziwieniem stwierdziła, że matka jeszcze nie śpi i najwyraźniej na nią czeka. Nigdy wcześniej tego nie robiła. Z pewnością nie był to dobry znak.

— Co łączy cię z tym chłopcem? — zapytała w momencie, gdy córka stanęła w drzwiach salonu.

— To mój kolega. Lubię go.

— Jesteś w nim zakochana. — Beatrice wyrzuciła z siebie to oskarżenie, jak gdyby oczekiwała, że Paxton padnie na kolana i zacznie błagać o litość.

— Być może. — Nie chciała kłamać, ale nie zamierzała zaostrzać sytuacji. Matka siedziała w szlafroku na sofie, a obok na stolyczku stała szklanka sherry. — Lubię jego rodzinę. Jego siostra jest moją przyjaciółką, a jego rodzice byli dla mnie bardzo miii.

— Dlaczego? — Było to co najmniej dziwne pytanie i Paxton nie umiała na nie odpowiedzieć.

— Co masz na myśli, mówiąc „dlaczego”? Ponieważ mnie lubią.

— A może raczej uważają, że syn, wiążąc się z tobą, zrobi karierę. Czy pomyślałaś o takiej możliwości?

Paxton nagle zachciało się śmiać, ale opanowała się. Postanowiła nie drażnić matki.

— Myślę, że to mało prawdopodobne.

— Dlaczego?

— Mamo... — Paxton zawahała się. Postanowiła powiedzieć prawdę. — Oni są właścicielami drugiej co do wielkości gazety w San Francisco. „The Morning Sun”. Nie jestem im do niczego potrzebna. Po prostu mnie lubią.

— Wydają się tacy pospolici — stwierdziła Beatrice, ale w jej oczach wszyscy mieszkańcy stanów zachodnich byli tacy, a już szczególnie Peter Wilson. Ci z Zachodu byli jeszcze gorsi niż Jankesi.

— Wcale nie są pospolici. — Paxton zrobiło się nagle bardzo przykro, że matka tak niechętnie odnosi się do jej ukochanego. Było to zupełnie niepodobne do ciepłego przyjęcia, jakiego doznała u Wilsonów.

— Mamo, to są bardzo miii ludzie. Naprawdę.

— Nie życzę sobie, żebyś wracała do Berkeley. — To było tak nieoczekiwane, że Paxton jak ogłuszona opadła ciężko na krzesło. Żałowała bardzo, że matka zaczęła tę rozmowę.

— Mnie się tam podoba. To wspaniała uczelnia. Mam dobre stopnie. Mamo, ja tutaj nie zostanę.

— Zostaniesz, jeśli ci każe. Masz dopiero dziewiętnaście lat, nie pozwolę, żebyś zmarnowała pieniądze, które zostawił ci ojciec. Nie jesteś jeszcze całkowicie niezależna.

— Przykro mi, że tak do tego podchodzisz. — Paxton z całej siły starała się nie stracić panowania nad sobą. Wiedziała, że to by tylko pogorszyło jej sytuację. — Nie zostanę w Sayannah.

Czy mogę spytać dlaczego?

— Ponieważ nie mogę być tu szczęśliwa. Chcę poznać świat. Mam zamiar po studiach wyjechać na trochę za granicę. — Nawet Peter rozumiał tę jej potrzebę.

— Sypiasz z nim, prawda? — To był cios poniżej pasa. Paxton zupełnie się tego nie spodziewała.

— Oczywiście, że nie.

— Wiem, że kłamiesz. Masz to wypisane na twarzy jak tania dziwka. Pojechałaś do Kalifornii i zesłałaś na psy. Nawet twój brat i Allison zauważyli tę zmianę. — To były straszne słowa. Ta ich jednomyślność bardzo ją zabolala.

— Przykro mi, to słyszeć. — Paxton wstała, zdecydowana nie słuchać więcej obelg — Pójdę się położyć, maino.

— Chcę, żebyś przemyślała to, co ci powiedziałam.

— O tym, że jestem dziwką? — zapytała zimno Paxton, lecz jej matka pozostała niewzruszona.

— O tym, żeby zostać. Chciałabym, żebyś się dobrze zastanowiła, zanim wrócisz do Kalifornii.

— Sądzę, że nie będę musiała — stwierdziła ze smutkiem Paxton i poszła na górę do swego pokoju.

Następnego dnia spotkała się z Peterem w hotelu. Nie chciała zbyt wiele mówić o przykrych wydarzeniach poprzedniego wieczoru, ale on się wszystkiego domyślił. Widział to w jej oczach.

— Twoja matka powiedziała ci coś, prawda? Czy była zdenerwowana?

— Zdenerwowana? — Paxton zaśmiała się gorzko. — Nie, moja mama nigdy się nie denerwuje. Była rozczarowana. Zażądała, żebym zrezygnowała z Berkeley. — Peter przestraszył się, że mógłby ją stracić, ale Paxton szybko go uspokoiła. — Mówi, że stałam się dziwką w Kalifornii. Nawet mój brat i Allison to widzą. I to ich bardzo niepokoi.

— To świnię... czy oni... — Był tak wściekły, że nie mógł znaleźć odpowiednich słów.

Paxton ponownie zamknęła mu usta pocałunkiem. Jednak wydarzenia ostatniego wieczoru bardzo ją przygnębiły.

— To nie ma znaczenia. Wrócę do Berkeley za cztery tygodnie. I nie wiem, czy kiedykolwiek znowu tutaj przyjadę. To jest nie do wytrzymania. Oni zawsze próbują mnie zranić.

— Czy ona może cię zatrzymać? — zapytał zdenerwowany Peter. Wiedział, że gdyby zaszła taka potrzeba, byłby szczęśliwy, mogąc zapewnić swej ukochanej środki do życia. Pieniądze nie były żadnym problemem. Paxton jednak potrząsnęła przecząco głową. W dalszym ciągu była smutna, ale wyglądała dojrzałe.

— Nie, nie może. Ojciec zostawił mi akurat tyle pieniędzy, bym mogła ukończyć szkołę i mieć na swoje utrzymanie w okresie studiów. A potem i tak będę musiała pracować, więc nie robi to żadnej różnicy. Prawdopodobnie matka utrzymywałaby mnie, gdybym wróciła do domu i zgodziła się spędzić tu resztę życia. Nie zrobię tego, dobrze wiesz dlaczego, więc nic nie tracę. To naprawdę nie zmienia sytuacji. Po prostu nie mogę tu wrócić. W każdym razie, nie na stałe. — Była całkowicie zdecydowana.

— A co z Queenie? — Peter wiedział, jak bardzo Paxton jest przywiązana do swojej starej niani.

— Wrócę, żeby się z nią zobaczyć. Będę musiała. — Paxton uśmiechnęła się. Jej przyszłość to był on i studia w Kalifornii. Co ważniejsze, było to jej własne życie. Wiedziała o tym. Jej matka również zdawała sobie z tego sprawę, i to ją przerażało. Nie miała już żadnej kontroli nad Paxton.

Peter wyjechał następnego dnia. Paxton cierpiała katusze, patrząc, jak odjeżdża, a on miał wyrzuty sumienia, zostawiając ją wśród ludzi, którzy jej nie kochali. Obiecał dzwonić co najmniej raz dziennie albo jeszcze częściej, oczywiście jeśli nie będzie akurat w więzieniu. Próbował żartować, żegnając ją na lotnisku. Całował ją długo i gorąco, zapewniając o swojej miłości. Prosił, aby nie przejmowała się rodziną.

Nie marnowali żadnej okazji, żeby jej dokuczyć. Matka traktowała ją jak wroga, a George kilkakrotnie powtarzał, że Paxton nie powinna wracać do Kalifornii, gdyż jest to winna matce.

— Chcę zostać kimś i jestem to sobie winna, George — odpowiedziała mu bez owijania w bawełnę. Już się go nie bała. Nie robił na niej żadnego wrażenia, chociaż był od niej dużo starszy. Wyglądał żałośnie. Małomiasteczkowy lekarz uwiązany do maminej spódnicy, obawiający się jakichkolwiek więzi uczuciowych. Paxton wiedziała, że jej związek z Peterem był głębszy i bardziej dojrzały niż znajomość George'a i Allison.

— Przecież możesz zostać kimś tutaj. — George starał się przekonać siostrę na dzień przed jej wyjazdem. Ich matka spędzała ten wieczór w klubie brydżowym.

— Gówno prawda! — wybuchnęła Paxton. — Popatrz na siebie, na naszych znajomych. Popatrz na Allison... Na dziewczęta, z którymi chodziłam do szkoły.

— Uważaj na to, co mówisz, Paxton! — Był wściekły, że wyraziła się o nim lekceważąco. Paxton także nie panowała nad swą złością. Zbyt długo milczała. — Nabiłaś sobie głowę głupimi pomysłami i brzydkimi wyrazami. To do ciebie nie pasuje.

— To też nie. To nie jestem ja. Ja nigdy taka nie byłam. Tatuś też taki nie był.

Prawdopodobnie musiał z tym żyć, ponieważ był człowiekiem honoru i uważał, że to jego obowiązek.

— Nic o nim nie wiesz. Byłaś dzieckiem, kiedy zginął.

— Wiem, że był dobrym człowiekiem o wielkim sercu i że go kochałam.

Nie wiesz, co on zrobił mainie. — Ton jego głosu sugerował, że było to coś okropnego. Nie mogła w to uwierzyć.

— Co takiego mógł jej zrobić? — Nie wyobrażała sobie, co by to mogło być. George nie potrafił powstrzymać się, żeby jej nie zranić. Była to jego zemsta za jej niezależność, której on nigdy nie miał i nie będzie miał, gdyż był zbyt podobny do matki i nie dość podobny do ojca. W przeciwieństwie do Paxton.

— Gdy zginął, była z nim kobieta.

— Kobieta? — Paxton z początku poczuła się zaskoczona, lecz po chwili zaczęła się zastanawiać. Kobieta. To wyjaśniało wiele spraw. Paxton mogła zrozumieć, dlaczego ojciec potrzebował innej kobiety. Nie dziwiło jej to. To śmieszne, ale była nawet zadowolona. Jeśli ojciec znalazł sobie kogoś, kogo pokochał, i kto odwzajemnił tę miłość, to znaczy, że na to zasługiwał. Nie zasługiwał jednak na to, żeby z tego powodu ginąć. Ale nie dlatego zginął. To był przypadek, pech. Najwidoczniej tak było mu pisane, tam, na górze. — Nie zaskoczyłeś mnie — dodała cicho. George wyglądał na rozczarowanego. — Maina zawsze była wobec niego taka zimna. Pewnie potrzebował czegoś więcej, niż była w stanie mu dać.

— Co ty, w twoim wieku, możesz o tym wiedzieć?

— Wiem, co to znaczy być jej córką — powiedziała bez ogródek. George był zaszokowany.

— I twoją siostrą. Bardzo się różnimy.

— Och, z pewnością — odciął się z dumą. — Z pewnością. A ty lepiej się zastanów nad tym, kim się stajesz w Kalifornii, wśród hipisów, narkotyków, demonstracji i tych wszystkich głupców z kwiatami we włosach, ubranych w prześcieradła i demonstrujących swoje poparcie dla czarnych, których w życiu nie widzieli.

— A może oni wiedzą więcej niż ty, George. Może im na czymś zależy. I może właśnie o to mi chodzi.

— Jesteś głupia.

— Nie. — Potrząsnęła głową, patrząc mu prosto w oczy. — Nie. Ale byłabym głupia, gdyby została tutaj. Do widzenia, George. — Wyciągnęła do niego rękę, ale on nie ujął jej w swoją. Popatrzył tylko na nią i kilka minut później wyszedł z domu. Paxton nie widziała się z nim już do końca pobytu w Savannah.

Tym razem pożegnanie z Queenie było trudniejsze i bardziej bolesne. Paxton zdecydowała już, że w tym roku nie przyjedzie do domu na Boże Narodzenie. Chociaż nie powiedziała o tym niani, stara kobieta przeczuwała, że długo nie będą się widzieć. popatrzyła jej smutno w oczy, przytulając Paxton mocno do siebie.

— Kocham cię, moja dziewczynko. Dbaj o siebie.

— Ty też. I koniecznie pójdz do lekarza, gdy złapie cię kaszel. — Queenie wyraźnie się postarzała, jej ruchy były wolniejsze i Paxton trochę się o nią niepokoiła. — Kocham cię — wyszeptala i pocałowała ciepły, czarny policzek.

Matka ani brat nie towarzyszyli Paxton w drodze na lotnisko. Beatrice pożegnała się z córką w holu, dając jasno do zrozumienia, że jest bardzo rozczarowana decyzją powrotu do Kalifornii. Nikt nie będzie tu tęsknić za Paxton, gdyż zawiodła jako człowiek, jako obywatelka stanu Georgia, jako córka i siostra. To wszystko było bardzo wyczerpujące.

— Tracisz swój czas w Berkeley.

— Przykro mi, że tak to widzisz, mamó. Właśnie bardzo staram się go nie tracić.

— Słyszałam, że w redakcji byli z ciebie zadowoleni. — Był to chyba jedyny komplement, jaki usłyszała od matki. — Mogłabyś pracować w dziale towarzyskim na stałe, gdybyś tylko się postarała. — Paxton wiedziała, że raczej by umarła, niż spędziła resztę życia, 〴r sując śluby znajomych.

— Dziękuję. Dbaj o siebie. Było jej przykro z powodu wyjazdu, ale jednocześnie czuła ulgę. Ogarnął ją smutek, gdy uświadomiła sobie dystans dzielący ją od rodziny.

— Uważaj na tego chłopaka. To nic dobrego.

— Peter? — Jak można było tak o nim powiedzieć? Był taki ciepły i dobry, taki uczciwy, że słowa matki nią wstrząsnęły. Co też takiego wiedziała, czego nie wiedziała Paxton?

— Ma to wypisane na twarzy. Jeśli mu tylko pozwolisz, wykorzysta cię i porzuci. Oni wszyscy są tacy. — To stwierdzenie dotyczyło raczej jej samej niż Paxton, i Paxton domyśliła się tego. Współczuła matce. To musiał być dla niej straszny cios, gdy dowiedziała się, że w samolocie z jej mężem była inna kobieta. A on nie odzyskał już przytomności, żeby cokolwiek wytłumaczyć. George nie wyjaśnił, kim była ta kobieta ani czy przeżyła katastrofę, ale może to nie miało znaczenia.

— Zadzwoń, kiedy będę znała swój numer.

Matka tylko pokiwała głową. Nigdy nie próbowała zbliżyć się do córki, nie pocałowała jej. W drodze na lotnisko Paxton mogła myśleć o powrocie do Berkeley, do Petera. Kiedy znalazła się już na pokładzie samolotu, nie poświęciła ani jednej myśli swemu rodzinnemu miastu.

Rozdział VII

Mieli mnóstwo szczęścia. W dwa tygodnie udało im się znaleźć dom, który odpowiadał ich potrzebom. Znajdował się na Piedmont, posiadał dwie sypialnie, ogromny salon, dużą słoneczną kuchnię i wspianiały ogród. Gabby nie była zbyt zaskoczona, gdy okazało się, że to nie ona będzie dzielić sypialnię z Paxton, lecz Peter. Tego lata na Riwierze straciła

dziewiectwo z przystojnym, młodym Francuzem i uważała się teraz za dorosłą, światową kobietę. Była podekscytowana odkryciem, że brat od miesiący miał romans z jej najlepszą przyjaciółką. Petera wcale nie bawiła taka postawa Gabby. Zapewnił ją, że jeśli zdradzi komuś ich tajemnicę lub w jakiś sposób skompromituje Paxton czy wreszcie poinformuje rodziców, gorzko tego pożałuje.

Jednak obeszło się bez komplikacji. Gdy państwo Wilson przyjechali do nich w odwiedziny, dziewczęta podjęły gości obiadem. Cała trójka żyła zgodnie pod wspólnym dachem. Miłość młodych kochanków kwitła, a dwie przyjaciółki były sobie bliskie jak nigdy dotąd. Tylko Gabby zmieniała chłopców jak rękawiczki. Peter często zapominał się i udzielał Gabby rad jako starszy brat. Paxton ciągle mu przypominała, żeby nie wykorzystywał sytuacji i przestał pouczać siostrę. Peter nie zawsze potrafił się pohamować.

Drugi rok prawa wymagał dużo pracy. Peter całymi godzinami ślęczał nad książkami, by utrzymać te same wyniki, co dotychczas. Paxton także miała mnóstwo roboty, więc większość czasu spędzali na nauce, ato w bibliotece, ato w domu. Prawie nie wychodzili na miasto. W wolnych chwilach Paxton uczęszczała na dodatkowe zajęcia i od czasu do czasu pisywała krótkie artykuły do gazety uniwersyteckiej. Gdy widziała w druku swoje nazwisko, dreszcz podniecenia przechodził jej po plecach. Był to chyba najszcześniejszy okres w ich życiu. W połowie października Peter spalił swoją książeczkę wojskową przy pełnej aprobacie Paxton. Do Wietnamu ścignięto ciężkie bombowce B-52, aby wspierały siły lądowe, i ta powietrzna kawaleria zaczęła odgrywać ważną rolę w walce z partyzantami. Wojna przybierała na sile. Paxton była coraz bardziej przerażona. Ojciec Petera wciąż twierdził, że należy użyć jeszcze więcej bomb i żołnierzy. Paxton i Peter wierzyli, że Stany Zjednoczone powinny jak najszybciej wycofać się z Wietnamu, ale nie mogli przekonać pana Wilsona do swych racji.

Paxton ponownie spędziła Święto Dziękczynienia w domu Wilsonów. Wydawało się jej, że zna ich wszystkich od lat, tak stali się jej bliscy. Trudno jej było uwierzyć, że związek z Peterem trwa dopiero rok. Miała wrażenie, że zawsze byli razem. Państwo Wilsonowie zaczęli coś podejrzewać, ale się nie wtrącali, chociaż Marjorie nieraz pytała Eda, czy nie powinna porozmawiać z młodymi.

— Po co? Są już odpowiedzialnymi ludźmi. Czy myślisz, że rozmowa cokolwiek da?

— Może powinni się zaręczyć?

— A co to zmieni? Jeśli będą chcieli się pobrać, to zrobią to. A jeśli nie, to nie. Zresztą są jeszcze zamłodzi, by się żenić. Peter w przyszłym miesiącu skończy dwadzieścia cztery lata, a Paxton nie ma nawet dwudziestu. Po prostu poczekaj. Oni wiedzą, co robią, wierz mi.

Również na święta Bożego Narodzenia Paxton przyjechała do domu rodzinnego Petera.

Pewnego dnia z przerażeniem przeczytała w „Morning Sun”, że liczba żołnierzy w Wietnamie zwiększyła się do dwustu tysięcy.

— To szaleństwo — powiedziała przy śniadaniu do Petera.

— Wiem. — Patrzył na nią strapiony. Martwił się, że wyrzucą go ze studiów. Czasami było tak ciężko, że z trudnością dawał radę. Perspektywa pójścia do wojska była jeszcze bardziej przerażająca.

— Czy ludzie nie rozumieją, co się tam dzieje? Giną każdego dnia młodzi chłopcy. Nie tylko Wietnamczycy, ale też Amerykanie. Wysyłają tam nawet osiemnastolatków.

— Jestem już za stary na tę wojnę. — Peter wyszczerzył zęby w uśmiechu i nalał jej następną filiżankę kawy.

— Jeśli cię kiedyś wezmą do wojska, wiedz, że albo osobiście strzelę ci w tyłek albo pożyczę ci moją Czarną koronkową bieliznę i kupię ci bilet do Toronto.

— Świetny pomysł. Pod warunkiem, że ty będziesz w bieliznie.

— To da się załatwić. — Przechyliła się i pocałowała go. W tym momencie do kuchni weszła Gabby.

— Wy znowu razem? Niedobrze już mi się robi na ten widok. — Pokpiwała z nich, ale w głębi serca sprzyjała im. Kochała ich oboje. Tylko też chciała mieć kogoś dla siebie i trochę im zazdrościła.

Nieoczekiwanie spełniły się jej marzenia, kiedy po świętach wszyscy troje pojechali na narty. Pewnego dnia na stoku Gabby pędziła z góry na złamanie karku. Zbyt późno zauważyła na swojej trasie innego narciarza. Wpadli na siebie. Leżeli chwilę bez tchu, a potem spróbowali się podnieść, sprawdzając, czy są cali i zdrowi.

— A to dopiero. Nic ci nie jest? — Gabby popatrzyła ze zdumieniem na młodego, mężczyznę, ubranego w jednoczęściowy kombinezon narciarski. Wyglądał jak gwiazdor filmowy. Okazało się, że nazywał się Mathew Stanton. Miał ciemne włosy, intrygujące niebieskie oczy i wypielęgnowaną brodę. Przyglądał się jej z zaciekawieniem, gdy otrzepywała się ze śniegu, przepaszając za nieuwagę. Tego dnia towarzyszył jej w drodze do hotelu, a potem codziennie zapraszał na lunch i kolację. Peter i Paxton prawie jej nie widywali, nie licząc krótkich momentów, gdy machała im z windy na do widzenia albo gdy spieszyła się na spotkanie z Mathew. Nowy znajomy Gabby miał trzydzieści dwa lata i pracował w reklamie. Podczas pobytu w górach prawie się nie rozstawali. W Berkeley było tak samo. Gabby wracała z randek nad ranem.

— Sądysz, że to coś poważnego? — zapytała Paxton. Uczyli się właśnie z Peterem do końcowych egzaminów w sesji.

— A kto to może wiedzieć? Nie mam pojęcia, jak on może z nią Wytrzymać. — Paxton widziała, że zakochana para jest szczęśliwa.

Matt przyznał, że się rozwiódł. Nie miał dzieci. Najwyraźniej był dobrze sytuowany.

Wydawał mnóstwo pieniędzy na prezenty

dla Gabby, na kwiaty, tomiki poezji, bransoletki i inne drobiazgi, które lubiła. Był pogodnym mężczyzną pełnym fantazji, skorym do zabawy.

— Jest za stary, żeby go wysłali do Wietnamu. — Do listy jego zalet Paxton dodała jeszcze jedną. — To naprawdę ważne.

— To niesmaczne — zauważył Peter. Jednak Paxton miała rację. Codziennie młodzi Amerykanie ginęli w Wietnamie. Jedenastego stycznia studenci, którzy brali udział w demonstracjach, zostali zakwalifikowani do pierwszej kategorii rekrutów. Decyzja ta spowodowała prawdziwy wybuch gniewu w Kalifornii. Trzy tygodnie później prezydent Johnson wznowił po przerwie świątecznej ataki bombowe na Wietnam Północny. Przerwa trwała trzydzieści osiem dni. Wszystko zaczynało się od nowa. Paxton nie mogła przestać myśleć o przerażającej machinie wojennej. Nie opuszczała jej obawa, że Peter może w końcu zostać pochwycony w jej tryby.

W czasie świąt Paxton kilkakrotnie rozmawiała przez telefon z rodziną w Sayannah. Matka cały czas napomykała, że George być może sprawi im na wiosnę niespodziankę. Właściwie nie była to żadna niespodzianka. Byłoby co najmniej dziwne, gdyby w końcu się nie zaręczył. Miał już przecież trzydzieści cztery lata. Queenie znowu chorowała i Paxton bardzo się o nią martwiła. Jednak przez dłuższy czas nie miała okazji, by ponownie zadzwonić do domu, a kiedy wreszcie to zrobiła, jej stara piastunka stwierdziła, że czuje się znacznie lepiej.

— Na pewno mówisz prawdę?

— A czy skłamałabym mojej dziewczynce? — Jednak obie dobrze wiedziały, że postąpiłaby tak dla spokoju sumienia Paxton.

W marcu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego roku oddziały rządowe ponownie przejęły Da Nang z rąk komunistów. Peter i Paxton wzięli udział w antywojennej manifestacji, która trwała trzy dni.

W tym czasie Paxton załatwiła sobie pracę na wakacje. Ojciec Petera zaoferował jej etat młodszego reportera w swojej gazecie. Na początku wahała się, czy powinna przyjąć propozycję. Nie chciała wykorzystywać znajomości z Peterem. Jednak oferta była

interesująca. Ojciec Petera zapewnił, że nie będzie musiała opisywać przyjęć ani pokazów mody. Teraz pozostawało tylko powiedzieć matce, że w tym roku nie przyjedzie na lato do Savannah.

Pojawiła się w domu na Wielkanoc, aby to wyjaśnić. George wreszcie się zaręczył. Ślub miał odbyć się latem. Allison nie poprosiła, by Paxton została jej druzną, co znacznie ułatwiło całą sprawę. Paxton mogła powiadomić rodzinę, że przyjedzie tylko na ślub, a potem wróci do San Francisco. Wyjaśniła, że otrzymała wspaniałą propozycję pracy w redakcji „Morning Sun”. Beatrice natychmiast oskarżyła Petera o zbyt wielki wpływ na Paxton.

To nie ma z nim nic wspólnego. Po prostu mam możliwość pracy w bardzo ważnej gazecie. Takiej szansy się nie odrzuca.

— Gdzie twoja lojalność? Tam czy tutaj? — rzuciła oskarżycielsko matka.

— Nie o to chodzi. Przede wszystkim powinnam być wierna sobie. To może zaważyć na mojej przyszłości.

— Tylko to cię obchodzi — wyszczała Beatrice przez zaciśnięte zęby. Paxton nie miała zamiaru wdawać się w kłótnię i szybko zmieniła temat rozmowy. Spytała o zbliżający się ślub brata. Przyjęcie weselne miało się odbyć w Oglethorpe Club. Państwo młodzi planowali zaprosić „tylko” około setki gości. Paxton z trudem wyobrażała sobie Allison w roli panny młodej. W jej wieku urządzać takie huczne wesele. To śmieszne.

Paxton odwiedziła kilka swoich dawnych koleżanek. Była zdumiona, gdy dowiedziała się, ile spośród nich wyszło już za mąż, a ile jest zaręczonych. Niektóre mężatki, te z dłuższym stażem, oczekiwały kolejnego dziecka. Paxton poczuła się nagle bardzo staro, mimo niedawno ukończonych dwudziestu lat.

— Myślisz, że on się z tobą ożeni? — Pewnego dnia Queenie zapytała ją o Petera. Paxton uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami. Nie rozmawiali ostatnio o małżeństwie. Nie zamierzali na razie zakładać rodziny, ale w końcu kiedyś to zrobią. Jeśli Peter będzie chciał na nią zaczekać. Już teraz była bardzo do niego przywiązana i nie wyobrażała sobie życia bez Petera.

Wizyta w domu okazała się mniej denerwująca, niż się spodziewała. Jedyne stan zdrowia Queenie ją niepokoił. Paxton bardzo się tym martwiła. Gdy wyjeżdżała, stara Murzynka, mimo potężnej tuszy, wyglądała wątło. Paxton poprosiła George’a, żeby miał na nią oko. Nikt nie wiedział, ile dokładnie lat liczy Queenie, ale jasne było, że nie jest już taka silna jak przedtem.

Stosunki między Paxton a matką nadal były napięte, ale Paxton starała się o tym nie myśleć. Obiecała przyjechać w lecie na ślub George’a. W Berkeley czekał na nią stęskniony Peter. Pod wieloma względami ich związek przypominał małżeństwo.

Następnego dnia z Hawajów wróciła Gabby. Oczy błyszczały jej jak gwiazdy i miały jakiś niezwykle wyraz. Paxton przypomniała sobie, że kiedyś widziała już u kogoś takie spojrzenie. Dni mijały szybko. Zbliżał się koniec maja. Ostatnio większość czasu Gabby spędzała w łóżku. Całymi godzinami spała, prawie nigdzie nie wychodziła, chyba że wieczorami z Mattem. Nagle Paxton doznała olśnienia. Gabby była w ciąży. Pewnego dnia, gdy zostały same w domu i nikt nie mógł ich usłyszeć, spytała Gabby wprost:

— Jesteś w ciąży, prawda? — Zdecydowała się nie owijać niczego w bawełnę, tylko przejść od razu do rzeczy. Gabby odwróciła się do niej i spojrzała ze zdumieniem.

— To śmieszne. Dlaczego tak sądzisz? — Przez moment wyglądała na przerażoną.

— Bo jesteś. Chyba nie zaprzeczysz?

— Ja... nie, me jestem... To głupie, co mówisz... Ja... Ja... — Zabrakło jej słów. Opadła na krzesło i kryjąc twarz w dłoniach, wybuchnęła płaczem. Paxton usiadła obok niej i objęła ją ramieniem.

— Masz jakieś plany? — zapytała łagodnie.

— Nie wiem... Myślałam, że mi się opóźniło, ale... A teraz już nie wiem, co robić.

— Powiedziałaś Mattowi? — Gabby pokręciła przecząco głową. — Jak długo jesteś w ciąży?
— Nie wiem. Chyba około sześciu tygodni. Zaczęłam się już dowiadywać o możliwość zabiegu. Opowiadają straszne historie o Meksyku albo wschodnim Oakland. Nie chcę, żeby mi się coś takiego przytrafiło. Co będzie, jeśli umrę?
— Możesz pojechać do Tokio albo do Londynu.
— Tak, i co powiem rodzicom? Że jadę w podróż służbową? Albo wykonuję pracę badawczą w ramach studiów? Do diabła, Paxxie, co robić?
— Chcesz urodzić dziecko?
— Sama nie wiem — odparła Gabby szczerze. Ciągle o tym myślała i me mogła się zdecydować. Była w kropce. Rozmowa z Paxton przyniosła jej ogromną ulgę.
— A co z Mattem? Chcesz z nim być?
— Chyba tak. Jest dla mnie dobry. I taki uroczy. Myślę, że go kochani.
— Musisz mieć pewność, jeśli zdecydujesz się urodzić dziecko.
— Jak mogę być pewna? Czy w ogóle kiedykolwiek będę pewna? Ty chodzisz z Peterem już dwa lata i czy jesteś go pewna?
— Tak — odparła zdecydowanie Paxton. — To siebie nie jestem pewna. Swojej dojrzałości. Ale wiem, że go kocham.
— W takim razie masz szczęście. Ja nie jestem taka jak ty.
Gabby poznała Matta po ostatnim Bożym Narodzeniu. Czasami Paxton wydawało się, że chłopak Gabby był przesadnie miły, nazbyt sympatyczny, jakby chciał coś zataić. Trudno było ocenić, co się kryło pod maską ogłady. Paxton podejrzewała, że dla Matta nie bez znaczenia jest fakt, że Gabby pochodzi z zamożnej i szanowanej rodziny.
— Co masz zamiar zrobić? — Paxton ponowiła pytanie. — Postanów, zanim będzie za późno. — To była prawda. Po upływie trzech miesięcy Gabby nie mogłaby nawet marzyć o aborcji.
— Och, Boże. Paxxie, nie mów tak.
— Dlaczego mu nie powiesz?
— A co będzie, jeśli wtedy mnie zostawi?
— Wtedy przynajmniej będziesz wiedzieć, co to za facet.
— A jeśli on mi nie pomoże?
— To będziesz musiała sama sobie poradzić. Najpierw zastanów się, czego ty pragniesz. To wielka odpowiedzialność. Na całe życie. — Miała koleżanki, które żałowały, że założyły rodzinę. Ich małżeństwa, do których albo same dążyły za wszelką cenę, albo zostały zmuszone, nie okazały się udane.
W pewnym momencie w kuchni pojawił się Peter. Obie nagle umilkły.
— Chryste, co jest z wami? Czy zrobiłem coś, czego nie powinienem?
— Skąd. Nie bądź niemądry. — Paxton pocałowała go czule. — Jak ci poszły egzaminy? — Peter kończył drugi rok prawa i oboje wiedzieli, że należy on do najtrudniejszych.
— Chyba wszystkie oblałem. Jutro rano powinienem znaleźć się na pokładzie samolotu do Wietnamu.
— Daj spokój. Obyś nie wypowiedział tego w złą godzinę. — Paxton niespodziewanie przygasła.
— Nie bądź przesadna. — Peter odstawił filiżankę z kawą i pocałował Paxton. Gdy Gabby wychodziła z kuchni, popatrzył uważnie za siostrą.
— Co z nią? — zapytał szeptem. — Zerwała z tym facetem? — Peter nie mógł zapamiętać, jak on się nazywał, co nie wróżyło dobrze. — Jest dla niej za stary. Poza tym za bardzo interesuje się moim ojcem. — Paxton też tak uważała, ale w tej sytuacji nie chciała głośno przyznać mu racji.
— Sądzę, że po prostu jest snobem. To jeszcze nic strasznego — powiedziała wymijająco, a Peter od razu wyczuł nieszczerłość w jej głosie. Jednak nie chciał na nią naciskać. Kiedy tego

samego wieczoru zjawił się Matt, Gabby miała na sobie ogniście pomarańczową, krótką sukienkę i olbrzymie plastikowe klipsy. Jednak pomimo tego stroju wyglądała niezwykle poważnie. Gdy wróciła po niecałej godzinie, była bliska hysterii. Nie zważając na obecność brata, zwróciła się wprost do Paxton.

— Powiedział, że musi się nad tym zastanowić. I jak ci się to podoba? — Wybuchnęła płaczem i pobiegła do swojego pokoju. Drzwi zaniknęły się za nią z trzaskiem. Oszołomiony Peter obserwował całe zajście bez słowa. Nagle zrozumiał, w czym rzecz, i spojrzał zaniepokojony na Paxton.

— O, cholera! Ona chyba nie jest...? Powiedz, że nie jest... proszę albo ją zamorduję. A potem zabiję drania. — Zacisnął szczęki. Paxton złapała go za rękę i potrząsnęła.

— Nic nie zrobisz. Pozwolisz im samym rozwiązać ten problem.

— Och, Paxxie... — W oczach miał łzy. Patrzył na nią z niedowierzaniem. — Jak ona mogła? Przecież ten facet to kretyn, czy ona tego nie widzi?

— Może wcale nie jest taki zły. Ochłonie i wszystko się wyjaśni. — Naprawdę miała taką nadzieję. Jeśli tak się nie stanie, Gabby znajdzie się w nie lada kłopotcie.

— Uważam, że powinna zrobić zabieg. Bo ona jest w ciąży, prawda? — Miał oczywiście rację. Paxton przytaknęła. — Jak to się mogło stać?

— To był przypadek.

— Takie przypadki się nie zdarzają. Tobie się nie przytrafiło. Czy ona nie używa pigułki? — Paxton przecząco pokręciła głową.

— Chryste. Co na to powiedzą rodzice?

— Nikt nie będzie nic mówił. Najpierw pozwólmy jej zdecydować. Ona nawet nie wie, czego chce.

— Tak bardzo chciała wyjść za męża, a teraz popatrz, unieszczęśliwił ją jakiś bubek na nartach. — Paxton się roześmiała.

— Przestań. On wcale nie jest bubkiem. Spotkali się na stoku, a z tego co wiemy, to dla niej idealny mąż. — Jak tylko to powiedziała, rozległ się dzwonek do drzwi. To był Mathew. Poważny i smutny, zapytał, czy może zobaczyć się z Gabby.

— Jest w swoim pokoju — odparła Paxton, rzucając niespokojne spojrzenie w stronę Petera.

— Może pójdziemy na pizzę albo coś takiego?

— Nie jestem głodny — burknął Peter, mierząc Matta wzrokiem pełnym wściekłości. Jednak Paxton zdołała jakoś wywlec Petera z domu mimo jego gniewnych protestów.

— Dlaczego nie mogę z nim porozmawiać?

— Bo on nie chce rozmawiać z tobą, tylko z Gabby. Na miłość boską, zostaw ich samych.

— Ale dlaczego? Zobacz, do czego doszło, gdy byli sami.

— Takie rzeczy nie zdarzają się dwa razy. Więc pilnuj swego nosa.

— Przecież to moja siostra.

— Myślę, że teraz on jest ważniejszy niż ty. A poza tym, chce mi się jeść.

— Tylko mi nie mów, że ty też jesteś w ciąży, bo cię porzucę.

— Naprawdę byś tak postąpił? — Spojrzała na niego z zainteresowaniem. Peter zatrzymał samochód i odpowiedział z poważną miną.

— Nie, jeśli chcesz wiedzieć. Gdyby to nam się kiedykolwiek przydarzyło, Pax, nie chciałbym, żebyś popełniła jakieś głupstwo. Do diabła, przecież już praktycznie jesteśmy małżeństwem. Po prostu zalegalizowalibyśmy nasz związek, a ja zaopiekowałbym się dzieckiem w czasie twego pobytu w Korpusie Pokoju.

— W twoich ustach brzmi to kusząco. — Wyraźnie się z nią drażnił, ale jednocześnie zapewniał, że w każdej chwili może się

Z nią ożenić.

Przytulił ją.

— Kocham cię... bardzo. Pragnąłbym, żebyś pewnego dnia uro

dziła moje dziecko.

— Ja też tego chcę — wyszeptala, ale teraz nie była w stanie wyobrazić sobie tego. Nie mogła sobie też wyobrazić Gabby z dzieckiem.

Kiedy wrócili, Gabby i Matt siedzieli na schodkach przed domem. Gabby już nie płakała, co Paxton uznała za dobry znak. Na ich widok Matt wstał i zdenerwowany spojrział na Petera.

— Chciałbym z tobą porozmawiać — powiedział.

— O czym? — Peter nie miał najmniejszego zamiaru niczego mu ułatwić, ale Gabby nie wytrzymała. Szybko podniosła się i zwróciła do starszego brata:

— Bierzymy ślub. — Popatrzyła na niego, potem na Paxton i wybuchnęła płaczem. Paxton objęła ją i uściśkała serdecznie, zapewniając, że bardzo się cieszy z tego powodu.

— Czy już rozmawiałaś z mamą i tatą? — roztropnie zapytał Peter. Dobrze wiedział, że nie zdążyli jeszcze tego zrobić.

— Matt idzie jutro z tatą na lunch — Peter obrzucił siostrę i jej narzeczonego przeciągłym spojrzeniem. Widać było, że coś go gryzie.

— Czy powie mu, że jesteś w ciąży?

— Nie — odparła Gabby drżącym głosem. — A ty?

— Jeszcze nie wiem — odpowiedział szczerze Peter. Matt objął Gabby.

— Dostyc tego. Nie ma powodu, by kogokolwiek wtajemniczać. — Popatrzył na swego przyszłego szwagra. — Niech to pozostanie między nami. Nie trzeba martwić waszych rodziców. To było i tak trudne dla nas wszystkich. Mnie niemaize zważyło z nóg. Ale przecież wszystko się ułożyło. Kocham ją, ona kocha mnie, a wkrótce będziemy mieć wspaniałe dziecko. — Przytulił mocniej Gabby, całując ją w czubek głowy, a ona popatrzyła na niego z wdzięcznością, z trudem powstrzymując łzy. Mógł przecież posłać ją do diabła. Jednak Peter doskonale zdawał sobie sprawę, że wejście do rodziny Wilsonów wiązało się z wieloma korzyściami. Matt tak wiele nie ryzykował.

Peter spojrział badawczo na siostrę.

— Czy jesteś pewna, że tego naprawdę chcesz?

— Tak, teraz jestem. Tylko z początku nie wiedziałam, co robić. — Zerknęła nerwowo na Paxton. To był wielki krok naprzód. Ze studentki college'u nagle miała stać się żoną i matką.

— Co masz zamiar powiedzieć rodzicom?

— Że chcemy się pobrać... niedługo... na przykład za kilka tygodni albo może za miesiąc.

— Sądziś, że się nie domyślą? Mama będzie bardzo rozczarowana, jeśli nie zgodzisz się na huczne wesele.

— Powiem, że Matt tego nie chce, bo jest rozwodnikiem. — Wzruszyła ramionami. — A dziecko urodzi się dwa miesiące przed terminem. Będzie wcześniakiem. Przecież to się często zdarza. — Uśmiechnęła się radośnie do Matta. Paxton obserwowała ich uważnie. To było zdumiewające. W ciągu zaledwie kilku godzin życie przyjaciółki uległo radykalnej zmianie. Nagle nie należała już do nich, lecz do Matta. Tego wieczora poszła z nim do jego mieszkania, a kiedy Paxton ponownie ją ujrzała, była kompletnie odmieniona. Matt kupił jej pierścionek. Mówiła wyłącznie o ślubie. Nareszcie dostała to, czego chciała. Męża. Jednak Paxton ciągle nie była pewna, czy Mathew Stanton jest odpowiednim kandydatem. Ed Wilson miał podobne wątpliwości, lecz córka nie chciała nawet słyszeć o przesunięciu terminu ślubu. Jego prośby nie odniosły żadnego skutku, więc w końcu dał za wygraną. Gabby była taka uparta. Wiedział, że gdyby musiała, uciekłyby do Meksyku, żeby wyjść za mąż.

Data ślubu została ustalona na czerwiec. Młodzi nalegali, żeby zaprosić tylko kilku przyjaciół, a przyjęcie weselne urządzić w domu. Tak jak przewidywał Peter, Marjorie Wilson była gorzko rozczarowana.

Czwartego czerwca, w dzień ślubu, Paxton stała obok panny młodej i płakała, ponieważ nie była do końca przekonana, czy Gabby dokonała właściwego wyboru. W styczniu miało

urodzić się dziecko. Ed Wilson zorientował się w sytuacji. Nawet Marjorie nie dała się oszukać. Jednak wszyscy robili dobrą minę do złej gry i modlili się, żeby Matt okazał się porządnym człowiekiem.

Po uroczystościach weselnych Peter i Paxton wrócili do swego domku w Berkeley. W następnym tygodniu mieli się wyprowadzić, a jeszcze się nie spakowali. Przeprowadzali się do mniejszego lokum. Nie musieli już kryć się z tym, że będą razem mieszkać. Postanowili nie informować matki Paxton, znajdowała się wystarczająco daleko, by uwierzyć w opowieści córki.

— No cóż — zaczęła poważnie Paxton, kiedy dotarli do domu. Zdjęła kapelusz i popatrzyła na stosy pudeł. Gabby i Matt pojechali w podróż poślubną. Najpierw do Nowego Jorku, a stamtąd do Europy. — Co o tym wszystkim sądzisz? Myślisz, że jakoś im się ułoży?

— Nie wiem, Pax. — Nikt tego nie wiedział. Dla dobra Gabby mogli tylko tego sobie życzyć.

— Przynajmniej on jest dla niej miły.

— Lepiej, żeby był — burknął Peter, a Paxton pochyliła się, żeby go pocałować.

Następnego tygodnia wyjeżdżała na ślub brata. George i Allison także zdecydowali się pobrać w czerwcu. Paxton miała wrażenie, że znajduje się na jakiejś diabelskiej karuzeli, pakując się, przeprowadzając, rozpakowując i lecąc do Sayannah.

Gdy przybyła na miejsce, Queenie nie wyglądała dobrze. Natomiast Beatrice wydawała się łagodniejsza niż zwykle. Najwyraźniej stosunki między nią a synową układały się dobrze, co osłabiło trochę jej urazę do Paxton.

Dwa dni później, po weselu, Paxton wróciła do San Francisco, żeby rozpocząć pracę w gazecie. Peter zatrudnił się na okres wakacji w firmie prawniczej w Berkeley. Teraz, kiedy zamieszkali sami, stanowili niemal małżeństwo. Uwili gniazdko w ślicznym domku z dużym salonem, kuchnią, jadalnią, ogrodem i sypialnią na piętrze. Peter miał gabinet, gdzie trzymał wszystkie książki prawnicze. Paxton gotowała obiady, które jedli wspólnie, gdy wracali wieczorem po pracy. Czasami jedli na mieście. Paxton uwielbiała swoją pracę. Wreszcie dostawała interesujące zadania, miała do czynienia z ciekawymi sprawami. Czasami stała w pokoju redakcyjnym i czytała dalekopisy. Miała wtedy wrażenie, że trzyma rękę na pulsie świata. Nigdy przedtem nie była tak szczęśliwa.

Gabby wróciła z wakacyjnych wojaży we wrześniu. Państwo Wilson wiedzieli teraz oficjalnie o dziecku, lecz Matt był bardzo dobry dla ich córki, więc wszyscy byli zadowoleni.

Dni i miesiące mijały tak szybko, że wierzyć się nie chciało. Paxton mieszkała w Berkeley już od trzech lat. Tego roku pojechała na Boże Narodzenie do Sayannah. Queenie była chora.

Wyglądała blado, o ile to w ogóle możliwe. Nawet jej córki nalegały, żeby zrezygnowała z pracy i wreszcie porządnie odpoczęła. Niania nie chciała o tym słyszeć. Przecież przyjechała jej ukochana dziewczynka. Paxton była naprawdę przerażona, ale kiedy prosiła George'a, żeby zajął się leczeniem Queenie, ten stwierdził, że już nic mu da się zrobić. Nie interesował się starą kobietą, służącą. Cały czas myślał o Allison i dziecku, które miało się urodzić w sierpniu następnego roku.

Dziecko Gabby przyszło na świat trzy tygodnie po powrocie Paxton do Berkeley. Była to małeńka dziewczynka o ognistorudych włosach swojej matki. Gdy Paxton odwiedziła je w szpitalu, nie mogła uwierzyć, że Gabby została matką. Matt był uradowany, podobnie jak jego teściowie. Pannie czuła dziwną pustkę w sercu.

— Dobrze się czujesz? — zapytał Peter, gdy jechali do domu. Nie mówiła zbyt wiele, odkąd wsiedli do samochodu. Spojrzała na niego z bladym uśmiechem.

— Tak. To zabawne widzieć Gabby z niemowlęciem, prawda? Jesteśmy już razem tak długo, ponad dwa lata, i znamy się tak dobrze. A oni poznali się raptem rok temu i, zobacz, są szczęśliwym małżeństwem z malutkim dzieckiem. Wydaje mi się to takie dziwne.

— Pewnie masz rację — uśmiechnął się. — Ale to da się załatwić, jeśli tego właśnie pragniesz.

— Nie, w każdym razie nie teraz. — Zrobiło jej się smutno, ponieważ chciała mieć wszystko naraz, i była już zmęczona szkołą. Tęskniła też za pracą w redakcji. Teraz znowu nastał czas egzaminów, kolokwiów, sprawdzianów i lekturę.

W tym czasie liczba żołnierzy amerykańskich w Wietnamie wzrosła do czterystu tysięcy.

Łatwiej było znieść bezsens tej wojny, jeśli pozostawało się obojętnym. Paxton nie była

obojętna. Obchodziło ją to nawet mocno, gdyż za pięć miesięcy Peter kończył studia.

Była w kiepskim nastroju, gdy kładła się spać. W ramionach Petera uświadomiła sobie, że dręczy ją zazdrość o dziecko Gabby.

— O czym myślisz? — W ciemnościach padło pytanie Petera.

— O tym, jaka jestem głupia. — Uśmiechnęła się, a on wybuchnął śmiechem.

— To zabawna myśl.

— Czasami mam siebie dosyć.

— Znowu myślisz o dziecku? — Niemowle było słodkie, to prawda. Gabby i Matt stanowili teraz całość, pełną rodzinę. Trochę im

tego zazdrościła. Chociaż me planowała urodzenia dziecka w najbliższej przyszłości, wiedziała, że potrafiłaby je... pokochać.

— Pax, jeśli chcesz, możemy wziąć ślub w czerwcu, gdy skończę studia. Będę miał już pracę... Kochanie, bardzo tego pragnę. — Gdyby otrzymał powołanie do wojska, czułby się bezpieczniej.

— Nie jestem przekonana, czy powinniśmy to robić. Popatrz na Gabby, ona nie wróci już na studia. A ja mam zamiar skończyć.

— A co z Korpusem Pokoju?

Uśmiechnęła się.

— Myślę, że z tego zrezygnuję. Nie jestem pewna, czy dałabym sobie radę.

— W takim razie jesteśmy umówieni? — Też się uśmiechał. — Czerwiec tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku, gdy skończysz studia? — To było tylko za siedemnaście

miesiący i właściwie Paxton nie miała nic przeciwko temu. — Co ty na to, kochanie?

— Moja odpowiedź brzmi: tak... I kocham cię...

— Też cię kocham. — Nie posiadał się ze szczęścia. — Czy to znaczy, że jesteśmy

zaręczeni?

— Na to wygiąda, prawda? — Zachichotała.

— Czy mogę kupić ci pierścionek?

— Może z tym powinniśmy poczekać. — To byłby już poważny krok. Musiałaby powiadomić matkę i wysłuchać jej tyrad i narzekań, że nie poślubia dżentelmena z Południa. — Może poczekamy do Bożego Narodzenia?

— Zaczynam już oszczędzać — powiedział i przytulił się do niej mocniej. Wkrótce zasnęli w swoim przytulnym domku w Berkeley.

Rozdział VIII

Peter ukończył wydział prawa w czerwcu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku. Jego rodzice zorganizowali z tej okazji huczną uroczystość w Bohemian

Ciub w San Francisco. Było to wydarzenie towarzyskie, w którym nie omieszkały wziąć udziału wszystkie ważne osobistości miasta, nie wyłączając nowego szefa Petera

z bardzo dużej firmy prawniczej. Państwo Wilsonowie przedstawia

li Paxton jako przyszłą synową, a ona nie miała nic przeciwko temu. Matt i Gabby także przyszli pogratulować Peterowi sukcesu.

Gabby wyglądała pięknie i cały czas mówiła o swojej córce.

— Jestem gotowa urodzić następne dziecko — zwierzyła się, kiedy poszły poprawić makijaż. Paxton zauważyła, że Gabby nigdy przedtem nie wyglądała ładniej.

— A co ze szkołą?

— I tak nie mam zamiaru już tam wracać. Nie jestem taka jak ty. Pragniesz zostać dziennikarką, pracować zawodowo, zrobić karierę, chcesz coś udowodnić. A mnie, Pax, wystarczy małżeństwo i dzieci.

Paxton uśmiechnęła się ponuro.

— To brzmi jak marzenie mojej matki. Przynajmniej Allison spełni pokładane w niej nadzieje i odwróci uwagę ode mnie. Będzie rodzić w sierpniu. Chyba będę musiała tam polecieć, żeby zobaczyć

ich dziecko. — Tego lata znowu miała pracować w „Morning Sun”. Obiecano jej stały etat reportera. Przedtem czekał ją jeszcze jeden rok studiów. — Więc kiedy ma się urodzić następny mały Stanton? — zapytała Paxton z uśmiechem. Gabby i Matt nazwali córeczkę Marjorie Gabrielle, a wołali na nią Marjie. — Teraz chyba kolej na chłopca?

— Tak chciałby Matt. — Gabby promieniała. Miała dwadzieścia jeden lat, była mężatką i matką. Spełniły się jej marzenia. Paxton planowała skończyć szkołę, dostać ciekawą pracę i wyjść za mąż. W tej kolejności.

— Czy on jest dla ciebie dobry? — zapytała, chociaż doskonale wiedziała, że nie było to konieczne.

Och, tak — odparła cicho Gabby, patrząc poważnie na przyjaciółkę i przyszłą bratową. — Miałam szczęście. Mógł przecież okazać się prawdziwą świnią. Jest zakochanym tata.

— Bardzo się cieszę — szczerze powiedziała Paxton. Wyszły w końcu z Łazienki i wróciły do stołu.

— Co wyście tam robiły? Wszędzie was szukałem — oznajmił Peter z wyrzutem. —

Chciałem cię przedstawić żonie mojego szefa. To Angielka i myślę, że ją polubisz. — Jednak nigdzie nie mogli jej znaleźć. Był to długi szczęśliwy dzień. Wrócili zupełnie wyczerpani do swego małego domku w Berkeley. Zdecydowali, że będą go wynajmować jeszcze przez następny rok ze względu na Paxton. Potem pobiorą się i wtedy przeprowadzą do miasta.

— To był wspaniały dzień. — Paxton uśmiechnęła się do Petera. — Jestem z ciebie taka dumna... Zrobiłeś to! — On też wyglądał na zadowolonego. Jego rodzice nie posiadali się z radości. Cieszyli się szczęściem obojga swoich dzieci i szczerze pokochali Paxton, a ona pokochała ich. Długo w nocy Paxton i Peter gawędzili o tym cudownym dniu.

Lato minęło niezwykle szybko. Peter był zajęty całymi dniami w firmie, a Paxton prawie nie wychodziła z budynku redakcji gazety. Tuż przed rozpoczęciem roku szkolnego poleciała do Sayannah, żeby spotkać się z matką i zobaczyć dziecko George'a. Był to chłopiec i jej brat wprost nie posiadał się z dumy. Nadał synowi imiona James Carlton Andrews. Dziecko było śliczne, a Allison czuła się dobrze. Nawet Beatrice zmieniła się na korzyść.

Tylko Queenie bardzo się postarzała i ledwo mogła się ruszać z powodu reumatyzmu.

— Czemu się mą nie zajmiesz? — Paxton natarła na brata, ale George ją zbył. Miał ważniejsze sprawy na głowie. — Ona nie pójdzie do żadnego lekarza. Ufa tylko tobie, George.

— Ale tu nic nie da się zrobić. To po prostu starość, Pax. Do diabła, przecież ona ma już chyba z osiemdziesiątkę.

— No to co? Gdyby ktoś się nią odpowiednio zajął, mogłaby dożyć setki. — George nie odpowiedział, chociaż nie podzielał optymizmu siostry. Przez ostatnie kilka lat Queenie gwałtownie się posunęła. Niania nie będzie żyła wiecznie.

Ale Paxton nie rezygnowała i przed wyjazdem jeszcze raz mu przypomniała, żeby zajął się Queenie. Spędziła z nią ostatnie popołudnie.

— Czy w końcu wyjdiesz za niego? — spytała zrzędliwie niania, gdy Paxton napomknęła o Peterze.

— Wstępnie ustaliliśmy datę ślubu na czerwiec przyszłego roku. — Naprawdę chciała najpierw rozpocząć pracę. Nadal dużą wagę przykładała do swej niezależności.

— Na co czekasz, dziewczyno? Na siwe włosy czy pełnię księżyca? Znacicie się już trzy lata.

— Wiem. Ale najpierw chcę ukończyć naukę.

— Przecież możesz być mężatką i jednocześnie uczęszczać na uczelnię. Jesteś wystarczająco inteligentna, żeby podołać wszystkim obowiązkom. Więc w czym tkwi problem?

— Chyba w mojej głupocie. Ciągłe mi się wydaje, że muszę zakończyć jedno, a potem rozpocząć drugie.

— Nie zwlekaj zbyt długo. — Queenie popatrzyła na dziewczynę, którą wychowała, i pomyślała sobie, że Paxton jest piękniejsza niż kiedykolwiek. Wyglądała poważniej i dojrzalej, a jej rysy wyszlachetniały. Również ciało nabrało pełniejszych, bardziej kobiecych kształtów.

— Co masz na myśli? — Paxton nagle się zaniepokoiła.

— Może znaleźć sobie kogoś innego, kto nie będzie chciał czekać. A może jakaś dziewczyna zagnie na niego parol i złapie w swoje sidła... albo ja nie... czasami życie może spłatać ci figla. Nie należy zwlekać zbyt długo. Jeśli nie zrobisz czegoś, póki możesz, potem jest już za późno... Kochanie, myślę, że powinnaś wyjść za męża. — Paxton podejrzewała, że stara kobieta chce doczekać jej ślubu, by móc się cieszyć szczęściem wychowawicy. Przecież wiedziała, że Peter poczeka. Nie uganiał się za dziewczynami. Tego była pewna. Poza tym zwlekali już tak długo, że mogą jeszcze wytrzymać ten jeden rok do przyszłego lata. Tego samego dnia, gdy Paxton wróciła do Berkeley, prezydent Thieu wygrał wybory w Wietnamie Południowym. Od początku walk w Wietnamie zginęło trzynaście tysięcy Amerykanów, a siedmiuset pięćdziesięciu sześciu zaginęło.

Gabby oznajmiła, że znowu jest w ciąży. Dziecko miało się urodzić w czerwcu przyszłego roku. Paxton wydawało się to tak odległe w czasie, zupełnie tak samo jak jej ślub.

Czwarty rok na Uniwersytecie Kalifornijskim mijał niepostrzeżenie. Dni biegły jeden za drugim jak szalone. Paxton coraz częściej rozmawiała z Peterem o planach na przyszłość. Wszyscy razem spędzili święta Bożego Narodzenia w domu Wilsonów, a potem, tak jak w ubiegłych latach, Paxton i Peter wybrali się na narty do Squaw Valley. Bawili się wspaniale, Wspominali okoliczności spotkania Gabby i Matta przed dwoma laty. Tyle się przez ten czas wydarzyło. Również oni sami dużo przeżyli razem przez te trzy i pół roku znajomości. W niedalekiej perspektywie Paxton czekały końcowe egzaminy. Potem podejmie pracę w redakcji i przed końcem lata wyjdzie za męża. Wszystko wydawało się proste i niezbyt odległe.

Kiedy wrócili do domu do Berkeley, w skrzynce czekał list z komisji poborowej. Wzywali Petera. Gdy Paxton czytała to wezwanie, czuła, że serce jej zamiera.

— Chryste, co my teraz zrobimy? — zapytała z przerażeniem w oczach.

— Módlmy się — odparł, a później, jeszcze tego samego wieczoru, zadzwonił do ojca. Ed Wilson powiedział, że jeśli chodzi o komisję poborową, to nie ma żadnych wpływów, ale zapytał syna wprost, czy Paxton byłaby skłonna wyjść za niego.

— Jestem pewien, że zrobiłaby to — stwierdził Peter, a ona od razu odgadła, o czym mówią.

— Ale chcemy poczekać do lata. — Wiedział, jak wielką wagę przykłada Paxton do ustalonej wcześniej kolejności poczyńań.

— Nie jestem pewien, czy powinniście zwlekać. Jeśli ślub może cię uchronić przed wojkiem, pobierzcie się - radził ojciec Petera.

Do niedawna respektowano dokument ślubu, ale teraz trudno było

przewidzieć orzeczenie komisji. Ostatnio nie brano pod uwagę świeżo zawartych małżeństw. Prawdopodobnie było już za późno.

A Peter naprawdę nie chciał wywierać presji na Paxton.

— Zobaczmy, tato. Może zmienią zdanie, kiedy stanę przed I komisją lekarską. Za sześć tygodni skończę dwadzieścia sześć lat. To im się nie opłaca. Chcą młodych. — Kiedy jednak odwiesił słuchawkę, Paxton miała łzy w oczach.

— Nie bądź głuptaskiem, kochanie. — Przyciągnął ją do siebie. — Jestem za stary. Nie wezmą mnie.

— A jeśli wezmą?

— Zobaczysz, że nie.

— Pobierzmy się. — Chciała to zrobić natychmiast, ale według niego nie miałyby to żadnego znaczenia.

— Nie powinniśmy tego robić w ten sposób. Nie po to czekaliśmy trzy i pół roku, żeby teraz gnać na złamanie karku i w panice brać ślub.

— Dlaczego nie? Peter, ja nie chcę czekać. — Nagle przypomniała sobie słowa Queenie: „... czasami życie może spłatać ci figla. Nie należy zwlekać zbyt długo...”

— Chcę wziąć ślub.

— Przestan pamkować — Próbował nadac swemu głosowi spokojne brzmienie. Pierwszy raz widział ją tak zdenerwowaną. — Jutro porozmawiam ze swoim szefem.

Szef podzielał opinię Petera Nie powołają kogos, kto za miesiąc kończy dwadzieścia sześć lat, wiek zwalnający ze służby wojskowej.

To by po prostu nie miało sensu. A jeśliby się upierali, praw - dopodobnie mógłby odpowiednio długo zwlekać ze stawieniem się przed komisją To w koncu tylko szesc tygodni.

Jednak Okręgowa Komisja w Oakland po przeprowadzeniu badań lekarskich orzekła, że poborowy Peter Wilson może zostać wcielony do armii. Stało się. Znalazł się w wojsku i żadne z nich nie mogło w to uwierzyć. Paxton miała wrażenie, że nadszedł koniec świata. Chciała ukryć Petera, ale on nie pozwoliłby jej na to.

Chociaz me wierzył w wojnę i spalił kiedys swoją książeczkę wojskową, uznał, że jako odpowiedzialny, dorosły mężczyzna, syn wydawcy „Morning Sun”, musi wypełnić obywatelski obowiązek. Nawet gdyby miał wątpliwości, co do sensowności tego działania.

To był koszmar. W Wietnamie, jak podawały mass media, dwadzieścia tysięcy komunistów maszerowało na południe, aby przeprowadzić ataki w czasie Tet, święta wietnamskiego Nowego Roku. Dwudziestego trzeciego stycznia wojska Korei Północnej zajęły USS Pueblo. Tego dnia Peter miał się stawić w forcie Ord. Paxton miała go zobaczyć dopiero za osiem tygodni, a potem Bóg jeden wiedział, gdzie go skierują. Liczył na to, że jako prawnik prawdopodobnie dostanie jakąś pracę za biurkiem i nie znajdzie się na polu walki. Starał się natchnąć otuchą rodziców i Paxton, ale się bał.

— Peter, proszę, jedźmy do Kanady... Zrobię wszystko — błagała Paxton, ale on nawet nie chciał słuchać.

— Nie bądź śmieszna. Chcę, żebyś kontynuowała naukę. — Wiedział, że baidzo jej zależało na ukończeniu studiów. Poza tym nie miał zamiaru uciekać. Postanowił stawić czoło przeciwnościom losu. Dwa lata to jeszcze nie koniec świata. Gdyby chciał otrzymać szlify oficerskie, musiałby służyć dłużej. Nie odpowiadało mu takie rozwiązanie. Chciał jak

najszybciej wrócić do domu. Paxton jednak nie ustawała w błaganiach aż do dnia wyjazdu. Nawet odwiozła go do fortu Ord, płacząc rzewnymi łzami przy pożegnaniu.

— Zobaczmy się za kilka tygodni, najdroższa. A teraz przestań płakać. — Nalegał, żeby wróciła do San Francisco i zamieszkała z jego rodzicami. Paxton spełniła jego prośbę, jednak po kilku dniach wróciła do ich domku w Berkeley, w którym byli tacy szczęśliwi. Każdego wieczoru czekała na jego telefon. Nie mogła się uczyć, nie potrafiła się skupić, myślała tylko o Peterze. Kiedy po długich ośmiu tygodniach zadzwonił, dowiedziała się, że przyjeżdża do domu na weekend. Nie przywiózł dobrych wiadomości. Przyjechał do domu, żeby zawiadomić o swoim wyjeździe do Sajgonu. Mieli dla siebie tylko pięć dni.

Rozdział IX

Krótki okres, który pozostał Peterowi przed

wyruszeniem

na wojnę, stał się udręką dla całej rodziny, a zwłaszcza dla Paxton. Wszyscy chcieli się nim nacieszyć, nagadać z nim, zapewnić o swojej miłości. Ojciec próbował uruchomić znajomości. Po raz kolejny okazało się, że nic nie da się zrobić. Wielu znalazło się w takiej samej sytuacji jak Peter. Ich rodziny desperacko chwyciły się najrozmaitszych sposobów zwolnienia z wojska synów, mężów. Nadaremnie. Peter musiał jechać, ponieważ został powołany. Jedyne, co mógł zrobić, to nie dać się zabić. Skierowano go do Wietnamu na trzynaście miesięcy, tj. trzysta dziewięćdziesiąt pięć dni. Potem zostanie przydzielony do służby gdzieś w Stanach i będzie po wszystkim. Peter twierdził, że oznaczało to po prostu niewielkie opóźnienie w ich planach. Nic ponadto. Starał się uspokoić Paxton. Oboje wiedzieli, że to połprawda, że przez najbliższe miesiące będą wstrzymywac oddech i modlic się, by nic mu się nie przytrafiło, by przeżył i cało wrócił do domu. Paxton dręczyło poczucie winy. Czowała się winna, ponieważ wcześniej nie wzięła ślubu z Peterem.

— Jedźmy do Kanady — szeptała do niego pewnej nocy, gdy leżeli w gościnnym pokoju w jego rodzinnym domu. Państwo

Wilsonowie chcieli, by Peter spędził te ostatnie dni w domu.

Zaprosili też Paxton. Oczekiwali, że młodzi zajmą osobne pokoje, więc Peter przekradał się w nocy po cichu do pokoju Paxxie i wracał do swojego wczesnym rankiem. I tak nie mogli spać. Paxton była zbyt przygnębiona, a Peter zdenerwowany. W ciągu dnia starał się wszystkich podnosić na duchu, ale w nocy musiał mocować się z własnym strachem.

Przez ostatnie dwa miesiące schudł i zmęźniał. Jednak w jego oczach czaił się niepokój i lęk. Paxton krajało się serce. Znała opinię Petera o wojnie w Wietnamie i wiedziała, że nie ma ochoty brać w niej udziału. Zdecydował, że musi.

— Nie możemy pojechać do Kanady, Pax — uznał. Zapalił następnego papierosa. Przedtem mało palił, ale w obozie rekrutów palenie stało się nawykiem. — Co, u diabła, bym tam robił?

— Jesteś przecież prawnikiem. Bez trudu znalazłbyś pracę.

— Złamałbym serce ojcu. Poza tym nie mógłbym tu wrócić.

— Bzdura. Zbyt wielu młodych Amerykanów przebywa w Kanadzie. Władze będą musiały zmienić stanowisko w tej sprawie.

— A jeśli nie? Wtedy nigdy nie będę mógł wrócić. Kochanie, nie warto ryzykować. — A jeśli w ogóle nie wróci? Czy to było warte ryzyka? I znowu nie mogła uwierzyć, że znaleźli się w

takiej sytuacji. Miał przecież dwadzieścia sześć lat, był prawnikiem, mieli się pobrać, a oni wysyłają go do Wietnamu. Koszmar.

— Peter, proszę. — Wyciągnęła do niego rękę w ciemnościach. Przytuliła ją i płakali oboje. Nie wolno mu ulec jej prośbom. Nie będzie uciekał. Wprawdzie nigdy nie chciał walczyć, nie wierzył w słuszność tej wojny. Jednak wiedział, że musi pojechać. Pragnął służyć ojczyźnie. W czasie szkolenia nauczono go nienawidzić „żółtków”. Opowiadano mrozące krew w żyłach historie o dzieciach uzbrojonych w karabiny maszynowe, partyzantach ukrytych w krzakach, pułapkach i podziemnych tunelach pełnych wietnamskich żołnierzy, czekających, żeby go zabić. Były i inne sprawy, o których nie mówiono. Rozpacz po śmierci przyjaciela, paraliżujący strach przed wejściem na minę, wstręt do samego siebie, gdy zabijesz kobietę z dzieckiem, bo jesteś tak przerażony, że nie możesz trzeźwo myśleć.

Mimo to Peter był przekonany, iż jest odpowiednio przygotowany, i w ciągu tych ostatnich dni wiele razy zapewniał Paxton, że będzie uważać i nie zrobi nic nieprzemysłanego.

— Przyniesiesz? — domagała się kolejnej obietnicy, zanim wrócił nad ranem do swojego pokoju. Peter pocałował ją.

— Obiecuję. — A potem dodał z uśmiechem: — Obiecuję, że wrócę do ciebie... w jednym kawałku... gotowy, żeby się z tobą ożenić i mieć czternaścioro dzieci. Lepiej przygotuj się na to, Pax. Będę już wtedy starym facetem.

— Przecież wiesz, że możemy się pobrać, zanim wyjedziesz. — Była gotowa natychmiast wziąć z nim ślub i on o tym doskonale wiedział. Jednak nie chciał się żenić na chybcika, pod presją. Marzył o uroczystym ślubie w otoczeniu rodziny i przyjaciół. Istniała też możliwość, że Paxton zostanie wdową. Wolał tego uniknąć. Wiedział, że ona zaczeka na niego.

— Kocham cię... — wyszeptała Paxton jeszcze raz, a on pocałował ją w odpowiedzi i poszedł do swego pokoju. Nadchodził ranek ostatniego dnia marca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku. Następnego dnia wyjeżdżał do Wietnamu. Miał jeszcze dużo do zrobienia.

Na obiad przyjechali Gabby i Matt z dzieckiem. Manie miała już piętnaście miesięcy i właśnie nauczyła się chodzić, więc wszędzie było jej pełno. Gabby była w siódmym miesiącu ciąży. Peter długo z nią rozmawiał. Potem spacerowali w ogrodzie. Gdy wrócili, oboje wyglądali tak, jakby płakali. Ale wszyscy tego dnia płakali, nawet ojciec Petera.

Wieczorem, kiedy Gabby i Matt wrócili do siebie, państwo Wilsonowie, Peter i Paxton usiedli przed telewizorem i słuchali przemówienia prezydenta Johnsona. Ponowił on obietnicę zmniejszenia liczby ataków bombowych i przyrzekł dążyć do zawarcia pokoju. Zaskoczył wszystkich, oznajmiając, że nie będzie kandydował w następnych wyborach. Przynajmniej było o czym rozmawiać. O czymś innym niż wyjazd Petera.

Tej nocy Peter przyszedł do pokoju Paxton, zanim jego rodzice położyli się spać. Nie miał zamiaru czekać ani chwili dłużej. Leżeli razem całą noc objęci i płakali. Nie chciał ginąć ani nikogo zabijać, nie chciał opuszczać ukochanej dziewczyny. Mimo to nawet przez chwilę nie kwestionował faktu, że nie może uciec z wojska, odmówić ojczyźnie w potrzebie.

Nad ranem obserwowali z okna wschód słońca, a potem wrócili do łóżka i kochali się po raz ostatni. Gdy w końcu Peter wyszedł, żeby wrócić do swojego pokoju, wpadł prosto na swojego ojca.

— Dzień dobry, tato. — Uśmiechnął się smutno. W oczach Eda Wilsona załśniły łzy. Jego syn, tak niedawno jeszcze był chłopcem, a teraz to dorosły mężczyzna. Tak bardzo bał się, że może go na zawsze utracić.

Tego dnia wszyscy razem zasiedli do śniadania. Elegancko ubrani, z twarzami ściągniętymi i poważnymi, jedli w całkowitym milczeniu. W końcu Peter odezwał się pierwszy, powoli odsuwając swoje krzesło od stołu.

— No cóż, moi drodzy, chyba długo nie będę jadł takiego śniadanka. — Następnym posiłkiem nie będzie spożywał w jadalni, na rodowej porcelanowej zastawie przy stylowo udekorowanym stole. Nie będzie wokół niego ludzi, których kocha, i którzy go kochają. —

Będzie mi was brakować. — Szczerłość jego słów spowodowała, że wszyscy zaczęli płakać. Obiecywali sobie, że będą dzielni, i zapewniali go, że będą za nim bardzo tęsknić. Paxton uświadomiła sobie dobitniej niż inni, jak wiele mają szczęścia, że imiieją wyrazić to, co do niego czują. Gdyby to jej brat ruszał na wojnę, matka nie byłaby w stanie powiedzieć mu, jak bardzo się o niego boi, jak jej smutno z powodu jego wyjazdu i jak bardzo go kocha. Pół godziny później cała czwórka wyruszyła do bazy Trayis Air Force w Fairfield. Peter włożył mundur, a jego dobytek mieścił się w ogromnym worku. Miał rozkaz zameldować się przed południem. Nie znał wprawdzie dokładnego czasu odlotu samolotu, ale skoro już ich pożegnał, nie miało to większego znaczenia.

Dzień był słoneczny i ciepły. Szofer Wilsonów w milczeniu zawiózł ich na miejsce. Kiedy przybyli do Fairfield, wysiadł i uścisnął rękę Petera z podziwem i uwielbieniem.

— Życzę ci szczęścia, synu. Daj im popalić. — Sam brał udział w drugiej wojnie światowej i dla niego wojna nie była pustym słowem. Wtedy było oczywiste, kto był wrogiem, a kto przyjacielem. Znał również powód, dla którego znalazł się na wojnie. Peter miał mniej szczęścia.

— Dziękuję, Tom. Dbaj o siebie. — Te same słowa powtarzał każdemu, a matkę długo trzymał w ramionach.

— Uważaj na siebie, mamó... Kocham cię... — Miała ochotę zawodzić, dać upust swej rozpacz. Zamiast tego dzielnie walcząc ze łzami, kiwnęła tylko głową i pocałowała go raz jeszcze. Mocno trzymała męża za rękę. Peter żegnał się z Paxton.

— Kocham cię... — wyszeptał i nic więcej nie był w stanie powiedzieć przez ściśnięte gardło.

— Uważaj na siebie. — Odwrócił

się i zniknął w drzwiach ogromnego budynku. Dalej nie mogli mu towarzyszyć i Ed Wilson był z tego nawet zadowolony. Już i tak pożegnanie było wystarczająco bolesnym przeżyciem dla nich wszystkich. Pomyślał, że Marjorie nie zniosłaby widoku samolotu uwożącego jej dziecko daleko, tam gdzie jego życie może być zagrożone.

Pomógł dwóm płaczącym kobietom wsiąść do limuzyny.

— Powinam była wyjść za mego... — szlochała Paxton, a Marjorie potrząsnęła głową.

— Nie mogłaś przecież przewidzieć tego, co się stało. Mój Boże, mam nadzieję, że będzie ostrożny. Wracali do San Francisco.

Paxton zjadła lunch z rodzicami Petera. Byli zbyt wyczerpani, by rozmawiać, więc posiłek upłynął w smutnej ciszy. Po południu spakowała swoje rzeczy i wróciła do domku w Berkeley. Tego samego dnia wyznaczono egzamin z ekonomii, ale wcześniej już zdecydowała, że do niego nie przystąpi. Nie miała głowy do nauki. Cały czas myślała o Peterze, którego najpierw zawiozą na Hawaje, potem do Guam, a stamtąd do Sajgonu. Być może stamtąd zatelefonuje. Nie było wiadomo, gdzie zostanie skierowany po Sajgonie.

Paxton miała nadzieję, że nigdzie. Przy odrobinie szczęścia mogli go przydzielić do pracy za biurkiem. Paxton wielokrotnie prosiła Petera, żeby wykorzystał fakt, iż jest prawnikiem. Niestety, nie wcielono go do korpusu prawnego. Wtedy zostałby w Stanach. Armia nie potrzebowała prawników w Wietnamie. Potrzebowała natomiast zwyczajnych żołnierzy, którzy by walczyli, szukali min i tropili „żółtków” w ich tunelach i kryjówkach.

Rodzice Petera usilnie nalegali, żeby Paxton dzwoniła do nich, wpadała na obiad i odwiedzała, kiedykolwiek zechce. Pierwszy samotny dzień, dzień bez Petera, Paxton spędziła w ich wspólnym łóżku. Dotykała jego ubrań i wzdychała zapach wody kolońskiej, którą były jeszcze przesiąknięte. To była namiastka obecności Petera.

Po południu zadzwoniła Gabby i obie się popłakały. Wyjazd brata tak bardzo przygnębił Gabby, że nie cieszyła się nawet Z dziecka, które wkrótce miało przyjść na świat.

— Po prostu chcę, żeby Peter wrócił do domu. — Łkała. Zawsze byli sobie bliscy, szczególnie w ciągu ostatnich kilku lat, gdy związał się z Paxton.

— Ja też — powiedziała Paxe, rozglądając się po pustej kuchni.

— Czy wiesz, że dziś jest prima aprilis? — Paxton uśmiechnęła się blado.

— Czy to znaczy, że odeślą go dzisiaj wieczorem i powiedzą „przepraszamy”?

— Powinni..., świnię... — Paxton usłyszała płacz Marjie. Gabby musiała kończyć. Obiecała, że później zatelefonuje.

Gdy ponownie rozległ się dzwonek telefonu, wybiła północ. Paxton jeszcze nie spała. Leżała w łóżku i myślała o Peterze. I oto nieoczekiwanie usłyszała jego głos. Dzwonił z Guam. Miał tylko kilka minut między lotami, ale pragnął jej powiedzieć, że bardzo ją kocha.

— Kocham cię... Uważaj na siebie. — Kocham cię! — A potem już go nie było. I znów leżała, nie śpiąc aż do rana.

Następnego dnia nie poszła na zajęcia. Potrzebowała czasu, a miała jeszcze oddać dwie prace pisemne. Ostatnie wydarzenia, począwszy od zawiadomienia z wojska, ogromnie ją przytłoczyły. Żyła w nieustannym napięciu. Wyniki w nauce odzwierciedlały stan jej ducha. Z bardzo dobrych spadła do niedostatecznych z prawie każdego przedmiotu. Po jakimś czasie wzięła się w garść i wybrała się do biblioteki odebrać książki, które zamówiła na początku marca. Uświadomiła sobie, że teraz nie ma nic innego do roboty i z lekką paniką pomyślała o zaległych esejach, które powinna napisać.

Następnego ranka zadzwoniła matka Petera. Wiedziała, że Paxton nie mogła jeszcze otrzymać żadnych wiadomości od Petera z Sajgonu. Słyszała już od Gabby o telefonie z Guam, ale chciała po prostu zapytać o samopoczucie Paxxie. Paxxie miała to samo przedziwne uczucie, które ogarnęło ją, gdy zginął ojciec, a także, kiedy zamordowano Johna Kennedy’ego. Życie wokół zdawało toczyć się w zwolnionym tempie, a odgłosy rzeczywistości docierały do niej z oddali. To było tak, jakby nic jej już nie obchodziło, nic nie miało znaczenia. Najchętniej zasnęłaby i obudziła się dopiero na powrót Petera. Chociaż obiecał spotkać się z nią, jak tylko otrzyma przepustkę, nie było na razie wiadomo, kiedy to okaże się możliwe.

— Dbaj o siebie — powiedziała Marjorie Wilson, a Paxxie jej to przyrzekła. Po odłożeniu słuchawki pomyślała, że warto byłoby zadzwonić do Queenie. Zrezygnowała z tego pomysłu, bo nie chciała jej martwić.

Następnego wieczoru włączyła telewizor, żeby obejrzeć wiadomości. Wiedziała, że w tym czasie Peter powinien już dotrzeć do Sajgonu. Nagle wszystkie informacje nabrały znaczenia, każde doniesienie, każde słowo, każda klatka filmu. Bała się, że jednym z pokazywanych żołnierzy może być Peter. Ale to nie wiadomości z Wietnamu nią wstrząsnęły. Było to wydarzenie, które przykuło uwagę większości Amerykanów. Na ekranie pojawiły się obrazy uciekających ludzi..., hotelu..., ktoś krzyczał... A potem dobiegły słowa: Martin Luther King został zastrzelony w Memphis. Nie żyje. Paxton wpatrywała się w ekran, nie mogąc uwierzyć własnym oczom i uszom. Świat oszalał. Peter był w Wietnamie, a Martin Luther King zabity... ktoś chciał jego śmierci, chciał unicestwić wszystko, co czarny działacz sobą reprezentował. Paxton z napięciami wpatrywała się w ekran i chłonęła wiadomości. Nic już nie miało sensu.

Paxton płakała, wstrząśnięta śmiercią Kinga. Tym razem, gdy zadzwonił telefon, nie podbiegła do aparatu. Wiedziała, że to nie mógł być Peter. Musieli to być jej przyjaciele, którzy chcieli dzielić z nią smutek, zapytać, czy już wie. Nie chciała ich słuchać ani z nimi rozmawiać. Pragnęła odgrodzić się od świata, w którym zabija się takich ludzi jak Martin Luther King.

— Dlaczego? — zapytała ciszę. — Dlaczego?... — Potrząsnęła głową i otarła łzy, niezdolna pojąć bezsensowności tej śmierci. W piątek rano obudziła się w podłym nastroju. Ogarnęło ją zniechęcenie.

Wszystko wydawało się dążyć w złym kierunku, zaczynając od poniedziałkowego wyjazdu Petera do Sajgonu.

Był to bardzo smutny weekend. Nie mogła się uczyć, chociaż została w domu W niedzielę w nocy miała koszmarny sen o ptakach, które rzuciły się na nią i dziobały ją w twarz. Rano obudziła się z uczuciem ulgi na dźwięk telefonu. Trzymając słuchawkę przy uchu, usiadła sobie, że to nie telefon, tylko dzwonek do drzwi. Nie miała pojęcia, kto mógłby ją odwiedzić o tej porze. Szybko narzuciła na siebie szlafrok Petera i pobiegła wyjrzeć przez kuchenne okno, jednak nikogo nie zobaczyła. Poszła więc do frontowych drzwi, bosa i nadal zasnana. Otworzyła szeroko oczy na widok ojca Petera.

— Cześć Ja A to niespodzianka Jak się pan miewa — Pocałowała Eda Wilsona w policzek i wtedy uderzyła ją pustka jego spojrzenia. Szybko cofnęła się w nagłym przypiływie strachu, jakby chciała uciec przed złymi wieściami.

— Czy coś się stało? — Była młoda i piękna, i bardzo przerażona. Nie potrafił wydobyć głosu. Patrzył na nią i potrząsał głową, jakby chciał powstrzymać łzy cisnące się do oczu. Wreszcie wziął się w garść. Postanowił powiedzieć jej osobiście. Wiedział, że tego życzyłyby sobie Peter.

— Zawiadomili nas wczoraj wieczorem... — Wychodzili właśnie z domu, aby wpaść do Paxton. Marjorie nadal leżała w łóżku, otepiała z bólu, nafaszerowana środkami uspokajającymi podanymi przez domowego lekarza. — Paxxie, nie jest mi łatwo. — Podeszedł do niej i objął. Gdy tak mocno tulił ją do siebie, Paxton przez króciutką chwilę udawała przed samą sobą, że to Peter, a nie jego ojciec.

— Zginął w Da Nang — wypowiedział te słowa tak cicho, że prawie ich nie usłyszała.

— Jak tylko przyjechał, wysłali go na północ, na nocny patrol. Nie miał jeszcze doświadczenia, stanowił doskonały cel. Można powiedzieć, że go wystawili. — Nie chciała wiedzieć, co to znaczy, nie obchodziło jej to. Pragnęła zatkać uszy i nie słuchać. — Szedł z przodu... — Ed Wilson zaczął szlochać. — ... Nie zajął wzgórze... ani razu nie wystrzelił... nie zdobył ani jednej wioski... ani nawet nie nastąpił na minę... Został zabity przez, jak to nazywają, „przyjacielski ogień”. Po prostu jeden z naszych żołnierzy wpadł w panikę i sądząc, że słyszy w zaroślach partyzantów, zastrzelił przez pomyłkę Petera. Tak to określili: „pomyłka”... Pax, pomyłka... — Nie mógł przestać płakać, chociaż to on miał pocieszać Paxton. — Nie żyje... Nasz mały chłopiec nie żyje... przyślą jego ciało w piątek. — Gdy wypowiedział te słowa, poczuł na piersi wielki ciężar. Paxton miała wrażenie, że sama zaraz umrze. Ale najpierw chciała uderzyć ojca Petera, ukarać go za te straszne słowa, zmusić go, żeby je cofnął. Zaczęła na oślep bić pięściami.

— Nie!... Nie! To nie mogło się tak stać!... Nie mogło! Nie!... Nie chcę tego słuchać!

— Ja też nie chciałem... ale masz prawo wiedzieć. — Popatrzył na nią nieszczęśliwy, zrozpaczony ojciec, obywatel, który wierzył w słuszność poczynań władz. — Zginął nadaremnie. — Teraz pamiętał Petera tylko jako małego chłopca, a nie jako dorosłego mężczyznę, który wyjechał raptem tydzień temu, w prima aprilis. Był w Wietnamie niecały tydzień. Dotarł w środę, a zginął w sobotę. Pięć dni. Wystarczyło pięć dni, żeby dał się zabić. — Pogrzeb odbędzie się za tydzień... ale Marjorie uważa, że może będziesz chciała przyjechać do nas... Ja... Ja myślę, że twoja obecność pomoże mojej żonie...

Paxton w milczeniu skinęła głową. Pragnęła być blisko nich, stali się jej rodziną. Może jeśli zamieszka z nimi, Peter się odezwie i powie wszystkim, że to pomyłka, ten facet strzelał ślepymi nabojami, a on czuje się świetnie i nadal ma zamiar spędzić z Paxton najbliższą przepustkę. Paxton wolnym krokiem poszła do sypialni, którą dzieliła z Peterem. Poruszała się jak automat. Wciągnęła dzinsy, a nogi wsunęła w mokasyny. Założyła jeden ze swetrów Petera; nadal nim pachniał. Wrzuciła do torby parę drobiazgów i wyszła przed dom.

Pan Wilson czekał w samochodzie. Przypomniat jej, żeby zamknęła dom i włożył jej torbę do bagażnika. Paxton wsiadła do samochodu otepiała z bólu.

— To moja wina, prawda? — zapytała, gdy jechali przez most.

Patrzyła przed siebie nie widzącym wzrokiem. Ogarnął ją przejmujący smutek. Zbyt wielu ludzi ostatnio zginęło. Doktor King,

Peter... Wydawało się, że wszyscy umierają.

— Nie wolno ci tak mówić, Paxton. Nikt nie ponosi winy, no może ten chłopiec, który pociągnął za spust. To był wypadek. Los tak chciał. Musisz w to uwierzyć.

— Gdybym za niego wyszła, dostałby odroczenie służby.

— Nie wiadomo. Może coś mnemu stanłoby na przeszkodzie. Przecież nie chciał wyjechać do Kanady, uciec. Myślę, że on sam

uważał udział w tej wojnie za swoją powinność. Może powinienem był go zmusić, żeby wyjechał do Toronto, ale nie zrobiłem tego. Też

mógłbym się obwiniać. Nie możemy... tak się zadręczać... to czysty obłąd.

Paxton obrzuciła ojca Petera uważnym spojrzeniem.

— Czy nienawidzisz mnie za to, że za niego nie wyszłam?

— Nikogo nie nienawidzę. — Łzy ponownie napłynęły mu do oczu. Poklepał Paxxie delikatnie po rękę i odwrócił głowę w inną stronę. — Chciałbym tylko, żeby znowu był z nami.

Pokiwała głową, niezdolna powiedzieć mu więcej. Była mu wdzięczna za to rozgrzeszenie. Siedziała sztywno wyprostowana, żalując, że łzy nie mogą zmyć jej bólu. Rozpacz i gniew przechodziły pomału w nienawiść i złość.

Gdy przyjechali do domu Wilsonów, zastali już Gabby. Marjorie właśnie wstała, mimo że nadal była bardzo słaba. Obie miały łzy w oczach. Mała Marjorie dreptała niepewnie, pogryzając ciasteczka. Ed Wilson zamknął się w bibliotece, mówiąc, że ma pilne sprawy do załatwienia. Paxton została z niedoszlą teściową i szwagierką i wtedy jej smutek znalazł ujście w rozpaczliwym szlochu. Płakały wszystkie trzy. Kobiety, które go kochały. Cały dzień opowiadały o Peterze, o tym, jakim był dzieckiem, mężczyzną, synem, bratem, kochankiem. Na przemian płakały i śmiały się, a czasami po prostu siedziały w milczeniu, pogrążone w rozmyślaniach. Nie mogły uwierzyć, że nie żyje, nie zadzwoni i nie powie, że ma się dobrze i przeprosza za to, że je przestraszył. Jednak wkrótce nadszedł telegram, który potwierdził tragiczną wiadomość. Znowu wszyscy zaczęli płakać. Pożnym wieczorem, gdy Matt zabrał Gabby i małą Manie do domu, Paxton całkowicie wyczerpana zamknęła się w gościnnym pokoju.

Spędziła w domu Wilsonów cały tydzień. Pomagała Marjorie w porządkowaniu rzeczy Petera, pozwalając jej mówić wtedy, gdy tego potrzebowała. Także Paxie miała z kim porozmawiać. Zastanawiała się, czy nie zadzwonić do domu. W końcu zdecydowała, że tego nie zrobi; nawet nie zawiadomi Queenie. Wydawałoby się jej, że tym samym przypieczętuje śmierć Petera. Ona nie potrafiła się pogodzić z ostatecznym odejściem ukochanego. W sobotę rano powiadomiono rodzinę, że mogą odebrać zwłoki. Pan Wilson ponownie zamknął się w bibliotece, aby w samotności oddać się rozpacz. Godzinę później Wilsonowie oraz Paxton stawili się w biurze, gdzie zastali dwie murzyńskie rodziny, rozpaczające po stracie synów. Ci chłopcy mieli zaledwie po osiemnaście lat i byli ze sobą spokrewnieni.

Ed Wilson zamówił karawan w firmie pogrzebowej Halsteda. Gdy przybyli na miejsce, właśnie na nich czekał. Wilsonowie

i Paxton zostali wprowadzeni do małego pokoju. Ciało Petera

spoczywało w prostej, sosnowej trumnie, owiniętej we flagę narodową... chłopiec, którego już nie było wśród nich... w trumnie. Wbrew wcześniejszym postanowieniom Paxton zaczęła rozpaczliwie szlochać, a Marjorie osunęła się na kolana.

— Spokojnie, kochanie. — Paxton słyszała głos Petera. — Wszystk.o w porządku, kochanie. Kocham cię. — Wspomnienia były takie bliskie, a jego głos tak wyraźny, że nie mogła uwierzyć w jego śmierć. Niemożliwe, żeby odszedł na zawsze. Niemożliwe i zbyt okrutne. Nie do zniesienia. Ale on odszedł. Na zawsze.

Stali tak dłuższy czas, aż w końcu Ed Wilson pomógł żonie wstać i wzięwszy Paxton pod rękę, wyprowadził na kwietniowe słońce.

Jechali wolno. Ciało Petera przewieziono do domu pogrzebowego. Tani przełożono je do innej trumny i wystawiono w pustej sali.

. Paxton udała się do domu pogrzebowego na miękkich nogach. Było to jej ostatnie spotkanie z ukochanym. Nie mogła uwierzyć, że to ciało Petera leży w tej mahoniowej skrzyni. Ukłękła obok : trumny i dotknęła lekko lśniącego drewna i mosiężnych uchwyty.

— Cześć... — wyszeptła. — To ja...

— Wiem — Wydawało się jej, że słyszy znajomy głos — Dobrze się czujesz— To było jak tchnienie Potrząsnęła tylko głową, a łzy znowu napłynęły jej do oczu. Nie czuła się dobrze, już nigdy nie będzie się dobrze czuła. Tak samo jak nie czuła się dobrze, gdy umarł jej ojciec. W co można wierzyć po stracie ukochanej osoby, jesh nie w ból, smutek i żal Już nigdy nie będziesz tą samą osobą Zostałaś głęboko zraniona i będziesz o tym zawsze pamiętać. Klęczała dłuższy czas, czując bliskość Petera i próbując pogodzić się z jego odejściem. Nie potrafiła. Przepęłniał ją ból i gniew na okrutny los, który chciał, by Peter zginął przez pomyłkę.

Pogrzeb odbył się w poniedziałek. Ceremonia nie trwała długo.

Wiadomosc o smierci Petera pojawiła się na pierwszej stronie

„Mormng Sun” i kilku innych gazet Koledzy, z którymi chodził do

szkoły i na uczelnię, nauczyciele, przyjaciele, krewni, koledzy z pracy przyszli towarzyszyć mu w ostatniej drodze. Rodzice Petera przedstawiali wszystkim Paxton W koncu ona i Peter byli jakby

małżeństwem. Paxton zazdrościła teraz Gabby. Gdyby miała dziecko Petera, jakaś częśćka jego samego zostałaby z nią na zawsze.

Miała dwadzieścia dwa lata. Od czterech lat kochała Petera, a od

trzech mieszkała z nim. Znała go jak siebie samą i wiedziała, że na zawsze pozostanie w jej sercu.

Została u Wilsonów na jeden dzień, a potem wróciła do Berkeicy. Wypadła z rytmu nauki.

Powrót na uczelnię wydawał się bezcelowy. Jednak wiedziała, że powinna chociaż spróbować. Było bardzo mało prawdopodobne, by skończyła studia w terminie. Przestało jej na tym zależeć.

W maju uzyskała możliwość przedłużenia terminu zaliczeń aż do września. Niespodziewanie zadzwonił jej brat. Tak długo nie słyszała jego głosu, że w pierwszej chwili go nie rozpoznała.

— Cześć. — Nagle się przestraszyła. — Czy coś się stało? — Tylko to przyszło jej do głowy. Od miesiąca, od śmierci Petera, oczekiwała samych złych wiadomości.

— Nie... Ja... — Nie chciał klamać, ale nie wiedział, jak jej to powiedzieć. Chociaż nigdy nie byli sobie bliscy, rozumiał, że to, co za chwilę usłyszysz, będzie dla niej bolesne.

— Mama uważała, że powinienem do ciebie zatelefonować.

— Zachorowała? — A może to Allison albo dziecko? Paxton nie domyślała się, co takiego mogło się wydarzyć w Sayannah. Czekwała więc na dalsze słowa brata.

— Nie, czuje się świetnie — zwlekał, ale już nie mógł dłużej. Musiał to powiedzieć. —

Paxton... to Queenie. — Serce jej załomotało niespokojnie i w pierwszym odruchu chciała rzucić słuchawkę, zanim usłyszysz resztę. — Zeszłej nocy umarła we śnie, Pax. Nie cierpiała.

Po prostu jej serce przestało bić... To wszystko... Mama uznała, że powinnaś wiedzieć i poprosiła, żebym do ciebie zadzwonił.

— Ja... tak..., ja... — Nie mogła znaleźć słów. Wszystko się waliło. Odeszła ostatnia osoba, która ją kochała. Została sama. — Dziękuję ci, George. — Ze ściśniętej krtani wydobył się żalony skrzek. Nawet zazwyczaj nieczułememu bratu zrobiło się przykro. — Kiedy pogrzeb? — Jedna z jej córek zabrała dzisiaj ciało. Myślę, że pogrzeb odbędzie się jutro. Matka powiedziała, że wyśle kwiaty od nas wszystkich. Sądzę, że nie musisz przyjeżdżać. — Bez wątpienia byłaby jedyną białą na tej uroczystości. Większość zgromadzonych nie zrozumiałaby miłości, jaką Paxton darzyła nianię.

— Tak, chyba masz rację. — Jednak nie była przekonana. — Dziękuję ci, że zadzwoniłeś. — Odłożyła słuchawkę i zaczęła nie-

spokojnie krążyć po domu. Tego samego popołudnia pojechała do miasta. Poszła na plażę i długo spacerowała brzegiem. Rozmyślała o ludziach, których tak bardzo kochała i których zabrała śmierć... Queenie... Peter... a jedenaście lat temu ojciec. Przyszło jej żyć samotnie. Uważała to za zbyt okrutne. Nie była stworzona do pustelniczego życia. Jednak nie wyobrażała sobie, że będzie zdolna znowu kogoś pokochać. Kilku chłopców usiłowało się z nią umówić. Spotkała ich zdecydowana odprawa. Nie pragnęła nikogo, prócz Petera. Nawet Gabby usiłowała zaaranżować spotkanie z kolegą Matta, ale Paxton oznajmiła, że nie interesują jej inni mężczyźni.

Wracając do domu tego popołudnia, zatrzymała się, by odwiedzić Wilsonów. Nie zastała ich. Najwidoczniej wrócili do dawnego trybu życia, do obowiązków zawodowych i towarzyskich. Ona nie potrafiła i nie chciała pójść w ich ślady. Życie bez Petera nie miało sensu. Czasami też chciała umrzeć, zasnąć i nigdy więcej się nie obudzić.

Wilsonowie zadzwonili następnego dnia, dowiedziawszy się, że wpadła i ich nie zastała. Paxton doszła do wniosku, że matka Petera pomała wraca do sił. Nie mogła doczekać się kolejnego wnuka i to odwracało jej myśli od niedawnej tragedii. Była w stanie panować nad emocjami, gdy mówiła o Peterze.

Tego popołudnia niespodziewanie zatelefonowała matka Paxton, żeby wyrazić swoje współczucie z powodu śmierci Queenie i zapytać o termin otrzymania przez Paxton dyplomu. Miało to nastąpić już za miesiąc. Beatrice zamierzała przyjechać na uroczyste rozdanie dyplomów do San Francisco z George'em i Allison. Paxton od tygodni odkładała rozmowę z matką.

— Nastąpiła zmiana planów, mamó — oznajmiła bez zbędnych wstępów. Beatrice nie umiała ukryć zaskoczenia.

— To znaczy?

— Dyplom dostanę najwcześniej we wrześniu. Nie będę zdawać egzaminów razem z moją grupą. Będę kończyć indywidualnie, a dyplom otrzymam pocztą. — A potem spędzę resztę swojego życia, zastanawiając się, dlaczego nie wyszłam za mąż za Petera, dodała w myślach. — To nic takiego, mamó. Przykro mi, że ominie was uroczystość. — Wcale nie było jej przykro. Nic już jej nie obchodziło. Absolutnie nic nie miało znaczenia.

trzech mieszkała z nim. Znała go jak siebie samą i wiedziała, że na zawsze pozostanie w jej sercu.

Została u Wilsonów na jeden dzień, a potem wróciła do Berkeley. Wypadła z rytmu nauki. Powrót na uczelnię wydawał się bezcelowy. Jednak wiedziała, że powinna chociaż spróbować. Było bardzo mało prawdopodobne, by skończyła studia w terminie. Przestało jej na tym zależeć.

W maju uzyskała możliwość przedłużenia terminu zaliczeń aż do września. Niespodziewanie zadzwonił jej brat. Tak długo nie słyszała jego głosu, że w pierwszej chwili go nie rozpoznała.

— Cześć. — Nagle się przestraszyła. — Czy coś się stało? — Tylko to przyszło jej do głowy. Od miesiąca, od śmierci Petera, oczekiwała samych złych wiadomości.

— Nie... Ja... — Nie chciał klamać, ale nie wiedział, jak jej to powiedzieć. Chociaż nigdy nie byli sobie bliscy, rozumiał, że to, co za chwilę usłyszy, będzie dla niej bolesne.

— Mama uważała, że powinienem do ciebie zatelefonować.

— Zachorowała? — A może to Allison albo dziecko? Paxton nie domyślała się, co takiego mogło się wydarzyć w Sayannah. Czekala więc na dalsze słowa brata.

— Nie, czuje się świetnie — zwlekał, ale już nie mógł dłużej. Musiał to powiedzieć. — Paxton... to Queenie. — Serce jej załomotało niespokojnie i w pierwszym odruchu chciała rzucić słuchawkę, zanim usłyszy resztę. — Zeszłej nocy umarła we śnie, Pax. Nie cierpiała. Po prostu jej serce przestało bić... To wszystko... Mama uznała, że powinnaś wiedzieć i poprosiła, żebym do ciebie zadzwonił.

— Ja... tak., ja... — Nie mogła znaleźć słów. Wszystko się waliło. Odeszła ostatnia osoba, która ją kochała. Została sama. — Dziękuję ci, George. — Ze ściśniętej krtani wydobył się żalostny skrzek. Nawet zazwyczaj nieczulemu bratu zrobiło się przykro. — Kiedy pogrzeb? — Jedna z jej córek zabrała dzisiaj ciało. Myślę, że pogrzeb odbędzie się jutro. Matka powiedziała, że wyśle kwiaty od nas wszystkich. Sądzę, że nie musisz przyjeżdżać. — Bez wątpienia byłaby jedyną białą na tej uroczystości. Większość zgromadzonych nie zrozumiałaby miłości, jaką Paxton darzyła nianię.

— Tak, chyba masz rację. — Jednak nie była przekonana. — Dziękuję ci, że zadzwoniłeś. — Odłożyła słuchawkę i zaczęła nie-

spokojnie krążyć po domu. Tego samego popołudnia pojechała do miasta. Poszła na plażę i długo spacerowała brzegiem. Rozmyślała o ludziach, których tak bardzo kochała i których zabrała śmierć... Queenie... Peter... a jedenaście lat temu ojciec. Przyszło jej żyć samotnie. Uważała to za zbyt okrutne. Nie była stworzona do pustelniczego życia. Jednak nie wyobrażała sobie, że będzie zdolna znowu kogoś pokochać. Kilku chłopców usiłowało się z nią umówić. Spotkała ich zdecydowana odprawa. Nie pragnęła nikogo, prócz Petera. Nawet Gabby usiłowała zaaranżować spotkanie z kolegą Matta, ale Paxton oznajmiła, że nie interesują jej inni mężczyźni.

Wracając do domu tego popołudnia, zatrzymała się, by odwiedzić Wilsonów. Nie zastała ich. Najwidoczniej wrócili do dawnego trybu życia, do obowiązków zawodowych i towarzyskich. Ona nie potrafiła i nie chciała pójść w ich ślady. Życie bez Petera nie miało sensu. Czasami też chciała umrzeć, zasnąć i nigdy więcej się nie obudzić.

Wilsonowie zadzwonili następnego dnia, dowiedziawszy się, że wpadła i ich nie zastała. Paxton doszła do wniosku, że matka Petera pomała wraca do sił. Nie mogła doczekać się kolejnego wnuka i to odwracało jej myśli od niedawnej tragedii. Była w stanie panować nad emocjami, gdy mówiła o Peterze.

Tego popołudnia niespodziewanie zatelefonowała matka Paxton, żeby wyrazić swoje współczucie z powodu śmierci Queenie i zapytać o termin otrzymania przez Paxton dyplomu. Miało to nastąpić już za miesiąc. Beatrice zamierzała przyjechać na uroczyste rozdanie dyplomów do San Francisco z George'em i Allison. Paxton od tygodni odkładała rozmowę z matką.

— Nastąpiła zmiana planów, mamó — oznajmiła bez zbędnych wstępów. Beatrice nie umiała ukryć zaskoczenia.

— To znaczy?

— Dyplom dostanę najwcześniej we wrześniu. Nie będę zdawać egzaminów razem z moją grupą. Będę kończyć indywidualnie, a dyplom otrzymam pocztą. — A potem spędzę resztę swojego życia, zastanawiając się, dlaczego nie wyszłam za mąż za Petera, dodała w myślach. — To nic takiego, mamó. Przykro mi, że ominie was

uroczystość. — Wcale nie było jej przykro. Nic już jej nie obchodziło. Absolutnie nic nie miało znaczenia.

trzech mieszkała z nim. Znała go jak siebie samą i wiedziała, że na zawsze pozostanie w jej sercu.

Została u Wilsonów na jeden dzień, a potem wróciła do Berkeley. Wypadła z rytmu nauki. Powrót na uczelnię wydawał się bezcelowy. Jednak wiedziała, że powinna chociaż spróbować. Było bardzo mało prawdopodobne, by skończyła studia w terminie. Przestało jej na tym zależeć.

W maju uzyskała możliwość przedłużenia terminu zaliczeń aż do września. Niespodziewanie zadzwonił jej brat. Tak długo nie słyszała jego głosu, że w pierwszej chwili go nie rozpoznała.

— Cześć. — Nagle się przestraszyła. — Czy coś się stało? — Tylko to przyszło jej do głowy. Od miesiąca, od śmierci Petera, oczekiwała samych złych wiadomości.

— Nie... Ja... — Nie chciał klamać, ale nie wiedział, jak jej to powiedzieć. Chociaż nigdy nie byli sobie bliscy, rozumiał, że to, co za chwilę usłyszysz, będzie dla niej bolesne.

— Mama uważała, że powinienem do ciebie zatelefonować.

— Zachorowała? — A może to Allison albo dziecko? Paxton nie domyślała się, co takiego mogło się wydarzyć w Sayannah. Czekala więc na dalsze słowa brata.

— Nie, czuje się świetnie — zwlekał, ale już nie mógł dłużej. Musiał to powiedzieć. — Paxton... to Queenie. — Serce jej załomotało niespokojnie i w pierwszym odruchu chciała rzucić słuchawkę, zanim usłyszysz resztę. — Zeszłej nocy umarła we śnie, Pax. Nie cierpiała. Po prostu jej serce przestało bić... To wszystko... Mama uznała, że powinnaś wiedzieć i poprosiła, żebym do ciebie zadzwonił.

— Ja... tak..., ja... — Nie mogła znaleźć słów. Wszystko się waliło. Odeszła ostatnia osoba, która ją kochała. Została sama. — Dziękuję ci, George. — Ze ściśniętej krtani wydobył się żalony skrzek. Nawet zazwyczaj nieczulemu bratu zrobiło się przykro. — Kiedy pogrzeb? — Jedna z jej córek zabrała dzisiaj ciało. Myślę, że pogrzeb odbędzie się jutro. Matka powiedziała, że wyśle kwiaty od nas wszystkich. Sądzę, że nie musisz przyjeżdżać. — Bez wątplenia byłaby jedyną białą na tej uroczystości. Większość zgromadzonych nie zrozumiałaby miłości, jaką Paxton darzyła nianię.

— Tak, chyba masz rację. — Jednak nie była przekonana. — Dziękuję ci, że zadzwoniłeś. — Odłożyła słuchawkę i zaczęła nie-

spokojnie krążyć po domu. Tego samego popołudnia pojechała do miasta. Poszła na plażę i długo spacerowała brzegiem. Rozmyślała o ludziach, których tak bardzo kochała i których zabrała śmierć... Queenie... Peter... a jedenaście lat temu ojciec. Przyszło jej żyć samotnie. Uważała to za zbyt okrutne. Nie była stworzona do pustelniczego życia. Jednak nie wyobrażała sobie, że będzie zdolna znowu kogoś pokochać. Kilku chłopców usiłowało się z nią umówić. Spotkała ich zdecydowana odprawa. Nie pragnęła nikogo, prócz Petera. Nawet Gabby usiłowała zaaranżować spotkanie z kolegą Matta, ale Paxton oznajmiła, że nie interesują jej inni mężczyźni.

Wracając do domu tego popołudnia, zatrzymała się, by odwiedzić Wilsonów. Nie zastała ich. Najwidoczniej wrócili do dawnego trybu życia, do obowiązków zawodowych i towarzyskich. Ona nie potrafiła i nie chciała pójść w ich ślady. Życie bez Petera nie miało sensu. Czasami też chciała umrzeć, zasnąć i nigdy więcej się nie obudzić.

Wilsonowie zadzwonili następnego dnia, dowiedziawszy się, że wpadła i ich nie zastała. Paxton doszła do wniosku, że matka Petera pomału wraca do sił. Nie mogła doczekać się kolejnego wnuka i to odwracało jej myśli od niedawnej tragedii. Była w stanie panować nad emocjami, gdy mówiła o Peterze.

Tego popołudnia niespodziewanie zatelefonowała matka Paxton, żeby wyrazić swoje współczucie z powodu śmierci Queenie i zapytać o termin otrzymania przez Paxton dyplomu.

Miało to nastąpić już za miesiąc. Beatrice zamierzała przyjechać na uroczyste rozdanie dyplomów do San Francisco z George'em i Allison. Paxton od tygodni odkładała rozmowę z matką.

— Nastąpiła zmiana planów, mamó — oznajmiła bez zbędnych wstępów. Beatrice nie umiała ukryć zaskoczenia.

— To znaczy?

— Dyplom dostanę najwcześniej we wrześniu. Nie będę zdawać egzaminów razem z moją grupą. Będę kończyć indywidualnie, a dyplom otrzymam pocztą. — A potem spędzę resztę swojego życia, zastanawiając się, dlaczego nie wyszłam za mąż za Petera, dodała w myślach. — To nic takiego, mamó. Przykro mi, że ominie was uroczystość. — Wcale nie było jej przykro. Nic już jej nie obchodziło. Absolutnie nic nie miało znaczenia.

n

— Czy tak to się teraz robi? Po prostu wysyłają dyplom pocztą? Jakie to smutne.

— Dlaczego? Tak jest w porządku. — Głos Paxton był zupełnie bez wyrazu.

— Dlaczego nie kończysz w czerwcu? — W głosie matki dał się wyczuć oskarżycielski ton.

— Och... Miałam ostatnio tyle spraw na głowie. I byłam bardzo zajęta.

— Co w takim razie robiłaś? — Wiedziała, że nie ma sensu pytać, czy córka dalej spotyka się z Peterem. Ta sprawa nie dawała jej spokoju. Zaczynała podejrzewać, że młodzi mieszkają razem. Jednak póki Paxton zachowywała się przyzwoicie w Sayannah, matka nie ingerowała w jej życie w Kalifornii. Paxton skończyła dwadzieścia jeden lat i Beatrice Andrews miała świadomość, że nie może córce niczego zabronić.

— Za dużo chodziło się na przyjęcia? — Była to zwykła towarzyska rozmowa.

— Niezupełnie.

— Jeśli nie skończysz studiów w czerwcu, to kiedy przyjedziesz do Sayannah?

Paxton westchnęła ciężko.

— Nie wiem... Nic już nie wiem. — Z trudem powstrzymywała łzy, ale jej matka zdawała się tego nie słyszeć. — Jeśli będę musiała chodzić do szkoły, rozpocznę pracę dopiero we wrześniu. — Myślała o podjęciu pracy w „Morning Sun”. Tego lata miała wyjść za Petera i tego planu już nie zrealizuje. Niczego już nie osiągnie. Nic jej się już nie przydarzy. — Nie wiem, kiedy przyjadę do domu, mamó.

— Ale postaraj się wpaść na kilka dni w lecie. Mały James Carl jest taki słodki, że go nie poznasz. — Była podekscytowana, kiedy mówiła o wnuku, a Paxton słuchała tego z przyjemnością. Chociaż to też nie miało już znaczenia. Dawno przestała liczyć na to, że matka zmieni się w stosunku do niej.

— Zobaczę, czy mi się uda. To zależy od zajęć w szkole. — Starła się ułagodzić matkę, ale w gruncie rzeczy nie miała ochoty jechać do Sayannah. Pragnęła skończyć studia i podjąć pracę. Może odwiedzi ich w święta Bożego Narodzenia.

Paxton skupiła się na nauce. Próbowwała uzyskać zaliczenia z zajęć. Miała mnóstwo roboty, całe tuziny zaległych prac pisemnych, testów, które musiała ponownie napisać. Gdy dziekan wezwał ją na rozmowę w celu wyjaśnienia, dlaczego tak bardzo opuściła się w nauce, opowiedziała mu o śmierci Petera w Da Nang. Uznano to za wystarczające usprawiedliwienie. Uczyla się pilnie j rozpamiętywała chwile, spędzone z Peterem.

W czerwcu zaczęła już dochodzić do siebie. Pewnego wieczoru wracała do domu z biblioteki, gdy nagle usłyszała przeszywający krzyk. Rozejrzała się wokół. Kilka osób biegło ulicą. Nie mogła zrozumieć, co takiego się wydarzyło. Wypadek? Demonstracja? Inni też usłyszeli krzyk. Przystawali i pytali jeden drugiego, co się stało. Znowu było jak w tysiąc dziewięćset

sześdziesiątym trzecim roku. Trwało zamieszanie. Przechodnie biegli, trzymając kurczowo radia. Chcieli jak najszybciej znaleźć się w domach, żeby obejrzeć telewizję. Paxton przebiegł po plecach zimny dreszcz. Jeszcze nie wiedziała, co było tego przyczyną, ale czuła, że musi to być coś strasznego.

— Co się stało? — zapytała mężczyznę, który wraz z innymi tłoczył się wokół siedzącej na schodach dziewczyny z radiem.

— RFK... został zastrzelony... w Los Angeles...

— Kennedy? — Ktoś przytaknął. Kolejny Kennedy. Jeszcze jedna śmierć. Przedtem jego brat, a potem Martin Lutlier King i Wietnam... i Queenie... i Peter... i teraz Robert Kennedy, Tyle bezsensownych śmierci. Tyle bólu i rozpacz. Ginęli i odchodzili najlepsi, ci, którzy byli wzorem dla innych. Kto przejmie ich dążenia? Czy znajdują się następcy? Tak trudno było dorastać,

porzucić nadzieję, osiągnąć dojrzałość. Pochodnia zaczęła parzyć trzymające ją ręce.

— Czy on?... Szszz... — Nastawiono głośniej radio i wszyscy usłyszeli zgrzytliwy głos spikera: „Robert Kennedy nie żyje”. Został zastrzelony podczas przemówienia, które wygłaszał po zwycięstwie wyborczym w Kalifornii Wygrał i zginął, wszystko w jednej chwili Przegrały jego dzieci, zona i wszyscy, którzy go kochali

Paxton wysłuchała komunikatu, a potem odwróciła się i wolno ruszyła w stronę domu, nie troszcząc się o pozostawione na stopniach biblioteki książki To nie miało znaczenia Już ich nie potrzebowała

Wieczorem siedziała samotnie w kuchni, rozmyślając i patrząc przez okno. Uznała, że nic już nie łączy jej z tym miejscem. Starania

straciły sens. Nauczyła się wszystkiego, czego chciała, i drogo za te lekcje zapłaciła. Teraz odczuwała tylko smutek. Nie żal, ból czy rozpacz, po prostu smutek. Odszedł Robert Kennedy i zbyt wielu wraz z nim. Do tej chwili dokładnie dwadzieścia dwa tysiące dziewięćset pięćdziesięciu jeden młodych Amerykanów zginęło w Wietnamie.

Tej nocy Paxton spakowała parę drobiazgów. Resztę dobytku i rzeczy Petera porządnie ułożyła w szafie. Rano pojechała do miasta zobaczyć się z Edem Wilsonem w redakcji gazety. Gdy weszła, spojrzał na Paxton i zorientował się, że dokonał się w niej przełom. Wszyscy wokół byli podekscytowani zabójstwem Kennedy’ego. Jeszcze jeden Kennedy. Jeszcze jeden brat. Jeszcze jedna ofiara. Paxton wydawała się niezwykle spokojna i nad wiek dojrzała, przedwcześnie postarzała. Straciła wszystko; bliskich i ideały, w które wierzyła. W ułamku sekundy Ed Wilson zobaczył to wszystko w smutnym spojrzeniu Paxton. Ogromnie jej współczuł.

— Co mogę dla ciebie zrobić, Paxton? — Mimo że się uśmiechał, jego oczy pozostały poważne. Pochylił się i ucałował ją serdecznie. — Schudłaś. Musisz częściej wpadać do nas na obiad.

— Zostawiłam rzeczy Petera w domu w Berkeley — powiedziała Paxton drewnianym głosem. Ojciec Petera przyjrzał się jej uważnie.

— Wyjeżdżasz gdzieś? — Smutek w jej oczach ścisnął go za serce. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek ktoś się do niej zbliży.

— To zależy od ciebie — odparła. — Zdecydowałam się porzucić szkołę.

— Sądziłem, że uzyskałaś przedłużenie terminu składania końcowych egzaminów do września. — Gdy mu to wcześniej oznajmiała, poczuł ulgę. Wiedział od Petera, jak ważne były dla niej studia. Dzisiejsza wiadomość zupełnie go zaskoczyła. — Co masz na myśli, Paxton? — spytał jak jej ojciec. Uśmiechnęła się. Przez ostatnie cztery lata był dla niej niemal ojcem i teraz nie była pewna, czy da jej to, czego oczekiwała. Wiedziała, że jeśli nie dostanie tego od niego, pójdzie gdzie indziej. Była zdesperowana.

— Chcę pracy.

— Masz tu pracę, kiedy tylko zechcesz. Wiesz o tym. Ale czy nie będzie rozsądniej spędzić lato w Berkeley i uzyskać dyplom? Po co się spieszysz?

— Nie skończę już tych studiów. — Tego ranka opuszczała Berkeley z mocnym postanowieniem, że nigdy tam nie wróci.

Wzięła tylko te rzeczy Petera, które chciała zatrzymać. Zbiorek poezji, który jej ofiarował, zegarek, który nosił od dzieciństwa, a który Wilsonowie po jego śmierci przekazali jej.

— Chcę dla pana pracować.

— Tutaj? — Determinacja w jej oczach kazała mu się domyślić, że chowa coś w zanadrzu. Miał rację. Paxton potrząsnęła głową.

— Nie, nie tutaj. W każdym razie jeszcze nie teraz. Mam zamiar pojechać do Sajgonu — mówiła cicho, ale Ed Wilson wytrzeszczył oczy, gdy to usłyszał. Chciała tam pojechać, żeby zginąć albo pomścić śmierć ukochanego. A może po prostu dlatego, że straciła wiarę we własny kraj. Nie powinna kierować się takimi powodami. Ed Wilson miał świadomość, że młode pokolenie nie wytrzyma naporu wydarzeń. Nie pomylił się. Paxton była najlepszym przykładem. Coś w niej pękło. Siedziała teraz w jego biurze sztywno wyprostowana, dziewczyna, która zrezygnowała ze wszystkiego lub wszystko straciła, lub też jedno i drugie. Rozumiał ją i sytuację,

w której się znalazła. Jednak nie zamierzał jej pomóc.

— To w ogóle nie wchodzi w grę.

— Dlaczego? — Jej oczy ciskały błyskawice.

— Ponieważ to jest miejsce dla doświadczonych korespondentów. Na miłość boską, Paxton, to jest strefa wojny. Wiesz lepiej niż ktokolwiek inny, co się tam może zdarzyć. Jeśli nawet nie wyślemy

cię na teren walk, możesz zginąć, siedząc w barze, albo możesz : zostać zastrzelona przez pomyłkę tak jak Peter. — Wymówienie jego imienia było bolesne dla nich obojga, ale wiedział, że musi to powiedzieć. Nic nie zmieni jego zdania, był o tym przekonany. Ale ona nie zamierzała się poddać.

— Ludzie młodszy ode mnie o cztery lata jadą tam walczyć.

Często giną.

— Czy tego właśnie chcesz? — zapytał ją ze łzami w oczach. — Zginąć w tym samym miejscu co on? Czy robisz to dla niego? Wiem, jak się czujesz. Ty i całe twoje pokolenie myślicie, że nasz kraj zamienia się w piekło. Sam teraz jestem skłonny się z wami zgodzić. Ale wyjazd do Sajgonu z samobójczą misją nie jest żadnym rozwiązaniem.

— Muszę powiedzieć ludziom prawdę, jaka by ona nie była. Muszę ją zobaczyć na własne oczy, dowiedzieć się, co tam się dzieje, bez konieczności oglądania wieczornych wiadomości. Mam już dosyć siedzenia w bibliotece przez resztę życia.

— Więc chcesz zginąć, czy tak?

— Nie, chcę prawdy. A pan nie? Nie chce pan wiedzieć, dlaczego właściwie zginął Peter? I co tani tak naprawdę się dzieje? Chcę zobaczyć, jak wynosimy się z Wietnamu, i wiedzieć, dlaczego jeszcze tego nie zrobiliśmy. Jeśli tam pojadę, nie będę starym, zmęczonym życiem korespondentem z ukształtowanymi przekonaniem politycznymi, który myśli tylko o swoim bezpieczeństwie. Nie, nie chcę ginąć, ale jeśli tak się stanie, może będzie to śmierć w dobrej sprawie, w sprawie prawdy. Może za to warto ginąć.

— Paxton... — Potrząsnął głową. — Za nic nie warto ginąć. Myliłem się. Ty miałaś rację. I Peter. Nie powinno nas tam być. To nie nasze miejsce. Uważam, że przegramy tę wojnę. Chciałbym, żeby nasza armia opuściła ten kraj. Nie przypuszczałem nigdy, że kiedyś to powiem. W zeszłym tygodniu spotkałem się z nowym sekretarzem obrony narodowej, Ciarkiem Cliffordem, i on mnie przekonał. Jeśli chcesz napisać dobry artykuł, idź do niego. Oczywiście dam ci pracę. Możesz szukać ciekawych materiałów po całym kraju. Bądź podróżującym reporterem, pisz o kontrowersyjnych sprawach, rób, co chcesz, ale nie wyślę

cię do Wietnamu. Gdyby ci się coś tam stało, nigdy bym sobie tego nie wybaczył. Jesteśmy to winni pamięci Petera, musimy się o ciebie troszczyć, i ty też jesteś mu to winna. — Popatrzył surowo na Paxton, ale nadal nie była przekonana.

— Jestem mu winna coś więcej. — Jej oczy zwęziły się, gdy patrzyła na człowieka, który mógł być jej teściem. — I pan też jest mu winien coś więcej. — Podniosła się z krzesła. — Panie Wilson, nie zamierzam siedzieć tu jak tchórz i czekać, aż inni znajdą za mnie odpowiedzi na dręczące mnie pytania. Jadę tam, bez względu na to, czy wyśle mnie pan, czy nie. Jeśli będę musiała, pojedę tam na własną rękę i stamtąd będę sprzedawać swoje korespondencje. Może ktoś będzie nimi zainteresowany. — Stała naprzeciw niego, zdecydowana zrobić to, co zaplanowała. Tym razem nikt jej nie przeszkodzi. Ed Wilson wstał zza biurka, wyciągnął rękę i położył na jej ramieniu.

— Nie rób tego, Paxton...

— Muszę. — Ojciec Petera dłuższy czas patrzył na nią uważnie. Widział, że się zmieniała. Nie była już tą samą dziewczyną, która miała wyjść za męża za jego syna.

— Dlaczego nie mogę cię przekonać? Nie możesz poczekać? Pomyśl o tym za sześć miesięcy. Może do tego czasu już nie będzie naszych w Wietnamie. — To brzmiało bardzo optymistycznie.

— Będziemy. Okłamują nas. Dlatego chcę to wszystko zobaczyć na własne oczy.

— Paxton, do tej pory pracowałaś w redakcji dorywczo. Nie masz zielonego pojęcia o tym, co to znaczy być korespondentem wojennym. Muszą upłynąć całe lata, zanim się tego nauczysz. Uśmiechnęła się smutno.

— Szkoda, że żołnierzy całymi latami nie uczą, jak mają walczyć. Po prostu wysyłają ich tam, na śmierć, bez względu na to, czy są przygotowani, czy też nie. Ja jestem przygotowana, panie Wilson, wiem, że jestem. — Była niezłomna, zdecydowana, nie docierały do niej żadne argumenty. — Wyśle mnie pan? — Spojrzała mu prosto w oczy, a on miał ochotę się rozplakać. Mógł wysłać ją wszędzie, tylko nie tani. Ale wiedział też, że jeśli on tego nie zrobi, zrobi to ktoś inny. Pomyślał, że jeśli on ją zatrudni, to może będzie mógł ją ochraniać.

— Zgodzę się, jeżeli przyrzekniesz, że będziesz robić tylko to, o co będziemy cię prosić. — Oczy Paxton rozblęły i po raz pierwszy od miesiący wyglądała na szczęśliwą. — Czy słyszysz mnie? — Traktował ją jak psotne dziecko, któremu pozwolono na ukochaną zabawę, ale tylko pod pewnym warunkiem.

— Żadnych przyjęć ani pokazów mody, tak? — Oboje wybuchnęli śmiechem. Takie rzeczy na pewno nie będą na porządku dziennym w Sajgonie.

— Naprawdę jesteś zdecydowana tam pojechać, Pax? Jesteś pewna, że nie mogę ci tego wyperswadować? — Z powrotem opadł ciężko na krzesło. Miał poczucie klęski. Paxton natomiast promieniała. Wygrała. Po raz pierwszy od dłuższego czasu odzyskała w miarę dobre samopoczucie.

— Wiem, że będę dobrze dla pana pracować. Przyrzekam. — Była podekscytowana, znowu pełna entuzjazmu i chęci do życia. Ed Wilson cieszył się, że może jej pomóc, ale także bał się o nią. Wolałby, żeby promieniała radością z powodu jakiegoś chłopca spotkanego w bibliotece. Byłaby znacznie bezpieczniejsza w Berkeley.

— Nie martwię się o twoją pracę, Paxton. Boję się o twoje życie — powiedział bez ogródek.

— Lepiej uważaj na siebie albo przyjadę tam i sprawię ci osobiście lanie. Możesz być pewna, że to zrobię. — Westchnął ciężko i przykładał ręką jasne włosy, podobne do włosów Petera. Byli tacy do siebie podobni, mieli te same niebieskie oczy, to samo spojrzenie. Jednak Paxton próbowała tego nie zauważać.

— Marjorie chyba mnie zabije, jak się o wszystkim dowie. A Gabby... Och, Boże... Zupełnie zapomniałem. — Patrzył na nią przerażony. — Wczoraj w nocy urodziła dziecko...

Chłopczyka. Chcą go nazwać Peter. — Paxton nie wydawała się zaskoczona. Chyba nic już jej nie zaskoczy. Ale cieszyła się szczęściem Gabby. W dniu, w którym Robert Kennedy

zginął z rąk szaleńca, na świat przyszedł malutki synek Gabby. Miał przed sobą życie pełne nadziei, a Peter będzie się nim opiekował i użyczy mu swego imienia, gdyż sam już go nie potrzebuje. Trwała ciągła wędrówka dusz, niektóre marzenia padały w gruzach, podczas gdy pojawiały się inne. To wszystko było takie dziwne.

— Bardzo się cieszę. Czy Gabby czuje się dobrze?

— Tak, doszła już do siebie. Zadzwoiła do nas zaraz po porodzie który według Matta był bardzo lekki. Jestem pewien, że bardzo by chcieli cię zobaczyć. — Paxton przyznała mu rację, ale czuła się nieswojo na myśl o zobaczeniu malutkiego chłopczyka, który będzie nosić imię Petera. Wiedziała, że ona nie będzie mieć dzieci ani męża. Nie marzyła zresztą o tym. Za wszelką cenę pragnęła wyjechać do Wietnamu i odkryć prawdę o wojnie. Jej życie zmieniło się gruntownie. Wszystko, do czego kiedyś dążyła, stało się nieistotne. Harvard, potem Berkeley. Była zdecydowana zobaczyć na własne oczy, co się naprawdę dzieje w Wietnamie, i opowiedzieć o tym Amerykanom.

— Kiedy tam pojedę? — Paxton przypierała Eda Wilsona do muru. Wiedział o tym. Zerknął na kalendarz, zanotował coś i podniósł na nią wzrok.

— Te sprawy muszą trochę potrwać. Będę musiał porozmawiać z szefem redakcji i zobaczyć, czego potrzebujemy...

— Nie zamierzam czekać sześciu miesięcy.

— Wiem, że nie — odparł spokojnie. — Myślałem o tygodniu, dwóch, najwyżej trzech. Będziesz potrzebować trochę czasu, żeby pozalać swoje sprawy. Powiedzmy, dwa tygodnie. Czy taki termin ci odpowiada? — Skinęła głową, nadal zaskoczona, że wygrała. Uśmiechnęła się. Postawiła na swoim.

— Bardzo odpowiada. Myślę, że w tym czasie pojedę na kilka dni do domu pożegnać się z mamą.

— Oczywiście, zrób tak. Zadzwoię do ciebie do Sayannah i powiem ci, kiedy masz wrócić. Możesz zacząć zalać formalności. — Zastanawiał się, czy jej rodzina nie będzie próbowała odwieść jej od podjętej decyzji. Chyba jednak nic jej nie powstrzyma. Była silną osobowością i miała dobre serce, chociaż wiedział, lepiej niż ktokolwiek inny, że jakaś jego część została głęboko zraniona. Wstał zza biurka i podszedł do niej.

— To był ciężki rok dla nas wszystkich, Pax. Mam nadzieję, że nie popełniasz straszliwego błędu. — Przytulił ją do siebie i pocałował w czubek głowy. — Nie chcemy stracić także i ciebie.

— Nie straciecie — wyszeptała w jego objęciach. Miała przeczucie, że nic jej się nie stanie, ponieważ chroni ją błogosławieństwo Petera.

Rozdział X

Paxton przyjechała do Sayannah w piątek po południu, i dwa dni po śmierci Roberta Kennedy'ego. Akurat zdążyła obejrzeć w telewizji, jak pociąg wiozący jego ciało do domu przemierzał kraj. Ludzie w miastach i miasteczkach wylegali, żeby oddać mu hołd i pożegnać jeszcze jedną straconą nadzieję. Tym razem nikt nie witał Paxton na lotnisku. Telefonicznie uprzedziła matkę o swoim przyjeździe, ale Beatrice musiała uczestniczyć w podwieczorku wydawanym przez klub brydżowy. Dla Paxton nie miało to żadnego znaczenia. Wołała sama wejść do domu, usiąść spokojnie w kuchni i wspominać Queenie. Pamiętała jej radę, by nie zwlekała zbyt długo, bo życie może nie dać potem szansy na zrealizowanie planów. Niania miała rację. Jeśli niebo w ogóle istnieje, mogła się o tym sama przekonać spotykając tam Petera.

Trzaśnięcie drzwiami wyrwało Paxton z zamyślenia. Usłyszała pośpieszne kroki w holu. Po śmierci starej niani Beatrice zatrudniła nową służącą, młodą Murzynkę, która pracowała na przychodne. Na widok Paxton krzyknęła, przestraszona.

— Bardzo przepraszam. Jestem Paxton Andrews. Właśnie przyjechałam do domu z Kalifornii. — Dziewczyna przez chwilę stała z wytrzeszczonymi oczami, a potem się odprężyła. Była mniej więcej w wieku Paxton. Niska, mocno zbudowana, o miłej, ale niezbyt ładnej buzi.

— Chodzi panienka do szkoły w Kalifornii.

— Zgadza się.

— Teraz już panienka skończyła studia? — spytała ostrożnie, jakby to było coś bardzo ważnego.

Ale Paxton potrząsnęła głową.

— Nie, nie skończyłam. — Pomogła nowej kucharce wnieść zakupy do kuchni. Matka wróciła do domu pół godziny później.

Wyglądała dobrze, miała nienaganną fryzurę, ale na twarzy przybyło zmarszczek. Wydawała się Paxton dużo starsza. Zapytana o zdrowie Beatrice zapewniła, że czuje się świetnie. Zauważyła, że Paxton schudła. Poprosiła, żeby Emmalee podała im herbatę i cynamonowe grzanki we frontowym saloniku.

Gdy już usiadły przy zastawionym stole, Beatrice popatrzyła uważnie na córkę i spytała o powód jej wizyty w domu. Była wystarczająco inteligentna, by rozumieć, że Paxton nie zapalała nagle miłością do rodziny. Wiedziała, że Paxton nie lubiła przyjeżdżać do Sayannah i gdyby nie musiała, nie zrobiłaby tego.

— Czy wychodzisz za męża? — zapytała, patrząc na córkę w jakiś szczególny sposób.

Wiedziała, kim był ukochany Paxton. Nie pochodził, niestety, z Południa. Nie pochwałała wyboru Paxton, ale cieszyła ją myśl, że jej jedyna córka wyjdzie wreszcie za męża. Paxton pokręciła przecząco głową.

— Nie. Obawiam się, że nastąpi to nieprędko — odparła takim tonem, że matka nabrała podejrzeń, że coś się za tym kryje. Jednak Paxton nie chciała rozwijać tego tematu.

— Przestałaś spotykać się z tym chłopcem? — Peter zawsze był dla niej „tym chłopcem”.

Teraz to określenie wywołało melancholijny uśmiech na twarzy Paxton. Ten chłopiec...

Minęły już dwa miesiące od śmierci Petera i rozpacz powoli ustępowała. Pozostał ból i smutek, który, jak sądziła, będzie jej zawsze towarzyszył. Nauczyła się z tym żyć. Teraz, gdy zdecydowała się jechać do Wietnamu, czuła się o wiele lepiej.

— Ja... hm... — Przez chwilę szukała odpowiednich słów. — To trochę trudno wyjaśnić. Ale to nieważne. — To nieważne, mamo. On po prostu nie żyje. To wszystko, dodała w myślach. Trudno było wyobrazić sobie Beatrice wyrażającą szczerze współczucie. Mówienie jej o śmierci Petera nie miało sensu.

Czy coś się stało? — Niełatwo było okłamać Beatrice Andrews. Obrzuciła Paxton badawczym spojrzeniem. Dziewczynie zrobiło się nieprzyjemnie.

— Co się stało? — Matka nie ustępowała.

— On... hm... — Paxton słyszała tykanie stojącego w rogu pokoju starego zegara.

Skoncentrowała wzrok na wzorze zasłon, żeby nie patrzeć na matkę. — On... pojechał do Wietnamu... i zginął w kwietniu w Da Nang. — Paxton przeklinała własną słabość i starała się powstrzymać łzy cisnące się do oczu. Nagle usłyszała, że matka się poruszyła. Gdy odwróciła głowę, ku swemu zdumieniu zobaczyła, że płacze.

— Tak mi przykro... Wiem, jak musisz się czuć... jak strasznie... — Objęła córkę i niespodziewanie dla samej siebie Paxton zaczęła rozpaczliwie szlochać w ramionach matki. Płakała z powodu śmierci Petera, braci Kennedych i Queenie, i Martina Luthera Kinga, i taty. Dlaczego oni wszyscy musieli odejść? Dlaczego ją opuścili? Dlaczego ojciec leciał w czasie burzy? Dlaczego nie wyszła za Petera wtedy, kiedy mogła? Próbowała wyjaśnić matce, co

czuje, ale słowa uwięzły jej w gardle. Beatrice łagodnie kołysała córkę w ramionach, czego do tej pory nigdy nie robiła. Paxton przypomniła sobie szczęśliwe chwile dzieciństwa w objęciach Queenie.

— Dlaczego mi wcześniej nie powiedziałaś? — spytała z wymówką w głosie, ale patrzyła na Paxton ze współczuciem.

— Sama nie wiem. Chyba po prostu nie mogłam.

— To musiało być straszne dla jego rodziny.

— Siostra Petera, Gabby, dwa dni temu urodziła synka i nazwała go Peter. — Mówiąc to, Paxton znowu zalała się łzami. Wiedziała, że nigdy nie będzie mieć dziecka Petera. Siedziały tak we dwie, płacząc, popijając herbatę i znowu wybuchając płaczem. Zdawało się, że Paxton oplakuje wszystkich swoich bliskich i to, co sobą reprezentowali. Łzy koily nagromadzony od wielu lat ból. W końcu objęła matkę i serdecznie jej podziękowała. Po raz pierwszy w życiu naprawdę mogły się porozumieć.

— Wiem, co czujesz — zwierzyła się Beatrice ku zdumieniu Paxton. — Pamiętam, jak ja się czułam, kiedy zginął twój ojciec...

ni Przez długi czas nie mogłam dojść do siebie... Byłam zła na los j zrozpaczona. Musi minąć dużo czasu, Paxton, zanim ból zelżeje.

A może już zawsze boleć. Nie codziennie, nie bez przerwy, ale wtedy, gdy o nim pomyślisz, znowu poczujesz ten sam dojmujący ból. — Poglądziła córkę czule po rękę. — Pewnego dnia poznasz kogoś nowego, wyjdiesz za mąż, będziesz miała dzieci, ale zawsze będziesz o nim pamiętać i nie przestaniesz go kochać. — Paxton nie powiedziała, że nie wyobraża sobie innego mężczyzny w swoim życiu ani dzieci, które nie byłyby dziećmi Petera, ale wiedziała, że matka miała rację, mówiąc o miłości, która nie umiera. A potem matka zadała pytanie, którego Paxton obawiała się najbardziej.

— Czy w takim razie przyjedziesz do domu we wrześniu, kochanie? Teraz nie ma chyba sensu, żebyś została w Kalifornii. — Ostatecznie wygrali tę batalię. Wróci do domu. Jej romans z „tym chłopcem” był skończony. Jednak Paxton przecząco pokręciła głowę. Szukała odpowiednich słów, żeby powiedzieć matce o swej decyzji. Nie chciała jej zranić. W końcu matka ofiarowała jej coś, czego od dawna potrzebowała, i chciała podziękować jej za to, a nie zadawać ból. Jednak nie miała już wyboru.

— Wczoraj rzuciłam studia i dom w którym byłam z Peterem taka szczęśliwa... Rzuciłam wszystko... ponieważ zastrzelono Roberta Kennedy’ego i me mogłam zmesc ani chwili dłużej szalenstwa, które opanowało ten kraj. Więc zdecydowałam się pojechać do jeszcze bardziej nienormalnego kraju

— Rzuciłaś studia na dobre? — Matka była wstrząśnięta, ponieważ doskonale pamiętała, jak Paxton walczyła o pozwolenie na . wyjazd do Kalifornii.

— Doszłam do wniosku, że przez najbliższe dziesięć lat nie napisałabym ani jednego testu, nie zdałabym ani jednego egzaminu.

Nie zależy mi na tym. Nie przypominam sobie, dlaczego tak bardzo chciałam ukończyć college.

— Ale przecież to ostatni semestr. — Beatrice nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć, i nagle przeraziła się, że Paxton traci rozum. — Mogłabyś zdać egzamin końcowy na jesieni. Nie chcesz chyba zmarnować lat nauki? Tak mało zostało ci już do końca.

Paxton pokiwała głową. To była prawda. Matka miała rację.

— Wiem. Ale odkąd nie ma Petera, nie jestem w stanie jasno myśleć. Od czasu gdy wyjechał na obóz szkoleniowy w styczniu, nie napisałam ani jednej pracy.

— To zrozumiałe. Przyjeźdź do domu, tutaj będziesz miała spokój. Napisziesz pracę dyplomową, a potem podejmiesz pracę w gazecie. Wiesz, jak bardzo chcą cię zatrudnić. —

Próbowała pocieszyć córkę, dodać jej otuchy i wiary w przyszłość. Paxton zrobiło się przykro, że będzie musiała zawieść matkę.

— Mamo... — Dotknęła dłoni matki, ciągle wdzięczna za okazanie serdeczności na wieść o śmierci Petera. — Wczoraj dostałam pracę.

Beatrice spoważniała.

— W San Francisco?

Przez dłuższą chwilę Paxton milczała. W końcu zdobyła się na odwagę.

— Dla „Morning Sun”, ale nie w San Francisco.

— Gdzie w takim razie? — Beatrice ciągle niczego się nie domyślała.

— Będę korespondentem w Sajgonie. — W pokoju zapanowała cisza, a potem nagle Beatrice zakryła twarz rękoma i głośno załkała. Tym razem Paxton tuliła matkę do siebie. Beatrice popatrzyła uważnie na dziecko, którego właściwie nigdy nie знаła, jak gdyby był to ktoś obcy.

— Jak możesz zrobić coś takiego? Chcesz popełnić samobójstwo? Byłam w podobnym stanie ducha po śmierci twego ojca — powiedziała, wycierając nos w koronkową chusteczkę — ale miałam ciebie i George’a. Musiałam myśleć o was. Wiem, że teraz wszystko wydaje ci się ponure i bezsensowne, ale to minie, Pax. Musisz być cierpliwa.

— Wiem, mamo... Zdaję sobie z tego sprawę. Jednak nie mogę siedzieć z założonymi rękami, nieważne tutaj czy tam, i czekać, aż życie powróci do normy. Chcę być w Wietnamie. Muszę zrozumieć, co tam się dzieje, i moją wiedzę przekazać innym. Chcę ich zainteresować, zaalarmować. Zasiadamy przed telewizorami, bezpiecznie w swoich domach i bez zmrużenia oka przyglądamy się, jak tam giną ludzie. Jeśli przyczynię się do skrócenia wojny, choćby o dziesięć minut, to mi wystarczy. Być może w ciągu tych dziesięciu minut zginęłoby pięciu żołnierzy. Moim obowiązkiem jest ich uratować.

— A jeśli ty zginiesz? Co będzie, jeśli to ty zginiesz, a nie ktoś inny? Czy pomyślałaś o tym? I o tym, co wtedy stanie się ze mną? Jesteś kobietą. Dobry Boże, nie musisz iść na wojnę.

Straciłaś rozum po śmierci tego chłopca. Musisz zostać w domu i pozwolić ranom się zagoić. Nie wracaj do Kalifornii — prosiła Beatrice błagalnym głosem, i to rozdzierało Paxton serce. Jednak była przekonana, że przeznaczenie musi się spełnić.

— Pojadę, mamo, ale obiecuję, że będę ostrożna. Nie chcę dać się zabić. — Wiedziała, że Ed Wilson też przypisywał jej motywy samobójcze. To prawda, były momenty, kiedy odczuwała pokusę, aby dołączyć do Petera. Miała wtedy ochotę skoczyć z mostu. Ale nie zrobiła tego. Teraz miała poczucie misji. Musiała ją wypełnić. To przeświadczenie trzymało ją przy życiu.

— Proszę, nie jedź... Paxton, błagam cię.

— Mamo, proszę cię. — Po raz drugi te dwie, tak do niedawna obce sobie, istoty padły sobie w ramiona. Lody zostały przełamane,

kontakt nawiązany, ale było za późno, by zmienić decyzję Paxton. Przyjechała do domu, żeby się pożegnać. Beatrice zrozumiała, że nic nie da się zrobić.

Matka i córka spędziły dwa tygodnie na spokojnych rozmowach o ojcu, o tym, jak Beatrice czuła się po jego śmierci, wspomniały nawet o kobiecie, która towarzyszyła mu w podróży. Była to jego współpracownica i Beatrice dobrze wiedziała o ich romansie. Zdawała sobie sprawę, że pozostawał samotny w małżeństwie, ale po prostu nie potrafiła ofiarować mu tego, czego

potrzebował. Przyznała nawet, że odczuła ulgę, gdy ktoś inny mógł to zrobić. Było jej nieprzyjemnie, że wszyscy dowiedzieli

się o kochance męża. Paxton nie mogła pojąć takiej postawy. Lody zostały przełamane, próbowała wstawić się w położenie

matki. Nie było to łatwe, ponieważ ogromnie się różniły. Jedną

chłodna, z dystansem wobec wszystkich i wszystkiego, obawiająca się utraty kontroli nad swoimi emocjami, nie dopuszczająca do siebie żadnych gorętszych uczuć, i druga otwarta, pełna pasji, głęboko zaangażowana we wszystko, oddająca się wszystkiemu bez reszty, nawet rozpaczy po śmierci Petera. Pod wieloma względami Paxton przypominała swojego ojca. George także próbował odwieść ją od wyjazdu do Wietnamu, ale wkrótce zrozumiał, że to bezcelowe. Paxton była zdecydowana. Brat pomógł jej załatwić formalności, a kiedy zadzwonił Ed Wilson i oznajmił, że musi już wracać, towarzyszył jej wraz z żoną i matką na lotnisko. Paxton płakała, gdy się z nimi żegnała. Czowała, że opuszcza dom już na dobre. Nawet jeśli wróci, już nie będzie takie samo. Zdawała sobie z tego sprawę. Wyjeżdżała stąd jako dziecko, a już nigdy nie będzie dzieckiem. Dziecko, którym kiedyś była Paxton Andrews, odeszło razem z jej ukochanymi bliskimi.

Rozdział XI

Pożegnanie z Wilsonami okazało się trudniejsze niż rozstanie z rodziną w Sayannah. Gabby bez przerwy płakała. Marjorie nadała załamana po stracie syna nie mogła zrozumieć, jak jej mąż mógł zgodzić się na wyjazd Paxton do Sajgonu. Bez ogródek powiedziała mu, że jest tak samo niespełna rozumu jak Paxton. W wieczór wyjazdu odprowadzili ją na lotnisko. Dostała miejsce w transportowym samolocie wojskowym wylatującym z bazy sił powietrznych w Travis. Wzięła zaświadczenia o szczepieniach, paszport, wszystkie niezbędne wizy, dokumenty z „Morning Sun” oraz instrukcje dotyczące jej pracy reporterskiej w Wietnamie. Zarezerwowano jej pokój w hotelu Carayelle w Tu Do. Wilsonowie, Gabby i Paxton mieli jeszcze świeżo w pamięci pożegnanie z Peterem. Ból po śmierci syna, brata, kochanka tkwił w ich sercach jak cień. Nawet Ed Wilson nie mógł powstrzymać łez, gdy trzymał Paxton w objęciach i całował mocno w policzki. Setny raz przypominał jej, żeby była ostrożna. Na miłość boską, jeśli tam, na miejscu, zmienisz zdanie, nie bądź głupia, po prostu wracaj do domu. Jestem przekonany, że popełniasz poważny błąd. Nie unosz się dumą i miej odwagę się do tego przyznać. Wracaj szybko.

— Dobrze — obiecała ze łzami w oczach. — Kocham was. — Nauczyła się, że nie należy tajić swoich uczuć, dopóki żyją ci, których tymi uczuciami darzyła. Nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć. — Uważajcie na siebie. — Ucałowała serdecznie wszystkich po kolei. W tym momencie zapowiedziano jej lot. — Muszę już iść. Przrzeknijcie, że będziecie pisać.

— Uważaj na siebie — upominała Marjorie, usiłując nie myśleć o swoim synu. — I na to, co jesz! — Wybuchnęli śmiechem. Gabby i Paxton padły sobie w ramiona. Stały się sobie tak bliskie, jak kochające się siostry.

— Kocham cię, ty wariatko. Bądź ostrożna, Paxxie, proszę. Chyba umarłabym, gdyby i tobie coś się stało. — Paxton potrząsnęła głową i zmierzwiła pieszczotliwym gestem fryzurę Gabby.

— Tylko nie zmałstrujcie następnego dzieciaka, zanim nie wrócę. — Niemowlę miało dopiero trzy tygodnie. Gabby roześmiała się przez łzy.

— Dbaj o siebie, Pax. Będziemy za tobą tęsknić. — Matthew uściskał ją serdecznie. Paxton objęła swą drugą rodzinę serdecznym spojrzeniem.

— Przyjadę do domu, żeby ubrać choinkę. — Taka była umowa między nią a Edem Wilsonem. Sześć miesięcy w Sajgonie i powrót do domu na Boże Narodzenie.

Zarzuciła torbę na ramię i podniosła jedną małą walizkę. Na nogach miała wysokie, podobne do wojskowych, buty na grubej podeszwie. Była ubrana w dzinsy i bawełniane podkoszulki. Przez ramię przewiesiła nowego nikon. Gdy znalazła się już przy samym wyjściu, po raz ostatni odwróciła się i pomachała, powstrzymując łzy. Wbiegła po stopniach samolotu i z rozpędu zderzyła się z chłopcem o włosach koloru pszenicy i okrągłej, dziecinnej twarzy. Można mu było dać najwyżej piętnaście lat. Wypchany worek obijał mu się o nogi. Paxton zrozumiała, że to jeszcze jeden nieszczęśnik, który będzie walczył w Wietnamie. Gdy zajęła swoje miejsce w samolocie, chłopak dołączył do innych, równie młodych, naiwnych i zielonych. Osiemnaście lat... Dziewiętnaście... Dwadzieścia.

Nagle poczuła się strasznie staro. Gdy wystartowali, a następnie lecieli nad Pacyfikiem, modliła się, by ci świeżo upieczeni żołnierze, znajdowali się nadal wśród żywych za sześć miesięcy, na Boże Narodzenie. Zamknęła oczy i oparła głowę na siedzeniu. Światła Kalifornii oddalały się w szybkim tempie.

CZEŚĆ II

WIETNAM 1968 - 1975

Rozdział XII

Samolot wojskowy wystartował z bazy sił powietrznych w Trayis i skierował się w stronę Hawajów. Paxton nie spała całą drogę. Dochodziła północ według czasu amerykańskiego, gdy dotarli na miejsce. Również w drodze na Guam nie zmrużyła oka. Zaczęła rozmawiać z towarzyszami podróży. W przeważającej większości byli to młodzi, wystraszeni chłopcy, świeżo upieczeni, niedoświadczeni żołnierze, których nazywano żółtodziobami. Kilku z nich próbowało zaprosić Paxton na randkę, niektórzy pokazywali zdjęcia swoich dziewczyn, matek i żon. Paxton zauważyła też kilku starszych wiekiem i stopniem wojskowym mężczyzn.

Byli już w Wietnamie i teraz wracali tam dobrowolnie. Ci najbardziej zainteresowali Paxton. Dwoch z nich poczęstowało ją whisky z manierki. Oni także czuwali.

Paxton chciała wiedzieć, dlaczego zdecydowali się wrócić do wietnamskiego piekła. Czy nienawidzili to miejsce, czy może je

pokochali? Co nimi kierowało? Słuchała ich wyjaśnień z mieszanymi uczuciami. Nie była pewna, czy dobrze ich rozumie. Mówili o tym, jakie to kurewskie miejsce, opowiadali o draniach z Viet Congu, o tym, jak ich koledzy zginęli z rąk żółtków. W chwilę potem jednym tchem opisywali piękno kraju, góry, strumienie, zielone wzgórza, różnorodne zapachy, opowiadali o kobietach i dziewczynach, przyjaciółkach, których kochali, kolegach, których stracili, owiszącym nad głową niebezpieczeństwem. Odniosła wrażenie, że szanują swych wrogów za ich całkowite oddanie sprawie, o którą walczyli, za odwagę i bohaterstwo, za to, że nie poddawali się aż do śmierci. Narzekali na głupotę własnych dowódców, którzy rzadko potrafili zorientować się w sytuacji. Byli przekonani, że Ameryka przegra tę wojnę.

— Dlaczego w takim razie wracacie? — zapytała. Obaj mężczyźni popatrzyli na siebie, a potem odwrócili wzrok. Paxton długo czekała na odpowiedź. A gdy ją wreszcie usłyszała, znowu nie była pewna, czy dobrze ich rozumie.

To me w porządku trzymać się na uboczu — zaczął jeden z nich. — Nikogo nic nie obchodzi. Wszystkie szczawie nienawidzą cię za to, że tam byłeś, a ty sam czujesz się jak zdrajca, kiedy wracasz do domu. Tam, w Wietnamie, giną twoi koledzy, w błocie, na polach minowych... Widziałem, jak mój najlepszy przyjaciel wyleciał w powietrze... dwóch innych uznano za zaginionych w akcji... Ja nie mogę... nie mogę jechać do domu, siedzieć na tyłku i nic nie robić... Muszę wrócić i pomóc im, przynajmniej do czasu, gdy ktoś pójdzie po rozum do głowy i zabierze nas stamtąd.

— Taak — przytaknął drugi żołnierz. Dobrze wiedział, co tamten próbował wyjaśnić.

— Nie ma dla nas miejsca tu, w kraju. Teraz jesteśmy niepotrzebni. Zawadzamy. Żółtkom i prezydentowi. Prawda jest taka, że to wszystkich gównem obchodzi. Utknęliśmy w Wietnamie na dobre, a ci faceci na górze me pozwalają nam działać skutecznie, ponieważ boją się, że Ruscy albo Chińczycy się wkurzą, więc pozwalają, żeby żółtki odstrzeliły nam jaja w Wietnamie. Chcesz wiedzieć, dlaczego tam wracam? Żeby pomóc moim kumplom wydostać się stamtąd, żebyśmy wszyscy mogli wrócić do domu.

Nie miał żony ani dzieci. Obchodził go jedynie los kolegów.

Z kolei oni zwrócili się do niej z pytaniem:

— A ty? Co ty tutaj robisz?

— Chcę na własne oczy zobaczyć, co naprawdę tam się dzieje.

— Dlaczego? Co to cię obchodzi?

Paxton zastanawiała się nad odpowiedzią. Nie miała zamiaru wtajemniczać obcych, zwierzać się z dramatów życia osobistego. Jednak wiedziała, że nigdy już nie spotka tych mężczyzn. Byli trochę zdziwieni, gdy sięgnęła za koszulę i wyciągnęła znaczek identyfikacyjny Petera. Pokazała im go, a oni pokiwali głowami ze zrozumieniem.

— Zginął w Da Nang. Po prostu chcę się przekonać, o co w tym wszystkim chodzi.

— To zwariowane miejsce. — Starszy się uśmiechnął. — Ile masz lat?

Wahała się, zanim odpowiedziała.

— Dwadzieścia dwa. Czemu pytasz?

Jestem o dwa lata od ciebie starszy i już trzeci raz tam lecę. Nigdy nie pozwoliłbym mojej młodszej siostrze na taką eskapadę. Jesteś pewna, że wiesz, co robisz, jadąc do Sajgonu? To bardzo daleko od domu.

— Na pewno. — Właśnie na to liczyła, chociaż ciągle nie mieściło jej się to w głowie. W końcu życzyła im dobrej nocy, wróciła na swoje miejsce i zasnęła.

Wylądowali na Guam o drugiej w nocy czasu lokalnego. Dla nich była dziewiąta rano dnia następnego. Mieli godzinną przerwę na uzupełnienie paliwa. Po upływie tego czasu wystartowali w kierunku Sajgonu. Powinni znaleźć się na miejscu o piątej rano czasu lokalnego. Paxton nie opuszczała świadomości, że tę samą drogę pokonywał Peter około dwa miesiące temu.

Wylądowali na lotnisku Tan Son Nhut w głównej bazie wojskowej zgodnie z planem, kilka minut po piątej. Paxton była rozczarowana. Wszyscy opowiadali o pięknie Wietnamu, o zielonej dżungli. Zamiast tego ujrzała coś w rodzaju sztucznych ogni. Gdy zapytała siedzącego obok żołnierza, czy to jakieś święto państworożeśniał się rozbawiony.

— Możesz tak to nazwać, jeśli chcesz oni nazywają to wojną. To artyleria, a te sztuczne ognie to pociski smugowe wybuchające gdzieś w okolicy Bien Hoa... Spodoba ci się tu. Fajerwerki wybuchają zawsze wtedy, gdy nasze ptaszki spuszczają jajeczka na gniazdko żółtków.

Drażnił ją ten protekcyjny ton, chociaż była zmieszana, że palnęła gafę.

Gdy przyszło do wysiadania, musiała sama nieść swoje bagaże. Żołnierze, którzy z nią rozmawiali, zapomnieli już o jej istnieniu. Mieli teraz swoje własne problemy. Wszyscy zostali załadowani na ciężarówki natychmiast po wylądowaniu.

Nikt nie czekał na nią na lotnisku. Wzięła swój bagaż i wyszła z lotniska w poszukiwaniu taksówki. Nie mówiła ani słowa po wietnamsku i nagle poczuła się bezradna i opuszczona, jak gdyby na całym świecie nie miała ani jednej przyjaznej duszy.

Przed budynkiem terminalu stał sznur zdezelowanych samochodów. Wszędzie widać było amerykańskich żołnierzy. Była to główna baza wojskowa w Sajgonie i Paxton mogła się tu czuć w miarę bezpiecznie.

— Hej, lala, witaj w Sajgonie! — usłyszała. Odwróciła się, by zobaczyć, o kogo chodzi, i z niemiłym zdziwieniem skonstatowała, że czarnoskóry mężczyzna, którego akcent zdradzał pochodzenie z głębokiego Południa, kierował swój okrzyk do niej.

— Wielkie dzięki! — odkrzyknęła, pozwalając mu rozpoznać śpiewny sposób mówienia rodem z Sayannah.

— Luizjana? — zawołał, a ona się roześmiała.

— Georgia!

— O, cholera! — Uśmiechnął się i pognął dalej. Chociaż jeszcze nawet nie świtało, na ulicach było tłoczno. Paxton pomachała na jedną z przejeżdżających taksówek. Podjechał rozklekotany niebiesko-żółty renault. Kierowca, ubrany w szorty i sandały, miał wąską, płaską twarz i potargane, czarne włosy.

— Ty, wojsko? — spytał głośno. Dookoła panował straszny hałas. Zewsząd dobiegały okrzyki i dźwięk klaksonów. W powietrzu unosił się ostry zapach, kombinacja woni kwiatów, wschodnich przypraw i spalin.

— Nie, nie wojsko — wyjaśniła, zastanawiając się, czemu go to interesuje.

— Lotnictwo?

— Nie. — Chciała jak najszybciej znaleźć się na miejscu. Już od ponad dwudziestu godzin była w drodze. — Do hotelu Carayelle, proszę.

Ty prostytutka? — Nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać, czy też po prostu przytaknąć.

— Nie — zaprzeczyła stanowczo, wkładając bagaż do samochodu.

— Dziennikarka. — Znała już wietnamskie słowo bao chi — korespondent, ale nie miała jeszcze odwagi mówić cokolwiek w nie znanym sobie języku. Taksówkarz potrząsnął głową. Nie rozumiał.

Wślizgnął się za kierownicę i zwróciwszy się w jej stronę zastanawiał się, kim ona naprawdę jest.

— Ty wojsko? — Do diabła. Najwyraźniej nigdy nie dotrze na miejsce.

— Gazeta. — Spróbowała jeszcze raz. Tym razem ujrzała w oczach taksówkarza błysk zrozumienia.

— Och, bardzo dobrze! — Nie mówił, ale krzychał. Gdy opuścili bazę, bez przerwy naciskał klakson.

— Ty kupisz narkotyki ode mnie? — spytał gawędziarskim tonem. Wszystko było tutaj takie proste. Ty prostytutka? Ty kupisz ode mnie narkotyki? Dla młodych chłopców, którzy nigdy przed- tern nie opuszczali domu, musiało to być szokujące.

— Żadnych narkotyków. Hotel Carayelle — powtórzyła raz jeszcze dla pewności, że zostanie zrozumiana. — Na Tu Do. — Była to

prawdopodobnie główna ulica. Tak przynajmniej twierdził szef korespondentów zagranicznych w „Morning Sun”. Ed Wilson nalegał, żeby zarezerwowano dla niej pokój w tym właśnie hotelu, gdyż był on uważany za najlepszy w mieście i najczystszy. Agenda CBS mieściła się w tym samym budynku i ojciec Petera sądził, że Paxton będzie tam bezpieczniejsza niż w jakimś innym hotelu w Sajgonie.

— Papierosa — zaproponował kierowca, a Paxton zaczęła się modlić w duchu, żeby skupił się na prowadzeniu samochodu. — „Ruby Queen” — wymienił nazwę najlepszych wietnamskich papierosów.

— Nie, dziękuję. Nie palę — odparła, obserwując z przerażeniem, jak kilka skuterów i wiekowy citroen napierają na ich renault.

Taksówkarz nacisnął klakson obiema rękoma. Paxton, zajmująca tylne siedzenie, próbowała wziąć głęboki oddech, ale uniemożliwił jej to wszechobecny smród spalin.

Gdy dojechali do Sajgonu, minęli pałac prezydencki i bazylikę Matki Boskiej Boskiej Pokoju, potem skręcili w Nguyen Hue Bouleyard, po

którego obu stronach rosły wspaniałe drzewa, i dojechali do ratusza. Następnie minęli plac z Salem Building i wtedy Paxton nagle rozpoznała słynny Marines Statue. Gdy go zobaczyła, uświadomiła sobie w pełni, gdzie się znajduje. Wiedziała, że tu, na tym placu, w Eden Building znajduje się siedziba Associated Press i biura NBC. Kilka minut później, gdy skręcili w Tu Do, rozpoznała hotel Continental Pałace. W „Sun” mówiono jej, że znajduje się tu ciekawy bar o nazwie „Terrasse” oraz redakcja „Time”. Kiedy mijali budynek Zgromadzenia Narodowego, kierowca zwolnił i odwrócił się do niej z uśmiechem. Trudno było określić jego wiek. Mógł mieć równie dobrze dwadzieścia pięć, jak i sześćdziesiąt lat.

— Ty chcesz zobaczyć Pink Nightclub w hotelu Catinat dziś wieczór?

— Nie, dziękuję. — Przybrała zdecydowany ton. — Hotel Carayelle. Szybko. Dziś wieczorem muszę pracować dla mojej gazety.

— Nie prostytutka? — pytał dalej z nadzieją, a ona modliła się w duchu, żeby zawiózł ją do hotelu i nigdy nie wrócił.

I nagle byli już na miejscu, przed hotelem Carayelle. Teraz marzyła tylko o tym, żeby uciec od natrętnego taksówkarza, zameldować się i położyć do łóżka. Była wyczerpana, chociaż świadomość, że jednak dopięła swego i znalazła się w Sajgonie, była ekscytująca. Kierowca wymienił sumę, jaką życzył sobie za kurs, i choć wiedziała, że ją oszukuje, nie miała siły się targować. Niosąc swój bagaż, weszła do holu. Hotel powoli budził się do życia. Kilka młodych Wietnamców właśnie rozpoczynało sprzątanie.

— Andrews. — Paxxie podała nazwisko ładnej recepcjonistce w białym ao daj, tradycyjnym wietnamskim stroju, składającym się ze spodni i wąskiej, długiej tuniki. Były one na ogół białe, ale zdarzały się także wzorzyste i kolorowe.

— Andrew? — Przez chwilę patrzyła bezmyślnie.

— Paxton Andrews. Z „Morning Sun” w San Francisco — odparła Paxton zniecierpliwionym tonem. Była wykończona. Marzyła o prysznicu i łóżku. Nawet już o tej godzinie było bardzo duszno. Wentylatory na suficie wydawały się nie mieć żadnego wpływu na temperaturę powietrza. Recepcjonistka sprawdziła w książce meldunkowej i pokręciła przecząco głową.

— Pana Andrews jeszcze nie ma. Pani jego żona? Jego dama?

— Do diabła — zakląła Paxton pod nosem. — Nie. Ja jestem Paxton Andrews. — Zauważyła dwóch wietnamskich chłopców przysiuchujących się jej rozmowie z recepcjonistką.

Uśmiechali się, tak samo jak dwaj mężczyźni spotkani w holu. Jeden z nich przyleciał tym samym samolotem co ona, drugi wszedł z ulicy. Obaj obrzucili Paxton pełnym aprobaty spojrzeniem. Jeden z nich miał

nieregularne rysy twarzy, ciemne włosy i około trzydziestu paru lat, drugi był dużo starszy, o porytej zmarszczkami, jakby wiecznie z.martwionej twarzy. Zauważyła ich, ale nie miała ochoty nikogo

poznać i z nikim rozmawiać. Recepcjonistka nadal zdawała się nie rozumieć. — Ja jestem Paxton Andrews — powtórzyła.

— Ty pan Andrews? — Dziewczyna zachichotała. Paxton musiała się roześmiać. W ciągu dwóch godzin pobytu w Wietnamie została wzięta za mężczyznę, lalę i prostytutkę. To był z pewnością interesujący początek.

— Tak — wyjaśniła. — Jestem Paxton Andrews. Czy ma pani dla mnie pokój? —

Dziewczyna skinęła wreszcie głową. Dwaj mężczyźni

nadal dyskretnie obserwowali Paxton. Recepcjonistka wezwała chłopca, który nie mógł mieć więcej niż osiem lat, i wręczyła mu klucz do pokoju na trzecim piętrze.

Paxton szła po schodach za chłopcem, który z trudem dźwigał jej walizkę. Torbę niosła sama. Gdy dotarli do pokoju, dała mu dwadzieścia pięć piastrow, a on wyszczerzył zęby w uśmiechu, uklonił się i zbiegł na dół. Trudno jej było uwierzyć, że przed takimi dziećmi ją ostrzegano. Mówiono jej, że dzieci w Wietnamie to złodzieje, żebracy albo członkowie Viet Congu. Ten chłopiec wyglądał tak niewinnie! Gdy Paxton otworzyła drzwi do pokoju, zdążyła zobaczyć stado karaluchów rozpierzchających się po dywanie. Wzdrygnęła się ze wstrętem, ale po sekundzie opanowała się i zmusiła do wejścia do środka. Zabiła te robaki, które nie zdążyły uciec, i weszła do łazienki. To pomieszczenie było czyste, wyłożone starymi, białymi kafelkami, i nadal nosiło na sobie piętno francuskiego panowania. Nic się prawie nie zmieniło, odkąd Francuzi opuścili to miasto. Jediną nowością była rozklekotana instalacja klimatyzacyjna w każdym pokoju. Paxton była wdzięczna za ten znajomy widok. W czasie drogi z lotniska do hotelu ubranie lepilo się jej do skóry. W wilgotnym, wciskającym się wszędzie upale czuła się okropnie.

Umyła twarz i nalała wody do wanny. Kiedy po kąpieli otworzyła w pokoju okno, zakrztusiła się zapachem spalin. Wzmógł się hałas. Miasto budziło się do życia. Położyła się do łóżka o ósmej. Przed zaśnięciem zastanawiała się, jakie wrażenie odniósł Peter, gdy tu przybył. Doszła do wniosku, że nie miał okazji widzieć zbyt wiele.

Żołnierzy ładowano na ciężarówki i wieziono nocą do miejsc takich jak Long Binh, Nha Trang, Pleiku, Da Nang, Vinh Long lub Chu Lai.

Spała niespokojnie. Zbudziła się, gdy słońce stało już wysoko na niebie ponad Sajgonem. Przetarła oczy i przeciągnęła się. Podniosła wzrok i uśmiechnęła się. Na parapecie okna siedział ptak i głośno ćwierkał.

— Witaj w Wietnamie. — Wolno przekreśliła się na drugi bok. Nagle usłyszała jakiś dźwięk i wyczuła czyjąś obecność w pokoju. Natychmiast usiadła sztywno wyprostowana, okrywając się szczelnie prześcieradłem. Do sypialni wszedł wysoki, przystojny blondyn ubrany w mundur polowy bez dystynkcji czy choćby oznaczeń „US Army”.

— Co pan tutaj robi? — Miała ochotę krzyknąć, ale nie była pewna, czy to najlepszy pomysł. Wstała, wycofała się za łóżko i jeszcze ciałniej owinęła prześcieradłem.

— Zostawiła pani klucz w drzwiach. Na pani miejscu nie robiłbym tego, szczególnie tutaj. — Zauważył jej urodę, ale nie zdradził się z tym. Jeden z chłopców hotelowych powiedział mu o nowej lokatorce tego pokoju, bardzo ładnej, jak to określił, dziewczynie. Nigel dał mu dwadzieścia piastrow napiwku. Również dwaj jego koledzy widzieli Paxton rano w holu. Teraz Nigel wyciągnął rękę i z poważnym wyrazem twarzy wręczył Paxton klucz.

Miałem zamiar zostawić go na nocnej szafce. — Paxton zauważyła, że nieznajomy mówi z jakimś obcym akcentem, nie była tylko pewna, brytyjskim czy australijskim.

— Ja... eee. — Oblała się krwistym rumieńcem, wściekła na samą siebie. Zastanawiała się, czy intruz może coś dostrzec przez otulające ją prześcieradło. — Ja... dziękuję bardzo. Intruz uśmiechnął się, rozbawiony jej zmieszaniem.

— Nie ma sprawy. A tak przy okazji jestem Nigel Aucliffe. United Press. Z Australii.

— Paxton Andrews z „Morning Sun” w San Francisco.

— Jestem pewien, że będziemy się częściej widywać. — Zabrzmiało to dosyć dwuznacznie, co sprawiło, że poczuła się jeszcze gorzej. Gdy wreszcie, skłoniwszy się grzecznie, wyszedł równie bezszelestnie, jak wszedł, usiadła na łóżku nadal szczelnie owinięta prześcieradłem. Serce waliło jej jak młotem po tym niespodziewanym spotkaniu. Jej pobyt tutaj nie zapowiadał się spokojnie i zwyczajnie. I jak mogła być tak głupia, żeby zostawiać klucz w drzwiach przebywając w strefie Wojny.

— Chryste! — wymamrotała do siebie. — I to jak głupia! — Tym razem zamknęła drzwi od środka i wyrzała przez okno na Tu Do.

O drugiej po południu Paxton miała się zameldować w biurze Associatej Press mieszczącym się w Eden Building Wzięła kąpiel i przebrała się w lekką, jasnoniebieską sukienkę, która wydawała się bardziej odpowiednia w tym klimacie niż dzinsy. Zbiegła szybko na dół, żeby zjeść lunch. W restauracji zastała sporo ludzi, przeważnie mężczyzn. Kilku nosiło mundury polowe, inni lekkie koszule. Znajdowały się tam również dwie Wietnamki w Ślicznych białych ao dais. W rogu sali dostrzegła Nigela Aucliffe’a siedzącego z nieznanym mężczyzną i dwoma innymi, których widziała wcześniej tego ranka. Śmiali się z czegoś głośno i Paxton zastanawiała się, czy przypadkiem nie z mej Zamowiła rosol i omlot Wpływ francuskiego panowania był ciągle jeszcze widoczny w wystroju wnętrza i jedzeniu, jakie tu podawano.

Gdy skończyła jesc i popijając kawę, robiła notatki, Nigel AuclitTe i jego towarzysze zatrzymali się przy jej stoliku

— Jeszcze raz dzień dobry — Patrzył na nią taksująco roześmianymi oczami. Pozostali mężczyźni byli wyraźnie zaintrygowani tym niezwykłym powitaniem. Nigel opowiedział im już o niej i o tym, że wydaje się kompletnie zielona. Przypuszczał, że jest córką jakiejś szczy i że niedługo życie w Wietnamie da jej solidną lekcję. Myśl ta zdecydowanie go bawiła.

— Widzę, że coś przekąśliśmy. — Pieścił ją wzrokiem, co ją wyprowadzało z równowagi. — Dzień dobry — powiedziała chłodno. Spojrzała na pozostałych mężczyzn. Nigel nie pofatygował się, żeby ich przedstawić, więc sama wyciągnęła do nich rękę i przywitała się pierwsza. Młodszy, ciemnowłosy mężczyzna, którego widziała w holu rano, nazywał się Ralph Johnson i był zatrudniony w Associated Press W Nowym Jorku, starszym był Tom Hlardgood z „Washington trzecim Jean-Pierre Biarnet z „Le Figaro” z Paryża. Braii Udział w ważnym spotkaniu i teraz właśnie wyskoczyli na długi, solidny lunch. Nigel i Jean-Pjerre rozważali możliwość urwania się na resztę dnia, gdy Nigel spostrzegł Paxtorj i opowiedział kolegom o przestraszonej dziewczynie owiniętej w prześcieradło. Wszyscy trzej wydawali się zaintrygowani osobą Paxton, chociaż żaden by się do tego nie przyznał. Paxton wstała, gotowa do wyjścia. W porównaniu z nimi wyglądała bardzo młodo. Mężczyźni obrzucili ją tęsknymi spojrzeniami. Zapadła niezręczna cisza. Paxton wytrzymała ich wzrok, świadoma swego statusu nowicjusza.

— Co ty tutaj robisz? — zapytał Johnson prosto z mostu. Zzerała go ciekawość. Taka młoda dziewczyna sama w Sajgonie? Pozostali mężczyźni byli równie zaintrygowani.

— Chyba to samo co i inni. Szukam prawdy o tej wojnie. Przez sześć miesięcy będę korespondentką „Morning Sun” w San Francisco.

Johnson wyglądał na zaskoczonego. To była dobra gazeta. Znał korespondenta, którego „Morning Sun” przysłał rok temu. Tym bardziej był zdziwiony, że redakcja skierowała do Wietnamu kompletnie niedoświadczonego reportera.

— Czy robiłaś już coś takiego przedtem? — Uczciwie przyznała, że nie. Nie miała najmniejszego pojęcia, w co się wpakowała. Kazano jej na razie zameldować się w biurze prasowym i zrobić wszystko, co jej będą kazali. Ed Wilson osobiście zabronił wysłać ją w strefę walk ani puszczać gdziekolwiek samą.

— Ile masz lat? — Johnson ponownie zapytał wprost. Paxton w pierwszej chwili miała ochotę skłamać, ale w końcu zdecydowała się powiedzieć prawdę.

— Dwadzieścia dwa. Właśnie skończyłam Berkeley. — Nie dodała, że rzuciła studia tuż przed dyplomem. Złożyła podpis na czeku i wszyscy razem powoli przeszli do holu.

— Skończyłem tę samą szkołę szesnaście lat temu. — Johnson uśmiechnął się do Paxton. — I byłem tak samo zielony jak ty, kiedy zaczynałem pracę. Dosłownie trząsałem się ze strachu. Byłem niezdolny do służby wojskowej i „The New York Times” wysłał mnie do Korei. Ale

zapewniam cię, że nauczyłem się tam rzeczy, których nigdy nie nauczyłbym się, siedząc na tyłku w Nowym Jorku. — Zaskoczył wszystkich, wyciągając do Paxton rękę. — życzę ci szczęścia, dzieciaku. Powiedziałaś, że jak się nazywasz?

— Paxton Andrews. — Teraz wszyscy uścisnęli jej dłoń, a potem rozeszli się w różne strony. Nigel i Jean-Pierre zdecydowali się w końcu nie fundować sobie wolnego popołudnia, lecz pojechać do Xuan Loc, gdzie odbywały się jakieś manewry. Tom Hardgood wybierał się do kwatery głównej w Tan Son Nhut.

— Idziesz do biura prasowego? — Johnson zwrócił się do Paxton, która właśnie kierowała się do wyjścia. Gdy przytaknęła, zaproponował. — Pokażę ci, gdzie to jest. — Ponownie uśmiechnął się do niej. Pozostali odeszli już, umówiwszy się na wieczór. Paxton szła wolno obok Johnsona, rozglądając się ciekawie dookoła.

Biuro prasowe mieściło się w Eden Building, gmachu, który mijala, jadąc taksówką do hotelu. Eden Building był usytuowany naprzeciwko Marines Statue przy placu, który stał się centralnym i najbardziej popularnym miejscem spotkań. Paxton dotarła do pomieszczeń biura, które zajmowało narożną część budynku. Czekają tam już na nią polecenia z San Francisco. Miała się rozejrzeć po Sajgonie i stawić się o piątej w sali Służb Informacyjnych Stanów Zjednoczonych. Ralph Johnson powiedział, że te spotkania przyjęło się nazywać: „nowinki o piątej”.

— Widzę, że cię oszczędzają. Już pierwszego dnia w Seulu wysłali mnie na front. O mały włos nie straciłbym życia. Chociaż, z drugiej strony to chyba jedyny sposób, by rzeczywiście zapoznać się z wojną. Jednak tobie bym go nie polecał.

— Co to za „nowinki o piątej”?

— Czysta propaganda. Mówią nam tylko to, co chcą powiedzieć. Głównie o tym, że odnosimy same sukcesy. Jeśli straciliśmy wzgórze, według nich nie straciliśmy. Masę naszych żołnierzy poległo, a oni na to, że straty wroga są jeszcze większe. Jeśli Wietnamicy zdobyli nasz sprzęt, to z pewnością był przestarzały, więc to żadna strata. Epatują nas liczbą amerykańskich żołnierzy, co sprawia, że sprawy wyglądają lepiej, niż naprawdę się mają. Wciskają nam kit, byśmy przekonali ludzi w kraju, że wygrywamy tę wojnę.

- A wygrywamy?

— A jak myślisz? — odparł zimno. Przyjrzał się jej badawczo.

— Chcę znać prawdę. Po to tu jestem.

— Prawdę? Prawda wygląda beznadziejnie. — Cały czas podejrzewała, że tak jest. Peter myślał tak samo, a jednak znalazł tu śmierć.

— Jak sądzisz, kiedy przyznają się do tego i zabiorą naszych Chłopców do domu? — zapytała z błyskiem oburzenia w oczach. Johnson potrząsnął głową, wyraźnie rozdrażniony.

— To jest, moja droga, pytanie za milion dolarów. Mamy teraz tutaj pół miliona żołnierzy, armię, której przyświeca hasło: Nie nadepnij na odcisk wujkowi Ho. Poza tym tysiące facetów wysyłanych stąd w workach foliowych. — Paxton się wzdrygnęła. Rozzłościło go to.

— Jeśli taka jesteś wrażliwa, pakuj szybko manatki i wracaj do domu. To nie jest odpowiednie miejsce dla ludzi o dobrym sercu. Jestem umówiony dodał. — Nagle popatrzył na nią pytająco. — Chcesz zobaczyć prawdziwy Wietnam czy też jesteś tutaj dla zabawy? A może miałaś zamiar pochwalić się, że widziałaś wojnę na własne oczy? — Nadarzała się okazja, by wyjaśnić, w jakim celu podjęła tak desperacką decyzję. Spojrzała mu prosto W OCZY.

— Muszę wiedzieć, co naprawdę tu się dzieje — powiedziała z mocą.

Pokiwał głową. W gruncie rzeczy spodziewał się takiej odpowiedzi. Wyglądała jak laleczka, ale najwyraźniej traktowała swą misję bardzo serio.

— Jadę jutro do bazy w pobliżu Nha Trang. Chcesz się przyłączyć? — Nie spuszczał z niej wzroku. Dawał jej szansę. Kiedyś też był młody i niedoświadczony, chodzili do tej samego college'u, a poza tym miał przecucie, że ona na to zasługuje.

— Och, z przyjemnością. Dziękuję ci.

— Masz buty?

— Jasne. — Kupiła najmocniejsze, jakie mogła znaleźć w sklepie Eddie'ego Bauera.

— Mam na myśli prawdziwe buty. Takie z metalowymi płytkami na zółwce chroniącymi przed bambusowymi szpikulcami. — Pax- ton popatrzyła na niego nie rozumiejąc, o co mu chodzi, ale on wiedział, co mówi. Był w Sajgonie od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego roku. — Jaki rozmiar nosisz?

— Siódmkę. — Była mu bardzo wdzięczna.

— Przyniosę ci jakieś.

— Dziękuję. — Ralph pożegnał się i oddalił pośpiesznie. Miał spotkanie z szefem biura. Gdy wszedł do jego gabinetu, ten spojrzął na niego spod oka.

— Coś się stało? Widzę, że humor ci dopisuje? — Ralph Johnson lubił pokpiwać sobie z szefa.

— Ty też skakałbyś do góry z radości. Dostałem w tym tygodniu dziesięć teleksów z San Francisco w sprawie jakiegoś żółtodziba, który musi być siostrzeńcem wysoko postawionej osoby. Życzą sobie, żebyśmy go wysyłali na północ ani w ogóle nigdzie. Najlepiej, żebyśmy zatrzymali go w Sajgonie na herbatce w pałacu. Mam dość na głowie i bez takich poleceń i wizyt.

— Uspokój się. Pewnie nawet się nie zjawi. Połowa tych dzieciaków aż się pali, by przyjechać, ale nie starcza im odwagi, żeby tu dotrzeć. A przy okazji, mamy nową laleczkę.

— Wspaniale. Właśnie tego jeszcze nam było trzeba. Oszczędzaj się, Ralph. Potrzebuję cię w pełni sił następnego miesiąca, jeśli dasz radę. — Obaj mężczyźni się uśmiechnęli. Przyjaźnili się od lat. — Co to za dziewczyna?

— Zapomniałem, jak się nazywa. Z zachodniego wybrzeża. Chodziła do tego samego college'u co ja. Wygląda na bystrą, ale jest przerażona i zielona. Zaproponowałem, że wezmę ją jutro do Nha Trang.

— Dla kogo pracuje?

— Nie pamiętam. Jest w porządku. Jeśli się pomyliłem, to jutro będzie spieprzać do domu.

— Pilnuj własnego tyłka. W Nha Trang jest teraz gorąco, ale chcę, żebyś zerknął na to. — Wręczył Johnsonowi „pożyczony” dokument, stwierdzający konieczność szybkiego uzupełnienia stacjonujących tam batalionów.

— Chryste, kiedy oni wreszcie zmadrzeją i przestaną wysyłać tych chłopaków do domu w opakowaniach.

— Zaciekawilo cię to?

— Raczej zmartwiło. — Przeszli do innych spraw. Omówili Sprawozdanie z działań w dolinie A Shau i zwariowany reportaż o Pomarańczowym Agencie. Rozmawiali też o jutrzejszej wyprawie do Nha Trang.

Tego dnia Ralph Johnson zatrzymał się na herbatę na przedmieściach Gia Dinh. Miał do załatwienia prywatne sprawy. O piątej był z powrotem w mieście, odebrał wiadomości pozostawione dla niego w biurze i tylko dziesięć minut spóźnił się na zwyczajowe spotkanie o piątej. Podano te same informacje, co zwykle. Wykaz ofiar, wyssane z palca dane o stratach Viet Congu, w które nikt nie wierzył, i dokumenty wroga, które każdy miał okazję zbadać. Ralph zastał na sali Toma Hardgooda i Jean-Pierre'a. Nie było natomiast Nigela. Na widok Paxton Jean-Pierre pomachał ręką. Gdy konferencja prasowa dobiegła końca, podszedł do niej i zagadnął. Orzekł, że musi być solidnie zmęczona. Wyjaśnił, że Nigel wyjechał do Xuan Loc, ale on zdecydował się zostać w Sajgonie.

— No więc, panienko — uśmiechnął się. — Jak ci się tu podoba?

Paxton odpowiedziała uśmiechem. Przez ostatnie dwie godziny zwiedzała miasto. Panował niesamowity upał. Była oszołomiona hałasem i hukiem samolotów. Miała dosyć smrodu spalin i dymu, który w chińskiej dzielnicy szczypał w oczy. Kilka razy zabłądziła, dwa razy wynajmowała riksę, przynajmniej tuzin razy była nagabywana. Nie mogła się porozumieć.

— Nie jestem pewna — przyznała uczciwie ze smętnym uśmiechem, zastanawiając się, czemu mają służyć te prasowe spotkania

o piątej. Wyglądało na to, że są dokładnie zaprogramowane w określonym celu. Jeśli ktoś chciał, mógł zdawać relacje z przebiegu wojny na podstawie tych oficjalnych informacji. Paxton miała świadomość, że to nie dla niej.

— Możesz mi wierzyć, to stek bzdur. — Jean-Pierre miał na sobie polowy mundur, był zgrzany i spocony. Pracował jako fotoreporter. Od czwartej rano był na nogach. Widział, jak wybuch bomby zabił grupę dzieci. Zdjęcia, które zrobił, były naprawdę wstrząsające. Opowiadał o swoich przeżyciach głosem monotonnym i beznamytnym. Starał się zachować dystans. Inaczej by chyba zwariował.

— Zrobiłem świetne ujęcie. Dwie martwe dziewczynki trzymające się za ręce. Mój naczelny będzie skakać z radości.

W tutejszym piekle wszystko traciło swój zwykły wymiar. To był koszmar. Zdawali sobie z tego sprawę. To zjadało i niszczyło od środka. Jakiś wewnętrzny przymus kazał im tu być niezależnie od powodów, jakie nimi kierowały.

— Dlaczego tu przyjechałeś? — zapytała cicho Paxton, wstrząśnięta tym, co powiedział, ale jednocześnie zaintrygowana. Pozostali uczestnicy konferencji prasowej zaczęli się rozchodzić.

— Ponieważ chciałem wiedzieć, co się zmieniło, dlaczego Amerykanie są przekonani, że wygrają, i czy rzeczywiście mogą, skoro my nie potrafiliśmy.

— A mogą? — Paxton zadawała to pytanie każdemu. Uparcie dążyła do odsłonięcia prawdy.

— Nie, to niemożliwe — odparł. — Myślę, że władze zdają sobie już z tego sprawę, ale nie wiedzą, jak to zakomunikować narodowi.

soją się przyznać do porażki, oficjalnie oznajmić, że nie umieją wygrać. To takie nieamerykańskie... Świadczy o braku honoru odwagi... My też nie mogliśmy pogodzić się z porażką — dodał. Paxton przyznała mu rację. Amerykanie tkwili w Wietnamie, żeby nie stracić twarzy, zachować pozory. To było kosztowne. Codziennie tracili swoich żołnierzy. To dziwne, ale tu, na miejscu, wspomnienie o Peterze nie prześladowało jej tak bardzo jak w Stanach. Była zbyt zajęta, próbując zorientować się w sytuacji. Chciała za wszelką cenę dotrzeć do prawdy. W pewnym sensie odczuwała ulgę. Może teraz, gdy jest tutaj, ból zelżeje. Może pewnego dnia zniknie na dobre. Może miała rację, przyjeżdżając do Wietnamu. Odcknęła się z zamyślenia i spostrzegła, że Jean-Pierre przygląda się jej z uśmiechem.

— Jesteś bardzo odważna, że zdecydowałaś się tu przyjechać. Dlaczego właściwie to zrobiłaś?

— To długa historia — odparła wymijająco, rozglądając się dookoła. Ralph już wyszedł, a Tom Hardgood i Jean-Pierre zapraszali ją na drinka do baru „Terasse” w hotelu Continental Pałace.

— To niezwykle miejsce. Prawdziwy Sajgon. Naprawdę musisz to zobaczyć.

- Chętnie — powiedziała, ujęta ich serdecznością. Zauważyła, że Jean-Pierre nosi obrączkę. Kiedy dotarli do „Terasse”, opowiedział Paxton o swojej żonie, odnoszącej sukcesy modelce.

— Spotkałem ją dziesięć lat temu, gdy robiłem zdjęcia z pokazów mody. Potem zafascynowało mnie to, czym zajmuję się teraz, fotoreportaże. Moja żona uważa, że zwariowałem. Raz w miesiącu Spotykamy się w Hongkongu i to trzyma mnie przy życiu. Inaczej bym tu nie wytrzymał. Jak długo zamierzasz tutaj zostać? — zapytał Zdawkowo

— Sześć miesięcy — odparła z młodzieńczą dumą. Jean-Pierre nie mógł powstrzymać uśmiechu.

— Masz w wojsku chłopaka? — Potrząsnęła przecząco głową. Jean-Pierre znał osobiście wiele cywilnych pielęgniarek, które przyjechały do Sajgonu za swoimi chłopcami. Jednak prędzej czy później wszystkie żałowały tego kroku. To było piekło na ziemi. Ich ukochani ginęli lub byli ranni i wracali do Stanów. Dziewczyny zostawały i wypruwały sobie żyły, opiekując się okaleczonymi dziećmi. Uważały to za swój obowiązek. Niektóre nie wytrzymały i wracały. Żadna z nich nie była taka sama jak przedtem. Była naznaczona piętnem wojny.

— Jeśli ktoś raz tu był, nigdy tego nie zapomni — stwierdził filozoficznie Jean-Pierre. Paxton przytaknęła. Rozglądała się Wokół ze zdumieniem. Siedzieli na tarasie hotelu Continental Pałace, Dookoła było pełno żebraków bez rąk lub nóg, pełzających pomiędzy stolikami jak groteskowe insekty. W pierwszej chwili Paxton nie rozumiała tego, co się dzieje. Sądziła, że szukają czegoś na podłodze. Nagle jeden z nich podniósł głowę i spojrzał na nią. Połowę twarzy pokrywały ohydne blizny, nie miał jednego oka i obu rąk. Patrzył na nią i jęklonie zawodził. Paxton o mało nie zemdląła. Z przerażeniem obserwowała, jak wyelegantowani chłopcy i prostytutki oraz handlarze narkotyków i innych towarów zagadywali żebraków, dając im hojne datki. Wszędzie unosił się upojny zapach kwiatów i przenikliwy smród benzyny, słychać było szmer rozmów, dźwięk klaksonów, krzyki, warkot samochodów, na zatłoczonych ulicach przepychali się przechodnie. Między samochodami przemykały rowery. Istny cyrk.

— Przepraszam. — Chciała jakoś usprawiedliwić swą słabość.

— Będziesz musiała się do tego przyzwyczaić. Tu jest mnóstwo żebraków. Można czasami udawać, że nie ma wojny, że nic się nie dzieje, aż któregoś dnia wybucha bomba, jakiś bar wylatuje w powietrze, któryś z twoich przyjaciół zostaje ranny, widzisz dzieci wykrwawiające się na ulicy, płaczące za matką, która leży obok martwa. Nie zawsze możesz uciec od takich widoków. A na północy jest jeszcze gorzej. Dużo gorzej. Tam naprawdę toczy się wojna. — Patrzył na nią uważnie znad szklanki. Zaciekawiała go ta dziewczyna. Mogła być jego córką.

— Jesteś pewna, że wytrzymasz?

— Tak — odparła spokojnie i zdecydowanie. Nabierała coraz więcej pewności, że podjęła słuszną decyzję, mimo że zdążyła już zobaczyć żebraków, dzieci pozbawione kończyn. Na ich widok chciało się jej krzyczeć.

— Dlaczego? — Jean-Pierre nie dawał za wygraną.

Zdecydowała, że będzie wobec niego uczciwa, tak jak wobec chłopca spotkanego w samolocie.

— Zginął tutaj mój narzeczony. Chciałam zobaczyć to miejsce Zrozumieć, dlaczego zginął. Muszę przekazać ludziom w Uśmiechnął się smutno.

— Jesteś młodą idealistką. Nikogo to nie obchodzi, a kiedy płaczesz w ciemnościach, nikt cię nie usłyszy. Chcesz przesłać wiadomość z Wietnamu... ale do kogo? Dla twojego narzeczonego jest już za późno A dla innych? Niektórzytak tu przyjadą, bo będą musieli, niektórzy przeżyją, inni zginą. Nic, co możesz zrobić, nie odmieni ich losu. W jego ustach brzmiało to bardzo pesymistycznie, ale Paxton wiedziała swoje.

— W takim razie dlaczego ty tu jesteś, Jean-Pierre? — Spojrzała mu prosto w oczy. Przyszło mu do głowy czy poszłaby z nim do łóżka. Wiedział, że podobała się Nigelowj. Ralph miał France i jej synka... a on żonę. Żona była jednak daleko, a ta dziewczyna kusila swoją świeżością, młodzieńczym podejściem do życia, chociaż zarazem była silna i pewna siebie. Uśmiechnął się pod nosem, a gdy Paxton zapytała o powód, roześmiał się głośno, nim odpowiedział.

— Myślę, że przypominasz mi... Joannę d'Arc. Ona wierzyła w te same rzeczy co ty. W prawdę, potęgę miecza wyciągniętego

W imię Boga, w wolność.

— To brzmi całkiem rozsądnie. — Paxton też się uśmiechnęła. — Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie. — Była dziennikarką i nie rezygnowała tak łatwo.

— Dlaczego tu jestem? Nie wiem. — Wzruszył ramionami. — Przyjechałem z ramienia „Le Figaro” i zostałem, ponieważ mnie zaintrygowała ta wojna. Chciałem poznać kulisy, dojść sedna... i spodobało mi się. To grzeszne miejsce — dodał — jeśli tego chcesz. Lubię swoich kolegów. I może... — może jak wszyscy mężczyźni lubię niebezpieczeństwo Paxton, nie pozwól, żeby mężczyźni cię okłamywali. Od dziecka lubimy bawić się karabinami, udawać, że walczymy z wrogiem. Potem robimy to naprawdę, widzimy w tym sens, dopóki to nas nie zabije. — Paxton instynktownie czuła, że Jean-Pierre otworzył się przed nią.

— Czy warto umierać?

— Nie wiem. — Wzruszył ramionami, uśmiechając się smutno. — Zapytaj się tych, co zginęli... Ciekawe, co by ci powiedzieli?

— Pewnie stwierdziliby, że nie warto — odparła Paxton, ale Jean-Pierre się z nią nie zgodził.

— Mówisz tak, bo jesteś kobietą. — Wciągnęła go ta rozmowa. — Dla kobiety wojna jest przekleństwem. Mężczyźni, którzy zginęli, Stanach prawdę o tej wojnie.

byli ich synami, kochankami, mężami. Kobieta może tylko stracić na wojnie, nigdy niczego nie zdobywa i dla niej wojna nie jest niczym ekscytującym. Twarze kobiet, które fotografowałem, były pełne bólu, gdy trzymały w ramionach swe martwe dzieci lub mężów. Myślę, że są znacznie odważniejsi od mężczyzn. Nie mogą znieść utraty swych najbliższych — dokończył łagodnym tonem. — A ty? Straciłaś narzeczonego, tak?

— Mieliśmy się pobrać. Byliśmy ze sobą cztery lata... i ja powinnam była wcześniej wyjść za niego. — Odwróciła głowę w poczuciu winy. — Powinnam była... ale nie zrobiłam tego.

— Jeśli tego nie zrobiłaś, to dlatego, że nie było cito pisane — powiedział Jean-Pierre uspokajająco. — Moja pierwsza żona zginęła w wypadku samolotowym. Miałem lecieć razem z nią, ale się spóźniłem. Czułem się winny. Chciała mieć dzieci, a ja się nie zgadzałem. Potem pomyślałem, że jeśli pozwolilibym jej mieć dziecko, pozostałaby mi jakaś jej część. Ale los chciał inaczej. — Wzruszył ramionami.

— A teraz masz dzieci? — zapytała łagodnie Paxton.

Potrząsnął z uśmiechem głową.

— Jesteśmy małżeństwem dopiero od dwóch lat, a moja żona ma dwadzieścia osiem lat. Chce najpierw zakończyć karierę modelki, zanim zdecyduje się mieć dzieci. — Ja też chciałam najpierw skończyć college, pomyślała Paxton, i co z tego wyszło? Czy Gabby miała rację, wychodząc za mąż i rodząc dzieci? Czy ona sama zwariowała, przyjeżdżając tutaj? Czy Jean-Pierre słusznie uważa, że nie było jej pisane zostać żoną Petera, czy powinna czuć się winna do końca życia?

— Ile masz lat, Paxton?

— Dwadzieścia dwa — odparła z uśmiechem.

— Ja mam dokładnie dwa razy więcej. — Jednak najwyraźniej mu to nie przeszkadzało. — Myślę, że nie pomyłę się, jeśli powiem, że jesteś najmłodszym dziennikarzem w Sajgonie. A już na pewno najpiękniejszym. — Wzniósł toast na jej cześć.

— Nie widziałeś mnie nad ranem — zażartowała.

— Nie, ale ja widziałem — Paxton obróciła się. To był Nigel. — Rano wyglądasz bardzo ładnie. Chcesz wiedzieć dlaczego?

— Niekoniecznie. — Paxton uśmiechnęła się, z ulgą przyjmując jego towarzystwo. Jean-Pierre wypił troszkę za dużo i obawiała się,

że po następnej szkockiej zacznie się do niej zalecać. Przybycie Nigela ratowało ją z opresji.

— Sądziłam, że pojechałeś do Xuan Loc.

— Postanowiłem jutro pojechać. — W rzeczywistości poderwał atrakcyjną dziewczynę i odłożył swój wyjazd do rana. — Czy jedliście już coś? Mam nadzieję, że nie. Ja umieram z głodu, a nie lubię jeść sam.

— Nie, jeszcze nie jedliśmy — odparł Jean-Pierre. — Gdzie chcesz się wybrać?

— Nie wiem. Może przekąsimy coś, a potem pójdziemy potańczyć do Pink Nightclub? — Wzrok Nigela spoczął na Paxton. Paxton rzuciła okiem na zegarek. Następnego dnia musiała wstać o czwartej rano.

— Chyba nie będę mogła wam towarzyszyć. Wyjeżdżam jutro z samego rana. Ralph Johnson przyjdzie po mnie o piątej.

— Co on ma z tym wspólnego? — zdenerwował się Nigel. Jean-Pierre był już na rauszu i widział wszystko w różowych barwach. Również swą samotność. Poza tym za tydzień miał się spotkać z żoną w Hongkongu.

— Jedziemy do Nha Trang z ekipą filmową — wyjaśniła Paxton.

— Tam jest cholernie gorąco — powiedział Nigel z dezaprobatą i nagle przypomniał sobie o jej kompletnym braku doświadczenia. — Nie main na myśli pogody. Tam jest mnóstwo żółtków.

Pilnuj więc swojego słiczego tyłeczka Znam Johnsona, on nie zatroszczy się o ciebie. Dla zdobycia materiału da się pokroić. Już dwa razy był ranny. Chyba chce zdobyć Nagrodę Pulitzera, chociaż się do tego nie przyznaje.

— Paxton uśmiechnęła się. Między tymi dwoma najwyraźniej toczyła się ostra rywalizacja.

— Będę uważać.

— Wracasz jutro wieczorem? — Wyglądało na to, że Nigel wpadł po uszy. To była bardzo ładna dziewczyna. Jednak zupełnie się nim nie interesowała. Zresztą żadnym z nich. Przyjechała do Sajgonu w określonym celu i miała zamiar dopiąć swego. Gdyby chciała poszaleć, wybór byłby ogromny. Dookoła było mnóstwo mężczyzn.

— Nie wiem, kiedy wracamy — odpowiedziała na pytanie Nigela. — Ralph nic nie mówił na ten temat. Czy powiedziałby coś, gdybyśmy nie wracali?

Nigel się roześmiał.

— Niekoniecznie.

Wszyscy troje wstali. Poruszenie przyciągnęło uwagę żebraków. Nigel i Jean-Pierre odgonili natrętów, ale Paxton zdążyła ujrzeć małą dziewczynkę bez nóg wieszoną na wózku przez niewiele starszego brata. Paxton odwróciła wzrok. Nie mogła patrzeć na tyle nieszczęścia. Nie można odwrócić biegu wydarzeń, przywrócić dziewczynce nóg, przerwać wojny.

— Powinnaś opisać Kwaków — odezwał się Jean-Pierre, gdy wreszcie opuścili taras. — Towarzystwo Przyjaźni Amerykańskiej ma fantastyczne centrum. Dają tym dzieciakom protezy. Mam kilka wspaniałych zdjęć stamtąd. To naprawdę niesamowite, co oni tam robią.

— Sprawdzę to. — Uśmiechnęła się do obu mężczyzn, podziękowała za drinki, a oni podwieźli ją do hotelu. Potem wyruszyli do następnego baru, żeby dalej pić. Zdecydowali się na razie odłożyć obiad na później. Gdy Paxton weszła do hotelu, zobaczyła kilka elegancko ubranych par, udających się do restauracji na górze. Sama była tak zmęczona, że nawet nie miała siły pomyśleć o jedzeniu. Weszła do pokoju, położyła się do łóżka i zasnęła natychmiast po nastawieniu budzika. Nie zdążyła nawet zdjąć ubrania.

Wydawało jej się, że upłynęła zaledwie chwila, kiedy zadzwonił budzik. Był to dziwny, warkotliwy dźwięk. Snila o pszczołach, przed którymi próbowała uciekać rikszą, ale nie potrafiła wyjaśnić kierowcy, gdzie chce jechać. Monotonne brzęczenie wdarło się do snu.

Wreszcie otworzyła oczy i rozejrzała się po pokoju. Było jeszcze ciemno, gdy wzięła prysznic, umyła włosy i włożyła kombinezon khaki, przywieziony specjalnie na takie okazje. Nałożyła też buty, które kupiła w Stanach, na wypadek gdyby Ralph nie miał czasu zdobyć dla niej tych ze specjalnymi blaszkami.

Zeszła na dół dokładnie o piątej. Hol był pusty. Ulice budziły się już do życia, wypełniały rowerami, samochodami i ludźmi spieszącymi w różnych kierunkach. Paxton widziała kobiety w spiczastych kapeluszach non la i wdzięcznych ao dais. Wyszła na zewnątrz i głęboko wciągnęła powietrze. Nadal czuć było intensywny zapach owoców i kwiatów, a także odór spalin, które tworzyły nad miastem smog. Gdy napawała się widokiem miasta o poranku, tuż za sobą usłyszała kroki. Był to Ralph, ubrany w połowy mundur, hełm i ciężkie wojskowe buty. Drugą parę niósł w ręku.

Miał też na sobie kamizelkę. Drugą trzymał pod pachą. Gdy Paxton do niego podeszła, wręczył jej razem z obiecanyimi butami.

— Masz te buty! — Dziękuję. — Była zaskoczona.

— Nie ma sprawy. — Kupił je na czarnym rynku, gdzie niczego nie brakowało. Wszystkie towary pochodziły z kradzieży z magazynów wojskowych. — Przyniosłem ci też kamizelkę lotniczą. To bardzo przydatne, jeśli tylko będziesz w stanie to na sobie dzwigać. — Miał dla niej także hełm. Na miejsce dojechali ciężarówką. Samochód prowadził kierowca wojskowy, a z tyłu siedziało czterech kamerzystów, akustyk i asystent. Ralph przedstawił im Paxton. Ekipa filmowa wyglądała jak oddział wojskowy jadący na manewry, wszyscy ubrani w mundury polowe i kurtki ochronne, ciężkie buty i hełmy. Akustyk, rozglądając się po okolicy, nie mógł powstrzymać nerwowego śmiechu, a asystent popijał parującą kawę z ogromnego termosu.

— Cholera, jeśli Wietnamcy nas złapią po drodze, pomyślą, że jesteśmy oddziałem regularnej armii — powiedział, patrząc na Paxton. — Masz może ze sobą wkładki podwyższające?

— Jestem i tak za wysoka. Nigdy ich nie noszę.

— Myślałem o sobie. — Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Potem w milczeniu obserwowali wschód słońca. Był piękny letni czerwcowy poranek. Paxton nagle zrozumiała, dlaczego słyszała tyle o urodzie tego kraju. Gdy wyjechali z miasta, otoczyła ich soczysta zieleń. Malowniczy krajobraz specyły widoczne tu i tam leje po bombach. Od czasu do czasu widzieli stojące wzdłuż drogi dzieci o kulach.

Jechali w milczeniu. Paxton była wstrząśnięta kolorytem tego miejsca, czerwoną ziemią i intensywnie zieloną roślinnością. Nie odrywała wzroku od mijanego krajobrazu. W pewnym momencie Ralph Johnson pochylił się, żeby poczęstować ją pączkiem.

— Pięknie, co?

— Tak. Sajgon jest zupełnie inny. — Kiedyś było to zadbane, cywilizowane miasto. Teraz było skażone wojną, brudne, pełne prostytutek, żebraków i wszelkich możliwych mętów. Okolice, przez które przejeżdżali, zachowały naturalne piękno. Chociaż i tutaj były widoczne ślady wojny.

— Byłem tu, kiedy półtora roku temu spalono Ben Suc... To dopiero było piękne miejsce. Spalenie go było zbrodnią.

— Dlaczego to się stało?

— Amerykanie chcieli odciąć Wietnamczyków od zapasów żywności. Zniszczyć ich kryjówki. W większości przypadków nie można odróżnić dobrych żołtków od złych, więc pali się wszystko. W ten sposób cała ta ziemia pustoszeje. Podobno przesiedlili mieszkańców, ale wpakowali ich do baraków. — Właśnie przy tej okazji spotkał France, ale nie wspomniał o tym ani słowa. Nie znał jeszcze Paxton zbyt dobrze. — Jak sobie wczoraj poradziłaś?

— Połąziłam trochę po Sajgonie i cały czas błądziłam. — Uśmiechnęła się. A potem zdecydowała się wyjawić to, co ją gnębiło. — „Nowinki o piątej” to w rzeczywistości stek bzdur, prawda? O co tu naprawdę chodzi?

— Nazywają to chyba PR — propaganda.

Wyglądała na rozdrażnioną. Przyjechała tu, żeby szukać prawdy, a nie słuchać kłamstw. Podczas rozmowy z Ralphem zdjęła hełm i związała włosy w ciasny kok. Każdemu było zbyt gorąco, a co dopiero jej, z włosami spływającymi na plecy.

— Moi przyjaciele z biura prasowego mieli wczoraj nerwowy dzień. Miał się pojawić siostrzeniec jakiejś ważnej osobistości, a oni zostali poinstruowani, żeby trzymać go z dala od wojny.

— Co on tutaj robi?

— Nie mam pojęcia. Chyba przyjechał z wizytą. Najwyraźniej nie jest zbyt mądry. Wietnam to paskudne miejsce.

Paxton popatrzyła mu prosto w oczy.

— Czy to znaczy, że uważasz mnie za niespełna rozumu?

— Być może. — Był wobec niej szczery. — Chociaż może jesteś inna. Jutro powiem ci dokładnie, co o tobie myślę. Podejrzewam, że jesteś typem szalonego dziennikarza, który bez względu na okoliczności musi wykonywać swój zawód, poszukiwać prawdy, nawet gdyby miałyby go zabić.

— Dziękuję. — To było wszystko, co mogła powiedzieć. Nałożyła z powrotem hełm i dopiła kawę.

Zatrzymali się na krótko w Ham Tan, skąd wyruszyli w dalszą drogę do Phan Rang i Cam Ranh. Gdy tam dotarli, usłyszeli w oddali odgłosy wybuchów. Do złudzenia przypominały grzmoty przetaczające się przez góry. Kierowca ciężarówki utrzymywał kontakt radiowy z bazą w Nha Trang i informował, że posuwają się w głąb kraju. Ich celem była baza wojskowa znajdująca się pod ostrzałem partyzantów. Mieli dostać się do niej od bezpiecznej strony. Członkowie ekipy filmowej sądzili, że nic im nie grozi. Baza była przecież doskonale strzeżona i bardzo dobrze uzbrojona. Jednak atak trwał już od tygodnia. Dlatego Ralph chciał się na własne oczy przekonać, jak naprawdę wygiąda sytuacja. Cały tydzień zabiegał o pozwolenie na wjazd w strefę ognia.

— Tamtejszy radiotelegrafista mówi, że jest gorąco — oznajmił kierowca. Paxton wiedziała już, co znaczy określenie „gorąco”. Gdy zbliżali się do bazy, kazano im pochylić głowy oraz nałożyć kurtki lotnicze i hełmy. Była siódma rano. Dwie mile od bazy zostali zatrzymani przez patrol wojskowy.

— Wiozę kilku dziennikarzy — wyjaśnił kierowca uzbrojonym po zęby wartownikom. Byli wyposażeni w standardowe karabiny M-16. Paxton już wiedziała, że są gorsze od radzieckich AK-47 używanych przez Viet Cong. Nasze się zacinały, ich nie.

Wartownicy zajrzeli do wnętrza ciężarówki. Paxton rozpoznała karabin maszynowy M-60 i charakterystyczny szcęk haubic 150 mm w oddali. Próbowwała zapamiętać najdrobniejsze szczegóły, chociaż wojna z bliska napawała strachem. Czuła, jak serce wali jej młotem.

Wartownik nadal przepytывał kierowcę.

— A co tu robi Delta Delta?

Kierowca uśmiechnął się.

— To samo co reszta. To dziennikarka, prawda? — Odwrócił się do Paxton.

— Tak jest. Pracuję dla „Morning Sun” w San Francisco. — Sięgnęła po swoje dokumenty, ale wartownicy nie pytając już o nic więcej, kazali im jechać. Ralph i kierowca wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

— co im chodziło? Co znaczy Delta Delta?

— Będiesz to częściej słyszeć. Ralph wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Też was tak na początku nazywano? — zapytała, a on roześmiał się głośno.

— Niezupełnie, kochanie. Lepiej ci powiem, co to znaczy. Delta Delta to radiowy odpowiednik Dobrej Dupci. — Tym razem zarechotali wszyscy.

— Cholera! Nie po to jechałam taki kawał drogi, żeby to usłyszeć!

— Im to powiedz — odrzekł kierowca i nawet Paxton musiała się roześmiać, chociaż nie było jej za bardzo do śmiechu.

— Delta Delta, do diabła!

— Będziesz musiała się do tego przyzwyczaić — Ralph me miał litości. Paxton pogroziła, że dostanie mu się za to. Jednak już kilka minut później beztronski nastrój prysł. Kazano im się położyć w ciężarówce, gdyż pociski artyleryjskie zaczęły gwizdać nad ich głowami. Kiedy wreszcie się zatrzymali, wyskoczyli z samochodu, a akustyk i kamerzyści zaczęli przygotowywać sprzęt. Ralph wyjaśnił, czego od nich oczekuje, a kierowca, po krótkiej naradzie z radiotelegrafistą, objaśnił, które przejścia do obozu są najbezpieczniejsze. Odgłosy wybuchów dochodziły zewsząd. Młody, czarnoskóry szeregowiec przybiegł, żeby oznajmić im to, co już wiedzieli, że „jest bardzo, bardzo gorąco”. Gdy to mówił, nie spuszczał oczu z Paxton.

— Hej, skąd jesteś? — wyszeptał, gdy wszyscy skupili się obok ciężarówki. Ralph potwierdził, że to, co słyszeli w oddali, to haubice. Armia południowowietnamska wspierała amerykańskie oddziały. Jednak Amerykanie woleli polegać na sobie. Uważali, że ich żołnierze byli lepsi w walkach z regularną armią Wietnamu Północnego.

— Z Sayannah — odparła Paxton, starając się zachować spokój.

— Tak? Ja też. — Podał adres, który niewiele jej mówił. Uśmiechnęła się nagle, przypomniawszy sobie Queenie.

— Jak długo tu jesteś? — spytała z zainteresowaniem.

— W Wietnamie? Całe wieki, złotko. Za krótko o dwa tygodnie. Jeśli uda mi się nie oberwać przez następne dwa tygodnie, zabieram się stąd i wracam do Georgii.

— Jak masz na imię? — Była piękna i wszystko, czego chciał, to rozmawiać z nią i dotknąć jej cudownego ciała. Miał dziewczynę w Sayannah, ale to nie miało teraz większego znaczenia.

— Paxton.

— Tak? — Wyglądał na rozbawionego. Ralph zerknął na nich przez ramię.

— Ciszej tam — nakazał.

Wreszcie wszyscy dotarli do bazy. Nad zieloną doliną snuły się dymy od bezustannych wybuchów. Nisko nad głowami przelatywały samoloty, podczas gdy inne w oddali zrzucały bomby. Żołnierze

nazywali je „ptakami zrzucającymi jajka”. Dowódca bazy wyszedł na spotkanie Ralpha i jego ekipy. Johnson przezornie rozpoczął od przedstawienia Paxton.

— San Francisco, he? — zapytał, rzucając na ziemię cygaro. — Wspaniałe miasto. Moja żona i ja uwielbiamy je. — Każdy uwielbiał jakieś miejsce. San Francisco, Sayannah, New Jersey, Północ, południe. Ci, którzy znaleźli się tutaj, desperacko pragnęli przeżyć, a potem wrócić do domu. Kontakt z kimś z kraju wiele dla nichaczył, choć był tylko namiastką.

— Ostatnio bardzo tu gorąco — wyjaśnił. — Północnowietnamskie wojska są zdecydowane się przebić, a my im nie zamierzamy na to pozwolić. W zeszłym roku broniliśmy się na tym terenie całkiem dzielnie, ale potem straciliśmy go. Teraz, gdy mamy go z powrotem, nie wypuścimy go z rąk. — Paxton nie mogła pozbyć się natrętnej myśli, ile ludzkich istnień kosztowała już ta decyzja. Zdobycie wzgórza, doliny czy wioski wiązało się ze stratami w ludziach. Tak wielu zabitych i rannych. Komendant znowu zaczął mówić, że świetnie sobie tu radzą. Jak na razie stracili tylko pięciu chłopców, a kilkudziesięciu było rannych. „Tylko pięciu chłopców” to niedużo?... Ale których pięciu? Jak dokonywali wyboru? Jak wybierał Bóg? I dlaczego wybrał Petera?

— Czy chcesz podejść trochę bliżej. Moi chłopcy powiedzą ci, gdzie jest w miarę bezpiecznie.

Ralph był zadowolony. Zostali całe popołudnie, z krótką przerwą na zjedzenie przydzielonej porcji, po czym znowu wrócili pod ostrzał nieprzyjacielski. Jak do tej pory, nikt nie został ranny. W sumie nie był to najgorszy dzień. Wojska amerykańskie nieustępie broniły swych pozycji. Od czasu do czasu przekazywano sobie informację, że pojawili się Wietnamcy. Ale nikt ich nie widział

— Jak się czujesz, dzieciaku? Jesteś w samym Centrum walk. — Ralph usiadł obok Paxton, żeby zapalić papierosa i dopić kawę.

— A jak ty się czuleś, kiedy „Time” wysłał cię do Korei?

— Mało nie zesrałem się ze strachu — powiedział z uśmiechem.

— To się mniej więcej zgadza. — Uśmiechnęła się nerwowo. Od rana na miejscu żołądka miała twardą kulę.

— Jadłaś coś? — Potrząsnęła głową. — Powinnaś. To ci pomoże. Musisz jeść i spać, bez względu na to, co się dookoła dzieje. Inaczej stracisz kondycję i zrobisz coś głupiego. Nie dziel włosa na czworo. To chyba najlepsza rada, jakiej mogę ci udzielić.

Była mu wdzięczna. Ralph okazał się zyczliwym kolegą i wspa niałym reporterem.

Zrozumiała, dlaczego inni mu zazdrościli. Był dobry, bardzo dobry, zawsze gotowy na największe ryzyko.

— Dziękuję za buty — powiedziała, a on poklepał ją po ramieniu.

— Nie zdejmuj helmu i trzymaj nisko głowę, a nic ci się nie stanie. — Znowu zniknął, przemykając się wśród drzew w ślad za żołnierzami. Paxton zaczęła mieć wątpliwości, czy ma go podziwiać, czy też uważać za szaleńca. Nagle w pobliżu, tam gdzie zniknęli żołnierze, rozległ się potężny wybuch. Kamerzyści rzucili się pierwsi, za nimi ruszył akustyk, a zaraz za nim pobiegła Paxton. Myślała tylko o Ralphie. Gdy dotarła na miejsce eksplozji, zobaczyła żołnierzy leżących dookoła. Ralph trzymał jednego z ciężiej rannych.

— Potrzebujemy medyka — oznajmił spokojnie, lecz stanowczo. Ktoś pobiegł po pomoc.

Nagle pojawił się radiotelegrafista wzywający sanitariuszy z noszami.

— Mam tu sześciu trafionych — powiedział do słuchawki.

Paxton poczuła czyjeś dotknięcie. Był to jeden z rannych. Wybuch urwał mu rękę i wszędzie dookoła było pełno krwi. Miał twarz dziecka, gdy powtarzał:

— Chce mi się pić.

Paxton miała manierkę, ale nie była pewna, czy ranny powinien pić. Może mu nie wolno?

Przybyło dwóch medyków w towarzystwie księdza. Cała trójka zaczęła udzielać pomocy rannym. Żołnierz, którego trzymał Ralph, umarł mu na rękach.

— Chce mi się pić. — Nikt nie podchodził do jej chłopca, a on patrzył się na nią z bólem w oczach. — Jak masz na imię?

— Paxxie. — Poglaskała go delikatnie po twarzy i ułożyła jego głowę na swoich kolanach. Krew zalała jej nogi, ale udawała, że tego nie dostrzega. — Nazywam się Paxxie. — Mówiła łagodnie, odgarniając mu włosy z czoła i walcząc z pokusą, by nie pocałować go w policzek, jak chorego dziecka. Nie mogła powstrzymać łez. Próbowała się uśmiechnąć, ale on i tak niczego nie widział. — A jak ty się nazywasz?

Joe. — Jego głos był coraz słabszy z upływu krwi i szoku. Powieki zaczęły mu opadać.

— Joe, obudź się... Nie możesz teraz spać... no, dalej, otwórz oczy. — Uśmiechała się do niego, a dookoła trwało szaleństwo. Sanitariusze nosili rannych na polanę. Ralph, ksiądz i kamerzyści pomagali im. Jeden z medyków robił komuś masaż serca. W chwilę potem Paxton usłyszała warkot helikoptera. Rozległy się strzały

i musiał się wycofać. Medyk robiący masaż serca krzyknął:

— Cholera! Ranny zmarł.

— Skąd jesteś, Joe?

— Miami. — Był to jedynie szept.

— Miami. Wspaniale. — Miała lzy w oczach i twardą kulę w gardle. Czuła mdłości, a nogi były mokre od krwi. Radiotelegrafista, siedzący na ziemi obok nich, mówił pilotowi helikoptera, żeby znowu się wycofali. Tu było zbyt gorąco.

— Do diabła z tym... — Usłyszeli głos pilota. — Ilu macie trafionych? — Głos był zdecydowany i silny. Nie zamierzał nigdzie odlecieć bez rannych.

— Czterech w stanie bardzo ciężkim. Potrzebują natychmiastowej pomocy. — Jak tylko radiotelegrafista to powiedział, powietrzem wstrząsnął następny potężny wybuch.

— Cholera! — krzyknął ktoś. Medycy znowu mieli pełne ręce roboty. Ktoś zameldował radiotelegrafście o liczbie rannych.

— Teraz jest dziewięciu. Mam pięciu więcej, Niner Zulu. Czy „możesz szybko ściągnąć tu jeszcze jeden śmigłowiec? Mamy tu kilku facetów, którzy me będą długo czekać. — Słuchając tych słów, Paxton zamknęła oczy. Wiedziała, że chłopiec, którego trzymała na kolanach, był jednym z nich. Próbowała spojrzeć radiotelegrafście w oczy, ale był zbyt zajęty rozmową, a Ralph poszedł gdzieś z kamerzystami.

— Wszystko w porządku? — zapytał ktoś, przechodząc obok. Ku swemu zdumieniu Paxton usłyszała własną odpowiedź.

— Mamy się dobrze, prawda Joe? Prawda? — Chłopiec zasypiał. Paxton delikatnie dotknęła jego policzka, żeby go obudzić, starannie omijając wzrokiem miejsce, gdzie kiedyś tkwiło ramię, i kikut, z którego lala się krew. Przyszło jej do głowy, żeby założyć mu opaskę uciskową, ale bała się pogorszyć sytuację. Chwilę później pojawił się medyk.

— Wyjdiesz z tego, synu, wyjdiesz. — A potem uśmiechnął się do Paxton. — Ty też sobie świetnie radzisz. — Był to czarnoskóry chłopiec z Sayannah. Miała wrażenie, że są starymi przyjaciółmi.

— To jest Joe. — Starła się, żeby jej głos brzmiał lekko, ale z niepokojem zerkała na helikopter Ufloszący się w pobliżu. Słyszała także głos pilota w radiu obok siebie. — Tu Niner Zulu. Odlatujemy, ale wrócimy zaraz. Nie będziemy lądować. Wciągniemy ich na górę tak szybko jak się da i zrobimy szybki odwrót.

— Cholera — usłyszała czyjeś przekleństwo. To jedno słowo zdawało się najlepiej oddawać całą sytuację.

— Jak on, kurwa, wyobraża sobie, że ich wciągniemy na górę? — Radiotelegrafista pytał wszystkich, którzy chcieli go słuchać.

— O to się nie martw — włączył się jeden z żołnierzy. — Jeśli poczekamy jeszcze trochę, nie będziemy musieli nikogo wciągać. — Od chwili drugiego wybuchu zmarło już dwóch rannych. Zostało tylko siedmiu. W sumie zmarło czterech. Jednak nie był to udany dzień.

Śmigłowiec pojawił się ponownie. Unosił się wystarczająco długo, by medycy mogli wciągnąć na pokład czterech rannych. Zaraz potem przyleciał następny helikopter i zabrał pozostałych. Widziała, jak dwóch żołnierzy ładuje Joe do helikoptera. Złapała się na tym, że modliła się głośno o życie dla niego. Gdy odwróciła się, zobaczyła dwóch innych leżących na ziemi. Mieli otwarte, nie widzące oczy. Obok spoczywali żołnierze armii południowowietnarnskiej. Paxton odeszła na bok i zaczęła wymiotować w krzakach. Ralph znalazł ją tam chwilę później. Miała papierowobładą twarz, mundur był zalany krwią.

— Nie przejmuj się, dzieciaku. Ja rzygałem codziennie przez sześć miesięcy, kiedy byłem w Korei. — Westchnął i usiadł na chwilę obok niej. Uspokoilo się trochę, ale wszędzie czuć było tchnienie śmierci. Ralph chciał wracać do Sajgonu jeszcze tego wieczoru.

— Odwaliliśmy dzisiaj kawał roboty — powiedział, a Paxton spojrzała na niego z przerażeniem.

— Czy to właśnie nazywasz „dobrą robotą”? — Nagle przypomniała sobie Jean-Pierre’a i jego doskonale ujęcie „martwych dziewczynek trzymających się za ręce”.

Ralph odezwał się z nagłą irytacją.

— Nie ja zacząłem tę wojnę. Przyjechałem, żeby zdawać relacje z tego, co tu się dzieje. Jeśli będę przyprawiał ludzi o mdłości może ktoś ją wreszcie zakończy. Jeśli ty przyjechałaś tu pisać o przyjęciach i koktajlach w klubie oficerskim, to się pomyliłaś. Wojna jest brzydka, odrażająca. Zaczekaj, aż Bob Hope przyjedzie na Boże Narodzenie, jeśli masz ochotę się pośmiać.

— Och, odpieprz się. — Była wściekła, zmęczona i przygnębiona. — Jestem tu z tego samego powodu co i ty.

— Ach tak? To dobrze, ponieważ wojna potrzebuje dużo takich ludzi jak ty i ja. Ludzi, którzy mają odwagę mówić prawdę i może nawet za nią zginąć. Ludzi, którzy nie boją się prawdy. Po to tu jesteś? — Obrzuciła go wzrokiem pełnym nienawiści. Napadł na nią, a jemu podobała się jej reakcja. Była silna i twarda, przejmowała się i miała osobowość. Wiele rzeczy mu się w niej spodobało.

— Tak. Dlatego tu jestem. — Dalej patrzyła na niego z furią w oczach. — Jestem tu, żeby mówić prawdę o tej pieprzonej, brzydkiej wojnie. Tak jak ty, drogi panie.

— Czy to jedyny powód twego przyjazdu? — Oboje już się trochę uspokoili. Paxton zdecydowała się powiedzieć mu to samo; co Jean-Pierre’owi.

— Mój narzeczony zginął tu niespełna dwa miesiące temu.

Ralph długo siedział w milczeniu, a potem popatrzył na nią i powiedział coś, co nią wstrząsnęło.

— Zapomnij o nim.

— Jak możesz tak mówić? — Była zdumiona i urażona.

— Ponieważ bez względu na powód, dla którego tu przyjechałaś, musisz teraz o nim zapomnieć, jeśli chcesz dobrze wykonywać swoją robotę. On odszedł. Nie zmienisz tego. Możesz przyczynić się do odmiany losu innych, jemu podobnych, możesz pomóc sprawie, uczciwie zdając relację z wojny. Jeśli jednak myślisz o zemście lub pragniesz przybliżyć wspomnienia o nim, nikomu się nie przysłużysz. Ani jemu, ani sobie, ani ludziom, dla których masz pisać. — Trafił w sedno, wiedziała o tym. Prawda była bolesna. Żądał, żeby dorosła w ciągu jednego dnia i zapomniała o ukochanym. Miał słuszość. Jako dziennikarka powinna obiektywnie przekazać światu to, co widziała. Nie kierować się emocjami. Ralph nie owijał niczego w bawełnę. Oboje zdawali sobie sprawę z tego, że była to słuszna postawa. Tego popołudnia przenieśli się do Hai Ninh, leżącego w połowie drogi do Sajgonu. Tam także byli świadkami walk i przetasowań wojsk, które interesowały Ralpha. Gdy w końcu zaczęli zbierać się do powrotu, tamtejszy dowódca ostrzegł ich, że podróż nocą jest zbyt niebezpieczna. Będą musieli poczekać do rana. Spali więc w okopach razem z żołnierzami. Paxton leżała, patrząc w gwiazdy.

Rozmyślała o Peterze. Czy też doświadczał tego co ona? Czy się bał? Czy był zachwycony pięknem tego kraju? Czy myślał o niej?

Czy to miało teraz jakieś znaczenie? Straciła Petera na zawsze.

Liczyła się prawda i ludzie, którzy się o nią otarli i poznali ją.

— Dobrze się czujesz? — Ralph przysunął się bliżej i podsunął Paxton papierosa, ale ona odmówiła. Była niewiarygodnie zmęczona, wręcz chora. Nie tknęła obiadu. Poza wszystkim racje wojskowe nie wyglądały zachęcająco. Wolałyby już ryż i pho czy zabielaną zupę z kluskami, którą jedli żołnierze armii południowowietnamskiej.

— Czuję się świetnie.

— Nie widać tego.

— Po tobie też — powiedziała, choć musiała w duchu przyznać, że prezentował się lepiej od niej.

— Przepraszam, jeśli byłem zbyt szczery. Zobaczyłaś dzisiaj prawdziwy Wietnam. Przeraziłaś się, ale me wolno ci rezygnować z ideałów ani zapomnieć, po co tu przyjechałaś. Nawet jeśli na początku twojej podróży przyświecały ci motywy osobiste, nie jest jeszcze za późno zmienić punkt widzenia. Zawsze możesz znaleźć sobie jakiś szlachetny, obiektywny cel. Pamiętaj tylko, dla kogo piszesz i co chcesz powiedzieć. To cię będzie trzymać przy zdrowych zmysłach. Nie rób z tego osobistej vendetty. Ci żołnierze, którzy chcą pomścić śmierć przyjaciół, tracą rozum. Rzucają się na oślep w pogoni za Wietnamcami i żyją chwilę, nim nadepną na minę. Potem ich dusze wędrują do, jak to sami określają, wielkiego magazynu w niebie. Jedno jest pewne, cokolwiek byś tutaj nie robiła, nie możesz przestać myśleć. Ci, co przeżyli to piekło, nie zapominają o tym ani na chwilę. — To była dobra rada i Paxton wiedziała o tym.

— Cały czas myślę o tym chłopcu... Joe z Miami... Nie wiem nawet, jak ma na nazwisko... Ciekawe, czy jeszcze żyje.

— Chyba tak — odparł Ralph. — Miał szczęście. W Nha Trang znajdowaliśmy się blisko polowego szpitala. Prawdopodobnie znalazł się na stole operacyjnym w piętnaście minut po tym, jak załadowaliśmy go do helikoptera. Ty też mu dużo pomogłaś. — Poklepał ją po ramieniu. Próbował wesprzeć ją na duchu. Widział już tylu umierających i rannych! W tym piekle każdy pomału obojętniał, oswajał się z tragedią. Wszyscy ci chłopcy byli mięsem armatnim. To było okrutne. Każdy, najbardziej normalny człowiek pod słońcem, kto przeżył Wietnam, stawał się odmieniony, skażony. Ralph uśmiechnął się do niej.

— Wiesz, nie dosłyszałem twojego imienia. Wiem, że na nazwisko masz Andrews. A na imię coś jak Pattie albo Patton, tak?

— Paxton. Tylko zapamiętaj, żebyś nie zwracał się do mnie per Delta Delta.

— Postaram się. — Zamyślił się na chwilę, a potem nagle zaczął się głośno śmiać. Leżeli w okopie obok siebie. Paxton popatrzyła na niego z irytacją.

— Co cię tak śmieszy? Moje imię?

— Nie. Podoba mi się twoje imię... Tylko przyszło mi do głowy coś cholernie śmiesznego. Jesteś z „Morning Sun” w San Francisco, prawda? — Przytaknęła. — Masz tam wujka?

— Niezupełnie. — Zaczerwieniła się, ale on nie mógł tego dostrzec. — Chyba można go nazwać moim nauczycielem i doradcą. To mój niedoszły teść. Zajmuje dosyć wysoką pozycję w gazecie. — Nie chciała zdradzać, że jest jej właścicielem.

— Szef tutejszego biura prasowego mówił, że ten facet zasypuje ich telexami w imieniu szefów „Sun” w sprawie jakiegoś siostrzeńca, którego trzeba za wszelką cenę trzymać z dala od frontu. Panno Paxton, myślę, że to o ciebie chodziło. Nikt nie przypuszczał, że jesteś dziewczyną. Cholera... I co ja zrobiłem najlepszego? Zabrałem cię w sam środek walki. — Znowu zaczął się śmiać i Paxton też musiała się roześmiać.

— Cieszę się, że nikt się nie domyślił, kim jestem.

Leżeli w milczeniu, słuchając pojedynczych strzałów snajpera.

— Nie wiem, jak piszesz, ale jesteś dobrym kumplem i masz charakter. Reszta powinna przyjść ci zupełnie łatwo.

— Dziękuję ci.

— Nie ma za co. Możesz jeździć ze mną na rozpoznania, kiedy tylko zechcesz. Pod warunkiem, że nic nie powiesz swojemu wujkowi.

Znowu się uśmiechnęła. Oddała się rozmyśleniom i w końcu zasnęła. Zanim zapadła w głęboki sen, uświadomiła sobie, że przebywa w Wietnamie dopiero dwa dni, a wydawało jej się, że nie widziała od lat Eda Wilsona, Gabby, San Francisco... ani Petera.

Rozdział XIII

Ralph i Paxton wraz z ekipą wrócili do Sajgonu następnego dnia. W drodze powrotnej wszyscy milczeli. Otarli się o śmierć. Nadal czuli jej tchnienie.

— Wstrząsnęło to tobą, prawda? — Ralph siedział obok niej. Swoje miejsce obok kierowcy odstąpił akustykowi.

— Tak — skinęła głową. Nadal myślała o chłopcu z Miami. Jak będzie żył bez jednej ręki? A jeśli nie przeżyje operacji? I o co ci chłopcy walczyli? Nikt nie był już niczego pewien. Wszystko się skomplikowało.

— Zdobędziesz tu swoistą edukację — powiedział Ralph. — Ci, którzy choć trochę czasu spędzili w Wietnamie, nigdy już nie Są tacy sami jak przedtem.

— Dlaczego? — Ciągle szukała odpowiedzi.

— Sam nie wiem... Może za dużo widzieli... Za bardzo to przeżywali... Stali się zgorzkniali i pozbawieni złudzeń. Wracają do Stanów, a tam ich nienawidzą i traktują jak morderców. Nikt niczego nie rozumie. W Stanach ludzie słuchają radia, wysiadują w barach, kupują samochody i uganiają się za kobietami. Gównu ich obchodzi to, co się tu dzieje. Nigdy zresztą ich nie obchodziło. Wietnam? A gdzie to jest? Kogo to interesuje? To tylko banda głupków walcząca ze sobą... A że przy tym giną młodzi Amerykanie? Nikt o tym nie pamięta. Nasi żołnierze oddają życie za nic, bez sensu i na darmo.

— Naprawdę w to wierzysz? — To, co mówił, było bardzo bolesne. Zwłaszcza gdy myślała o Peterze. Łatwiej było uważać go za bohatera, który oddał życie za ojczyznę. W rzeczywistości zginął przez pomyłkę. Paxton miała tę świadomość.

— Wierzę. Najsmutniejsze, że wszyscy inni też. Nikogo w Stanach nie obchodzi ta wojna. Nawet nie starają się zrozumieć sytuacji. Sam nie jestem pewien, że ja cokolwiek rozumiem. Występujemy w obronie Sajgonu przed agresją Viet Congu. Teoretycznie. W praktyce nasi sprzymierzeńcy nie są nimi do końca. Nie wiesz, kto jest w Viet Congu, a kto nie. Cholera, czasami myślę, że oni wszyscy. Chryste, popatrz na dzieciaki. Większość z nich bez mrugnięcia rzuciłaby w ciebie granatem. Ta świadomość jest najgorsza. Nie wiadomo, komu można zaufać, kogo szanować, z kim walczyć. Połowa naszych żołnierzy bardziej szanuje żołtków niż swoich własnych dowódców. Wietnamcy walczą lepiej niż ktokolwiek inny. A armia południowo-wietnamska to kpiny. Rozumiesz, co chcę powiedzieć? To jest cyrk. Jeśli będziesz przebywać tu dostatecznie długo, zwariujesz. Weź to pod uwagę. W dniu, w którym przestaniesz myśleć o załapaniu się na najbliższy samolot do domu, zaczną się twoje kłopoty. — Trochę kpił, trochę żartował, a zarazem odsłaniał prawdę. Zdawała sobie z tego sprawę. Było coś dziwnie pociągającego w tym kraju, coś, co sprawiało, że chciało się tu zostać. To coś wisiało w powietrzu. Tkwiło w zapachach, dźwiękach i ludziach. Wyrażało się w zaskakującym kontraście między Sajgonem a niezwykle piękną okolicą. Uzewnętrzniło w niewinnych twarzach i w bliskości śmierci. Chciało się wierzyć, że Wietnamczycy są bez winy, że cierpią, a ty możesz im pomóc. Ale czy możemy im pomóc, ratując jednocześnie siebie? Czy też był to beznadziejny wysiłek? Gdy w południe dojechali do Sajgonu, Paxton nie znalazła odpowiedzi na żadne z tych pytań.

Ralph podrzucił ją do hotelu, a sam udał się do biura prasowego w Eden Building. Paxton wkroczyła do holu w mundurze pokrytym plamami zakrzepłej krwi, umazanym błotem i przepoconym. Wyglądała okropnie. Po drodze wpadła na Nigela, który na jej widok uniósł brwi.

— No, no, wygląda na to, że miałaś pracowity dzień. A może zacięłaś się przy goleniu?

— Wracamy z Nha Trang. Widziałam mnóstwo rannych, wypaliła mu prosto w oczy, ściągając heim. Dla niej było ich mnóstwo. Gdy to mówiła, poczuła pod powiekami szczypiące ky.

— Czy mam się zdziwić? Przecież chyba po to tu jesteśmy. - Był z niego kawał wyniosłego drania i jego stosunek do świata bardzo ją drażnił. — Jakie masz plany w związku z dzisiejszą kolacją?

— Nie wiem. Muszę zacząć pisać artykuł. — Umowa z „Sun” nie narzucała jej żadnych terminów. Miała przysyłać materiały, gdy będą gotowe. Jednak chciała udowodnić, że nie rzucała słów na wiatr i poważnie traktuje swoje zobowiązania.

— Może spotkamy się później. Czy Ralph poszedł do domu, czy do biura?

— Jestem pewna, że poszedł do biura — odparła zmęczonym głosem:

— Lepiej się wyśpij. Wyglądasz na wykończoną.

— Bo jestem... Na razie... — Jej zamiary spełzły na niczym. Po kąpeli tylko na chwilę przyłożyła głowę do poduszki i natychmiast zapadła w kamienny sen. Gdy obudziła się, było już ciemno. Była potwornie głodna.

Zeszła na dół do restauracji. Nie spotkała nikogo znajomego. Gdy spróbowała coś zjeść, okazało się, że nie mogła nic przełknąć. Nawet ananasowy krem, na który miała wielką ochotę, smakował okropnie. Cały czas miała przed oczami obrazy z Nha Trang. W końcu wypila filiżankę bulionu i zjadła kilka koreczków z krewetek. Trochę posilona wróciła na górę i zabrała się do pracy. Siedziała nad tekstem do drugiej w nocy. Rozpłakała się, gdy próbowała opisać chłopca z Miami i czarnego sanitariusza z Sayannah. Uświadomiła sobie, że nawet nie ma ich nazwisk. Kiedy postawiła ostatnią kropkę, poczuła się jakby pusta w środku, ale kamień spadł jej z serca. Pisanie przyniosło jej ulgę, było prawie jak katharsis.

Poszła spać o trzeciej nad ranem, a o dziewiątej pojawiła się w biurze prasowym. Spotkała Ralpha. W czystej, białej koszuli i spodniach khaki wyglądał oficjalnie.

— Co tu robisz, Delta Delta? — Mimo wszystko się uśmiechnęła. Również Ralph wyraźnie ucieszył się na jej widok.

— Nic takiego. Chcę wysłać artykuł.

— Nha Trang? — zapytał, a ona przytaknęła. — Przy okazji, dowiedziałem się, że ranni, których zabraly śmigłowce, przeżyli oprócz czarnego chłopaka z Missisipi. To znaczy, że twój podopieczny ma się dobrze. Powinnaś się cieszyć.

Paxton uśmiechnęła się z ulgą. Ralph patrzył na nią z aprobatą. To była dobra dziewczyna. Naprawdę. Towar najwyższej jakości.

Musiła się jeszcze dużo nauczyć, ale była bystra. Polubił ją.

— Nie zawsze tak jest. Może to ty przyniosłaś mu szczęście. „ Wróci do domu. — Co dzisiaj robisz?

— Szukam kłopotów — zażartowała. Ralph się roześmiał.

— Uważaj. W tym mieście znajdziesz je bez trudu.

— Zauważyłam to. — Jeśli nie trafi się jej nic ciekawszego, pozostaje w odwodzie Nigel Aucliffe albo Jean-Pjerre, który w ten weekend miał spotkać się ze swoją żoną w Hongkongu.

— Dziś wieczorem magazyn „Time” wydaje przyjęcie w swoim biurze w Continental Pałace. Chciałabyś pójść?

— Jasne. — Nie była pewna, czy proponuje jej randkę, czy przyjacielskie spotkanie, ale nie obchodziło jej to. Nie miała zamiaru wdawać się w romans. Nowe kontakty i znajomości mogły

okazać się cenne.

— Spotkamy się na miejscu. — Popatrzył na zegarek. Widać było, że się śpieszy. — O szóstej?

— W porządku. — Resztę popołudnia spędziła, snując się po Sajgonie. Zwróciła uwagę na dzieci, których wszędzie było pełno. Wyglądało na to, że za wcześnie poznały życie. Wystarczyło usiąść w kawiarni, a już oblegały cię chmarami i usiłowały ci sprzedać wszystko, od heroiny i papierosów poczynając, na kradzionych napojach kończąc.

Wiedziała, że kiedyś napisze o nich artykuł. To był dziwny świat, bardzo różny od świata, w którym przebywała dotąd. Jednak nie żałowała, że postanowiła go poznać.

O piątej wróciła do hotelu i przebrała się w jedwabną, wzorzystą suknię. Na nogi nałożyła nowe sandaalki. Potem poszła ulicą Tu Do w stronę Continental Palace. Sajgon musiał być kiedyś pięknym miastem. To było widać gołym okiem. Jednak teraz był skażony wojną. Wyczuwało się bliskość frontu. Ludzie siedzący w kawiarniach mieli poczucie, że wróg czai się wszędzie, a bomba może spaść prosto na nich w każdej chwili.

Gdy Paxton dotarła do hotelu, w „Terrace” ujrzała tłum. Pośród barowych gości rozpoznała Nigela w towarzystwie dwóch pielęgniarek. Jedna z nich siedziała mu na kolanach, podczas gdy druga pieszczotliwie mierzwiła mu włosy, zaśmiewając się radośnie. Paxton udała się na górę, do biura „Time”a”.

W środku kręciło się już mnóstwo ludzi. Ralph czekał zgodnie z umową. Rozmawiał z szefem biura o nadchodzącym zjeździe demokratów w Chicago. Od czasu zamachu na Martina Luthera Kinga i zabójstwa Roberta Kennedy’ego w całym kraju wybuchały zamieszki. Ralph czarno widział przyszłość.

— Sądzę, że w Chicago będzie gorąco — powiedział. Nagle zauważył Paxton. Powitał ją z ciepłym uśmiechem, przedstawił wszystkim zebranym i z wprawą oprowadził po biurze, traktując ją jak młodszą siostrę. Paxton była wzruszona okazanym zainteresowaniem. Nie omieszkała podziękować Ralphowi. Popijali we dwoje szkocką, gdyż Ralph uznał, że poznała już wszystkie liczące się osoby.

— Naprawdę jestem ci wdzięczna. Gdyby nie ty, pewnie bym nadal siedziała w pokoju hotelowym.

— Może tak byłoby lepiej. — Pociągnął większy łyk. — Wczoraj, kiedy wróciliśmy, miałem wyrzuty sumienia. Przeze mnie od razu znalazłaś się w oku cyklonu. Może niepotrzebnie?

— Nie sądzą — odparła spokojnie, patrząc mu w oczy. — Po to tu jestem.

Ralph niespodziewanie uśmiechnął się szeroko.

— Miałem rację. przeprowadziłem wczoraj małe śledztwo. Rzeczywiście chodziło o ciebie. Mają cię pilnować i prowadzić na przyjęcia do ambasady w Golden Ghetto. — Kiedyś był to luksusowy dom mieszkalny na ulicy Gia Long.

— Mam nadzieję, że nikt się niczego nie domyśli.

— Na pewno nie. Nikt nie ma czasu na niańczenie kogokolwiek. A skoro już o tym mowa — spojrzaj na nią z uwagą — czy jesteś zainteresowana następną wyprawą? Jadę do Cu Chi, żeby dowiedzieć się czegoś na temat tunelów. Pomyślałem, że to ci się może spodobać.

— Z wielką chęcią się z tobą zabiorę. Znowu o piątej?

Ralph roześmiał się. Paxton miała bardzo poważną minę.

— Wpadnę o ósmej. Będziemy mieli mnóstwo czasu. Ubierz się tak samo jak wtedy.

Paxton uniosła brwi.

— Nie będzie żadnego przyjęcia w klubie otkerskim? Moi przyjaciele w San Francisco mocno się rozczarują.

Ralph mrugnął porozumiewawczo.

— O to się nie martw, Delta Delta. Poślij im trochę paczków. — Paxton udała, że się na niego zamierza. Kilka minut później Ralph opuścił zebranych.

Paxton rozmawiała z wieloma innymi dziennikarzami, a potem zeszła na dół. Starła się i tym razem uniknąć spotkania z Nigelem, który był już kompletnie pijany i bardzo gorąco zalecał

się do jednej z pielęgniarek. Paxton spokojnie wróciła do swojego hotelu, zjadła kolację w pokoju i o dziesiątej poszła spać. Następnego ranka punkt ósma czekała w holu na Ralpa. Tym razem Ralph zebrał inną ekipę: fotografa i kierowcę. Przyjechali wojskowym dżipem. Za kierownicą siedział młody żołnierz piechoty morskiej. Potężnej budowy, przyjaźnie nastawiony rudzielec, o krótko ostrzyżonych włosach i niebieskich oczach. Na piersiach miał wytatuowanego kowboja i mówił, że pochodzi z Montany. Paxton usiłowała się nie roześmiać, gdy powiedział, że ma na imię Kowboj. Skończył dziewiętnaście lat, a do Wietnamu przyjechał w święta Bożego Narodzenia. Od powrotu do domu dzieliło go sześć miesięcy. Twierdził, że wiedzie mu się nie najgorzej. Został tymczasowo przydzielony do Agencji Informacyjnej jako kierowca.

— Dopóki nie trafimy na minę albo nie zostaniemy ustrzeleni przez żółtków, wszystko w porządku. — Uśmiechnął się do nich szeroko, a Paxton uznała go za szczęściarza. Mógł przecież walczyć na północy.

Jazda do Cii Chi zajęła im czterdzieści pięć minut. Większość czasu spędzili na rozmowie o koniach i jeździe konnej. W końcu

Paxton i Ralph zaczęli dyskutować o celu wyprawy. Towarzyszący im fotograf był Francuzem. Nazywał się Yyes. Przyjaźnił się z Jean-Pierre'em. Nie mówił zbyt dobrze po angielsku, więc prze

ważnie milczał, co sprawiało, że wydawał się nieśmiały. W rzeczywistości wcale taki nie był. Ralph już wcześniej z nim pracował, i bardzo go lubił. Yyes znał swój fach i podobnie jak Paxton był spokojny i skrupulatny.

— Baza Cii Chi jest interesującym miejscem — wyjaśniał Ralph. — To kwatery główna 25 Dywizji Piechoty „Tropikalna Błyskawica” z Hawajów. Zbudowali tę bazę ponad dwa lata temu nad tunelami, które wydrążyli Wietnamcy. Naszym wydawało się, że złapali żółtków w potrzask, ale byli w błędzie. Viet Cong działał nadal dosłownie pod ich nogami, a baza Cu Chi stała się ogromnym problemem. Znajduje się ona po drugiej stronie rzeki Sajgon, na wysokości żelaznego Trójkąta, gdzie trwają najcięższe walki.

— Co się tam teraz dzieje? — Paxton była wdzięczna za każdą informację.

— Odkryliśmy tam całą sieć tuneli. Myślę, że to dobry temat na reportaż. Chłopaki, którzy się tym zajmują, nazywani są szczurami tunelowymi i stanowią przedziwną grupę. Twardzi jak stal, znerwami jak postronki. Ja za żadne skarby nie wszedłbym do takiego tunelu.

Wietnamcy mają tam cały podziemny świat. W zeszłym roku, gdy rozprawialiśmy się z nimi w okolicach żelaznego Trójkąta, próbowaliśmy zlikwidować te tunele, ale bez sukcesu.

Natrafiono nawet na szpital pod lasem Than Dien, trochę na północ od żelaznego Trójkąta. żółtki to zadziwiający ludek. — Ralph doskonale wiedziało tym, że nie zasługiwali namiano „głupków” czy „szaleńców”, jak ich powszechnie nazywano. Mieliw sobie siłę i zdecydowanie, twardość i niewiarygodną wręcz odwagę. Prowadzili walkę na śmierć i życie.

— Myślisz, że będę mogła zejść do takiego tunelu? — zapytała Paxton zafascynowana tą perspektywą, ale Ralph potrząsnął głową patrząc na nią z przestraszonym.

— Nic z tego, Pax. To zbyt niebezpieczne. Dostaję klaustrofobii na samą myśl o tym.

— Sądzę, że to fascynujące.

— A ja sądzę, że zwariowałaś. — Resztę drogi przebyli w milczeniu. Gdy dojechali na miejsce, Paxton na własne oczy mogła podziwiać ogrom bazy Cii Chi i panującą tam wspaniałą organizację. To miejsce różniło się zasadniczo od bazy w Nha Trang. Jednak gdy znaleźli się za bazą, na obszarze pokrytym bujną roślinnością, Paxton zauważyła pewne podobieństwo. Upał zdawał się wprost buchać z gęstych zarośli, a wszędzie dookoła widać było buldożery oczyszczające teren z drzew i krzewów.

— Załóż kamizelkę — rozkazał Ralph machinalnie. Był zajęty rozmową z Yyesem i jednocześnie machał ręką do kogoś w oddali.

— Po co? — Upał był nie do zniesienia i nikt nie nosił kamizelek. Większość żołnierzy pracowała rozebrana do pasa, miała na sobie tylko spodnie i buty. Niektórzy nawet pozdejmowali hełmy. — Nikt nie nosi kamizelek.

— Rób, co ci każe — warknął. — Oni też powinni je nałożyć. Cu chi słynie ze snajperów. — Paxton z niezadowoloną miną włożyła ciężką kamizelkę, a potem zaczęła zdejmować hełm. Zatrzymała się w pół gestu pod wpływem spojrzenia Ralpha. Tak jak inni przytroczyła do pasków hełmu krem do opalania i środek na komary. Wielu żołnierzy nosiło ze sobą w ten sposób papierosy, karty do gry inne potrzebne im drobiazgi, Paxton zauważyła, że każdy trzyma

swój karabin M-16 pod ręką, a większość miała standardowe pistolety 45 zatknięte za pas albo w kaburze. Zanim tu przyjechała, została ostrzeżona, żeby nie nosiła przy sobie broni. W ciągu kilku ostatnich dni przekonała się, że mało kto chodzi bez broni. Na czarnym rynku można było kupić niemal wszystko.

W pewnym momencie podszedł do nich wysoki, szczupły mężczyzna. Był to ten sam facet, do którego machał Ralph. Miał włosy w kolorze piasku, jasne oczy i sympatyczny uśmiech. Z jego wzroku wyczytało napięcie, skupienie i powaga, które zadawały kłam jego niedbalej pozie.

— Cześć Quinn. Wygiąda na to, że nie pozwalasz leniuchować soim chłopakom.

Kapitan William Quinn z 25 Dywizji Piechoty przywitał się z Ralphem i Yyesem, a następnie wyciągnął dłoń do Paxton.

— Miło, że przyjechaliście — Gdy wskazywał rejon, który został już oczyszczony, zauważyła, że nosił obrączkę. Był przystojnym mężczyzną. Okazało się, że miał trzydzieści dwa lata, nauki pobierał w West Point i był zawodowym wojskowym. Popatrzył na Paxton z nieśmiałym uśmiechem. — Ty też pracujesz dla Associated ss? — Spojrzał jej głęboko w oczy. Na chwilę zapomniała, o co ją pytał. Był bardzo atrakcyjny, emanowała od niego siła, pewność siebie i opanowanie ale pod tym kryło się coś dzikiego, a może nawet szalonego.

— Ja... nie, jestem z „Morning Sun” w San Francisco. — Miłe miasto. Zanim tu przybyłem, stacjonowałem przez czas w Presjdo. — Właśnie tam zostawił żonę, ale nie wspomniał o tym.

— To moja nowa protegowana — wyjaśnił Ralph z uśmiechem. — Trochę przypomina mnie samego z czasów Korei. Chociaż myślę,

że ona jest bardziej przebojowa — dodał, a Paxton podziękowała mu za tę pochwałę.

— Nie ma za co, Delta, Delta — drażnił się z nią, gdy szli za kapitanem Quinenni na oczyszczony teren. Wokół leżały porozrzucone narzędzia, stał ciężki sprzęt i żołnierze. W ziemi były widoczne małe otwory, przez które przecisnąć się mogło jedynie dziecko.

— Chryste, czy to to? — Ralph patrzył ze zdumieniem. Zajrzał do jednego z otworów.

Poprzednio były one zakryte bujną roślinnością i nikt nie był w stanie ich dostrzec. Quinn i jego ludzie odsłonili wszystkie wejścia, jakie mogli znaleźć, i teraz wejścia do tuneli były widoczne. Można było nawet dostrzec bambusowe rury, przez które oddychali ludzie, którzy znajdowali się na dole. — Przypuszczam, że w głębi te tunele się rozszerzają.

Bill Quinn potrzęsnał głową.

— Nie zawsze. Żółtki to zadziwiający mały ludek. — Mówił to z szacunkiem i humorem. — Sześć dni zajęło nam wykurzanie stamtąd tych małych facecików. To strasznie wytrwała banda.

— Tak. — Ralph przytaknął. — Zawsze tacy byli.

Bill Quinn oprowadził ich po okolicy. Paxton zapytała, czy może wejść chociaż kilka metrów w głąb tunelu, żeby przekonać się na własne oczy, jak jest w środku. Większość Amerykanów była zbyt rosła, by przecisnąć się przez ciasne otwory. Paxton była szczupła i gibka.

Pożyczyła od Yyesa aparat fotograficzny ora latarkę i zeszła pod Ziemię za jednym z ludzi Quinna, drobnym żylastym szczurem tunelowym. Po kilku minutach nie miała czym oddychać. Błada i brudna wyrzwała na powierzchnię, łapczywi chwytając powietrze. To co zobaczyła na dole, przeraziło ją nie na żarty. Czuć było odór rozkładających się ciał. Żołnierz, który z nią szedł, wyjaśnił, że nie wyciągnęli jeszcze wszystkich trupów. Myśl o tym, że śmierć zastała partyzantów pod ziemią, była porażająca. Wszystko wokół takie było. W Nha Trang przeżyła ostrzał, patrzyła na rannych i umierających. Wszędzie czaiła się śmierć, chociaż kapitan zapewniał ich, że wszystkie tunele zostały sprawdzone a jedyni Wietnamcy, którzy się tam znajdowali, byli martwi.

— Czy używacie psów? — zapytała, ciągle jeszcze pod wrażeniem tego, co widziała. Quinn musiał przyznać, że była niezwykła. Jeszcze żadna Amerykanka nie wyraziła chęci zejścia na dół. Nawet Yves fotograf Ralpa, nie wydawał się entuzjastycznie nastawiony. Ta młoda kobieta okazała się bystra i ciekawa wszystkiego, i tym się różniła od innych. Była także bardzo ładna, czego kapitan nie omieszkiał zauważyć, gdy Paxton zdjęła heim, uwalniając kaskadę jasnych włosów. Bardzo ładna. Poczul się tak jakby tkwił w Cu Chi od zawsze.

— Używamy psów — wyjaśnił — ale nie robimy tego zbyt często. Wysyłamy uzbrojonych żołnierzy. Przynajmniej mają szansę. — Jednak musiał przyznać, że niezbyt wielką. Na myśl o tym Paxton poczuła zimny dreszcz przebiegający jej po plecach. Podeszli do innego otworu otoczonego bambusowymi rurami do oddychania. — Quinn mówił dalej: — Schowało się tu siedmiu facetów i jedna kobieta. Sądźmy, że siedzieli tu rok, a może nawet dłużej. — Tuż przed nosem Amerykanów. Wyjaśniał, że wymykali się nocami i dokonywali aktów sabotażu albo strzelali z ukrycia. — Mieliliśmy z tym masę problemów.

Paxton zaczęła robić notatki. W tym momencie zbliżył się sierżant, mówiąc, że właśnie zameldowano o pojawieniu się w pobliżu snajpera. Szybko zerknął na Paxton, a potem z powrotem na kapitana.

— Czy chce pan, żeby oni wrócili do bazy? — Wydawał się nie pochwałać obecności przedstawicieli prasy. Jego spojrzenia nie były ani przyjazne, ani życzliwe. Jednak Bill Quinn nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Sprawdził, która godzina, i zapytał radiotelegrafistę, czy może nawiązać kontakt z chłopcami przeczesującymi tereny me oczyszczone.

— Nie, nic im nie będzie, jeśli zostaną. — Bill Quinn odpowiedział sierżantowi, a potem dalej rozmawiał z radiotelegrafistą. Wreszcie wyjaśnił Ralphowi, że odkryto jednego albo dwóch snajperów i że są uzasadnione podejrzenia, że istnieje jeszcze jeden tunel. — Może nawet będziecie mieli okazję zobaczyć, jak go oczyszczamy — powiedział, uśmiechając się do Paxton. Nie wiedziała o tym, że kapitan cieszył się już pewną sławą w Wietnamie. Wraz ze swymi ludźmi odkrył i oczyścił więcej tuneli niż ktokolwiek inny w historii tej wojny. Kilka razy sam schodził na dół, cztery razy był ranny, dwa razy odznaczony za odwagę. Jego żołnierze poszliby za nim w ogień. — Trzeba być trochę stukniętym, żeby być szczurem tunelowym — mawiał i szukał odpowiednich ludzi, niezwykle odważnych, na granicy lekceważenia śmierci, a zarazem karnych, poddających się woli dowódcy. Dlatego też zaintrygowała go Paxton. Sierżant me podzielał fascynacji swego kapitana. Był wyraźnie zirytowany jej obecnością, szczególnie teraz, kiedy otrzymali potwierdzenie dotyczące drugiego snajpera.

— Czy mam ich teraz odwiedzić do bazy, kapitanie?

— Nie sądzę, żeby było to konieczne, sierżancie — odparł stanowczo Quinn. — Myślę, że oni nie przyjechali tutaj na lunch. Powinni zostać i zobaczyć to, co chcą. — Kapitan, podobnie jak ich kierowca Kowboj, pochodził z północnego zachodu i posiadał swobodny, choć trochę powolny, sposób poruszania się. Jednak jego żołnierze wiedzieli, że w jednej chwili potrafi się zmienić w grzechotnika gotującego się do skoku. — Chcesz się czegoś napić? — zapytał, zwracając się do Paxton, której ogromnie dokuczało pragnienie. Z wdzięcznością przyjęła lodowatą colę w cudowny sposób zmaterializowaną z przenośnej lodówki. Dla Ralpa i

Yyesa także znalazło się coś do picia. Później przenieśli się wszyscy do namiotu ustawionego na niewielkiej polanie, w którym, jak twierdził kapitan, znajdowało się jego biuro. Tam odpowiedział na ich pytania, cały czas pozostając w kontakcie z radiotelegrafistą. W końcu zmarszczył brwi i oznajmił, że wolałby nie wysłuchiwać dalszych raportów na temat snajperów. Opuścili namiot.

Gdy znowu wyruszyli w teren, miał poważną minę i tym razem kazał Ralphowi i Paxton trzymać się z tyłu. Yyes przykucnął w zaroślach, skąd robił zdjęcia teleobiektywem. Nagle, coś poruszyło się w krzakach przed nimi i zaraz potem powietrzem wstrząsnęła eksplozja. Wszyscy, me wyłączając Paxton, padli płasko na ziemię.

Bill Quinn poczołgał się do przodu, podczas gdy chłopak z radiem rozpaczliwie próbował nawiązać z kimś kontakt.

— Odezwij się, Lone Ranger, mówi Tonto... Lone Ranger, czy mnie słyszysz? Co tam macie? W odpowiedzi jakiś głos szybko udzielił informacji. Z kolei radiotelegrafista zameldował sierżantowi. Okazało się, że odkryto dwóch snajperów i sześciu partyzantów, którzy pojawili się dosłownie znikąd. Quinn miał rację. Istniał jeszcze jeden tunel.

Ralph nie spuszczał wzroku z Paxton, gdy się czołgali. Dziękowała Bogu, że kazał jej założyć kamizelkę i hełm.

— Wybraliśmy sobie fajny dzień, żeby tu przyjechać, nie ma co — ponuro powiedział Ralph.

— Przynajmniej nie jest nudno. — Uśmiechała się, próbując ukryć strach.

— Chyba za długo tu jesteś — stwierdził, przekrzykując hałas. — Robisz się zbyt twarda. —

Gdy to mówił, obok nich pojawił się sierżant, z niezadowoleniem patrząc na Paxton.

— Kapitan chciałby, żebyście zostali z tyłu. — Jego głos brzmiał jak głos windziarza w domu towarowym. Zachowanie sierżanta drażniło zarówno Ralpa, jak i Paxton.

— Czy są jakieś istotne przyczyny, z powodu których przedstawiciele prasy nie są dopuszczeni? — obcesowo zapytał Ralph, sprawdzając jednocześnie, co robi Yyes. Fotograf nadal pstrykał

: zdjęcia i wydawał się zadowolony z rezultatów.

— Tak, powiedziałbym, że jest taka przyczyna, proszę pana — szorstko odparł sierżant. — Ma pan ze sobą kobietę i wolelibyśmy, żeby żadne z was nie stało się celem snajpera, jeśli nie macie nic przeciwko temu. — Mówił z czystym nowojorskim akcentem. — Czy to pana nie przekonuje?

— Jeśli mam być szczery, nie. — Ralph patrzył mu prosto w oczy. Paxton z zainteresowaniem obserwowała tę wymianę zdań. — Fakt, że jest kobietą, nie ma tu nic do rzeczy. Jeśli ona chce

ryzykować, kolego, pozwól jej na to. — Ralph był życzliwie nastawiony, traktował ją z szacunkiem i Paxton umiała to docenić. Wiedział, że skoro zdecydowała się przyjechać do Wietnamu, nie obawiała się ryzyka i niebezpieczeństwa i za to również była mu wdzięczna.

— I pan będzie ponosił odpowiedzialność jeśli pańska koleżanka zginie?! — Sierżant z Nowego Jorku podniósł głos. Na naszywce jego munduru widniało nazwisko Campobello.

— Nie, nie będę — bez wahania zaprzeczył Ralph. — Ona sama wzięła na siebie tę odpowiedzialność w momencie gdy podjęła się tej pracy. Tak samo zresztą jak ja... i tak jak pan, sierżancie.

— Róbcie sobie, jak chcecie. — Odwrócił się i zaczął się czołgać przez zarośla. Chwilę później Paxton i Ralph zbliżyli się do miejsca akcji. Radiotelegrafista sprowadził dwa śmigłowce, żeby zrobiły dokładniejsze rozeznanie, a Wietnamcy właśnie zaczęli ostrzeliwać nadlatujące maszyny.

— Lone Ranger... — Ponownie je wzywał. — Co tam macie? Z drugiej strony rozległ się okrzyk radości.

— Halo, Tonto. Mam dwóch żółtków, jeden ranny... bardzo pięknie... Dziękuję za wsparcie i tak trzymajcie... — Nagle odgłos eksplozji wstrząsnął powietrzem. Stanowisko ogniowe karabinu maszynowego M-60 zostało trafione. Niespodziewanie, nim Paxton zdążyła się zorientować, co się dzieje, ktoś ją chwycił i zaczął odciągać do tyłu z wielką siłą. Gdy padła wreszcie na ziemię, poczuła, jak wszystko dookoła drży. O mało nie oberwała granatem rzuconym przez partyzanta. W momencie eksplozji radiotelegrafista porzucił swoje stanowisko. Ralph zanurkował w krzaki prosto w ramiona sierżanta. Paxton z pewnością zostałaby trafiona, gdyby Bill Quinn nie odciągnął jej, ryzykując własne życie. Leżała twarzą w błocie, przygnieciona przez Billa. Była oszołomiona i nie zdawała sobie sprawy z tego, co się stało.

— Zabolalo cię? — zapytał z niepokojem kapitan, ale Paxton potrząsnęła głową. Wstała i starała się rozruszać zeszywniałe członki. Quinn kazał jej się pochylić, mimo że żołnierze mieli już wyraźną przewagę nad Wietnaincami, a odgłosy wystrzałów się oddaliły.

— Nie, nic mi nie jest. — Napędził jej porządnego stracha. Otarł jej twarz z brudu i się uśmiechnął.

— Wyglądasz jak dziecko, które upadło w błoto.

— A czuję się jak dziecko, które dopiero co uniknęło śmierci. — Popatrzyła na niego z powagą. — Dziękuję.

Wydawał się zupełnie nie poruszony tym, co się stało. Właśnie z tego słynął i za to ludzie go podziwiali. Zrobiłby wszystko dla swoich podkomendnych, bez względu na to, ile to by kosztowało. Nie kazał nikomu robić tego, czego sam nie mógłby wykonać. Dlatego właśnie tak bardzo go kochano i ufano mu bezgranicznie.

Chyba Tony ma rację... Za wcześnie was tu ściągnąłem. Nie przewidziałem, że Ralph przywiezie ze sobą przyjaciółkę.

Paptrzył na nią przepaszająco, po czym pomógł jej wstać.

— Cieszę się, że przyjechaliśmy. Te tunele są zadziwiające.

W odpowiedzi uśmiechnął się, ujęty jej odwagą i okazanym zainteresowaniem. Polubił swoje zajęcie. Na czas pobytu w Wietnamie zawarł ugodę z losem. To było wyzwanie. Wiązało się z olbrzymim niebezpieczeństwem. Trzeba się było wykazać inteligencją, myśleć tak jak żółtki, żeby móc ich złapać.

— Lubię to, co robię. — Paxton zapragnęła napisać o nim artykuł, ale bała zapytać się o zgodę. To był teren Ralpa. Nie

chciała też drażnić Quinna. Sierżant dał jasno do zrozumienia, że om Wszystcy byli intruzami.

— Będziecie musieli wrócić tu jeszcze raz, gdy już oczyścimy ten tunel. Nie uwierzylibyście, co tam można znaleźć. Mam na myśli broń. Większość broni, jaką dysponują Wietnamcy, została zdobyta lub ukradziona Amerykanom — wyjaśniał. — Czego tam nie ma... produkty radzieckie, chińskie narzędzia, zapasy lekarstw, podręczniki..., naprawdę można się o nich czegoś nauczyć. — Uważał dobra znalezione w tunelach za niezwykle cenne. Paxton bardziej interesowała jego osoba niż to, czym się zajmował. Jakim trzeba być człowiekiem, by odważyć się odkrywać ten podziemny świat w poszukiwaniu wroga?

— Na długo przyjechałaś do Wietnamu? — zapytał cicho, gdy poszli szukać Ralpa i Yyesa. Walki przesunęły się dalej, a sierżant pilnował ich przebiegu razem ze śmigłowcami. — Kilka tygodni?

— Sześć miesięcy. — Uśmiechnęła się. Miała wrażenie, że już upłynęło pół roku, chociaż od jej przyjazdu minął zaledwie tydzień.

— Jesteś bardzo młoda jak na kogoś, kto przyjechał taki kawał drogi obserwować taką wojnę.

— Była odważną dziewczyną i to mu się podobało. Prawda była taka, że podobało mu się w

niej wszystko. Wygląd, charakter, zapach, fakt, że bez wahania weszła do tunelu. Nigdy nie spotkał takiej kobiety. — Żałujesz, że tu przyjechałaś?

— Nie. — Spojrzała mu prosto w oczy. — Jestem zadowolona. — Smutna i przerażona, i czasami tylko zadowolona. Jedno było pewne. Znajdowała się we właściwym miejscu i we właściwym czasie.

Kapitan miał właśnie powiedzieć, jak bardzo ją podziwia, kiedy pojawił się sierżant Campobello i zakomunikował, że Quinn jest potrzebny. Obaj snajperzy są ranni i zostali złapani, dwaj inni nie żyją, a czterech uciekło, prawdopodobnie z powrotem do tunelu. Jeśli uda się zmusić snajperów do mówienia, można będzie zlokalizować wejście do tunelu.

— Muszę wracać — powiedział kapitan z przepaszającym uśmiechem. — Zobaczymy się przed waszym odjazdem. — Odszedł z sierżantem Campobello, a Paxton poszła odszukać Ralpa i Yyesa. Była cała umazana ziemią i prawie nie różniła się od innych żołnierzy. — Mało brakowało. — Ralph popatrzył na nią z dezaprobatą. — Lepiej, do cholery, uważaj. Inaczej odstrzelę ci tę mądrą główkę. —

Nie pochwalał też jej zejścia do tunelu. — Uważaj, Delta Delta. Ci ludzie nie strzelają ślepekami.

— Jestem bardzo ostrożna — powiedziała oschle. — Po prostu rzucili ten pieprzony granat prosto na mnie. Radiotelegrafista też o mało nie dostał. Co ty sobie wyobrażasz? Chcesz, żebym czekała na ciebie na parkingu? — Wściekła się na niego, a on nagle się roześmiał. Była dokładnie taka sama jak on w jej wieku. Garnęła się do wyjazdów w niebezpieczne rejony, nie zważała na ryzyko i marzyła o zdobyciu najbardziej sensacyjnych materiałów. — W porządku, dzieciaku. Rób tak dalej. Ale nie przychodź do mnie z płaczem, jeśli coś ci się stanie.

— Nie przyjdę, spokojna głowa — burknęła i dalej otrzepywała się z ziemi. Ralph ciągle się z mej śmiał.

— Jesteś cała utyłana, wiesz o tym? — Paxton również zaczęła się śmiać. To był bardzo ciekawy dzień. Polubiła Billa Quinna może nawet bardziej niż powinna.

Kapitan wrócił, gdy oni szykowali się już do odjazdu, i podziękował im za przyjazd do Cu Chi. Następnym razem obiecał Paxton pokazać całą bazę. Teraz musiał ich szybko pożegnać. Czekало go przesłuchiwanie jeńców.

— Do zobaczenia w Sajgonie, Ralph. Może zjemy razem kolację w następnym tygodniu. — Ralph pokiwał głową. Quinn machał ręką, gdy odjeżdżali. Nie zobaczyli ponownie sierżanta i może tak było lepiej, pomyślała Paxton. Wyraźnie ich nie cierpiał i nie miał najmniejszej ochoty współpracować z prasą. To nie miało zresztą najmniejszego znaczenia. Odwalili dzisiaj kawał dobrej roboty i oboje z Ralphem zdobyli wspaniały materiał. Również Yyes był zadowolony ze zdjęć, jakie udało mu się zrobić. Był dumny szczególnie z jednego, tego, na którym zdążył zarejestrować moment postrzelenia jednego ze snajperów. Ta sytuacja była nienormalna. Można było zdobyć nagrodę za zarejestrowanie na taśmie lub filmie ludzkich tragedii.

W drodze do Sajgonu Paxton nie przestawała myśleć o kapitanie Quinnie i jego ciele przygniatającym ją w chwili wybuchu granatu, sile, która z niego emanowała, i jego spojrzeniu. Czowała wyrzuty sumienia. Quinn był żonaty, a Peter nie żył zaledwie od dwóch miesięcy. Jednak nie mogła zaprzeczyć, że w Cu Chi coś się pomiędzy nimi wydarzyło. Bill Quinn okazał się ekscytującym mężczyzną, który przyciągał ją jak magnes.

Rozdział XIV

Przez następny tydzień Paxton przebywała w pobliżu Sajgonu. Przygotowała relację z wydarzeń, jakich była świadkiem w Cu Chi, a osobny artykuł poświęciła C tunelom. Szefowie nadali jej korespondencji wspólny tytuł „Wieści z Wietnamu”. Jak na razie zamieszczono wszystko, co do tej pory wysłała, a „Sun” sprzedawał jej artykuły również innym gazetom, co oznaczało, że mogły się ukazać także w Sayannah. Wiedziała, że matka i brat byłiby z niej dumni. Ed Wilson zadzwonił i pochwalił ją za wnikliwość i odwagę.

— Ale chyba nie wchodziłaś sama do tych tuneli, prawda, Pax? — Uśmiechnęła się, słysząc pytanie. Łzy napłynęły jej do oczu. Ed był tak daleko.

— Czuję się świetnie. — To wszystko, co mogła wykrztusić w odpowiedzi na jego pytania. Poprosiła go też, by zawiadomił Beatrice, że mc jej nie jest. Nie miała jeszcze czasu napisać listu, a wiedziała, że powinna to już dawno zrobić. Przekazała gorące pozdrowienia dla Gabby i Matta oraz pani Wilson. Po tej rozmowie przez cały dzień trawiła ją tęsknota za bliskimi i domem. Już wkrótce pisanie następnego artykułu pochłonęło ją całkowicie.

Wynajęła samochód i sama jeździła do Bien Hoa, czując się bardzo pewnie i niezależnie. Znalazła się na drugim końcu świata, mając dwadzieścia dwa lata i odkrywała rzeczy, o których nawet się jej nie śniło. Zaintrygował ją mechanizm czarnego rynku. Pewnego popołudnia udała się do bazy w Tan Son Nhut, tam, gdzie wylądowała pierwszego dnia swego pobytu w Wietnamie. Miała zamiar zebrać informacje o masowych kradzieżach z magazynów wojskowych i drogach, jakimi broń czy umundurowanie przedostawały się na czarny rynek. Gdy o zachodzie słońca przechadzała się wolno po Tan Son Nhut, spostrzegła nagle wysokiego mężczyznę w polowym mundurze, który zbliżał się do niej. Jego kołyszący się krok wydał jej się jakiś znajomy. Słońce świeciło jej prosto w oczy i nie mogła zorientować się, kto to jest. Znała tak niewielu ludzi w Sajgonie, że nie mógł to być nikt znajomy. Chwilę później mężczyzna stanął i spojrzał na Paxton. Rozpoznała kapitana Williama Quinna z bazy w Cu Chi. Nie mogła zapanować nad przyspieszonym biciem serca.

— Witaj — powiedział, patrząc na nią tak, jakby spodziewał się ją tu spotkać. Uśmiechnął się po swojemu, łagodnie i leniwie. Kapitan zawsze sprawiał wrażenie zrelaksowanego, spokojnego i opanowanego. Umiejętnie ukrywał nurtujące go napięcie.

— Co cię tu sprowadza? — Uśmiechnął się szeroko. — Wyglądasz dziś dużo lepiej niż podczas naszego ostatniego spotkania. — Wtedy była zmęczona i utyłana w ziemi. Teraz była ubrana w białą lnianą sukienkę. Na nogach miała czerwone sandały, a we włosy wpięła kwiaty.

— Dziękuję. Zbieram materiał do artykułu o kradzieżach z magazynów wojskowych i czarnym rynku.

— Ach, to. — Wydawał się zaciekawiony. — Jeśli uda ci się rozwiązać zagadkę, otrzymasz od Kongresu honorowe odznaczenie. Myślę, że wielu dałoby dużo, żeby ci się nie powiodło. W grę wchodzi olbrzymie pieniądze.

— Tak przypuszczam. Przyjechałeś na trochę z Cu Chi?

Wzruszył od niechcienia ramionami.

— Mam krótkie spotkanie z generałem. Wieczorem wracam do bazy. — Wstrzymała oddech, czekając, czy coś jeszcze powie. Nie miała zamiaru się angażować, ale to już chyba nastąpiło wbrew jej woli. Tak bardzo ją pociągał, że w jego obecności traciła zdrowy rozsądek.

Sprawa, że wydawała się sobie strasznie młoda. Gdyby poznali się w innych okolicznościach, pewnie czułaby się głupio.

— Wiem, że przed chwilą się spotkaliśmy, ale może zjedlibyśmy coś razem przed moim wyjazdem. Specjalnie mi się nie spieszy. —

Zadrzała pod wpływem jego spojrzenia. Bill Quin stanowił oszałamiającą kombinację siły i łagodności, której trudno było się oprzeć.

— Z ogromną przyjemnością — powiedziała z bijącym sercem.

Odpowiedź ta wyraźnie go ucieszyła. Zastanowił się przez

— Czy byłoby bardzo głupio, gdybyśmy poszli do klubu oficerskiego, tu w bazie, i zamówili po hamburgerze i koktajlu mlecznym? Już od tygodnia main na to chrapkę — wyznał z miną małego chłopca. Paxton się roześmiała.

Szli, rozmawiając po drodze o Sajgonie, hotelu, w którym się zatrzymała, coHege'u, do którego chodziła. Wyjaśnił jej, że w West Point grał w futbol. Nietrudno było jej w to uwierzyć. Wciąż miała w pamięci sposób, w jaki uratował ją w Cu Chi. Gdy weszli na salę, usłyszeli melodię Beatlesów. Wiele par tańczyło. Panowała swobodna atmosfera, tak bardzo charakterystyczna dla amerykańskich miasteczek. Po raz drugi od przyjazdu Paxton odczuła nostalgię. Po raz pierwszy ogarnęła ją ona podczas rozmowy z ojcem Petera.

Zamówili hamburgery i frytki, dla Paxton colę, a dla kapitana piwo. Słuchali muzyki i obserwowali tańczących. Po Beatlesach puszczono przebój „I Can't Get No Satisfaction”, a potem „Proud Mary”, piosenkę, którą Paxton chętnie słuchała, gdy była w Berkeley.

— Kiedy skończyłaś studia? — zapytał. Prowadzili swobodną pogawędkę. Wydawał się teraz młodszy, tak jakby mógł się wreszcie odprężyć. Paxton roześmiała się, słysząc to pytanie.

— Nie skończyłam. Powinnam była skończyć w czerwcu, ale rzuciłam naukę.

— To — uśmiechnął się — doskonale pasuje do twojego pokolenia. — Drażnił się z nią i najwyraźniej nie przykładał do tego specjalnej wagi. Gdy tak siedzieli i rozmawiali, nie wydawało się to już takie dramatyczne. To, czy posiadała dyplom, czy też nie, nie miało najmniejszego znaczenia.

— Tyle spraw spadło mi na głowę tej wiosny i wszystko się jakoś skomplikowało... Nie wiem... Chyba przeżyłam rozczarowanie...

— A teraz? — Patrzył jej prosto w oczy. W gruncie rzeczy nie obchodziło go, co robiła w coUege'u. Interesował się nią jako osobą dorosłą. Otaczająca ich rzeczywistość była światem dorosłych. To chwilę.

było życie na serio. Wokół młodzi ludzie ginęli bez względu na to, czy uczęszczali do college'u, czy nie.

— To już nie jest dla mnie ważne.

— Wietnam sprawia, że tak myślisz — stwierdził, popijając piwo. Paxton starała się nie zauważać, jaki był przystojny. Był przecież zonaty. — Sprawy, które cię kiedyś obchodziły, dom, samochód, te wszystkie duperele, tutaj wydają ci się nieważne. Natomiast sprawy, które uważałaś za takie naturalne, że prawie nie zwracałaś na nie uwagi, teraz liczą się najbardziej. To dla ludzi, na których ci tutaj zależy, starasz się przeżyć. — Nie spuszczał oczu z Paxton.

— Dom wydaje się czasami taki daleki, chociaż prawdopodobnie właśnie za mego wszyscy walczyliśmy.

— Czy ty też walczysz za swój dom? — zapytała miękko.

— Już sam nie wiem. Nie jestem pewien o co, do diabła, walczyliśmy, jeśli chcesz znać prawdę. To już moja czwarta tura i przysięgam, że me wiem, dlaczego tu jestem. Mówią, że powinniśmy pozyskiwać sympatię tutejszych ludzi, ale to gówno prawda, Paxton. Oni wiedzą, że zabijamy ich braci i niszczymy ich kraj. I mają rację, tak jest rzeczywiście.

— Więc dlaczego zostałeś? — zapytała smutno. Ciągle szukała prawdy. Nie było to proste. Nikt tak naprawdę nie wiedział, dlaczego przyjechał do Wietnamu, z wyjątkiem chłopców, którzy zostali powołani. Pozostałym trudno było sprecyzować powód, dla którego tu przybyli. Jeśli nawet kiedyś go znali, dawno o nim zapomnieli.

— Zostałem, ponieważ zabijają Amerykanów. Żeby ich bronić. Może potrafię robić to odrobinę lepiej. A może i nie — powiedział z westchnieniem, kończąc piwo. — Może to nie ma najmniejszego znaczenia. — Było to bardzo przygnębiające stwierdzenie, ale od czasu do czasu każdy tutaj dochodził do podobnego wniosku. W pewnym momencie wszyscy mieli poczucie bezsensu działania. — Jesteś odważną dziewczyną — zmienił temat. — Żaden z dotychczasowych gości w bazie nie zdecydował się na podobny krok. A już na pewno żadna kobieta. Większość mężczyzn była śmiertelnie przerażona, chociaż się do tego me przyznawała. — Gdy to mówił, oczy błyszczały mu uwielbieniem.

— Dziękuję. Może jestem głupia.

— Może wszyscy jesteśmy — przyznał łagodnie. Od dnia jej wizyty stracił dwóch swoich żołnierzy, w tym młodego radiotelegrafistę o imieniu Tonto. Jednak nie chciał jej o tym mówić. Nie był to ani odpowiedni czas, ani miejsce.

Potem wyszli w ciepłą noc i przechadzali się. Tu przynajmniej byli stosunkowo bezpieczni. Chociaż nawet tutaj, od czasu do czasu, zdarzały się bomby i snajperzy.

— Chciałbym ci kiedyś pokazać ten kraj. To piękne miejsce, nawet teraz.

— Bardzo chętnie skorzystałabym z twojej propozycji. W zeszłym tygodniu pojechałam do Bien Hoa. Chciałam zobaczyć coś więcej, ale nie wiedziałam, dokąd się udać.

— Mógłbym ci pokazać — powiedział cicho, a potem odwrócił się do niej. — Nie jestem pewien, co z tobą zrobić — rzekł zmieszany. — Ja... Ja nigdy nie spotkałem nikogo takiego jak ty. — To jej schlebiało.

— A co z twoją żoną? — Postanowiła nie owijać niczego w bawełnę. Chciała, żeby był wobec niej uczciwy.

— Jesteśmy małżeństwem od dziesięciu lat, pobraliśmy się, jak tylko skończyłem West Point. Mamy troje dzieci. Żeby było śmiesz- niej, trzy dziewczynki. — Uśmiechnął się. — Zawsze myślałem, że będę miał synów. Moja żona ma serdecznie dosyć wojska. Była dzieckiem zawodowego wojskowego tak jak ja, więc sądziłem, że wie, na co się decyduje. Może na początku wiedziała, tylko nie przypuszczała, że tak ją to zmęczy. Teraz chce, żebym wrócił do domu, a ja nie jestem jeszcze na to przygotowany.

— Kochasz ją? — Paxton patrzyła mu uważnie w oczy. Pragnęła wiedzieć, czego może się po nim spodziewać.

— Kochałem ją. Teraz sam nie wiem. Kilka razy w roku spotykamy się w Tokio albo Hongkongu i kłócimy o przyszłość. Ona chce, żebym znalazł jakąś ciepłą posadkę, a ja nie jestem pewien, czy to w ogóle możliwe. Mam trzydzieści dwa lata, i co, do diabła, mogę zaoferować? Umiejętność pełzania po wietnamskich tunelach? Co by mi to dało? Posadę kierownika obozu harcerskiego? Nie wiem. Zostałem wyszkolony, żeby robić to, co robię. Jestem zawodowym zabójcą — powiedział smutno.

— A ilu ludzi uratowałeś przed śmiercią z rąk innych? — zapytała Paxton łagodnie. — Czy nie to właśnie robisz najlepiej?

— Być może. — Polubił jej Żywą inteligencję, uczciwość i silny charakter. Pociągała go jej niewątpliwa uroda. Była przeciwieństwem jego żony. Debbie bezustannie skarżyła się na dzieci, na dom, w którym mieszkali, swoich i jego rodziców, na Wietnam, jego zarobki. Z trudem znosił te narzekania. Od związku z kobietą oczekiwał czegoś innego. Nie potrafił sprecyzować swoich życzeń i marzeń, dopóki tydzień temu nie spotkał Paxton. — Musisz o czymś wiedzieć. — Postanowił być z nią szczery. — Spotykałem się już wcześniej z kilkoma kobietami. To me było nic ważnego... Dwie pielęgniarki... Dziewczyna z Korpusu Pomocniczego w Long Binh... Dziewczyna z San Francisco. Zawsze stawiałem sprawę jasno. Nie ukrywałem, że jestem Żonaty. Mogły liczyć na krótki romans. Ale... Nie wiem nawet, czy ci się podobam... Teraz jest inaczej... Nigdy nie spotkałem takiej kobiety jak ty... — Chciał, żeby o tym wiedziała.

Uśmiechnęła się i bez namysłu pogłaskała go po policzku.

— Dziękuję. — Ten prosty gest sprawił, że łzy napłynęły mu do oczu.

— Myślę, że cię Kocham. Czy to możliwe, żeby dorosły facet zakochał się w dziewczynie w takim miejscu i w takich okolicznościach? Czy to ma sens? — Nie potrafił odpowiedzieć sobie na te pytania. Oboje mieli pewność co do jednego. Życie nie jest dane na zawsze. W każdej chwili mogą je stracić.

— Nie wiem. — Paxton na chwilę posmutniała, pomyślawszy o Peterze, z którym snuli plany wspólnej przyszłości. Z Billem mogli rozmawiać jedynie o terażniejszości. Los nie musiał darować im ani jutra, ani pojutrze.

— Nie dopuszczałem myśli, że mógłbym opuścić żonę — wyznał, gdy szli ciągle przed siebie. — I nie jestem pewien, czy to zrobię. Przeżyliśmy ze sobą kawał czasu, poza tym Kocham moje dzieciaki.

— Jak często je widzisz? — zapytała Paxton.

— Niezbyt często. Ostatnio Debbie wzięła ze sobą do Honolulu. Po raz kolejny przekonałem się, że staliśmy się sobie z żoną obcy. Nie rozumiemy się. Ona nie potrafi zaakceptować mojego udziału w tej wojnie, chociaż nie grozi mi tu wielkie niebezpieczeństwo.

— Wyglądało to zupełnie inaczej, gdy po raz pierwszy się spotkaliśmy. Wzruszył ramionami.

— Wiesz, o co mi chodzi. Do diabła, lotnicy pozostają cały czas w ogniu walki. Natomiast ja działam poza linią frontu. — Oboje dobrze wiedzieli, że groźba utraty życia i zdrowia wisi nad każdym.

— Niczego nie żądam. Nie oczekuję, że dla mnie się rozwiedziesz. Poczekajmy i zobaczymy, jak się sprawy potoczą.

— Naprawdę tak myślisz? Żadnych obietnic? Zobowiązań? Żadnych zapewnień w rodzaju: Będę cię Kochał aż do śmierci? — Paxton zatrzymała się i spojrzała na niego uważnie, podziwiając jego imponujący wzrost i szerokie ramiona.

— Tylko nie umieraj. Jedynie o to cię proszę. Umowa stoi?

— Przysięgam.

— W porządku. A zatem sprawa załatwiona. — Wędrowali dalej, rozmawiając i się śmiejąc. Mijali inne pary, które w ten sam sposób spędzały czas. Paxton zastanawiała się, czy Bill nie obawia się plotek. Doszła do wniosku, że się tym przejmuje. Po chwili zatrzymał się i patrząc na nią, wybuchnął śmiechem.

— Gdzie my, do diabła, idziemy? Przeszliśmy chyba połowę drogi do Stanów, a już na pewno przemierzaliśmy bazę wzdłuż i wszerz.

Paxton też się roześmiała. W towarzystwie Billa zapomniała o bożym świecie.

— Chyba powinnam wracać do hotelu.

— Odprowadzę cię — powiedział z żalem w głosie. Niechętnie się z nią rozstawał — Może napijemy się czegoś w barze? — Oboje mieli wrażenie, że powinni uczcić swoje spotkanie. Kapitan odwiozł ją wynajętym samochodem, starym renault, który ledwo się toczył. Zaparkowali przed hotelem i weszli do środka. Gdy szli na górę, Quinn objął ją ramieniem. To był „niezwykły wieczór dla nich obojga. Paxton zdawało się, że w krótkim czasie przeszła długą drogę. Nie chodziło o to, że znalazła się w odległej części świata. Miała wrażenie, że przybyła tu z innego życia. Stała się osobą bez przeszłości. W tamtym życiu on miał żonę, a ona starała się zachować wspomnienia o Peterze. Teraz byli razem i nagle Paxton zdała sobie sprawę, że potrzebuje go, tak samo jak on potrzebuje jej. I może to było ważniejsze.

— Paxton?

-Tak?

—Przez chwilę miałaś bardzo poważną minę. Wszystko w porządku?

— Tak. Zamyśliłam się.

— Nie rób tego. — Uśmiechnął się i delikatnie musnął ustami jej włosy. W barze natknęli się na Toma Hardgooda i Jean-Pierre’a którym towarzyszyła jakaś młoda kobieta. Paxton

zauważyła też Ralpha zatopionego w rozmowie z piękną dziewczyną. Była zaskoczona, spotykając go tutaj. Nie widziała go przez cały tydzień i tego ranka zostawiła mu wiadomość w biurze prasowym.

BiU Quinn również zauważył Ralpha. Poprowadził Pax do zajmowanego przez niego stolika. Ralph przedstawił jej SWą towarzyszkę.

— France Tran... Paxton Andrews. — Kobieta była niezwykle piękna. Mówiła z francuskim akcentem. Wyglądała na rówieśnicę Paxton. Miała na sobie białe ao daj i najwyraźniej czuła się w barze zupełnie swobodnie.

— Witaj, France — powiedział Bill. — Jak tam An?

— W porządku. — Uśmiechnęła się, obrzucając Ralpha czułym spojrzeniem. — To mały potwór.

— Z pewnością — zgodził się Ralph. — W zeszłym tygodniu włożył mi zabę do buta. Na szczęście, sprawdziłem, zanim go nałożyłem. — Ralph zaśmiał się, a Paxton ze zdziwieniem odkryła tę stronę jego osobowości, której istnienia nawet nie podejrzewała. Nie wiedziała dobrze, o kim mówią, ale doszła do wniosku, że zapewne o małym synku France. Nagle przyszło jej do głowy, że może Ralph i ona są małżeństwem.

Rozmawiali jeszcze kilka minut we czwórkę. W końcu Pax i Bill usiedli przy innym stoliku.

Paxton nie wytrzymała i zapytała:

— Kto to jest?

— France? — Bill był zdziwiony, że nie wie. Przecież ona i Ralph wydawali się zaprzyjaźnieni. — France mieszka z Ralphem. Wyszła za mąż za chłopaka z 45 Dywizji. Zginął, zanim dziecko się urodziło. Teraz An ma chyba już ze dwa lata. France i Ralph są ze sobą od roku. Chyba mieszkają razem w Gia Dinh, choć Ralph się z tym nie afiszuje. Paxton wiedziała jedynie, że to przedmieście Sajgonu.

— Czy wzięli ślub?

— Nie. Jej matka była Francuzką, a ojciec Wietnamczykiem. Rozmawiałem z nią tylko kilka razy, ale odniosłem wrażenie, że nie jest zwolenniczką mieszanych małżeństw. Po śmierci męża Hagger

ty'ego miała okropne przejścia z wojskiem. Nie jestem pewien, czy dostała zasiłek przysługujący wdowie. Wiem za to, że oskarżali ją o to, iż była dziwką i Annie jest dzieckiem amerykańskiego żołnierza.

— A co z rodziną Haggerty'ego?

— Podejrzewam, że jego rodzina jest bardzo konserwatywna. Pochodził z jakiegoś prowincjonalnego miasteczka w Indianie. Nigdy im nie powiedział, że się ożenił. Nie uznaliby ani kolorowej żony, ani dziecka.

Paxton była zszokowana.

— A co na to Ralph? Czy ożeni się z nią i zaadoptuje dziecko?

Bill uśmiechnął się. Paxton była jeszcze bardzo naiwna. W tym pogmatwanym przez wojnę świecie nic nie było proste i oczywiste.

— Może jego powinnaś spytać.

— Ona jest piękna.

— Tak — przyznał — i mądra. Jeśli pojedzie z Ralphem do Stanów, nazwą ją tam żółtkiem, tak jak wołają na dziwki wystające przed Pink Nightclub. W Stanach nikt nie zauważy różnicy.

— Przecież wystarczy tylko na nią spojrzeć, Bill.

— Może tobie wystarczy, Pax. Innym nie. Dla nich żółtek to żółtek. Ten, który zabił ich syna, narzeczonego czy brata.

— Ale ona jest inna. — Paxton upierała się przy swoim.

— Nie dla nich.

Tego wieczoru długo rozmawiali. Najpierw o wojnie, potem o innych sprawach. Bill ani razu nie wspomniał o swojej żonie ani o dzieciach. Słuchał tego, co Paxton mówiła o Berkeley. Po zamknięciu baru odprowadził ją do pokoju. Rozstali się przy drzwiach.

— Za kilka dni powinienem znowu być w Sajgonie — powiedział cicho. — Zadzwoń do ciebie, zanim przyjadę. — Pochylił się, pocałował ją delikatnie w usta i odszedł. Paxton nie miała odwagi błagać go, żeby uważał na siebie. Wolała nie myśleć o niebezpieczeństwie czającym się w tunelach Cu Chi.

Rozdział XV

Quinn pojawił się w Sajgonie trzy dni później. Przed przyjazdem zadzwonił do Paxton. Czekala już na niego, kiedy wkroczył do holu, niezwykle przystojny w odprasowanym mundurze. To była „oficjalna randka”, jak to określił. Na jego widok Paxton uśmiechnęła się radośnie. Wyglądał młodo i bardzo atrakcyjnie.

— No, no, cóż to za gala — powiedział, gdy ją spostrzegł. Rozpuściła włosy i nałożyła różową jedwabną sukienkę, którą przywiozła z domu. Sukienka odsłaniała jej zgrabne nogi. Paxton starała się nie pamiętać, że Peter zawsze bardzo ją lubił.

Bill zarezerwował dla nich stolik w restauracji w pobliżu ambasady. Usiedli w rogu sali. Restauracja pamiętała jeszcze francuskie czasy i sprawiała kameralne wrażenie, na każdym stoliku ustawiono male bukiety. Wreszcie nie czuło się wszechobecnych spalin.

Paxton opowiedziała o wyprawie, na którą wybrała się z Ralphem w pobliże Long Binh. Bill zrobił niezadowoloną minę.

— Niepotrzebnie się narażasz. — Był poważnie zaniepokojony i zastanawiał się, czy nie powinien porozmawiać z Ralphem.

— Nie wygłupiaj się, Bill. Nie bardziej niż ty w Cu Chi.

— Akurat. — Czuł się odpowiedzialny za Paxton. Było to coś nowego, gdyż me zwykł martwić się o to, jak sobie radzi Debbie.

Żona była bezpieczna w San Francisco. Młoda i niedoświadczona

Paxton kręciła się po Sajgonie, w pobliżu strefy frontowej.

— Nie nazwałabym szukania Wietnalców w tunelach bezpiecznym zajęciem.

Starała się nie myśleć o tym, czym zajmuje się BiH. W drodze do Long Binh Ralph zrobił jej wykład pt „Nie należy bratać się

z wojskiem”. W pierwszej chwili sądziła, że żartuje, ale szybko zorientowała się, że Ralph mówi najzupełniej poważnie.

— Jak ty możesz coś takiego mówić? — zwróciła się do niego. Miała na myśli France.

— To zupełnie co innego, Pax. Jestem mężczyzną. A Bill Quinn jest żonaty.

— I co z tego? Jego żona znajduje się na drugim końcu świata. A może w przyszłym tygodniu wszyscy zginiemy? — W przeciągu kilku tygodni Paxton zaczęła myśleć tak jak inni ludzie przebywający w Sajgonie.

— A jeśli on wróci do domu, do żony? — spokojnie zapytał Ralph. — Już raz straciłaś ukochanego. Czy to nie dość?

— Nic nie mogę na to poradzić. — Uciekła oczami w bok. Nie miała zamiaru usprawiedliwiać się czy tłumaczyć ze swojej miłości. Ralph był jej przyjacielem, ale nie miał prawa ingerować w jej życie osobiste.

— Jeszcze nie jest za późno. Możesz się wycofać. Wietnam to przedziwne miejsce. Sprawy szybko przybierają poważny obrót albo nic się nie dzieje. Jeśli nie umieramy ze strachu o własne życie, to jesteśmy świadkami śmierci innych. Nie zakochuj się w żołnierzu. Pax... ani nawet w koledze po fachu. Będziesz cierpieć. Wszyscy jesteśmy trochę stuknięci. — Lubił ją i próbował ostrzec.

— A ja? Przecież jestem dziennikarką — broniła się. Ralph po raz kolejny uświadomił sobie, że Paxton była młoda i niedoświadczona. Koszmarne przeżycia nie stały się jej udziałem.

— Pax, jeszcze nie jest za późno. Mówię ci... Nie wiąż się z Billem. To wspaniały facet i bardzo go lubię. Bez względu na to, co się stanie, ty będziesz cierpieć. Po co się na to narażasz?

— A France? — zapytała.

— Ona nie ma z tym nic wspólnego — powiedział stanowczo. Następnie odleciał helikopterem z grupą medyków. Gdy pojawił się po trzech godzinach, żadne z nich nie wróciło do poprzedniej rozmowy. Teraz siedziała w restauracji z Billem, który trzymał ją za rękę. Rozprawiali o rzeczach, o jakich zwykle mówią ludzie, gdy wszystko jest nowe, a miłość dopiero się budzi.

Gdy kończyli deser, do sali weszła piękna wietnamska dziewczyna w ao daj. W rękach trzymała naręczę kwiatów. Paxton nie mogła oderwać od niej oczu. Bill poszedł za jej wzrokiem i spostrzegł Wietnarnkę. Przez ułamek sekundy wpatrywał się w nią, po czym bez chwili namysłu chwycił Paxton, wciągnął ją pod stół i przykrył własnym ciałem. W tym momencie powietrzem wstrząsnęła potężna eksplozja. Szyby w oknach rozprysły się na drobne kawałki, a dookoła leżały nieruchome ciała. Zapanowała złowieszcza cisza. Wreszcie rozległy się rozpaczliwe wołania. Paxton spostrzegła po prawej stronie ścianę ognia. Bill chwycił ją za ramię i pociągnął w przeciwną stronę. Znaleźli się na ulicy. Było słychać syreny i ludzkie krzyki. Kapitan wrócił do budynku, by ratować rannych. Paxton pospieszyła za nim. Krwawiło jej ramię w miejscu, gdzie kawałek szkła przeciął sukienkę. Poza tym nie odniosła większych obrażeń, jeśli nie liczyć podrapanych nóg i siniaków. Pomogła wynieść kobietę, która krzyczała, że nic nie widzi. Jej twarz i ręce były zakrwawione. Paxton uspokajała kobietę, dopóki nie przyjechała karetka. Widziała, jak Bill pornoga wynosić dwóch mężczyzn. Obaj już nie żyli. W końcu pojawiła się policja i służby medyczne. Widok tej do niedawna przytulnej sali restauracyjnej był okropny. Wszędzie wałały się odłamki szkła. Widać było ślady krwi. Paxton cała się trzęsła. Gdy wracali do samochodu, Quiiin zatrzymał się i wziął ją w ramiona. Oboje byli umazani krwią. Bill zaczął całować Paxton, a ona się rozpłakała.

— Co my tutaj robimy? — zapytał Bill drżącym głosem. Był przejęty, bo odkrył, że nie chce stracić Paxton. A przecież mało brakowało. Równie dobrze mogła zginąć na skutek wybuchu bomby. — Dlaczego nie jesteśmy w jakimś normalnym miejscu, takim jak Nowy Jork czy Maryland lub Teksas?

— Ponieważ wtedy nawet nie wiedziałbyś, że istnieję. Spędzałyś życie u boku żony. — Uśmiechnęła się przez łzy. Po chwili wytarła oczy, próbując zapomnieć o tym, co widzieli i przez co przeszli. — Albo coś w tym guście.

Kapitan też się uśmiechnął.

— Ty to umiesz mówić, panno Paxton Andrews.

— Mówię prawdę. To jedna z moich największych wad.

— I zalet. Inaczej nie kochałbym cię tak bardzo. To piekielne miejsce sprawia, że zaczynasz organicznie nie znosić kłamstwa.

Dochodzę do takiego wniosku, gdy wracam do Stanów pomiędzy turami — wyznał, gdy wsiadali do samochodu. — Nie mogę już

słuchać kłamstw, wyjaśnień, zapewnień, w które nikt nie wierzy, ale którymi szafuje.

— To się tu często zdarza, prawda? — zapytała, mając na myśli eksplozje w restauracji. Bill pokiwał głową. Paxton uśmiechnęła się smutno.

— Ile razy się spotykamy, wyglądam, jakbym czołgała się w okopach.

— W ogóle nie powinno cię tu być. — Pocałował ją namiętnie, jakby chciał wyrazić, jak bardzo cieszy się z ich ocalenia. Wyszli z tego cało. Tym razem.

Potem odwiózł ją do hotelu. Bez słowa poszli na górę. Bill zatrzymał się na chwilę w barze i kupił whisky. Gdy weszli do pokoju, postawił butelkę na stole. Odwrócił się do Paxton i patrzył na nią kochającym wzrokiem.

— Pax, czy chcesz, żebym sobie poszedł? — Wcześniej zamówił dla siebie pokój w hotelu Rex, ale chciał być z nią tak długo, jak to tylko możliwe. — Jeśli tego sobie życzysz, znikam. Potrząsnęła głową i zbliżyła się do niego z uśmiechem. Peter nie żył zaledwie od czterech miesięcy i przecież była przekonana, że nie zwiąże się z innym mężczyzną. A teraz nagle wydawał się należeć do dawnego życia, innego świata, do miejsca, którego już nigdy nie odwiedzi. Bill Quinn był teraz dla niej wszystkim.

— Zostań — szepnęła.

Pochylił się i wziął ją w ramiona z namiętnością zrodzoną z poczucia straty, strachu i żalu. Jego uścisk miał w sobie siłę kogoś, kto codziennie kładzie na szalę swoje życie. Tej nocy o mało nie zginęli i było prawdopodobne, że śmierć osiągnie ich następnego dnia. Ale teraz, w tej chwili, żyli i należeli do siebie.

Położył ją delikatnie na łóżku i zaczął powoli zdejmować z niej podartą sukienkę. Potem sam zrzucił poplamiony krwią mundur. Teraz odgradzili się od przeszłości, bólu i samotności, która przywiodła ich ku sobie. Leżeli przytuleni. Bill czuł jej aksamitną skórę.

— Och, Boże, Pax, jesteś taka piękna... — Nie mógł przestać jej dotykać i całować. Paxton przygarnęła go do siebie. Gdy w nią wszedł, miała łzy w oczach. Były to łzy radości.

Rozdział XVI

Trzy tygodnie później Paxton udało się ponownie pojechać z Ralphem do Cu Chi. Do tego czasu zjazd democ 8 kratów w Chicago przekształcił się w istne szaleństwo, a Harriman nadal prowadził w Paryżu rozmowy pokojowe dotyczące Wietnamu. Wyglądało na to, że los kpi z nich w żywe oczy. Nic już dla Paxton nie miało sensu, oprócz tego, co działo się wokół, i życia, które teraz dzieliła z Billem. Liczył się fakt, że udawało mu się uniknąć śmierci i że jej nic się nie stało. Graniczyło to z cudem.

W drodze do Cu Chi Ralph nie nawiązywał do romansu Paxton. Pod koniec nie wytrzymał i pozwolił sobie na następującą uwagę:

— To poważna sprawa, prawda?

— Paxton przytaknęła, nie chcąc nic więcej mówić w obecności kierowcy. Plotki krążyły po Sajgonie i szybko się rozchodziły po bazach. Nie było tajemnicą, kto z kim sypiał. Życie osobiste i choroby, w tym tropikalne, stały się popularnym tematem rozmów.

— Tak — przyznała. — Zdaje się. Nie mieliśmy jeszcze czasu się nad wszystkim zastanowić. Pewne sprawy powinny być jakoś rozwiązane, jeśli..., jeśli... Jeśli przetrwają. — Ralph wiedział, co miała na myśli. Potrząsnął głową z dezaprobatą i odwrócił się do okna.

— Oboje jesteście niespełna rozumu. Z pewnością o tym wiecie.

— Dlaczego? — Była ciągle taka naiwna, pełna nadziei.

— Ponieważ będziesz cierpieć, Pax. Każdy tutaj otrzymuje swoją porcję cierpienia. Tobie nie będzie ono oszczędzone. Nie muszę ci o tym przypominać. Jesteś już dużą dziewczynką.

Wiesz, jakie są perspektywy. Nie wydają się zachęcające. — Mówił o tym, że albo Bill po

powrocie do domu pogodzi się w końcu z żoną, albo zginie. Oczywiście może również ocaleć, a nawet zostawić Debbie, ale Ralph nie uważał tego za zbyt prawdopodobne.

— Za długo tu jesteś. Stałeś się cyniczny.

— Może masz rację — odparł, zapalając papierosa. W końcu polubił Ruby Queens, miejscową markę. — Widziałem już ten film.

— Może oglądałeś niewłaściwe zakończenie, może nie dotrwałeś do końca, może nie wiesz jeszcze wszystkiego.

— Zastanów się — spróbował ponownie, ponieważ ją lubił. — Jesteś inteligentna i robisz doskonałą robotę. Piszesz wspaniałe kawałki. Możesz nawet kiedyś zdobyć Nagrodę Pulitzera.

— Tak, oczywiście. — Roześmiała się rozbawiona.

— W porządku. No, więc nie Pulitzera. Jesteś dobra i wiesz o tym. Po co ci ten kłopot? Masz do dyspozycji tylko sześć miesięcy. Poczekaj, aż wrócisz do domu, i spotkasz swojego królewicza w jakimś miłym, bezpiecznym mieście, choćby Milwaukee.

— Zrozum, nic nie mogę poradzić na to, co się stało. Nie mogę udawać, że tak nie jest. A zresztą, dlaczego miałabym udawać? Jesteśmy tu, a nie gdzie indziej, i to jest prawdziwe. Reszta to gówno. — Była zdeterminowana.

— A jeśli to reszta jest prawdziwa?

— Wtedy nie będę miała racji. Czy ty nigdy się nie myliłeś, Ralph? — Nie chciała wspominać o France, ale przecież on związał się z tą dziewczyną z tych samych powodów. Żyli w piekle. Ocierali się o śmierć. Mieli nadzieję, że miłość ich obroni, że zapobiegnie złu, oszuka los. Jak on mógł tego nie pojmować? — Słuchaj, po prostu odczep się ode mnie. Wiem, że chcesz dobrze, ale nie rozumiesz.

— Może nie — przyznał smutno. Później tego popołudnia ujrzał ich razem. Zaczął się wtedy wahać. Może ona ma rację? Stanowili piękną parę. Chociaż próbowali kryć uczucie, które ich łączyło, promienieli szczęściem. To było widoczne gołym okiem.

Widział to także sierżant Tony Campobello i był z tego powodu wściekły, co zauważyła nawet Paxton. Sierżant odnosił się do niej z ledwo skrywaną wrogością, a kiedy była w pobliżu, zwracał się do swego przełożonego lodowatym tonem. Gdy pewnego dnia wpadli na Tony'ego w magazynach wojskowych w Tan Son Nhut, Paxton nie mogła się powstrzymać, żeby czegoś mu nie powiedzieć.

— Przepraszam... — zaczęła, ale Tony jej przerwał.

— Za co?

— Za to, co czujesz — wyjaśniła uczciwie, skoro on nie robił tajemnicy ze swego stosunku do niej.

— To, co czuję, nie ma z tym nic wspólnego — odrzekł zimno.

— To o co się wściekasz? — Patrzyła mu prosto w oczy. — Czy mnie nie lubisz?

— Gówno mnie obchodzisz. — Przesadził i zdawał sobie z tego sprawę, ale nie dbał o to. Nienawidził jej i chciał, żeby o tym wiedziała. — To o niego mi chodzi. Uratował mi życie wiele razy. Uratował więcej ludzi w tym zapomnianym przez Boga kraju, niż umiesz zliczyć, a ty narażasz jego życie i może nawet o tym nie wiesz.

Paxton słuchała zszokowana.

— Jak możesz tak mówić? — Nie uczyniła niczego, co mogło zagrażać życiu Billa.

Przeciwnie, modliła się, żeby żył, nawet jeśli miało to oznaczać jego powrót do Debbie. Ten facet Zwariował.

— Droga pani, nie wiesz, w jaki sposób można tu przeżyć? Musisz codziennie myśleć tylko o jednym, o sobie. Jeśli za dużo myślisz o kimś innym, przestajesz uważać i stajesz się martwy. W jednej chwili jest po wszystkim. Czy wiesz, o czym on teraz myśli? Nie o nas, nie o sobie, me o robocie... On myśli o tobie. Czym to grozi? Mina może urwać mu głowę albo ustrzeli go

snajper. A czyja to będzie wina, droga pani? Twoja. Pamiętaj o tym, gdy następnym razem będziecie się pieprzyć. — Ledwie skończył, podszedł do nich uśmiechnięty Bill.

— Cześć Tony... Znasz Paxton, prawda? — Billa zaniepokoiło trochę spojrzenie Paxton, gdy sierżant powiedział:

— Taak, oczywiście. — Potem zsalutował i odszedł. Paxton nie powtórzyła kapitanowi ani słowa z tego, co usłyszała od Tony'ego. Spędziła bezsenność noc u boku Billa, analizując ostrzeżenie sierżanta. Może źle zrobiła, zakochując się w Billu? Może to ich oboje zniszczy? Jednak trudno jej było w to uwierzyć. Każdy tu kogoś miał, chociaż na krótko. Ralph mówił jej, że nie ma prawa kochać Billa, a sam w tym czasie mieszkał z France w Gia Dinh... Przecież wracał do niej co noc, czyż nie? Dlaczego nikt nie chciał, żeby była z Billem? Szczególnie przeciwny był ten młody, gniewny sierżant.

— Byłaś strasznie milcząca ostatniej nocy — powiedział Bill następnego ranka. Zauważył jej melancholijny nastrój. Nie chciała go martwić i powiedziała, że zastanowiła się nad artykułem, który ma napisać.

Na ten weekend pojechali nad morze do Vung Tau. Bill dostał przepustkę na trzy dni. Paxton nigdy w życiu nie była taka szczęśliwa. Rozmawiali czasami o przyszłości. Po powrocie do Stanów Bill będzie musiał podjąć decyzję w sprawie swojego małżeństwa. Paxton obiecała przyjechać do domu na Boże Narodzenie. Koniec jego służby przypadał miesiąc później. Powinien pojawić się w San Francisco pod koniec stycznia. Zgodził się z Paxton, że spędził w Wietnamie wystarczająco dużo czasu. Cztery tury to dosyć. Zamierzał wrócić do domu i uporządkować swoje życie.

— Sądysz, że wytrzymasz w roli żony wojskowego? — zapytał pewnej nocy w Vung Tau.

— Chyba tak. — Uśmiechnęła się. — Mogłabym pracować dla „Stars and Stripes”.

— Jesteś dla nich za dobra.

— Bzdury. — Przewróciła się na bok, a on ją pocałował. Spędzili w Vung Tau wspaniałe chwile. Wpadli tu ponownie w październiku, a krótko po tym Bill pojechał na tygodniową przepustkę do Hongkongu zobaczyć się z Debbie. Rozmawiali o tym z Paxton wiele razy. Bill nie miał ochoty na spotkanie z żoną. Paxton uważała, że powinien jechać, że ma wobec żony określone zobowiązania. To nie był stosowny czas na konfrontację. Po powrocie z Hongkongu Bill był długo w złym nastroju. Debbie mocno naciskała, żeby przestał brać udział w wojnie. Posunęła się nawet do tego, że oskarżyła go, iż jest mordercą. Zażądała nowego samochodu i oznajmiła, że przyłączyła się do ruchu antywojennego, że ma wojska powyżej dziurek w nosie.

W tym czasie w Stanach Nixon wygrał wybory. Wiadomości, które Paxton otrzymywała z domu, były raczej optymistyczne.

Matka czuła się całkiem dobrze, chociaż niepokoiła się, czy zobaczy córkę na Boże Narodzenie. Gabby napisała, że spodziewa się następnego dziecka. Ich życie wydawało się toczyć utartym trybem. Paxton trudno było sobie wyobrazić powrót do zwyczajnego, codziennego życia. Po pięciu miesiącach w Wietnamie stała się kimś innym. Zwierzyła się ze swych rezerw Billowi.

— Wjesz, mam wyrzuty sumienia, ale nie chcę wracać do domu na święta. — Woląca zostać z nim w Wietnamie. Przez całe lata nienawidziła świąt spędzanych z rodziną w Sayannach. Pocięchą była dla niej obecność Queenie. Niania odeszła na zawsze, a ona sama nie była już jej „małą dziewczynką”. Wydoroślała. Pobyt w Stanach przyniósłby na nowo falę bolesnych wspomnień o Peterze. Chociaż teraz myślała o nim już dużo rzadziej, wiedziała, że zawsze będzie go kochać. Nawet Bill to rozumiał.

— W takim razie może zostaniesz tutaj na święta? — Wiedział, że powinien ją namawiać do powrotu do domu, ale był samolubny i wolał, żeby nie odjeżdżała. W styczniu wracał do Stanów. Chciał spędzić razem z Paxton ostatnie dni.

— Naprawdę tak myślisz?

— Jasne.

— W takim razie załatwione. — Pochyliła się i pocałowała go. Potem wrócili do hotelu i kochali się przez resztę wieczoru. Następnego ranka Paxton wysłała telex do redakcji „Sun”: „Nie mogę przyjechać tak jak zaplanowano. Szykują się sensacyjne materiały. Wracam 15 stycznia. Proszę zawiadomić rodzinę w Sayannah. Paxton Andrews”.

Wiedziała, że spowoduje zamieszanie, ale nie dbała o to. Chciała być z Billem. Być może to ich pierwsze i zarazem ostatnie wspólne Boże Narodzenie. Jeśli on postanowi zakończyć romans, pozostaną wspomnienia. Paxton wyznawała teraz inną filozofię życiową. Było to konieczne, gdy żyło się w ciągłym niebezpieczeństwie.

W Wigilię poszli razem do kościoła, a następnego dnia obudzili się w swoich ramionach. BiH kupił Paxton w prezencie sweter i piękną złotą bransoletkę z pojedynczym brylancikiem, którą przywiózł z Hongkongu, gdy był tam w październiku. Bill założył bransoletkę na rękę Paxton i pocałował ją. Ona z kolei podarowała mu zegarek nie najgorszej marki, kilka książek, które sprowadziła ze Stanów, i zabawne slipki, na które natknęła się na czarnym rynku. Nie było to nic nadzwyczajnego. Bransoletka, którą dostała od Billa, była naprawdę śliczna, a w środku miała delikatnie wygrawerowane ich inicjały i napis Boże Narodzenie „68.

— Pierwsza z wielu — powiedział tajemniczo Bill, całując Paxton.

Tego samego popołudnia poszli na przedstawienie Marty Raye przygotowane specjalnie z okazji świąt. Publiczność bawiła się znakomicie. Bob Hope był oklaskiwany przez dziesięć tysięcy ludzi w mundurach. Szczególną atrakcją okazała się piękna Ann Margaret. Chociaż Paxton uważała, że pokazywanie żołnierzom symbolu seksu jest nie na miejscu, mężczyznom występ gwiazdy bardzo się podobał. Na zakończenie generał Abrams przypiął Medal Służb Cywilnych do koszuli Hope’a, a widownia wiwatowała na stojąco.

Wśród publiczności Paxton i Bill zauważyli Tony’ego Campobello, jak również Ralpha, który przyszedł z ramienia Associated Press. Przyprowadził ze sobą France i jej małego, ślicznego synka An, bardzo do niej podobnego. Bill i Paxton ucięli sobie krótką pogawędkę z Ralphem i France, a potem poszli dalej. Nie widzieli ich już więcej. Nie spotkali także sierżanta ani żadnego z podkomendnych Billa. Może tak było lepiej, gdyż Tony ciągle żywił wrogię uczucia do Paxton i nie czynił najmniejszych wysiłków, by odnosić się do niej uprzejmie. Paxton przestała się tym przejmować. Za miesiąc ona i Bill wracali do Stanów. Mieli przebywać w tym samym mieście, ale z dala od siebie.

— To nie potrwa długo — obiecywał Bill, ale Paxton nie była tego pewna. Co się stanie, gdy Quinn ujrzy swoje dzieci? Wydawało się jej, że nie był jeszcze przygotowany na to, by je opuścić.

Nowy Rok przywitani spokojnie w klubie oficerskim, a zakończyli drinkiem w barze na górze. Potem kochali się w jej pokoju. Następnego ranka nadal leżeli w swych objęciach, całując się i szepcząc słowa miłości. Większość popołudnia przespali. Kapitan musiał wrócić do Cu Chi przed nocą. Planował przyjechać do Sajgonu ponownie za dwa dni. W tym czasie Paxton miała przygotować kolejne korespondencje dla „Sun”. Cykl pt. „Więści z Wietnamu” cieszył się wielkim powodzeniem u czytelników, którzy przysłali masę listów. Część z nich dotarła do Paxton. Tak jak zapowiedziała, nie ukrywała prawdy o wojnie. Z artykułów przebijała prawość autorki. Szczególnie zadowolony był Ed Wilson

I przypisywał sobie zasługę wysłania Paxton do Sajgonu. Paxton była wzruszona listami, które dostała w odpowiedzi na swoje relacje. Czasami próbowała na nie odpisać, ale przeważnie była zbyt zajęta.

Teraz też miała ręce pełne roboty. Wiele godzin spędziła przy maszynie. Poruszyła problem ulicznych żebraków w Sajgonie, potem napisała o Hue, a w planie miała jeszcze krótką relację z występów Marty Raye i Boba Hope’a. O ósmej wieczorem tego dnia, gdy miał przyjechać Bill, ciągle jeszcze tkwiła przy maszynie do pisania. Spóźniał się. Nie niepokoiła

się specjalnie, bo czasami trudno było mu się wyrwać. Tony Campobello robił wszystko, by zatrzymać kapitana w bazie. Bill zwykł udawać, że niczego nie dostrzega.

Paxton ponownie zerknęła na zegarek o dziesiątej i zaczęła się denerwować, choć wiedziała że Bill, jako przełożony, nie dysponował swoim czasem Szczególnie ostatnio Przed wyjazdem

musiał uporządkować wiele spraw i przekazać swoje obowiązki oficerowi, który miał go zmienić. Przyleciał prosto ze Stanów i był zupełnie zielony.

O jedenastej zaczęła niespokojnie krążyć po pokoju. O północy była już przestraszona.

Postanowiła zejść do holu. W recepcji zostawiła informację, że udaje się do baru. Pomyślała, że może ktoś znajomy go zatrzymał, co zdarzyło się już raz czy dwa. Ale w barze nie zastała nikogo znajomego, nawet Nigela. Wiedziała, że Ralph pojechał z France i An na weekend do jej krewnych w Hau Bon.

Czekała, przemierzając hol. Bill się nie pojawił. Nic więcej nie mogła zrobić. Było za późno, żeby dzwonić do jego jednostki. Wróciła do pokoju i większość nocy przesiedziała, zastanawiając się, co uniemożliwiło mu przyjazd.

Zasnęła o czwartej nad ranem. Obudziła się o świcie. Nadal nie było śladu Billa. Miała cichą nadzieję, że może przyjechał w nocy, kiedy spała, i wsunął się do łóżka. Dała mu klucz i nieraz już z niego korzystał. Jednak tym razem tak się nie stało.

Druga połowa łóżka była pusta. O wpół do ósmej poszła do biura prasowego. Przejrzała dalekopisy, żeby sprawdzić, czy tej nocy coś się wydarzyło. Agencje informowały tylko o bombie podłożonej w barze i ulicznej potyczce w Cholon. Wiedziała, że zeszłej nocy miał wrócić Ralph, więc godzinę później zadzwoniła do niego do domu.

— Wiem, że to niemądre... — Głupio się czuła, dzwoniąc właśnie do Ralpha, ale poza nim nie знаła nikogo, z kim mogłaby o tym porozmawiać. — Bill nie pokazał się zeszłej nocy. Jestem pewna, że nic się nie stało, ale pomyślałam...

— O Boże, Pax chcesz, żebym ja do nich zadzwonił? — Ralph leżał jeszcze w łóżku i dopiero przecierał oczy.

- Tak.

— Dlaczego sama nie zadzwonisz? Do diabła, masz przecież te same uprawnienia co ja.

— Bzdura. Każdy wie, że mam romans z Billem.

— I co z tego?

— To z tego, że nie chcę wyglądać na wścibską narzeczoną. Muszę wiedzieć, że nic mu się nie stało.

Nie brała pod uwagę możliwości, że może spotkał się z kimś innym. Byli w sobie zakochani i bardzo sobie oddani. Ktoś trzeci nie wchodził w rachubę.

— W porządku. Zadzwonię. Co chcesz wiedzieć?

— Że baza Cii Chi nadal stoi, że nie było żadnego ataku tej nocy i że Bill jest cały i zdrowy.

— Słuchaj, dzieciaku — powiedział Ralph, siadając na łóżku i uśmiechając się do France. Był szczęśliwy i jednocześnie się martwił. Właśnie mu oznajmiła, że jest w ciąży i chce urodzić jego dziecko. — Jeśli Cu Chi zostało zdobyte, siedzimy po szyję w gównie. Na rany boskie, to miejsce jest większe niż Nowy Jork.

— Nie mędrkuj, Johnson. Po prostu do nich zatelefonuj.

— W porządku. Zrobię to. — Odłożył słuchawkę i pochylił się, żeby pocałować France, która nadal leżała obok niego.

— Czy Paxton czuje się dobrze? — zapytała France. Lubiła Paxton, chociaż nie znała jej bliżej. Wydawało się jej, że są do siebie podobne.

— Tak. Denerwuje się o Billa. Każdy traci nerwy tuż przed powrotem do domu. Oszaleję przez nich.

— A ty? — spytała France, patrząc na niego smutno. — Kiedy ty wracasz do domu, kochanie?

— Nigdy. Chyba że ty zabierzesz się ze mną. — France zapowiedziała, że nigdy nie pojedzie do Stanów. Zamierzała pozostać w Sajgonie i pielęgnować miłość do niego.

Ralph usiadł na brzegu łóżka i zadzwonił do Cii Chi. Miał tam kilku znajomych, ale najważniejszym z nich był Bill, więc od razu poprosił o Połączenie Z jego jednostką. Telefon odebrał jakiś miody żołnierz, który odpowiedział wymijająco na pytanie o Billa. Inni również nabrali wody w usta. Ralph znalazł się w punkcie wyjścia.

Nagle przyszło mu do głowy, że przecucia Paxton mogły być uzasadnione i że coś było nie w porządku. Po chwili namysłu

poprosił do telefonu sierżanta Campobello Zapadła długa cisza, po czym ktoś kazał mu czekać. Upłynęło prawie dziesięć minut, zanim zgłosił się Tony. Ralph utwierdził się w przekonaniu, że Paxton miała rację, i że coś musiało się wydarzyć.

— Tony? — powiedział Ralph jak gdyby byli starymi przyjaciółmi; mi. Tony nie lubił go, Ponieważ to on przedstawił Billowi Paxton.

1: Campobello potrafił długo chować urazę. — Tu Ralph Johnson z Associated Press w Sajgonie.

— Wiem, kim jesteś, człowieku — odparł Tony lodowatym tonem. Nie wydawał się zainteresowany rozmową. — Czego chcesz?

— Ja... My... nieoficjalnie jesteśmy ciekawi, czy wczoraj nic się nie wydarzyło. To znaczy... — Cholera, kogoś innego od razu zapytałby, czy Billowi nic się nie stało. Nie chciał, by Campobello domyślił się, że dzwoni w imieniu Paxton. Czuł się idiotycznie, stosując wykręty. — Słuchaj, właśnie doszły do nas pogłoski, że być może macie jakieś problemy w bazie. Czy wszystko w porządku? Zapadło dłuższe milczenie.

— Chyba można to tak nazwać. Mamy tylko jedną ofiarę, tylko jedną. To całkiem nieźle, he? — odparł Tony na poły ironicznie, na poły gorzko.

— To wspaniale. Ralph nie był pewien, o co teraz może się spytać, ale Tony rozwiązał ten problem za niego.

— Tylko kłopot w tym, że to był... — mówił teraz z płaczem — nasz dowódca. Pamiętasz go? Ten wielki, wspaniały facet. Naprawdę przystojny. Bill Quinn. — Och, Boże. Ralphowi nagle zrobiło się zimno. Jak, do cholery, ma jej to powieźć?

— Ja... och, Boże... Jak to się stało? — pytał Ralph łamiącym się głosem.

— Jak? Całkiem prosto. Zakochał się w tej przeklętej dziwce kilka miesięcy temu i przestał uważać. Zakochał się w tym całym pieprzonym świecie i chciał zgrywać królewicza. Chcesz wiedzieć, jak to się stało? Wczoraj nasi żołnierze za bardzo się bali i nie chcieli zejść do pieprzonej dziury. Już wiesz, kto zszedł? Tak, masz

rację, nasz kapitan. Myślał, że będzie szybszy niż ten facet na drugim końcu tunelu, bo zawsze był szybszy. I co? Tym razem mu się me udało. Okazał się za wolny, za stary, a głowę miał napchaną jakimś gównem. Za kilka dni jechał do domu, by powiedzieć żonie, żeby się wypchała razem z dziećmi. Gdy o tym wszystkim myślał, mały zółtek na drugim końcu odstrzelił mu głowę.

Ralph poczuł mdłości. Zrobiło mu się niedobrze z gniewu, żalu i goryczy. Bill szykował się do wyjazdu do Stanów. Za dwa tygodnie znalazłby się w domu. Zabili go w ostatniej chwili. Podobny los był udziałem tysięcy innych żołnierzy. Tyle że Bill Quinn był ukochanym Paxton.

— Czy ma pan swój materiał, panie Johnson? — zapytał gorzko Tony. Nadal płakał. — Czy zrobił pan notatki, czy też wolałby pan przyjechać i obejrzeć ciało? Dopiero jutro po południu

będzie wysłane do Stanów. Sądzę, że nie pojedzie tam ze swoją dziewczyną. — Kapitan nie był pierwszym mężczyzną, który zakochał się w czasie pobytu w Wietnamie, ani pierwszym, który oszukiwał żonę. Jednak sierżant był zarazem zrozpaczony i wściekły. Według niego Paxton Andrews zabiła Billa Quinna.

To ją chyba zabije. — Ralph powiedział to bardziej do siebie niż do Campobello.

— To dobrze. Zasłużyła na to. — Tony otarł oczy rękawem munduru.

Chyba tak naprawdę w to nie wierzysz, co, sierżancie?

— Wierzę — odpowiedział zimno. — Ona, kurwa, zabiła mojego kapitana.

— On był dorosłym człowiekiem. — Ralph czuł się w obowiązku bronić Paxton, a poza tym napastliwość sierżanta zaczynała go irytować. Paxton nikogo nie zabiła. Jeśli już, to zraniła samą siebie. Zaryzykowała i przegrała. Trwała wojna i nikt nie był pewien dnia ani godziny.

— Bill sam dokonał wyboru, Campobello. Wiedział, co robi. Jeśli zarobił kulkę, to znaczy, że zółtek był cholernie szybki. Nie uwierzę, że Bill Quinn mógłby zachowywać się nieostrożnie.

— Bywał nazbyt szybki i ostry. Wiedział niemal wszystko o tym, czym się zajmował. Tony Campobello miał swoją wersję wydarzeń.

— Bzdury. Nie powinien schodzić do tej pieprzonej dziury.

— Więc dlaczego to zrobił?

— Może chciał coś udowodnić może dlatego, że o niej myślał...

— Nie był tak sentymentalny ani tak głupi, ani nawet tak odważny. — Chociaż Wszyscy w wojsku wiedzieli, że żołnierze zajmujący się tunelami musieli być odrobinę szaleni.

- On był wariacko w niej zakochany.

— Tak, był — zgodził się Ralph. — Nie sądzą, żeby pozwolił, by miłość w czymkolwiek mu przeszkadzała. Nie wierzę w to. Sierżancie Campobello lepiej byś zrobił, gdybyś zamknął gębę i zatrzymał swoje cholerne opinie dla siebie. Ta dziewczyna i tak będzie wystarczająco cierpieć. Mam nadzieję, że wasze drogi się nie skrzyżują.

— Ja również mam taką nadzieję.

— Na litość boską, jeśli ją gdzieś przypadkiem spotkasz, zrób mi tę przysługę i trzymaj gębę na kłódkę.

— Odpieprz się. — Tony splunął w słuchawkę. Łzy znowu napłynęły mu do oczu. — Ta dziwka zabiła mojego kapitana. — Był zrozpaczony. Rzucił słuchawkę. Ralph siedział przez dłuższą chwilę, wpatrzony smutno w okno. Co, do diabła, ma powiedzieć Paxton?

Kiedy wstał, żeby się ubrać, podeszła do niego France i delikatnie położyła mu dłoń na ramieniu.

— Przykro mi z powodu twego przyjaciela. — Miała francuski akcent, delikatne ręce i mądre serce. Ralph odwrócił się do niej i objął ją. — Tak mi przykro za nich oboje.

— Mnie również. Dawno próbowałem ich ostrzec.

Dlaczego? — spytała łagodnie.

— Sądziłem, że źle robią. Ryzyko jest wielkie. Nie słuchali mnie.

— Może nie mogli.

Godzinę później Ralph był w hotelu Carayelle i pukał do drzwi pokoju Paxton z zaszepionym wyrazem twarzy. Gdy mu otworzyła, zauważył, że miała na sobie dzinsy, jedną z koszul Billa i swoje Wojskowe buty. Wyglądała pięknie.

— Dowiedziałeś się czegoś? — zapytała zdenerwowana cofając się od progu. Sama pościeliła łóżko. Od Wczoraj nie jadła. Nie była w stanie.

— Tak — odparł możliwie spokojnie. Wszedł do środka i zaczął się rozglądać. Chciał odwlec tę chwilę.

— No więc? — Usiadł ciężko na krześle, tym samym krześle, na którym tak często siadywał Bill. — Co, do diabła, ci powiedzieli?

Tysiące razy komunikował ludziom straszne nowiny, a teraz nie potrafił sformułować jednego zdania, wykrztusić jednego słowa. Miał trzydzieści dziewięć lat i zdążył opisać więcej przypadków śmierci, niż by chciał. Ukrył twarz w dłoniach, a potem spojrzął na Paxton Wczoraj zginął, Pax. — Jego głos był jak dudnienie bębna. Przez chwilę Paxton myślała, że zemdleje. Przypomniała jej się twarz Eda Wilsona, kiedy przyszedł do niej z wiadomością o śmierci Petera. Opadła wolno na łóżko i wpatrywała się tępo w Ralpa, jakby nie rozumiała, co powiedział.

Nieprawda.

— Prawda. — Ralph pokiwał głową. — Zszedł do jednego z tuneli. Wietnamiec był szybszy. Zginął na miejscu, nie cierpiał. Reszta nie ma znaczenia. — Nie wiedział, czy to prawda, czy nie, ale uważał, że jest jej to winien. Wyciągnął do niej rękę. Paxton siedziała nieruchomo, ze wzrokiem wbitym w Ralpa.

— Czy mogę go zobaczyć?

Zawahał się. Przypomniał sobie słowa Tony'ego: „Żółtek odstrzelił mu głowę”.

— Uważam, że nie powinnaś. Jutro wysyłają go do Stanów.

— Dwa tygodnie wcześniej — powiedziała, prawie bez zastanowienia. Siedziała śmiertelnie blada, w koszuli Billa, wpatrując się przed siebie nie widzącym spojrzeniem. Straciła na tej wojnie dwóch mężczyzn, których kochała. Miała wrażenie, że jej własne życie dobiegło końca, choć nie skończyła jeszcze dwudziestu trzech lat.

— Uprzedzałem cię, że to się może zdarzyć, Pixton. To ryzyko, które wszyscy podejmujemy. To równie dobrze mógłbym być ja... albo ty, ale trafiło na niego.

Łzy wolno zaczęły spływać Paxton po policzkach. Ralph przysiadł obok na łóżku i objął ją. Długo wyplakiwała swój smutek, który spadł na nią nieoczekiwanie jak grom z jasnego nieba.

— Przepraszam... Przepraszatib.. — Szlochała, ale nic nie mogło ukoić jej bólu. Straciła go. Odszedł na zawsze. Wszystko, co jej po nim zostało, to bransoletka, którą podarował jej na Boże Narodzenie. Spojrzała na nią i nagle uprzytomniła sobie, że wszystkie osobiste rzeczy Billa zostaną przesłane żonie. Podpisane przez nią książki, drobne podarunki, wspólne fotografie robione w jung Tau, listy.

— Och, mój Boże... — Ralph sądził, że w dalszym ciągu oplakuje Billa, ale Paxton wyjaśniła mu, co przyszło jej do głowy.

— To samo przydarzało się innym żołnierzom. Debbie będzie musiała zrozumieć, że jej mąż był w strefie wojennej. Przez dłuższy czas. Ludzie się zmieniają.

— Ale to niesprawiedliwe. Dlaczego ma z tym żyć? — Pomyślała swojej matce. A dzieci? Czy nie możemy jakoś tego załatwić?

-- Nie wiem. Zastanowił się przez chwilę. Armia była raczej .dokładna, jeśli chodziło o przesyłanie rodzinie rzeczy osobistych zabitego. Wysyłali wszystko, od majtek do pocztówek. To znaczyło, że ma poważny powód do zmartwienia.

— Z kim możemy pogadać?

Oboje natychmiast pomyśleli o tym samym człowieku, a Ralph jęknął w duchu na samą myśl o nim. Paxton pierwsza powiedziała:

— Campobello.

— Nie wiem, czy on cokolwiek zrobi dla mnie, Pax.

— W takim razie ja zadzwonię... Nie... Pojadę do niego. On też musi być niezłe podłamany.

— Ralph nie chciał jej teraz mówić, że sierżant nienawidzi jej i wini za śmierć kapitana.

— Może lepiej ja się tym zajmę?

— Jestem to winna Billowi. Muszę sama to załatwić. Jadę tam — odparła drżącym głosem.

— Cholera. Jadę z tobą. — Nie miała pojęcia, w co się pakuje. Na darmo próbował ją odwieść od tego pomysłu. Chciała oszczędzić Debbie. Pozostawić jej jedynie dobre wspomnienia. Wydawało się, że w Paxton wstąpiła nowa siła. Ralph postanowił jej pomóc.

Jednak nie był przygotowany na spotkanie z Campobello niemal zaraz po przyjeździe do Cii Chi. Sierżant rzucił się w kierunku Paxton. Ralph złapał go za ramiona i potrząsnął nim.

— Na miłość boską, chłopie, przestań! Czy nie widzisz, w jakim ona jest stanie?

— Powinna, do cholery, być! — krzyknął. Po twarzy płynęły mu łzy. Stał obok samochodu i cały się trząsał.

— Chcesz zobaczyć, jak wygiąda twój kapitan?

— Proszę... — Opadła na kolana i zaczęła rozpaczliwie łkać, aż złapały ją nudności. Poblady sierżant nie spuszczał z niej oczu. — Proszę przestań... Kochałam go... — Nagle zapadła cisza. Campobello stał jak zamurowany. Paxton wstała i powtórzyła: — Ko

1

chałam go. Czy nie rozumiesz tego? — powiedziała, uspokajając się powoli. Łzy zaczęły spływać po policzkach sierżanta.

— Ja też go kochałem. Oddałbym za niego życie. Uratował mnie w jednej z tych przeklętych dziur... a ja nie mogłem mu pomóc, gdy tego potrzebował.

— Nikt nie mógł mu pomóc — wtrącił Ralph, wypuszczając Tony'ego z uścisku. — Nikt tu nie może nikomu pomóc. Śmierć jest komuś pisana albo nie. Ci, którzy są ostrożni, giną na dzień przed powrotem do domu, a ci, którzy mają wszystko w nosie, piją na umór, nie zostają nawet draśnięci. To przeznaczenie. Los. Bóg. Nazwij to jak chcesz. Nie ma winnych. — Campobello miał tę świadomość, ale nie potrafił się pogodzić z takim stanem rzeczy. Czułby się lepiej, gdyby mógł na kogoś zrzucić winę.

Ralph spokojnie wyjaśnił mu cel ich przyjazdu. Campobello wydawał się zaskoczony.

— Czy możesz nam pomóc? Ona ma rację. Te rzeczy nie powinny trafić do domu, do jego żony.

— Boisz się, że się wyda? — Sierżant spojrzał z nienawiścią na Paxton,

— Nie. — Potrząsnęła głową. — Boję się, że ją to zrani, ją i dziewczynki. Na swój sposób kochał ją i dzieci. Nie ma powodu, żeby cierpiały jeszcze bardziej. Wystarczy, że zostały sierotami. Bill i ja planowaliśmy się pobrać. Co nam przyjdzie z tego, że się teraz o tym dowie? — Chociaż się nie lubili, opowiedziała mu o swoim ojcu. — Zginął w katastrofie samolotowej. Towarzyszyła mu kobieta. Moja matka musiała z tą wiedzą żyć. Pewnego dnia i ja się o tym dowiedziałam. Brat mi powiedział. Kochałam ojca i rozumiałam jego postępowanie. Rodzice nie byli ze sobą szczęśliwi. Mimo wszystko nie było to w porządku. Nie potrzebowaliśmy tej wiedzy. Rodzina Billa też jej nie potrzebuje. Wystarczy, iż będą musieli pogodzić się z faktem, że zginął... Chciałabym zabrać moje rzeczy.

— Na przykład co? — Popatrzył na nią podejrzliwie. Było jasne, że nadal jest na nią zły.

— Tomiki poezji, w których napisałam coś od siebie, kilka zdjęć i listów. Reszta chyba nie jest ważna. — Spojrzała nagle bardzo zmieszana. — Kupiłam mu pod choinkę takie śmieszne slipki i gdzieś miał pukiel moich włosów. To chyba wszystko.

— Dlaczego to robisz? — zapytał sierżant, Podchodząc bliżej.

— Powiedziałam ci dlaczego. To, co się stało, jest wystarczająco bolesne dla nas wszystkich. Ona nie musi o nas wiedzieć. — Przez chwilę Tony Campobello uwierzył, że Paxton jest dobrym człowiekiem, ale tylko przez chwilę. To było zbyt bolesne. Dopuścił myśl, że Bill Quinn naprawdę kochał tę kobietę, a może nawet zginął dla niej. Oboje, Paxton i Campobello byli zmęczeni, zakłopotani i zdenerwowani. Wszyscy przebywali za długo w tym piekle, Quinn, Campobello, Ralph, nawet Paxton.

— Wracasz do domu? — zapytał, zapominając o obecności RaIpha. Gdy słuchał jej odpowiedzi, łzy znowu napłynęły mu do oczu.

— Nie wiem — wzruszyła ramionami — chyba tak.

- Tony pokiwał głową.

— Poszukam tych rzeczy. Poczekaj tu.

Nie było go pół godziny. W końcu pojawił się z małą paczką.

— Mani książki, zdjęcia, listy i slipki. Nie mogłem nigdzie znaleźć włosów. — Paxton przyszło do głowy, że może Bill miał je przy sobie w chwili śmierci, ale nie odezwała się w obawie, że Campobello znowu się wścieknie.

— Dziękuję — powiedziała miękko, próbując się opanować. Odebrała od niego paczkę. Oto, co zostało z wielkiej miłości, z ich nadziei i marzeń. Pozostawili po sobie tylko popioły i zgliszcza, tak jak armia, która paliła całe wsie, żeby wykurzyć partyzantów.

Tony stał, patrząc, jak Paxton wsiada do dżipa Ralpha, a potem odwrócił się i zawołał do niej:

— Hej... — Nie mógł wymówić jej imienia. Paxton zatrzymała się i popatrzyła na niego, na człowieka, który tak bardzo jej nienawidził, który myślał, że zabiła Billa. — Przepraszam — wyszeptał. Nie była pewna, czy przeprosza za to, że był w stosunku do niej taki ostry, czy dlatego, że Bill zginął. Nie miało to większego znaczenia, bo ona odczuwała to samo.

— Ja również — powiedziała i wsiadła do samochodu.

Rozdział XVII

usisz wracać do domu, dzieciaku. — Ralph stał na środku pokoju w hotelu Carayelle, a Paxton siedziała na łóżku ze skrzyżowanymi ramionami. Tydzień temu Nixon został zaprzysiężony, Bill nie żył już od miesiąca, a ona powinna być już w Stanach.

— Nic cię tu nie trzyma. Sześć miesięcy minęło. Gazeta chce, żebyś wracała. Zasypują mnie dalekopisami. Zawarłaś umowę, Pax. Jesteś tu już siedem miesięcy. Musisz wracać.

— Dlaczego? Ty tkwisz tu od lat.

— To zupełnie inna historia. Na tym polega moja praca, a poza tym nikt na mnie nie czeka. Nikogo nie obchodzi, czy wrócę. Moi rodzice nie żyją, a siostry nie widziałem od dziesięciu lat. Mieszkam z kobietą, którą kocham i która spodziewa się mojego dziecka. Mam powody, żeby zostać, ty nie. Odnoszę wrażenie, że zaczynasz wariować. Zupełnie jak ci, którzy zbyt długo przebywali w tunelach. Jedź do domu, odpocznij, a jeśli tak cholemie ci się tu spodobało, pozwól, żeby przysłali cię jeszcze raz. Jeśli nie wyjedziesz stąd, popełnisz jakieś głupstwo. — Brała udział w dwóch wyprawach Nigela i Jean-Pierre'a i Ralph domyślał się, że była przemęczona. — Jeśli będziesz się upierać, zadzwonię do San Francisco, żeby cię zabrali. — Wiedział, że jadła byle co, nabawiła się dezynterii i trawiła ją bezustanna gorączka. Starła się ukryć rozpacz. Wyglądała bardzo źle.

— Czy zaczniesz myśleć rozsądnie? Czy mogę wysłać cię do domu? Czy też muszę ich wezwać? Twój znajomy w San Francisco naprawdę zaczyna się denerwować. Chce, żebyśmy zawiadomili ambasadora i spowodowali wydanie decyzji o wydaleniu, o ile sama nie wyjedziesz.

— Dobra, dobra. Wyjadę. Wygrałeś.

— Chryste! — Westchnął z ulgą. Martwił się o nią nie na żarty. Przypadkiem spotkał sierżanta Campobello. On również nie wyglądał najlepiej. Śmierć kapitana wstrząsnęła nimi wszystkimi.

— W takim razie, kiedy? Jutro?

— Skąd ten pośpiech? — Paxton chciała wytargować jeszcze trochę czasu. Wędrowała śladami Billa, odwiedzała miejsca, w których czuli się tacy szczęśliwi.

— Załatwię ci bilet na jutro rano. Samolot wylatuje jakoś przed południem. Masz być na pokładzie.

- Po prostu usiłujesz się mnie pozbyć. — Uśmiechnęła się przez łzy. Trudno jej było rozstawać się z ludźmi, których tu spotkała, i z Sajgonem. Na swój sposób polubiła to miasto. — Jestem zadowolony o bzdury, które wypisujesz. Nigdy nie dostanę Nagrody Pulitzera, jeśli nadal będziesz tu tkwiła.

— Przyjedziesz spotkać się ze mną w San Francisco? — spytała smutno.

— Czy tam właśnie będziesz? — Teraz, kiedy zgodziła się wyjechać jutro rano, mógł się odprężyć.

— Nie wiem. Chyba tak, jeśli dostanę pracę w gazecie.

Uśmiechnął się do niej czule. W ciągu ostatnich miesięcy pokochał tę dziewczynę jak młodszą siostrę. Będzie mu jej brakować.

— Byliby głupcami, gdyby nie zaproponowali ci pracy. Jesteś cholernie dobrym reporterem.

— Usłyszeć to od ciebie, to zaszczyt. Chryste, jak ja będę za tobą tęsknić. Zjemy dzisiaj razem kolację?

— Oczywiście.

Przyszedł sam. France została w domu z An. Ralph uważał, że tak jest bezpieczniej. Nie lubił, gdy spotykała się z innymi dziennikarzami. Poza tym dzisiaj chciał być sam z Paxton.

— Dasz sobie radę? — zapytał poważnie, gdy wypili drugą kolejkę.

— Chyba tak — odparła patrząc w szklanke, tak jakby tam mogła znaleźć odpowiedź. — Nie wiem. — Spojrzała na niego. — Czy ktokolwiek może być po powrocie taki sam jak przedtem?

— Nie — powiedział szczerze. — Nie może. Przebywałaś tu stosunkowo krótko. Może ten pobyt nie zostawi śladu.

— Myślę, że zostawi. — Ralph też tak uważał. Dla jej dobra wolałby, żeby było inaczej.

— Może tylko tak ci się wydaje ze względu na Billa — dodał. Widział ludzi zniszczonych przez Wietnam. Narkotyki, choroby weneryczne, życie w zagrożeniu, otarcie się o śmierć — to wszystko czyniło spustoszenie w duszy człowieka. Mało kto radził sobie z takim obciążeniem. Cała nadzieja w tym, że Paxton nie spędziła tu zbyt wiele czasu. Może uda się jej wyjść z tej przygody bez szwanku.

— Powrót do domu dobrze ci zrobi. Odżyjesz. — Uśmiechnął się, ale ona nie odpowiedziała tym samym.

— Wszystkim dobrze robi powrót do domu. Sam się przekonaj — powiedziała łagodnie. — Boże, jak chciałabym cię tam zobaczyć.

— Czy twoja rodzina wie o Billu? — Paxton potrząsnęła głową. Nikomu nie pisnęła nawet słówka. Czekala, aż on podejmie decyzję co do Debbie. Może by jej nigdy nie opuścił? Zawsze istniała taka możliwość.

— Chyba im teraz też nie powiem. Nie ma sensu.

Przytaknęła. O wielu rzeczach, które działy się w Sajgonie, nie powinno się nikomu mówić. Siedzieli do czwartej rano. Potem Ralph przyszedł, żeby odwieźć ją na lotnisko. Miała ze sobą tę samą małą torbę, z którą tu przyjechała, tę samą małą walizkę, i tylko większy ból w sercu. Straciła w Wietnamie dwóch mężczyzn. Mimo to pokochała to miejsce.

— Wyświadczyć sobie przysługę, Pax — powiedział Ralph ze smutnym uśmiechem, gdy się żegnali. — Zapomnij o tym miejscu tak

szybko, jak potrafisz. Inaczej ono cię zabije. — W głębi chiszy przyznawała mu rację, ale wolała o tym nie wiedzieć. Nie chciała zapomnieć.

— Uważaj na siebie Ralph. — Uściskała go mocno. — Wiesz, że naprawdę cię lubię.

Gdy się wreszcie rozstali, Ralph miał łzy w oczach. Ostatnią rzeczą, jaką od mego usłyszała, było:

— Ja też, Delta Delta.

Rozdział XVIII

Po siedemnastu godzinach lotu wylądowała na lotnisku w Oakland. W czasie lotu próbowała zagadnąć kilku oficerów, ale każdy z nich był tak wyczerpany, tak wypalony i tak przerażony perspektywą powrotu, że nie chciał rozmawiać z nikim. Wszyscy marzyli o wyrwaniu się ze szponów wojny. Teraz, gdy marzenie się zrealizowało, targały nimi sprzeczne uczucia. Czy będą w stanie cokolwiek opowiedzieć? Na przykład, co czujesz, gdy zabijasz człowieka? Gdy stoisz ze swoją ofiarą twarzą w twarz i zagłębiasz bagnet w jej flaki albo gdy strzelasz do snajpera, który okazuje się kobietą? Jak opiszesz dziewięciolatka, który rzucił granat i zabił twojego przyjaciela, a potem ty wyciągnąłeś go z krzaków i zabiłeś? A jak opiszesz zachody słońca w górach lub zielen Wietnamu, dźwięki i zapachy, ludzi lub dziewczynę, którą kochasz, choć nie potrafi nawet wymówić twojego imienia. To było zadanie ponad siły. Nikt by temu nie podołał. Dlatego większość z nich jechała do domu w milczeniu.

„Paxton, ubrana w spódnicę i bluzkę, z włosami uczesanymi w kok, w czerwonych, teraz już znoszonych, sandałach, wysiadła wreszcie z samolotu. Nie mogła uwierzyć, że jest w Stanach. Czy tu był jej dom? Jej dom był w Sajgonie, w hotelu Carayelle. A może w Berkeley, w mieszkaniu, które dzieliła z Peterem? A może w domu Wilsonów? A może w domu matki w Sayannah? Ledwo wysiadła z samolotu, a już uświadomiła sobie, że w ogóle nie ma domu. Młody chłopak stojący obok niej potrząsnął głową i powiedział:

— Niesamowicie jest wrócić z Wietnamu. — Paxton doskonale wiedziała, co miał na myśli. Czują to samo.

Ed Wilson przysłał limuzynę, która zawiozła Paxton do siedziby redakcji. Nie była przygotowana na przyjęcie, jakie jej zgotowano. Miała wrażenie, że znajduje się w obcym kraju, gdy redaktorzy których znała, a także ci, których wcześniej nie widziała na oczy, gratulowali jej wspaniałej roboty. Była zaskoczona i nie miała pojęcia, co to miało oznaczać, ale ze łzami w oczach dziękowała za miłe słowa. W końcu została sama z Edem Wilsonem, który długo i uważnie patrzył na nią i już wiedział, że pobyt w Sajgonie wywarł na niej olbrzymie piętno. Nie chodziło tylko o to, że fizycznie się minęła, zeszcupiała i zmizerniała. W jej oczach dostrzegł smutek i przedwczesną dojrzałość, i mądrość życiową. To była wiedza kogoś, kto otarł się o śmierć, widział umierających.

— Wiele przeszłaś — stwierdził, nie pytając o nic. Paxton skinęła głową, próbując się uśmiechnąć.

— Cieszę się, że tam byłaś. — Naprawdę tak myślała. Ze względu na Billa, Ralpa i na siebie samą. A także Petera i kraj.

— Chciałbym, żebyś pojechała do domu i trochę odpoczęła. Potem będziesz mogła pisać, o czym zechcesz. Odwaliłaś kawał dobrej roboty, Paxton. Proponujemy ci własną rubrykę. — Była wzruszona, ale serce jej się krajało, gdy pomyślała o serii swych korespondencji z Wietnamu.

— A „Więści z Wietnamu”? Czy ktoś przejmie ten cykl?

Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się. Wszyscy dziennikarze tacy sami. Swoje rubryki traktowali jak swoje dzieci.

— Nixon obiecuje, że wojna zmniejszy swój zasięg. Na razie możemy zdobywać wiadomości z Sajgonu z tamtejszego biura prasowego.

— Mają tam wspaniałych ludzi — powiedziała Paxton, myśląc o Ralphie.

— Ty byłaś jednym z nich, Pax — zauważył Ed Wilson. — I mile mnie zaskoczyłaś. Nigdy nie podejrzewałem, że okażesz taki reporterski pazur. Myślałem, że po miesiącu będziesz miała dość.

— Na początku rzeczywiście byłem niezłe wystraszona, ale za to czułam, że wreszcie robię coś pożytecznego.

— Z pewnością. Przez ostatnie kilka tygodni myślałem, że już nigdy nie ściągniemy cię z powrotem do San Francisco. — Wzdrygnął się. — Dlaczego odwlekałaś powrót?

Nie wiedziała, co ma mu powiedzieć. Mężczyzna, którego kochała, został zabity... Jeszcze jeden...

— Ja... bardzo zaangażowałam się w pracę korespondenta. Nie jest łatwo porzucić taki tryb życia.

— Domyślam się, że nie jest. Teraz solidnie odpocznij i wracaj, gdy tylko poczujesz się lepiej. — Paxton zastanawiała się, kiedy to nastąpi. Spojrzała na zegarek, wiedząc, że musi jeszcze znaleźć jakiś pokój w hotelu. Okazało się, że Ed już się tym zajął. —

Zarezerwowaliśmy ci apartament w Fairmont. Marjorie nalegała, żebyś przyjechała do nas, ale pomyślałem, że potrzebujesz spokoju, a poza tym musisz być całkiem niezależna. — Powiedział Marjorie, że jeśli Paxton złapała w Wietnamie jakąś chorobę zakaźną, niech lepiej zanocuje w hotelu.

Redakcja wynajęła dla niej samochód i kierowcę. Państwo Wilson spodziewali się jej na obiedzie. Paxton od piętnastu godzin była na nogach i podczas obiadu z trudem walczyła z ogarniającą ją sennością. Spotkanie w domu Wilsonów okazało się dla wszystkich wrzuszające. Paxton odniosła wrażenie, że zebrani oczekują od niej wyjaśnienia śmierci Petera, a ona nie miała na ten temat nic do powiedzenia.

Przez cały czas Gabby trajkotała bez końca o tym, jaka słodka jest Marjie, jaki ruchliwy jest mały Peter i jaki wspaniały jest ich nowy dom. Opisywała tapety na ścianach i zasłonki w sypialni. Paxton dwa razy się pomyliła i nazwała przyjaciółkę imieniem Debbie. Nie potrafiła się odnaleźć w ich świecie. Była obca, obciążona straszliwymi przeżyciami, napiętnowana wojną. O mało się przy stole nie rozpląkała. W pewnym momencie miała ochotę krzyknąć. Tęskniła za swoim pokojem w „Carayelle”, za Peterem, Billem... Gdy rozstawała się z Wilsonami, kręciło jej się w głowie. Kiedy dotarła do hotelu, długo leżała z otwartymi oczami, zmęczona, roztrzęsiona i słaba. Nad ranem zasnęła, ale dwie godziny później obudził ją zamówiony telefon. Musiała wstać, wziąć prysznic i ubrać się, żeby zdążyć na samolot do Sayannah.

W rodzinnym mieście było jeszcze gorzej. Nie miała nikomu nic do powiedzenia. Nie mogła porozumieć się z członkami Ligi ani

towarzystwem z klubu brydżowego matki. Czuła się fatalnie na obiedzie wydanym na jej cześć przez Stowarzyszenie Cór Wojny Domowej. Wszyscy domagali się informacji o Wietnamie, ale nie chcieli usłyszeć prawdy. Woleli nie wiedzieć o fetorze śmierci czy o chłopcu z Miami z urwaną ręką, czy o żebrakach bez kończyn, czołgających się o zachodzie słońca na tarasie hotelu Continental Palace, czy wreszcie o chorobach wenerycznych, narkotykach i amerykańskich chłopcach ginących z rąk Wietnamców. Nie próbowali zrozumieć, że pęka ci serce, gdy to widzisz, ale jednak zaczynasz lubić ten kraj.

Mogła ich tylko przeprosić, że nic im nie powie, ale jest zmęczona i chora. Nie potrafiła sprostać ich oczekiwaniom. Żądali bohaterskiego eposu o wspaniałych chłopcach ze Stanów. Nie byli gotowi słuchać o śmierci, ranach, brudzie i strachu.

Paxton nigdy nie czuła się bardziej samotna niż teraz w Sayannah. Nigdy też nie wyglądała gorzej i nie tęskniła tak bardzo za Queenie. Paxton miała wrażenie, że stała się obca. Mogła szukać zrozumienia tylko u kogoś, kto przeżył Wietnam. Pewnego razu, gdy włóczyła się z przyjaciółmi, w barze spotkała młodego mężczyznę z którym zaczęła rozmawiać. Padały

znajome nazwy: Ben Suc, Cu Chi, Nha Trang, Bien Hoa, Long Binh, Hue i yung Tau. Zaczęli mówić językiem niezrozumiałym dla innych. Rozstając się, wymienili uścisk dłoni i każdy poszedł w swoją stronę, czując się trochę mniej samotnie. Był to jedyny miły wieczór, jaki spędziła w ciągu dwóch tygodni w Sayannah.

Paxton trudno było się porozumieć również z matką. Beatrice, która nie była wtajemniczona w przeżycia córki, sądziła, że nadal rozpacza po stracie Petera. A przecież zdarzyło się dużo więcej.

George tłumaczył jej stan wyczerpaniem. W końcu, z kilkoma nowymi strojami, bardziej stosownymi niż wojskowe buty, które i tak zresztą wzięła ze sobą, wróciła w połowie lutego do San Francisco.

Na początek zaczęła pracę w „Sun”. Pierwsze kilka tygodni spędziła w hotelu. Potem znalazła małe mieszkanie. Codziennie wieczorem obiecywała sobie zadzwonić do Gabby, ale nie potrafiła się przemóc. Nie miały sobie nic do powiedzenia. Nawet Matt wydawał się jakiś napuszony, sztywny, a oni wszyscy tacy sztuczni. Czasy ich bliskiej przyjaźni minęły bezpowrotnie. Odeszli również ludzie, których pokochała. Nikt jej już nie został.

Nienawidziła nawet tego, co robiła dla gazety. Miała opisywać wydarzenia polityczne, które śmiertelnie ją nudziły. Pan Wilson namawiał, żeby wróciła na studia, chociażby wieczorowe, i zdobyła wreszcie dyplom Berkeley. Nie miała na to najmniejszej ochoty. Nie widziała w tym sensu. Cały czas była zmęczona i nie cierpiała wieczornych powrotów do domu. Liczyła dwadzieścia trzy lata, a czuła się jak staruszka. Znajdowała wspólny język jedynie z tymi, którzy mieli za sobą podobne przeżycia.

Co jakiś czas spotykała kogoś, kto był w Wietnamie. Wtedy nagle świat nabierał życia. Ona sama ożywała, nagle chętna do długich rozmów. Potem znowu popadała w stan odrętwienia i nostalgii za Wietnamem. Wojna trwała i Paxton uświadomiła sobie, że nie chce być nigdzie indziej, tylko w Sajgonie. Pewnego dnia próbowała wyjaśnić to redaktorowi naczelnemu, ale on tylko uśmiechnął się i zapewnił, że bardzo dobrze wywiązuje się z obecnych zadań.

Paxton ciągle z zapartym tchem śledziła doniesienia z Wietnamu i zastanawiała się, co się dzieje z Ralphem i innymi znajomymi. Dlaczego nadal tam przebywali? Dlaczego tylko ona musiała wracać do domu? Co takiego zrobiła, że na to zasłużyła?

Wojna w przeciwieństwie do obietnic i zapewnień, których władze me oszczędziły amerykańskiej opinii publicznej, miała coraz większy zasięg i kosztowała coraz więcej ofiar. Minęły cztery miesiące. Nadszedł maj. Peter nie żył już od ponad roku. Paxton uczestniczyła w uroczystości z okazji rocznicy jego śmierci. Czuła się nikomu niepotrzebna i zagubiona. Peter i Bill odeszli na zawsze. Ona ledwie wegetowała, pisząc o czymś, co ją zupełnie nie obchodziło, utwierdzając się w przekonaniu, że marnuje życie.

Na początku czerwca, tuż przed spotkaniem Nixona i Thieu w Midway, Paxton podjęła decyzję. Poprosiła Eda Wilsona o ponowne przydzielenie jej rubryki „Wieści z Wietnamu” i oznajmiła, że jeśli nie on wyśle ją do Sajgonu, zrobi to ktoś inny.

Ed Wilson był przerażony. Przyszło mu do głowy, że może w czasie pobytu w Wietnamie postradała rozum.

— Na miłość boską, dlaczego? Mój Boże, Paxton, Amerykanie robią wszystko, żeby uniknąć, służby wojskowej. — Dopóki syn żył, mówił inaczej. — Dlaczego? — powtórzył.

— Ponieważ muszę. Tutaj jestem bezużyteczna. Tak naprawdę nikt w Stanach nie rozumie, co się tam dzieje.

— A ty rozumiesz? — Spytał sceptycznie.

— Nie, ale widziałam wojnę na własne oczy. Sama przekonałam się, jak to wygiąda. Nie potrafię i nie mogę żyć, jakby mc się nie wydarzyło. Wojna nadal się toczy i muszę tam pojechać. — Ed Wilson nie był przekonany, ale Paxton była pełnoletnia i mogła decydować o swoim życiu. Cykl „Wieści z Wietnamu” cieszył się dużym powodzeniem. Gdy zszedł z łam

gazety, do redakcji nadeszło dużo listów domagających się przywrócenia go. Jednak nie znaleźli się chętni do pójścia śladem Paxton.

— A co na to twoja rodzina?

— Jeszcze nic im nie mówiłam.

— A jeśli zginiesz? — zapytał wprost.

— To sprawa przeznaczenia. Tak było w przypadku Petera. Fatum, los — powiedziała cicho. Pokiwał głową. Tak jak Paxton pogodził się już ze śmiercią Petera. Marjorie w dalszym ciągu pomstowała na los za tę niesprawiedliwość. On też uważał, że to niesprawiedliwe. Ale... stało się.

— Jak długo zamierzasz tym razem zostać w Sajgonie, Paxton?

— Nie wiem... — Zastanowiła się. — Może rok. Coś koło tego. Wolałabym nie wyznaczać terminu. — Uśmiechnęła się po raz pierwszy od czterech miesięcy, rozluźniona i odprężona.

— Dam panu znać, jeśli nie będę mogła dłużej wytrzymać. Może do tego czasu wojna się skończy.

— Paxton — przyglądał się jej długo i uważnie — czy jesteś zdecydowana? — Przytaknęła. Ed uznał, że musi zaspokoić swoją ciekawość. Nie mógł mu się pomieścić w głowie, że ona naprawdę

chce znów jechać do Wietnamu.

— Czy jesteś z kimś związana? — Wiedziała, co miał na myśli, ale potrząsnęła przecząco głową.

— Mam tylko przyjaciół, podobnych zapaleńców jak ja — powiedziała, myśląc o Ralphie i innych. — Wszyscy czujemy się w obowiązku pozostać świadkami aż do gorzkiego końca.

— Mam nadzieję, że nastąpi to szybko — stwierdził posępnie. Poinformował ją o wynagrodzeniu, które będzie otrzymywać. Zaskoczyła ją wysokość tej kwoty. — Możesz zatrzymać się w tym samym hotelu albo lepszym, jeśli taki znajdziesz. Rób, co uznasz za stosowne. Masz carte blanche. — Wstał i ucałował ją serdecznie. Podziękowała mu gorąco. Gdy wychodziła z jego biura, promieniała.

— Ktoś tu dostał podwyżkę — powiedział jeden z redaktorów.

— Zgadłeś. — Odwróciła się z uśmiechem. — Oddali mi moją rubrykę. Wyjeżdżam do Sajgonu.

— O cholera — pokręcił głową ze zdziwieniem.

Usiadła za biurkiem i napisała telegram do Ralphi Johnsona.

„Wracam pierwszym samolotem. Przygotuj się. Ucałowania. Delta Delta”. Wysłała telegram i poszła do domu, żeby się spakować i zadzwonić do matki i Gabby. Beatrice była przerażona, ale w głębi duszy spodziewała się takiego obrotu rzeczy. Gabby się rozpląkała. Jej trzecie dziecko mogło w każdej chwili przyjść na świat, a Paxton nie chciała czekać. Dwa dni później znajdowała się na pokładzie samolotu do Sajgonu.

Rozdział XIX

Samolot wylądował w Tan Son Nhut. Paxton miała wrażenie, że wreszcie znalazła się we właściwym miejscu. Tym razem nie czuła się obco. Przeciwnie, z radością rozejrzała się po znajomej bazie. Utwierdziła się w przekonaniu, że postąpiła słusznie, jadąc taksówką na Tu Do, do hotelu Carayelle. Przez okno samochodu oglądała znajome widoki, rozpoznawała domy i ulice. Tak, teraz tu znajdował się jej dom. Zostawiła bagaż w hotelu i kazała się taksówkarzowi zawieźć do Eden Building. Gdy mijali pomnik, uśmiechnęła się. Nie mogła się doczekać spotkania z Ralphem. Gdy weszła do biura,

Ralph właśnie głośno narzekał na trudy kolejnej wyprawy na tereny walk. Stał tyłem do niej i uskarżał się na kierowcę, którego mu przydzielili. Paxton wolno podeszła do Ralpha i klepnęła go lekko w ramię. Odwrócił się, uśmiechnął i mocno ją uściskał.

— Delta Delta... Nie wierzę własnym oczom... Ty szalona babo! Do diabła, co tu robisz! Powinnaś siedzieć na tyłku w San Francisco.

— Kto tak twierdzi? Robi mi się niedobrze na myśl, że musiałabym relacjonować jeszcze jedno spotkanie polityków, strajk lub coś W tym guście.

— Witaj — powiedział łagodnie. Nie krył radości.

— Dziękuję. — Ich spojrzenia się spotkały. Przeszli razem niemało, zawdzięczała mu wszystko, co wiedziała o Wietnamie.

— Nie jesteś zbyt zmęczona, żeby wypić drinka? Kiedy przyleciałaś?

— Około dwóch godzin temu. Nie, me jestem zmęczona. — Była podekscytowana przyjazdem do Wietnamu i spotkaniem z Ralphem.

— Taras w Continental Pałace? — zapytał ze śmiechem. Pamiętał, jaka była przerażona, gdy Jean-Pierre zaprosił Ją do baru po raz pierwszy. Gdy jechali znowu na Tu Do, Paxton zapytała Ralpha o francuskiego fotografa.

— Jak tam Jean-Pierre?

— Jak zwykle za dużo pije. Odeszła od mego żona. Miała już dosyć czekania. Myślę, że on się tego spodziewał. — Od czasu do czasu zerkał na Paxton kątem oka. Ogromnie cieszył się z jej przyjazdu. Od początku traktował ją jak ukochaną młodszą siostrę.

- A France?

— W porządku. Dziecko ma przyjść na świat we wrześniu. — Paxton popatrzyła na niego uważnie, zastanawiając się, czy zmienił się jego stosunek do narodzin dziecka. Na początku nie był specjalnie zachwycony. Uważał, że ze względu na wszystkie okoliczności nie powinni mieć nieślubnego dziecka.

— Próbowałem ją od tego odwieść, dla dobra tego dziecka. Ale tak bardzo chciała je mieć, więc... yoila. — Wzruszył ramionami i się uśmiechnął. — Chyba zostanę tatusiem. — Ciągłe jeszcze się z nią nie ożenił. — Jak było w Stanach? — Od dawna, nie był w kraju. Wydawało mu się, że już nie jest jego obywatelem.

— Obco — odpała szczerze. — Na początku nienawidziłam tych wszystkich zadowolonych z siebie zjadaczy chleba, zaabsorbowanych sobą i codziennością. Na dobrą sprawę ta wojna nikogo nie obchodzi. Ludzie udają, że nie ma eskalacji wojny, bo tak im wygodniej.

— Byłem ciekaw, jak się będziesz tam czuła. — Dotarli do Continental Palace. Paxton zdążyła zapomnieć, jak uciążliwy może być upał w Sajgonie. Jednak nie przeszkadzało jej to. Wróciła do znajomych hałasów, zapachów i widoków.

Gdy szli powoli na górę, Paxton zastanawiała się, czy zastaną Nigela. Zapytała o to Ralpha, który na moment się zmieszał, a potem popatrzył na nią dziwnie.

— Nigel zginął w Bien Hoa dwa miesiące temu. Najechali na minę i samochód wyleciał w powietrze... to była mała mina zakopana przez Wietnamców.

— To okropne. — Zrobiło się jej smutno, chociaż nie przepadała za Nigelem. — Dużo masz roboty?

— Za dużo. — Uśmiechnął się. — Ale kocham swoją pracę. Znowu będziemy się razem wypuszczać. Kiedy chcesz zacząć? Odkładałem wyprawę do Da Nang do czasu znalezienia odpowiedniego towarzysza.

— Z przyjemnością z tobą pojedę. Podczas poprzedniego pobytu Paxton unikała wyjazdu do Da Nang. Właśnie tam zginął Peter. Tym razem była gotowa stawić czoło wyzwaniu.

— Dobra. Biorę się za przygotowania. Może pojutrze wyjedziemy?

— W porządku. — Uśmiechnęła się, a on spojrzał na zegarek. Musiał wracać do France, nie lubił zostawiać jej samej na długo. Ostatnio nie czuła się za dobrze, a An bywał niesforny.

— Chcesz, żebym cię odwiózł do hotelu? — zapytał, wstając od stolika. Paxton potrząsnęła głową.

— Jeśli dam radę, to się przejdę, a jeśli nie, to zawsze mogę wziąć riksę. Nie ma problemu. Ralph pochylił się i serdecznie pocałował ją w policzek.

— Witaj znowu w Sajgonie. Cieszę się, że udało ci się to załatwić.

— Ja też. — Odwzajemniła mu się ciepłym uściskiem. — Przekaż ucałowana France Zobaczymy się jutro na „nowinkach o piątej” Czy nadal się odbywają? — Naprawdę znalazła się u siebie. Nie była już żółtodziobem. Należała do starej gwardii. Pomachała Ralphowi na pożegnanie, a potem z przymkniętymi oczami zaczęła powoli sączyć drinka, tom xay, koktajl ananasowy, który już wcześniej bardzo lubiła. Nagle ujrzała znajomą twarz. Podejrzewała, że się zdrzemnęła i to sen. Okazało się, że to najbardziej realna rzeczywistość. Sierżant Billa Quinna, Tony Campobello, we własnej osobie.

— Myślałem, że wyjechałaś — bąknął wyraźnie zakłopotany.

— Wyjechałam — odparła niechętnie, zastanawiając się, czy znowu ją zaatakuje. Tym razem Ralph mógłby stanąć w jej obronie. — I właśnie wróciłam. Dzisiaj, ściśle mówiąc.

— Aha — pokiwał głową. — Jak tam było w kraju? — Prowadzili zdawkową rozmowę. Nie była pewna, co z tego wyniknie. Oboje mieli żywo w pamięci Billa. W jakiś sposób wszyscy troje byli nadal ze sobą związani, mimo że Bill nie żył już od sześciu miesięcy.

— Czułam się dziwnie i obco — odparła szczerze. — Nikt tam niczego nie rozumie.

— Podobno. Wyjeżdżamy stąd jako bohaterowie, a tam traktują nas jak skazańców.

— Żyjemy w dziwnych czasach — powiedziała cicho, zastanawiając się, czy powinna zaproponować mu, żeby się do niej przysiadł. Był wyraźnie zdenerwowany. — Nadal jesteś w Cu Chi? — Nie wiedziała, o co jeszcze mogłaby go spytać.

— Zgłosiłem się na czwartą turę — oznajmił, po części z dumą, po części z zakłopotaniem.

— Bill twierdził, że szcurem tunelowym może zostać ten, co ma nie po kolei w głowie i chyba miał rację.

— Chyba że jest odważny. Może jedno i drugie — dodała. Znowu wspomniała Billa. Tony przechwycił jej spojrzenie i chociaż nic nie powiedziała, wiedział o kim myśli.

— On był naprawdę kimś — powiedział z uwielbieniem w głosie. Potem popatrzył na nią z zakłopotaniem. — Jestem ci winien przeprosiny.

— Nie jesteś mi nic winien. — Nie chciała do tego wracać. Wolą zapomnieć. Wiedziała, że ponownie nie da rady przez to przejść. — Rozumiem cię. Oboje byliśmy zdenerwowani.

— Tak... Ale ty zrobiłaś coś szczególnego. Długo o tym myślałem. Zrozumiałem, dlaczego Bill cię pokochał. Wiesz, że cię kochał. — Paxton uśmiechnęła się smutno na wspomnienie tamtych szczęśliwych chwil.

— Ja też go kochałam. I ty chyba też. Dlatego oboje straciliśmy wtedy panowanie nad sobą.

— Tak. Zaimponowałaś mi, kiedy postanowiłaś oszczędzić jego żonę. Większość kobiet nie pomyślałaby o tym. Machnęłyby ręką albo pozwoliłyby żonie odkryć prawdę. Bill by to docenił. Te dzieciaki były dla niego wszystkim. — Miał łzy w oczach, gdy to mówił. Paxton ogarnęło wzruszenie. — W dodatku opowiedziałaś o swoim ojcu. Nie musiałaś mi zwierzać rodzinnej tajemnicy. Postąpił krok w jej stronę, a ona odstawiła pustą szklankę. — Od dawna chciałem cię przeprosić.

Pytałem o ciebie w biurze prasowym i dowiedziałem się, że wróciłaś do San Francisco. — Wyciągnął do niej rękę. — Dziwię się, że ze mną rozmawiasz, po tym, co ci wtedy nagadałem.

— Wszyscy byliśmy zdenerwowani. Doceniam to, co robisz, Tony. — Ucisnęli sobie ręce.

— Dziękuję ci. — Paxton zaczynała rozumieć, dlaczego Bill lubił sierżanta. Za jego bezpośredniość, szczerłość, nawet za jego cholernie trudny charakter.

— Chcesz usiąść? — Wskazała krzesło, opuszczone przez Ralpha, ale Tony potrząsnęła głową. Ciągle jeszcze nie czuł się swobodnie w jej towarzystwie.

— Nie, dziękuję. Mam się z kimś za chwilę spotkać. Dlaczego wróciłaś do Sajgonu?

— Zaciągnęłam się na drugą turę. — Tony roześmiał się.

— Masz charakterek. Większość ludzi nie może się doczekać, żeby się stąd wyrwać.

— Właśnie tak czułam się w San Francisco.

— Jesteś stamtąd? — zapytał z ciekawością. Bill Quinn tak mało o niej opowiadał.

— Tam mieści się siedziba gazety, dla której pracuję, tam też przez cztery lata chodziłam do college'u, do Berkeley. Przedtem mieszkałam w Sayannah.

— Coś takiego. — Był wyraźnie poruszony. — Rok temu spędziłem tani weekend, po zakończeniu podstawowego szkolenia w Georgii. Tamtejsi ludzie są okropnie sztywni. Pochodzę z Nowego Jorku, a tam panują inne obyczaje. — Paxton zaśmiała się.

— Trafiłeś w samo sedno. Dlatego nie mieszkam w Sayannah... Między innymi... Moja maina nie mogła tego zrozumieć.

— Musi być naprawdę przerażona tym, że jesteś w Sajgonie — stwierdził z poważną miną. Paxton zastanawiała się, ile on może mieć lat. Później dowiedziała się, że trzydzieści.

— Niezupełnie — odparła — ale nie miała wiele do gadania. Nie mogłam dłużej wytrzymać w Stanach. Musiałam wrócić do Wietnamu.

— Dlaczego? — Nie potrafił zrozumieć jej postępowania. Była piękną, młodą i inteligentną dziewczyną, miała interesującą pracę, mogła podróżować po całym świecie. Co, u diabła, ją tu ciągnęło?

— Do końca nie wiem — odpowiedziała szczerze. — Czuję, że tu jest moje miejsce. Zbyt odstałam od amerykańskiej codzienności. Nowe samochody, stare posadki, nowe zasłonki itp. W tym czasie tu giną ludzie. Nie mogłam tego wytrzymać.

Dotknął czoła, jakby chciał zaszalutować.

— Kiedy ja tu przyjechałem, spotkałem się z określeniem pazza. Szalony. Czubek. — Zrobił zabawną minę, a Paxton zaśmiała się i wstała. Powoli ogarniała ją i senność.

— Wyglądasz na zmęczoną — powiedział Tony.

— Padam z nóg.

Tony patrzył na nią uważnie, tak jakby starał się podjąć jakąś decyzję w jej sprawie, a ona próbowała nie dać się mu zdenerwować. Pamiętała, jak sześć miesięcy temu wrzeszczała na nią i jak jej wtedy nienawidził, wtedy i przez cały czas, gdy spotykała się z Billem. Ale to należało już do przeszłości. Nie było sensu wracać do tego jeszcze raz. A on wydawał się skłonny do zawarcia z nią rozejmu. Zemsta niczego by nie zmieniła. Paxton wiedziała, że Bill chciałby, aby ona i Tony zostali przyjaciółmi, nawet jeśli sierżant był trochę dziwny. Paxton była skłonna nie zwracać na to uwagi. Może nie tyle dziwny, co spięty i czasami bardzo nerwowy. Ale kto taki nie był w Sajgonie?

— Na lotnisku zwinąłem dżipa. Może odwieźć cię do hotelu? — zaproponował chłodno.

— Miałam zamiar się przejść. Nie sprawię ci kłopotu? — Potrząsnął głową. Zatrzymałam się w Carayelle, niedaleko stąd.

— Kiedyś jadłem kolację w barze na górze. Podają bardzo dobre jedzenie. — Roześmiał się, a Paxton spojrzała na niego ze zdziwieniem. — Wiem. To brzmi dziwnie. Moja rodzina ma hurtownię artykułów spożywczych. Gdziekolwiek byśmy nie jedli, przy stole rozmawiano o tym, czy podane warzywa są świeże, czy też nie. Nienawidziłem tego jako dzieciak. Potem, gdy dorosłem, odkryłem, że to rodzinne przekleństwo, obsesja. — Paxton śmiała się razem z nim. Co za niesamowity zbieg okoliczności! Spotkała go tuż po przyjeździe i gawędzi sobie z nim jak gdyby nigdy nic, jakby nie mieli za sobą licznych kłótni i awantur po śmierci Billa.

— Będę pamiętać o warzywach, jeśli będę tam znowu jadła.

— W porządku. — Dojechali do Carayelle i Tony pomógł jej wysiąść. — Chryste, śpisz na stojąco. — Ledwo widziała na oczy. — Dasz sobie radę?

— Wszystko będzie w porządku, jeśli tylko dotrę do łóżka. Dziękuję za podwiezienie, sierżancie.

— Do usług, panno Andrews — zsalutował. Paxton zdziwiła się, że zapamiętał jej nazwisko. Wzięła bagaż z recepcji, poszła na górę do swego pokoju i padła na łóżko w ubraniu. Obudziła się dwadzieścia godzin później. Popołudniowe słońce zaglądało do pokoju. Paxton jak przez mgłę przypominała sobie rozmowę z Tonym Campobello na tarasie hotelu Continental Palace. Przez dłuższą chwilę sądziła, że musiało jej się to przyśnić.

Rozdział XX

W ciągu dwóch godzin Paxton rozpakowała swoje rzeczy, wzięła kąpiel, zeszła na dół coś zjeść, a potem wróciła na górę i znowu położyła się spać. Obudziła się, gdy wstawał ranek. Poprzedniego dnia Ralph zostawił wiadomość, że przyjedzie po nią o siódmej rano. Teraz, o szóstej, Paxton z uśmiechem obserwowała wschód słońca. Było pięknie, choć już bardzo gorąco. Nałożyła mundur polowy, pod który włożyła podkoszulek koloru khaki. Zawiązała buty, te same, które dostała od Ralph, gdy po raz pierwszy przyjechała do Sajgonu. Pamiętała swój ówczesny nastrój, pełen obaw i niepewności. Teraz czuła się swobodnie i pewnie. Była w pełni świadoma swoich zamiarów.

Ralph zjawił się, jak zwykle, punktualnie. Wziął ze sobą Bertie”ego, znakomitego angielskiego fotografa, z którym Paxton już wcześniej pracowała i którego polubiła. W czasie jazdy Bertie opowiadał sprośne kawały, a Paxton uśmiechała się i spoglądała na Ralph, nalewając sobie jednocześnie kawy z termosu. Słońce stało już wysoko, prażąc niemilosiernie. W powietrzu unosił się przenikliwy zapach benzyny, owoców i kwiatów. Ten sam co dawniej smog zawisł nad drogą, wzgórza za miastem były tak samo zielone, a ziemia miała ten sam kolor intensywnej czerwieni, który sprawiał, że chciało się sięgnąć i przesytać ją między palcami... Kraj, który tak bardzo pokochała, że już nie mogła go opuścić. Okazało się, że nie jadą do Da Nang, ponieważ nastąpiły jakieś nowe okoliczności.

— Gdzie my w końcu jedziemy? — spytała Paxton.

Ralph zastanawiał się, jak jej to powiedzieć. Nie zdążył uprzedzić Paxton o zmianie planów i miał świadomość, że nie miał jej możliwości wyboru.

— Jedziemy dzisiaj do Cu Chi. — Zerknął nerwowo na zegarek. — Ale słuchaj... nie pali się, jeśli chcesz, możemy zawrócić. Tak się złożyło, że ja też nie byłem tam od sześciu miesięcy. Wczoraj zawiadomiono mnie, że warto przyjechać. — Jeśli nie czujesz się na siłach, Pax, zawrócimy.

— Nie trzeba. Czas, żebym stawiała czoło przeszłości.

Bill nie żył już od pół roku, a Peter od piętnastu miesięcy. Tutaj, w Wietnamie, śmierć była na porządku dziennym. Nie dało się uciec od miejsc, w których zginęli bliscy, nie dało się zapomnieć bolesnych wspomnień. Musiała dalej żyć i pracować.

— Dam radę. Wszystko będzie w porządku — powiedziała cicho. Doskonale pamiętała dzień ostatniej wizyty w bazie. Przyjechała zabrać osobiste drobiazgi po to, by żona Billa nie dowiedziała się o ich romansie. To wtedy miało miejsce sławetne spotkanie z Tonym Campobello. Wzięła głęboki oddech i łyknęła trochę Czarnej kawy. Spojrzała ponownie na Ralph.

— Nigdy nie uwierzysz, z kim rozmawiałam wczoraj na tarasie, po twoim wyjściu.

— Z Ho Chi Minhem. — zażartował. Cały czas przeżywał powrót Paxton do Sajgonu. W swoim czasie usilnie namawiał ją na wyjazd, ale teraz był uradowany. Zdecydowała się wrócić, ponieważ tak jak on nie mogła porzucić pracy, dopóki trwała wojna w Wietnamie.

— Widziałam Tony’ego Campobello — powiedziała. — No wiesz, sierżanta Billa. — Przez pięć miesięcy w Stanach nie rozmawiała z nikim o Billu, ponieważ nikt go nie znał.

— Tego szaleńca? I co ci zrobił? Wylał ci drinka na głowę? — Nie zapomniał awantury, którą sierżant urządził Paxton.

— Naprawdę nie uwierzysz — odparła. — Był uprzejmy. Trochę spięty i zdenerwowany, ale... — zawahała się — przeprosił mnie za tamto zachowanie.

Ralph obrzucił ją uważnym spojrzeniem.

— To dopiero. Gdyby wtedy próbował coś ci zrobić, byłbym go skopał. Byłem przekonany, że ten drań oszalał.

— Chyba wtedy wszyscy szaleliśmy z rozpaczy. — Jednak Campobello przekroczył dopuszczalne granice. Usprawiedliwiało go tylko to, że podobnie jak jego koledzy żył w ciągłym napięciu, bezustannie igrając ze śmiercią. Nie wytrzymywali tego. I kto mógł ich za to winić?

Wjechali do bazy główną bramą. Ralph zameldował wartownikom, że chce się widzieć z nowym dowódcą 25 Dywizji, Paxton poszła za nim. Dowódca okazał się sympatyczny. Wyjaśnił, że odkryli ostatnio całą sieć nowych tuneli, w których znajdował się prawdziwy arsenał, sektor mieszkalny, a nawet biura. Okazało się, że żołnierze w Cu Chi mieszkali nad podziemną wioską. Dowódca pokazał Paxton i Ralphowi zdjęcia i plany, a potem wezwał adiutanta, by oprowadził ich po okolicy. Gdyby mieli jeszcze jakieś pytania, mogli przed wyjazdem wpaść do niego. Gdy to mówił, nie spuszczał wzroku z Paxton. Nie znał jej, ale widział, że jest piekielnie ładną dziewczyną i że Ralph ma dużo szczęścia.

Paxton z bólem serca patrzyła na miejsce, gdzie mieszkał i służył Bill. Chyba przeceniła swoje siły. Ralph widział, jak zmieniła się na twarzy, i poczuł nagle wyrzuty sumienia. Nie powinien jej tu przywieźć.

— Przepraszam, Pax. Wyobraźnia mnie zawiodła.

— W porządku. — Poklepała go po ramieniu i poprawiła plecak. Miała w nim notes, zestaw pierwszej pomocy, jakieś herbatniki. Podobnie jak żołnierze nie rozstawała się też z kremem od słońca i płynem na owady. — Nic mi nie jest — powiedziała, ale było to kłamstwo.

Wysiedli z džipa. Paxton szła zamyślona, pogrążona we wspomnieniach o Billu, gdy nagle zderzyła się z kimś, kto o mało nie zwałił ją z nóg.

— Cholera — usłyszała znajomy głos. To był Tony Campobello, który podtrzymywał ją, by nie runęła jak długa.

— Cześć — rzuciła nieśmiało. Ralph rozmawiał z kimś, a fotograf majstrował przy aparacie.

— Nie chciałem cię przewrócić, przepraszam — powiedział, potem dodał z uśmiechem, który rozświetlił jego ciemne oczy. —

Często cię ostatnio spotykam. Dotarłaś bezpiecznie do pokoju tamtej nocy? Ledwie powłóczyłaś nogami. — Podobał się jej nowojorski akcent Tony’ego. Rozumiała, dlaczego Bill tak lubił swego sierżanta. Tony reagował zbyt nerwowo, ale nie można mu było odmówić inteligencji. Miał dobre serce, dbał o podkomendnych i autentycznie interesował się ich losem.

— Spałam dwadzieścia godzin — wyjaśniła. — Nawet nie zdjęłam ubrania.

— Dlatego teraz tak dobrze wyglądasz. — Uśmiechnął się, choć dostrzegł w jej oczach ból. Przyjazd do bazy musiał być dla niej przeżyciem. Jemu też nie było łatwo. Gdziekolwiek się ruszył, oczami duszy widział swojego kapitana. Otaczały ich duchy zabitych.

— A jak tam warzywa? — Odpowiedziała mu uśmiechem, rozpogadzając się na chwilę. Porozumieli się wzrokiem i przez ułamek sekundy Paxton odczuła szaloną chęć dotknięcia Tony’ego.

— Całkiem świeże. — Roześmiał się zaskoczony, że pamiętała szczegóły ich rozmowy. Znowu spoważniał. — Zupełnie jak snajperzy. Musimy przygotować się od strony wschodniej. Mieliliśmy tu niezły pasztet. Jeden z moich ludzi oberwał kilka godzin temu w rękę. Na szczęście nic poważnego. Od tego czasu jesteśmy w pogotowiu. Trzymaj się raczej z tyłu, gdy będziesz podchodzić do tuneli.

— Będę uważać, dzięki. — Ralph odwrócił się do niej z lekką irytacją w oczach. Upał dawał mu się we znaki. Słyszał, że Wietnamcy ostatnio nie siedzieli spokojnie. Nie był tym specjalnie zachwycony. Żałował, że wyciągnął Paxton na tak niebezpieczną wyprawę. Chciał po prostu dostarczyć jej nowych informacji i ułatwić rozpoczęcie pracy.

— Idziesz ze mną, Delta Delta, czy będziesz gadać cały dzień?

— Trzymaj nerwy na wodzy. Już idę.

— Trzymaj nisko głowę. Żółtki są blisko.

— Też to wiem. — Zerknęła na Tony’ego, a potem poszła za Ralphem. Została przedstawiona porucznikowi, który zajął miejsce Billa. Znowu poczuła bolesny skurcz serca, ale próbowała się skoncentrować na tym, co robili. Ralph wyjaśnił, co chcieli sfotografować, a Paxton nakreśliła główny wątek swojego artykułu. Dookoła przemieszczali się żołnierze. Panowało zamieszanie.

— Chryste, czy pomyślałbyś, gdy zamienili Żelazny Trójkąt zaraz za rzeką w parking, że to zrobią? — wymamrotał Ralph do jednego z żołnierzy, a ten tylko wzruszył ramionami. Wiedział już, że nie ma sposobu, by zatrzymać napór żółtków.

— Nie sposób się pozbyć tych skośnookich ludzików. Można ich spalić, odkopać i pozabijać, ale nie powstrzymasz tych pierdolonych żółtków. Mają chyba nadludzkie siły i ciągle nasyłają na nas swoich szpiegów.

— Tak — przytaknął Ralph. Paxton skulona podążała za Bertiem, który szedł przez wysoką trawę za grupą żołnierzy w kierunku polany. Chciał zrobić kilka ujęć wymiany ognia pomiędzy żołnierzami a snajperem, a potem zamierzał wrócić do tunelu. Paxton szła za nim, przeczuwając, że jest na tropie niezwyklej historii. Uklękła w zaroślach, gdy podszedł do niej radiotelegrafista.

— Dobrze się pani czuje?

W porządku.

— Czy jest pani pewna, że powinna się tu pani znajdować?

— Nie wiedziałam, że macie specjalne miejsca dla prasy.

Ledwie skończyła mówić, zaczęły gwizdać kule. Bez słowa padła płasko na ziemię obok radiotelegrafisty. Ich heimy stykały się, gdy oboje leżeli twarzami w pyle.

Przypomniała sobie, jak Bill uratował jej życie niemal w tym samym miejscu. Sytuacja okazała się bardziej niebezpieczna niż im się zdawało. Bertie dostał prosto w serce. Leżał tuż obok nich.

— O, cholera... — Nadaremnie szukali pulsu. Partyzanci znowu w pobliżu otworzyli ogień. Kilkunastu żołnierzy przebiegło obok nich, wymachując karabinami. Strzelali w miejsce, w którym, jak sądzili, ukrywało się dwóch snajperów.

— Zabierają swoją dupę — krzyknął radiotelegrafista. — Wracaj.

Ale gdy się tylko poruszyła, kule nadleciały z innego kierunku. Radiotelegrafista przykrył Paxton własnym ciałem. Wzywał pomocy. Najwyraźniej w zaroślach ukrywało się więcej niż dwóch snajperów.

— Matko Gąsko... Matko Gąsko... Wzywa Piotruś Pan... Przyślijcie posiłki ... Jesteśmy na polanie, strzelają do nas, trafili jednego z prasy, a ze mną jest Delta Delta... Uciszcie ich, wyprowadź ją stąd...

— Zrozumiałem, Piotrusiu Panie... Tu Matka Gąska... — To był radiotelegrafista z bazy. Wydano polecenie, żeby żołnierze próbowali wytropić snajperów, ale nie było to łatwe zadanie.

— Mamy dwa wyjścia — wyjaśnił radiotelegrafista. — Możemy pobiec z powrotem tą sarną drogą, którą przyszliliśmy, albo przed siebie między te drzewa. I ta droga jest krótsza. — Ale tam właśnie znajdowali się snajperzy Radiotelegrafista nie wiedział, co ma począć z Paxton. Nie chciał ponosić odpowiedzialności za jej ewentualną śmierć.

— Głosuję za drzewami — powiedziała spokojnie Paxton, gdy następna seria zryła ziemię kolo jej kolan. — Naprawdę myślę, że powinniśmy się zmywać.

Wyswobodziła się i odturlała na bok. Za sekundę rzuciła się do przodu, a on ruszył jej śladem. W tej samej chwili miejscem, gdzie przed chwilą leżeli, wstrząsnął wybuch granatu.

Wietnamcy zdecydowanie nie żartowali. Paxton właściwie nie myślała o niczym, gdy biegła przed siebie. Wreszcie dotarli do drzew. Paxton padła bez tchu na ziemię, a tuż za nią radiotelegrafista. W tym samym momencie M-60 otworzył ogień. Powietrzem wstrząsnęła olbrzymia eksplozja.

— Takie odgłosy wydaje „świnia” -. wyjaśnił radiotelegrafista, a potem nawiązał łączność z bazą.

— Tu Matka Gąska — odezwał się ktoś w bazie. — Piotrusiu Panie, gdzie, u diabła, jest ta twoja Delta Delta?

— Mam ją ze sobą. — Uśmiechnął się do Paxton, której nagle zachciało się śmiać. To było szaleństwo. O mało nie zginęła z rąk żołtków, a jej rodacy cały czas nazywali ją Dobrą Dupcią.

— Jakież obrażenia? — W głosie po drugiej stronie słyhać było niepokój.

— Wygiąda na to, że nie. — Radiotelegrafista starał się obejrzeć Paxton ze wszystkich stron i potwierdził swoje słowa. — Czy możecie nas stąd wyciągnąć?

— Próbujemy. Jest ich więcej, niż sądziliśmy. — W Cii Chi zawsze tak było. Chronił ich system tuneli. Bez względu na to, co by się nie zrobiło, żołtki podążały za tobą krok w krok i zawsze wydawały się być górą.

— Powinniśmy wydostać was stamtąd za kilka minut, Piotrusiu Panie. Trzymajcie się do tego czasu. — Powietrze przecięła następna seria, a Matka Gąska powiadomiła ich, że jeden ze snajperów został raniony i schwytyany. Radiotelegrafista kazał Paxton zostać na miejscu, a sam zamierzał pójść naprzód, żeby zobaczyć, czy będzie mógł im pomóc.

— Zaraz wracam. — Gdy odszedł, Paxton usłyszała za sobą strzały i zupełnie straciła orientację. Nie wiedziała, w którą stronę powinna iść. Nie pozostawało jej nic innego, jak tylko podążyć śladem radiotelegrafisty. Nagle, zanim zdążyła się zorientować, tkwiła w środku ognia. Obok niej leżało bezwładne ciało z ogromną raną zamiast pleców. Paxton z trudnością rozpoznała radiotelegrafistę. Początkowo była pewna, że nie żyje, ale spostrzegła, że ciągle jeszcze oddycha. Był nieprzytomny, podobnie jak dwaj inni żołnierze. Po chwili ogień umilkł, by znowu wzmóc się w innym miejscu. Ale Paxton nadal słyszała wybuchy granatów, strzały M-16 i M-60. Bez chwili namysłu chwyciła radio z rąk radiotelegrafisty. Odezwij się Matko Gąsko — mówiła wyraźnie do mikrofonu.

— Słyszę cię... Tu Matka Gąska... Kto mówi?

Zawahała się na mgnienie oka.

— Tu Delta Delta. Radiotelegrafista jest poważnie ranny. Mam tu też dwóch trafionych.

— Gdzie jesteś? — W głosie Matki Gąski brzmiała panika.

— Nie jestem pewna. Jesteśmy w zaroślach, a walka toczy się niedaleko od nas. Muszą tam być nie tylko snajperzy. Czy możecie nas stąd wydostać? — Jej głos był silny, ale ręce trzymające radio drżały. Jeden z rannych poruszył się i jęknął.

— Spróbujemy was wydostać, Delta Delta... Macie świecę dymną?

- Tak.

— Muszę wiedzieć dokładnie, gdzie jesteście, Delta Delta. Poczekaj chwilę. Nie rób nic, dopóki ci nie powiem. — Usłyszała, jak krzyczał do kogoś: — Przyprawdźcie mi porucznika. Mam tu kobietę z trzema rannymi, a nie wiemy, gdzie oni są, do diabła. Są tam gdzieś w krzakach. — Za sekundę przybiegł porucznik. Kilka minut później ktoś zawiadomił Ralpa. Stał teraz wraz z innymi, słuchając radia. Nadal próbowano uciszyć snajpera, ale ktoś widział więcej żółtków. Stało się jasne, że mają do czynienia z oddziałem armii północnowietnamskiej.

— Wspaniale — jęknął porucznik. — Właśnie tego było mi trzeba. Regularne wojsko z Hanoi i dziennikarka z San Francisco. — Na chwilę przyknuł oczy, zastanawiając się, co ma robić w tej sytuacji. Wyglądało, jakby się modlił.

— Czy możesz ją stamtąd wyciągnąć, Mack? — Ralph był przerażony.

— Na miłość boską, Ralph, próbuj. Nie wiem nawet, do cholery, co tam się dzieje i jak ona się tam dostała. Ale to zaczyna wyglądać na pieprzoną armię północnowietnamską.

— Na skraju bazy takiej jak ta? — Trudno było w to uwierzyć, ale tak to właśnie wyglądało. Wietnamcy się podkradali, zaskakiwali przeciwnika, podrzynali gardła, kradli broń. Wszędzie ich było pełno. Paxton mogła obserwować przebieg walki. Teraz obrzucano się granatami, a karabin maszynowy M-60 terkotał bez przerwy.

— Tu Matka Gąska — odezwał się radiotelegrafista z bazy. — Delta Delta, czy mnie słyszysz?

— Słyszę cię bardzo dobrze, Matko Gąsko. Czy możecie przysłać taksówkę?

Ralph potrząsnął głową, żałując, że wziął Paxton ze sobą do Cu Chi.

— Taksówka za chwilę do ciebie pojedzie. — Gdy tylko wypowiedział te słowa, odgłosy walki oddaliły się. Nareszcie zaświtała nadzieja na ratunek.

— Jak tam twoi ranni?

Sprawdziła stan rannych. Jeden z nich odzyskał przytomność, dwaj pozostali jeszcze oddychali.

— Mamy się dobrze, ale postarajcie się szybko przybyć.

— Daj nam dwie minuty. Śmigłowiec idzie do was. Masz swoją świecę dymną?

— Mam.

— Powiem ci, kiedy ją wystrzelić, Delta Delta. — W ciągu następnych minut walka przeniosła się w inne miejsce. W pewnej chwili Paxton usłyszała nad sobą warkot silnika i zobaczyła helikopter.

— Czy widzisz taksówkę, Delta Delta? — Głos radiotelegrafisty był spokojny. Paxton poczuła łzy pod powiekami. Jednak nie mogła się teraz rozklejać. Musiała pomóc przetransportować rannych.

— Widzę taksówkę, Matko Gąsko — potwierdziła.

— Wystrzel świecę, Delta Delta.

Po twarzy Ralpa spływały krople potu. Dobry Boże, nie pozwól tym dupkom jej zabić... W trakcie wymiany zdań z Paxton, radiotelegrafista z bazy rozmawiał także z żołnierzami w zaroślach oraz z oddziałem sanitarnym.

— Widzimy cię, Delta Delta. Zaraz cię stamtąd wydostaną. — Wszyscy stali i czekali na rozwój sytuacji, podczas gdy Paxton obserwowała helikopter lądujący dokładnie w miejscu, gdzie został trafiony Bertie. Widziała, jak lądują jego ciało do śmigłowca, a potem dwóch sanitariuszy z noszami biegnie w kierunku drzew, gdzie leżała z trzema rannymi.

— Dobrze się czujesz? — Rzucili na nią okiem, a ona kiwnęła głową. Szybko położyli pierwszego z rannych na nosze, a potem biegiem wrócili po następnych. Na końcu skinęli na nią. — Chodź, migiem... — Paxton pobiegła, otoczona pyłem, wzbijającym przez śmigło helikoptera. Załoga śmigłowca wciągnęła ją do środka. Natychmiast potem helikopter wzniósł się i szybko pokonał niewielką odległość, jaka dzieliła miejsce walki od szpitala polowego. Tam znajdowało się specjalne lądowisko. Grupa pielęgniarek i lekarzy już czekała.

— Tu Matka Gaska... Odezwij się Dwa Jeden Alfa Brawo, macie ją?

— Mamy — odpowiedział spokojnie pilot. — Wszystko w porządku. Jak tam sprawy na dole?

— Dobrze, jak na razie.

— Zbliżamy się, Matko Gasko.

Paxton kureczowo ścisnęła radio. Cała się trzęsła. Radio było spryskane krwią radiotelegrafisty, ale on sam miał się nie najgorzej. Paxton poczekała, aż sanitariusze wyładują rannych, a potem podziękowała jeszcze raz pilotowi i wygramoliła się z helikoptera. Ledwo stanęła na ziemi, gdy ktoś chwycił ją mocno i obrócił tak gwałtownie, że hejm spadł jej z głowy i złote włosy się rozsypały.

— Co, do cholery, tam robiłaś? Czy wiesz, że mogli cię zabić? Dlaczego, do diabła, tam polazałaś? Cały ten pieprzony teren jest zamknięty! — To krzyczał Tony Campobello. Wbił w nią spojrzenie czarnych, gorejących oczu. — Ciebie nie obowiązują zasady? Mogli

• cię zabić i wszystkich razem z tobą! — Nagle Paxton poczuła, że nie wytrzyma ani chwili ciliżej. Zrobił jej awanturę. Już raz ją obwiniał. Drugi raz już mu się to nie uda. Tym razem nie pozwoli się tak J potraktować.

— Nie pleć bzdur! — wrzasnęła. Jej zielone oczy ciskały błyskawice. — To nie moja wina. Nikt przeze mnie nie został ranny! Tani jest cała cholerna armia z Północy, jeśli chcesz wiedzieć. Jeśli twoi ludzie nie są wystarczająco sprytni, żeby trzymać żółtków z dala od tej zasranej bazy, to nie drzyj się na mnie! Przeszłam parę metrów dalej, niż powinnam, i zostałam ostrzelana!

— A czego, do cholery, się tu spodziewałaś? że podadzą ci herbatkę? Tu toczy się wojna! — Stali naprzeciw siebie i wrzeszczeli jedno na drugie. Ranni żołnierze już dawno zostali odtransportowani do budynku, a helikopter odleciał.

Nagle oczy Paxton wypełniły się łzami.

— Nie wyzywaj się na mnie! — wrzasnęła rozdygotana i wściekła. — To nie moja wina, że ci chłopcy zostali ranni!

— Nie, ale mogła być! — oznajmił podniesionym głosem Tony. W tym momencie Ralph z porucznikiem podjechali dżipem i obserwowali tych dwoje wrzeszczących na siebie i wymachujących pięściami. Ralph westchnął z irytacją.

Tony zamilkł na widok porucznika, Ralph patrzył na sierżanta nie skrywaną wrogością.

— Znowu zaczynasz? — warknął.

— Mogli ją tani ustrzelić — odparł tonem wyjaśnienia.

— Dzięki Bogu, nie zrobili tego — wtrącił porucznik. Wydawał się wstrząśnięty wydarzeniami tego ranka. — Trochę przedwcześnie zaprosiłem prasę do obejrzenia tego tunelu. — Bertie nie żył, Paxton ledwo uniknęła śmierci, a Ralph z poszarzałą twarzą przypatrywał się temu, co się stało.

Ralph spojrzał ostro na Paxton.

— Może powinniśmy być trochę bardziej rozważni. Co, na Boga, cię tam zawiodło?

— Sama nie wiem. Bertie powiedział, że zamierza zrobić kilka ujęć, a ja chciałam zobaczyć, co on robi. Po prostu poszłam za nim. Zaraz potem ktoś zaczął do mnie strzelać.

— Gdybyś nie wzięła radia, młoda damo, nadal byś tam leżała — stwierdził porucznik. — Nie straciłaś głowy i prawdopodobnie uratowałaś tych chłopców. — Paxton zerknęła gniewnie na Tony’ego, który nadal gotował się ze złości.

— Sierżant uważa, że niepotrzebnie ich narażałam.

Porucznik uśmiechnął się pod nosem.

— Tego nie powiedziałem — warknął Tony. — Mówiłem, że o mało nie zginęłaś.

— To jest już bliższe prawdy — stwierdził ugodowo Ralph. Tony i Paxton wsiedli do dżipa, nadal obrzucając się pełnym wściekłości wzrokiem. Ralph rozmawiał z porucznikiem na temat przewiezienia ciała Bertie’ego do Sajgonu. Angielski fotograf był ceniony i lubiany. Wszyscy odbiorą jego śmierć jako ogromną stratę. Ciężko było żyć ze świadomością, że odszedł następny człowiek.

— Chciałabym podziękować waszemu radiotelegrafście w ba- zje — poprosiła Paxton, gdy szykowali się do powrotu do miasta. Porucznik przedstawił ją łącznościowcowi. Łzy pojawiły się w jej oczach, gdy go zobaczyła.

— Dziękuję... — Zabrakło jej słów. Nie wiedziała, co powiedzieć. Ten człowiek uratował jej życie, utrzymując z nią łączność.

— Zawsze do usług, Delta Delta — odparł, charakterystycznie przeciągając samogłoski. Pochodził z Południa. — Przykro nam, że wdepnęłaś w takie miejsce.

— Ale ty mnie wyciągnąłeś. To jest najważniejsze. — Już wiedziała, że pozostali ranni mają się dobrze. Tylko Bertie stracił życie. Ralph bardzo to przeżywał. Był ciągle wściekły na Tony’ego. Wyładował się, krzycząc na Paxton. Dla nich wszystkich był to bardzo ciężki dzień. Wyjeżdżali z niczym, bez materiałów, po które przyjechali. Ralph oznajmił, że wróci innego dnia.

— Co z wami? Zawsze kiedy widzę was razem, wrzeszczycie na siebie jak szaleńcy. — Złością starał się pokryć przerażenie. Bał się o Paxton. Teraz musiał rozładować emocje.

— Oskarżył mnie o to, że przez nieostrożność mogłam narazić żołnierzy na śmierć.

— Sama mogłaś zginąć, co jest jeszcze gorsze. Znalazłaś się tu, żeby pisać o wojnie, a nie po to, by dać się zabić. Nie wiem, co go gnębi, ale myślę, że jest niespełna rozumu.

— Bo jest — potwierdziła z jadowitym spojrzeniem. Była brudna i umazana krwią tak jak wtedy, gdy po raz pierwszy gościła w bazie i poznała Billa. Po co tu wróciła? Nie kierowała się ani kaprysem, ani sympatią do tego piekielnego miejsca, lecz poczuciem obowiązku. Ale w stosunku do kogo? Do siebie samej? Do ojczyzny? Do gazety, dla której pracowała? Czy może w stosunku do Ralpha, Petera, Billa? To było interesujące pytanie. Pokonywali drogę do Sajgonu w milczeniu. To był pechowy dzień. Nawet dla Tony’ego, który poszedł na długi spacer, złościąc się w duchu na samego siebie i próbując określić swoje uczucia do Paxton.

Rozdział XXI

Następnego dnia Ralph był nadal zły na Paxton. Spotkali się w biurze prasowym. Jednak kiedy zabrała go na lunch, po kilku drinkach złagodniał.

— Ty ofermo, sądziłem, że zarobiłaś, gdy tak leżałaś w zaroślach. Bałem się, że żółtki cię stamtąd wyciągną. Oczami duszy widziałem artykuł o tobie i twojej bohaterskiej śmierci.

— Ja też — przyznała, popijając caf sua. Była to mocna kawa ze słodkim skondensowanym mlekiem z puszki. Rok temu uważała, że to wyjątkowo obrzydliwa postać kawy. Teraz tylko taką piła.

— Bałaś się? — zapytał przyciszonym głosem. Paxton się uśmiechnęła.

— Potem tak. Ale w trakcie... Sama nie wiem... Na chwilę wpadłam w panikę, zastanawiałam się, co się stanie, gdy mnie stamtąd wyciągną Wietnamcy. To mnie naprawdę przerażało. — Dziennikarze bywali brani do niewoli, ale zazwyczaj wypuszczano ich po niedługim czasie, zaopatrzonych w materiały propagandowe. Zawsze istniała możliwość, że następnym razem nie będą tak przyjaźnie nastawieni. Opowieści o okrucieństwie Wietnamczyków i stosowanych przez nich torturach przeszły już do legendy.

— W zasadzie myślałam tylko o tym, żeby wydostać rannych, zanim umrą.

Ralph pokiwał głową i zamyślił się.

— Biedny Bertie.

— Czy był żonaty? — Paxton nie znała fotografa zbyt dobrze, chociaż zawsze bardzo go lubiła.

— Nie. Ale miał tu dziewczynę. Chyba z Cholonu. Oprócz niej nie miał nikogo. Ani żony, ani dzieci. Dzwoniłem do ambasady. Jutro odeślą jego ciało do Londynu. — Przytaknęła, myśląc o dniu, w którym ciało Billa zostało odesłane Debbie. Ralph popatrzył zmęczonym wzrokiem.

— Czy nie masz już tego dość? To znaczy, śmierci? Czasami zastanawiam się, jak bym się czuł w kraju, w którym ludzie umierają z powodu podeszłego wieku, chorób czy giną w wypadku. — Paxton doskonale rozumiała, co miał na myśli. Nie można było przywyknąć do śmierci, oswoić jej. Za każdym razem była czymś ostatecznym. Jednak żadne z nich nie było w stanie wyjechać. Nie mogli zostawić nie dokończonych Spraw.

— Tak. Zaczynam mieć tego dosyć. Wszyscy mamy dosyć.

— I to mnie czasami martwi... — powiedział szczerze. Po trzecim drinku był na rauszu, co zwykle się nie zdarzało. Paxton rzadko widywała go pijanego. Musiał być wykończony.

— Myślę o France, która urodzi nasze dziecko. To jest fatalne miejsce na wychowywanie dzieci.

— Możesz zabrać ich do domu — zauważyła Paxton, chociaż sama nie była pewna, czy rzeczywiście zdobyłby się na to. Tkwił już w Wietnamie długo. Czy byłby w stanie żyć gdzie indziej? Takie rzeczy się zdarzały. Głównie w wypadku korespondentów wojennych. Byli skażeni wojną, jej okrucieństwem, jej bezwzględnością. Paxton zastanawiała się czasami, czy Ralph nie przekroczył już pewnej granicy.

— France nie chce jechać ze mną do Stanów. Woli zostać tutaj. Przekonała się na własnej skórze, jaki jest stosunek Amerykanów do Wietnamczyków. Była żoną amerykańskiego żołnierza. Armia traktowała ją jak szmatę, a jego rodzina ziała nienawiścią. France jest pewna, że jeśli wróci ze mną do Stanów, ludzie będą rzucać w nią kamieniami na ulicy. I wiesz co, Pax? Nie dałbym głowy, że tak by się nie stało. Nie jestem wcale pewien, czy mam prawo ją stąd zabierać. Gdybyśmy mieszkali w Stanach, tyle rzeczy mógłbym zrobić dla Ana. Tutaj jestem szczęśliwy, gdy udaje mi się zapewnić mu bezpieczeństwo i wystarczającą ilość pożywienia. — An był jeszcze małym dzieckiem, ale Paxton wiedziała, że nawet pięciolatki trudniły się ulicznym handlem heroiną. Oczywiście An był otoczony opieką. France posłała chłopca do francuskiego przedszkola, które kiedyś było bardzo elitarne. Jednak żyli w ginącym świecie i właśnie na ten świat miało przyjść ich dziecko.

— A jak ona się czuje? zapytała Paxton.

— Grubo. — Zaśmiał się. — Jest słodka. — Ralph był podekscytowany. Po raz pierwszy miał zostać ojcem. Przed przyjaciółmi udawał obojętność, ale się cieszył.

Po lunchu Ralph wrócił do biura, a Paxton poszła do hotelu Catinat na Nguyen Hue, żeby popływać w basenie. Potem wróciła do Carayelle z zamiarem napisania artykułu. Szła przez hol, zatopiona w myślach. Podskoczyła, gdyż ktoś dotknął jej ramienia. Ze zdumieniem podniosła wzrok i zobaczyła Tony'ego Campobeflo.

— Ja... — urwała. Zastanawiała się, czy sierżant znowu zacznie na nią wrzeszczeć. To była chyba jego ulubiona forma wypowiedzi. — Co cię tu sprowadza?

Szkarłatny rumieniec wypłynął mu na policzki. Wolał z nią rozmawiać, gdy miała na sobie podkoszulek, wojskowe spodnie i wysokie buty, a wspaniałe złote włosy przykrywał hełm. Teraz wyglądała pięknie i bardzo kobieco. Poczuł się nieswojo. Żałował, że w ogóle tu przyszedł.

— Jestem ci winien przeprosiny. — Ciemne oczy patrzyły prosząco. Przez moment wyglądał jak mały chłopiec. — Nie powinienem był tak na ciebie krzyczeć. Ja... Ja bardzo się o ciebie bałem. Poczuję ulgę, gdy okazało się, że nic ci nie jest... Wróciły wspomnienia. — Ciągle opłakiwał swego kapitana. Był pewien, że ona też nadal bolała nad śmiercią Billa. Tony nie zwykł skrywać swoich uczuć. — Dla ciebie też to musiało być trudne.

Przytaknęła, ujęta szczerością sierżanta. Dzięki temu łatwiej było z nim rozmawiać.

— Nie wiedziałam nawet, dokąd jedziemy. Zgodziłam się na kolejną wyprawę, w poszukiwaniu materiałów do artykułu. Dopiero w drodze Ralph poinformował mnie, że zmierzamy do waszej bazy. Myślałam jedynie o... — Łzy napłynęły jej do oczu. Potrząsnęła głową i odwróciła wzrok. Potem znowu popatrzyła na Tony'ego. — Może miałaś wtedy rację. Trzeba uważać i kontrolować sytuację, inaczej narażasz siebie i innych...

— Nie, to nieprawda. To nie dlatego zginął Bill. Chciałem ciebie obarczyć winą, ponieważ miałem dość obwiniania żołdków. — Westchnął. — Bill nie powinien był schodzić do tego tunelu i wiedział o tym, ale przywykł brać za wszystko odpowiedzialność. Przed tym dopisywało mu szczęście. Wczoraj znalazłaś się w samym środku walk. Wszedłaś prosto na oddział Wietnamców. Prędzej czy później i tak ktoś by to zrobił. Poradziliśmy sobie zupełnie dobrze, biorąc pod uwagę sytuację. Obawiałem się, że cię dostaną, i myśl o tym doprowadzała mnie do szaleństwa.

— Dziękuję za troskę — powiedziała z lekkim uśmiechem. Dopiero po wszystkim zrozumiałam, że byłam przerażona. Przedtem, gdy tkwiłam pod ostrzałem i leżałam obok rannych, nie zdawałam sobie z tego sprawy.

— Mało brakowało — zauważył Tony. Rozmawiał z porucznikiem i obaj doszli do wniosku, że sytuacja mogła okazać się bardzo poważna. — Na dwoje babka wróżyła. — Niedobrze mu się robiło, gdy o tym pomyślał.

— Miałam szczęście. Właśnie szłam na górę, do pokoju, żeby O tym napisać.

— Och. — Wyglądał na rozczarowanego. — Musiałem odebrać jakieś papiery w MacVee i pomyślałem, że może... to znaczy... Nie wiedziałem... Pewnie nie miałabyś ochoty pójść gdzieś na kawę? — Paxton wahała się przez chwilę, niepewna, czego mógł chcieć od niej. Może wspólne wypicie kawy ułatwi zawarcie pokoju? Przypuszczała, że w innych, mniej ekstremalnych warunkach potrafił być miły i kulturalny.

— Oczywiście. Artykuł mogę napisać później. — Wylądowali w kafejce ulicznej przy Tu Do. Usiedli w pierwszym rzędzie stolików.

— Ralph twierdzi, że zawsze na siebie krzyczymy — powiedziała z uśmiechem, sącząc swoją ihom xay. Tony roześmiał się, słysząc te słowa.

— Tak. To prawda, czyż nie? — Zrobił zakłopotaną minę. — To chyba moja wina.

— Rzeczywiście masz rację — przyznała z uśmiechem.

— Nic nie mogę na to poradzić. To mój włoski temperament.

— Och tak. — Roześmiała się. — Ralph uważa, że oboje jesteśmy niespełna rozumu.

— Niewykluczone. — Wyszczерzył zęby w uśmiechu. Było mu z nim do twarzy. Wyglądał przystojnie.

- To wpływ wojny.

— To diagnoza czy ostrzeżenie?

— I jedno, i drugie.

— Jesteś żonaty? — zapytała niezobowiązującym tonem. W jasnym świetle dnia trafnie odgadła jego wiek. Był siedem lat od niej starszy. Dobiegał trzydziestki.

— Nie. — Potrząsnął głową. — Byłem. Rozwiodłem się, zanim tu przyjechałem. Tak naprawdę... — Westchnął. Nagle nabrał ochoty na zwierzenia. — Głównie dlatego tu przyjechałem. Pobraliśmy się, gdy mieliśmy po osiemnaście lat. Chodziliśmy ze sobą w szkole średniej. Zaraz potem urodziła się nam córeczka. To znaczy rok później. Nie braliśmy ślubu z powodu ciąży. — Chciał dokładnie opisać swoją ówczesną sytuację. — Nasza córeczka umarła na białaczkę. To było straszne. Nie byliśmy przygotowani na taki cios. Miała dopiero dwa latka. Jak mogła umrzeć? Jak Bóg mógł nam coś takiego zrobić? — Popatrzył w bok, przybity przywołanym wspomnieniem. Paxton obserwowała go uważnie. Potem urodził się nam synek. — Oczy mu się rozjaśniły. — To wspaniały dzieciak. Nazywa się Joey. Joe. Daliśmy mu imię po moim ojcu. I żeby było śmieszniej, wygiąda dokładnie jak on. Wzruszona Paxton słuchała dalej. Jest wspaniały. — Kiedy miał dwa lata, Barbara, moja żona, oznajmiła mi, że chce rozwodu. — Twarz mu się zachmurzyła. — Po siedmiu latach małżeństwa! — Patrzył wprost na Paxton. — Sam nie wiedziałem, kogo chcę zabić, siebie czy ją.

— Co się stało? Czy po prostu jej się znudziło?

— Nie — a raczej tak. Ja się jej znudziłem. Zakochała się w moim bracie, dwa lata ode mnie starszym. Zawsze był chlubą rodziny. Wspaniały Tommy. Fantastyczny Tommy. Tommy dobrze się uczył, a ja urabiałem sobie ręce do łokci, by pomóc ojcu. Tommy został księgowym i rozpoczął pracę w biurze. Potem zaczął studiować prawo. Zrobił dyplom. W każdym razie, opuściła mnie i wyszła za niego za męża. Co miałam robić? Joey przepada za Tommym, więc jak mu wyjaśnić, że jego wujek jest teraz jego tatusiem, a jego mamusia to cholerna dziwka. Rodzice uprzedzili, żebym nie robił wokół tego szumu, bo zniszczyłoby to naszą rodzinę. — Machnął ręką. — Od tego czasu nie byłem w domu. — Dłuższą chwilę obserwował ruch uliczny.

— Nie widziałeś Joeya? — Wyglądała na zaskoczoną tym, że się jej zwierzył.

Tony potrząsnął głową i spojrzał na nią.

— Nie. Co mógłbym mu powiedzieć? Że nienawidzę jego matki?

— A nienawidzisz? — spytała.

— Teraz już sam nie wiem. Kiedy chciałem ją zabić. Nie uczyniłem tego i przyjechałem zabijać Wietnamców. Sam nie wiem, czy jeszcze jestem na nią wściekły. Może postąpiła słusznie. Mają troje dzieci, ona jest szczęśliwa, Joey wygiąda dobrze i przepada za Tommym. Mówiąc szczerze czasami nie mogę sobie przypomnieć, jak ona wygiąda.

— Tak to bywa z nienawiścią — stwierdziła cicho Paxton. — Zaczynasz kogoś nienawidzić, a potem nagle zapominasz, skąd to się wzięło.

— Jesteś interesującą kobietą — powiedział Tony. — Doszedłem do takiego wniosku już po twoim wyjeździe. Moja żona nie zdobyłaby się na taki gest jak ty. Nie miała żadnych skrupułów, sypiając z moim bratem. Ty chciałaś oszczędzić Debbie, chociaż nawet jej nie znałaś.

— Zrobiłam to dla niego. Również dla jego dzieci.

— Bardzo go kochałaś, prawda?

— Tak. Dlaczego mnie tak tępiłeś?

— Nie wiem... Chyba się ciebie bałem. Byłem przekonany, że przez ciebie stał się nieostrożny. To przydarzało się innym facetom. Byłem świadkiem, jak ginęli, ponieważ mieli

głowę zaprzątniętą jakąś dziwką. Teraz mogę szczerze powiedzieć, że on nie był taki. Może to mnie po prostu drażniło? Może byłem zazdrosny?

— Dużo o tobie myślał — powiedziała Tony’eniu. Był to jakby ostatni dar od Billa.

— A ciebie bardzo kochał — odpowiedział cicho Tony. — Widziałem to w jego oczach, kiedy mówił o tobie. Sądzisz, że w końcu porzuciłby żonę? — Nie mógł powstrzymać się od zadania tego pytania. Dużo się nad tym zastanawiał, tak samo jak Paxton.

— Pewnie nie — odparła szczerze, mieszając drinka. — Nie potrafiliby zostawić dzieci. Tutaj ucieka się w miłość, bo tak jest

łatwiej żyć. Jednak jest to miłość bez przyszłości, obowiązków, konsekwencji. W obliczu niebezpieczeństw, śmierci marzysz tylko o tym, żeby przeżyć, spędzić z ukochanym weekend w yung Tau.

Pod pewnym względem to bardzo proste. — Było dużo prawdy w tym, co mówiła. Tony zdawał sobie z tego sprawę.

— Na jak długo przyjechałaś tym razem? — zapytał. Im więcej się o niej dowiadywał, tym bardziej go interesowała i pociągała. Drażniła go swoją niezależnością, odwagą, a zarazem ujmowała go jej uczciwość i dobroć.

— Póki wytrzymam. — Uśmiechnęła się. — I jak długo będą drukować moje wypociny.

— Słyszałem, że masz dobre pióro.

— Nie wiem. — Wzruszyła ramionami. — Uwielbiam pisać.

Tony się roześmiał.

— Ja nie cierpię nawet pisania listów. Pisuję do Joeya, ale ciężko mi idzie. Już tak długo go nie widziałem.

— Nie powinieneś pojechać i zobaczyć się z nim któregoś dnia?

— Może — odparł. Bał się tego spotkania. — A może powinienem zostawić go w spokoju. Co mógłbym mu zaoferować? Tommy naprawdę dobrze sobie radzi. Wszyscy myślą, że to jego syn, ponieważ Joey nosi to samo nazwisko. Na co jestem mu potrzebny?

— Nadal jesteś jego ojcem. Jak on cię nazywa w listach?

Głos Tony’ego był zduszony, gdy odpowiedział.

— Tato. — A potem, po dłuższej chwili dodał: — Może po tej turze pojedę się z nim zobaczyć.

Paxton pokiwała głową z aprobatą.

— A co się stało z rodzinnym interesem? Z warzywami? - Uśmiechnęła się.

— W zeszłym roku zmarł mój ojciec i matka sprzedała firmę. Dobrze zrobiła. Tommy się opiekuje matką. Podzieliła pieniądze ze sprzedaży pomiędzy mnie i brata. Gdy wyjdę z tego żywy, będę mógł coś z nimi zrobić. Jeszcze nie wiem co. Marzyłem o osiedleniu się w Kalifornii. Może kupię farmę albo winnicę w Napa Valley. Chciałbym mieć kontakt z ziemią... — Mówił teraz z błyszczącymi oczami. — Jedyne rzecz, jaka naprawdę podoba mi się w tym kraju, to wilgotna, czerwona ziemia i soczysta zieleń. — Uśmiechnął się do Paxton, czując się trochę głupio. — Chyba w głębi serca jestem nadal farmerem. Może Joey chciałby przyjechać do mnie pewnego dnia, gdybym kupił kawałek ziemi.

— Jestem pewna, że chciałby. — Paxton zastanawiała się, co Tony uczyni ze swym życiem po powrocie do kraju. Jasne było, że nie będzie to dla niego łatwe. Historia z Joeyem była wzruszająca.

— Byłaś kiedyś mężatką, Paxton? — Uznał, że zwierzenia upoważniają go do pytania o szczegóły jej życia.

— Nie, nie byłam.

— Ile masz lat?

— Dwadzieścia trzy. Przyjechałam tu zaraz po college’u.

— Dlaczego? — Paxton opowiedziała Tony’emu o Peterze i Gabby, o swojej matce i George’u. O tym, jak obco czuła się w Stanach, gdy wróciła z Wietnamu.

— Nie wiem, co będę robiła w Stanach. Wiem natomiast, że nie mogę jeszcze tam wrócić.

— Uważaj. — Odchylił się w krzesło, wdychając zapachy Sajgonu. — To miejsce wciąga. Przyjrzyj się niektórym żołnierzom. Dali się złapać na haczyk. — W ostatnich czasach było ich coraz więcej. — To ludzie tacy jak my. Rozumiała, co miał na myśli, ale na razie nie umiała rozwiązać tego problemu.

— Chyba musimy zostać tu tak długo, aż będziemy mieli do- syć — powiedziała, myśląc także o Ralphie.

— Tak. — Tony przytaknął. — Chyba że zginiemy. Jest również taka możliwość. Wczoraj przekonałaś się o tym na własnej skórze.

— A ty nie? Tysiące razy musiałeś ocierać się o śmierć. Zaczynam myśleć, że liczy się jedynie fart. — Rzeczywiście tak było. Ilu chłopaków ginęło ostatniego dnia służby, tuż przed wyjazdem do domu? Wielu.

— Może mam po prostu fart. — Wzruszył ramionami. — Przynajmniej jak na razie. Nigdy bym się o to nie podejrzewał. — Miał na myśli swoją żonę. Potem wyjął zdjęcie Joeya z portfela i pokazał je Paxton. — Wtedy miał sześć lat, teraz ma siedem.

Paxton uśmiechnęła się, oglądając zdjęcie.

— Skóra zdarta z ojca.

— Biedny dzieciak. — Tony się roześmiał. Nosił również zdjęcie Barbary, ale rzadko je wyciągał. Po przyjeździe do Wietnamu spotykał się z różnymi kobietami. Pielęgniarkami, dziewczynami ze służby pomocniczej, a kilka razy z Wietnanikami z okolic Cii Chi. Dwa lata temu, gdy oczyszczali Ben Suc, spotkał piękną dziewczynę. Nie potrafił się zakochać. Zapomniał, co to miłość. Pewnego dnia ujrzał ją w oczach Billa Quinna.

Wolno wrócili do hotelu na Tu Do, wsłuchując się w odgłosy ulicy, pokrzykiwania ludzi, zawodzenie klaksonów, stukot rikszy, dzwonki rowerów. Kiedy znaleźli się u celu, Tony odwrócił się do Paxton z poważnym spojrzeniem.

— Dziękuję ci za spędzenie ze mną tego popołudnia. Jestem zaskoczony, że się zgodziłaś. Zachowywałem się w stosunku do ciebie jak cholerny dupek. — Roześmiała się, słysząc te szczerze słowa i potrząsnęła głową.

— Nie bądź głupi.

Tony chciał jej powiedzieć, że jest piękna, na wypadek gdyby nie ujrzał jej więcej, ale się nie odważył. Zamiast tego zdenerwowany spytał: — Czy chciałabyś zjeść ze mną kolację? Przez chwilę patrzyła zaskoczona, a potem skinęła głową. Nie mogła go rozgryźć. Może potrzebował przyjaciela?

— Oczywiście... Bardzo chętnie..

- Zadzwoń.

— Dziękuję, Tony. — Uścisnęła mu rękę i poszła na górę pisać artykuł o tym, co się wydarzyło w bazie Cii Chi. Gdy skończyła, długo jeszcze siedziała wpatrzona w przestrzeń, myśląc o małym chłopcu, którego ojciec zostawił przed pięciu laty, żeby przyjechać do Wietnamu. Nie wiedziała czemu, ale bardzo polubiła Joeya.

Rozdział XXII

r-r— ony zadzwonił następnego tygodnia, kiedy

ponownie

J I pojawił się w Sajgonie. Nie było jej wtedy w mieście, ponieważ wyjechała z Ralphem i innymi zebrać materiały do kolejnego artykułu, ale po powrocie zadzwoniła

J J pod numer, który zostawił. Zatrzymał się z przyjaciółmi

LQX w bazie Tan Son Nhut. Zapytał się, czy Paxton będzie chciała zjeść z nim kolację i może potem pójść do kina. Bardzo spodobał się jej ten pomysł. Już dawno nie była w kinie. Tony przyjechał po nią o siódmej. Miała więc czas tylko na to, żeby wziąć prysznic, umyć włosy i przebrać się. Wybrali restaurację „Ramuntcho”, która mieściła się na parterze Eden Building.

Była to dobra francuska restauracja, często odwiedzana przez amerykańskich żołnierzy. Nikt więc nie zwracał na nich najmniejszej uwagi, gdy rozmawiali, śmiali się i żartowali. Tony z humorem opowiadał najrozmaitsze historyjki o armii, czym doprowadzał ją do ataków śmiechu.

— Więc czemu, u diabła, ciągle się na nowo zaciągasz? — zapytała.

— Nie mam nic lepszego do roboty. Zrobiłem wieczorowo dwa lata college’u, mówię płynnie po hiszpańsku, a kiedyś całkiem nieźle zmieniałem pieluszki. Mam silne skłonności przywódcze i dlatego już cztery i pół roku jestem szturem tunelowym. Co innego miałbym robić w Stanach? Pracować w kanałach Nowego Jorku?

— A co z twoją farmą czy też winnicą w Napa Valley?

— Mam na to mnóstwo czasu. Oprócz tego — wyznał — nie cierpię zostawiać zaczętej roboty. — Jednak opuścił swojego syna. Ale wtedy miał dwadzieścia pięć lat i czuł się kompletnie bezradny. — A co z tobą? — zapytał. — Kim zostaniesz, kiedy podrośniesz?

— Dorotą w „Czarodzieju z Oz” — odpowiedziała bez chwili wahania. — Chciałabym mieć czerwone buty.

— Teraz wiem, dlaczego cię lubię. — Uśmiechnął się. — Jesteś szalona. — Znowu spoważniał. — Będziesz nadal pracować w gazecie, gdy wrócisz?

— Chyba tak. Zawsze chciałam być dziennikarką i naprawdę bardzo lubię swój zawód.

— Masz szczęście. To także bezpieczny sposób zarabiania na życie. — A potem nagle oboje wybuchnęli śmiechem, przypomniawszy sobie, co spotkało ją w Cu Chi. — Nie, odwołuję, co powiedziałem. Przy okazji, nad czym pracowałaś w tym tygodniu? — Opowiedziała mu o sposobach zbierania materiałów do korespondencji, o wyprawach w teren, w pobliże frontu. Nie bała się ubrudzić, wystawić na niebezpieczeństwo ani zobaczyć z bliska grozy wojny. Poczul dla niej szacunek.

W końcu zrezygnowali z kina. Zdecydowali się posiedzieć na tarasie „Carayelle”. Przegadali cały wieczór.

— Wydaje mi się, że znam cię całe życie — wyznał Tony, żegnając się z Paxton. Była otwarta i serdeczna, szcera i życzliwa.

— Mnie też — przyznała się. — Zazwyczaj tak nie jest. — Paxton opowiedziała mu nawet o tym, jak niezręcznie czuła się w obecności swojej matki.

— Od dzieciństwa nie miałem przyjaciela. — Roześmiał się szczęśliwy. — Wiesz, takiego prawdziwego kumpla, któremu możesz wszystko powiedzieć. — Do pewnego momentu Barbara była jego przyjacielem, ale to się już dawno skończyło.

— Kiedy znowu będziesz w Sajgonie? — zapytała, kiedy stali w holu hotelu. Minęła druga w nocy.

— Nie wiem jeszcze. Zadzwoń. — Zawahał się, a potem wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia.

Zadzwoił dwa dni później. Kupił od kogoś przepustkę i ponownie zaprosił ją do kina, do bazy Tan Son Nhut. Byli już niedaleko, ale ktoś wysadził samochód na środku jezdni i powstał ogromny korek. W końcu więc zawrócili w stronę Sajgonu.

— Co chcesz teraz robić? Pójdziemy może do „Radio City Muzie Hall”? A może na hamburgera i koktajl mleczny do „Schraffa”?

— Nie — jęknęła. — Zaczynam tęsknić za domem.

— A może potańczymy w „Pink Nightclub”?

— Pojedźmy do ciebie, obejrzymy telewizję i pochrupmy prażoną kukurydzę — drażniła się z nim.

— Do diabła z tym. Wracajmy do twojego hotelu i pogadajmy. — Tak też się stało. Gdy rozstawał się z nią w holu, pociągnął ją w ciemny zakątek i pocałował. Poglaskał Paxton po włosach i dotknął jedwabistej skóry na ramionach.

— To się staje trudne — powiedział zduszonym głosem, poprawiając spodnie. Paxton musiała się roześmiać.

— Jesteś niemożliwy.

— Jestem niezwykle możliwy, zapewniam cię. Chcesz mnie sprawdzić? — wyszeptał, wtulony ustami w jej szyję. Paxton zachichotała.

— Nie powinienesz mnie rozśmieszać w takim momencie — wyszeptała, a on pocałował ją gwałtownie.

— Wybacz mi... — A potem usłyszała: — Chodźmy na górę, Paxxie...

— Boję się... — odszepnęła.

— Nie bój się — poprosił, a jednak była przerażona. Każdy, kogo kochała, umierał. Co będzie, jeśli jego też to spotka? Próbowała mu to wyjaśnić. Tony popatrzył na nią i delikatnie odgarnął jej z twarzy miękkie, błyszczące włosy.

— Nie mamy na nic wpływu, Pax. Wszystko jest zapisane w gwiazdach, pozostaje w rękach Boga. Peterowi i Billowi pisany był taki los. To, co się ze mną stanie, też nie zależy od ciebie. Musimy po prostu brać to, co niesie życie. I kochać się, być ze sobą, jak długo się da. Paxton, nie możesz się ukrywać przez resztę swego życia.

— Czuję się tak, jakbym ich zabiła — powiedziała ze łzami w oczach, a on nagle zniechęcił się do niej, co jej kiedyś wykrzyczał.

— Nie zabiłaś nikogo i wiesz o tym... Po prostu się boisz. — Objął ją ramionami i mocno przytulił do siebie. — Ale, kochanie, nie bój się. Nigdy nikogo nie kochałem tak jak ciebie... Nie uciekaj przede mną, proszę... — A potem spojrzął na nią i odważył się to powiedzieć. — Kochanie, potrzebuję cię. — Potrzebowali się nawzajem, oni wszyscy kogoś potrzebowali. Nie można było sprostać brutalności świata, w którym żyli, bez pomocy kogoś bliskiego, życzliwego.

Gdy stanęli przed drzwiami jej pokoju, przygarnął ją do siebie i długo nie odrywał ust od jej warg, a potem spojrzął jej w oczy z łagodnym uśmiechem.

— Cokolwiek się nam przydarzy, Paxton... Cokolwiek postanowisz... Zawsze będę cię kochał. — Powiedziawszy to, szybko zszedł na dół, a ona patrzyła w ślad za nim.

Rozdział XXIII

Następnego tygodnia Paxton dostała telegram z San Francisco. Wilsonowie donosili, że Gabby urodziła córeczkę, Mathildę. Matka i dziecko czują się

znakomicie. Paxton była szczęśliwa, że rodzina Wilsonów ma się dobrze. Miała świadomość, że bardzo od nich odstała, wciągnięta w wir życia w Sajgonie. Przez cały tydzień do biura prasowego napływały dalekopisy informujące

o koncercie w Woodstock, który zgromadził tłumy młodzieży z całej Ameryki i przerodził się w manifestację antywojenną.

Paxton znowu spotkała się z Tonym. Tym razem dotarli do kina, żeby zobaczyć „Producentów”. Bardzo im się ten film podobał. Obejrzeliby także specjalne wydanie kroniki filmowej, w której pokazano pierwszego człowieka stąpającego po Księżycu. To epokowe wydarzenie miało miejsce kilka tygodni wcześniej. Zrobiło na nich, szczególnie na Tonym, ogromne wrażenie. Po filmie poszli na hamburgera i koktajl mleczny i rozmawiali o swoim dzieciństwie. Różniły się od siebie jak dzień i noc. Gdy Paxton usiłowała wyjaśnić, kim były Córy Wojny Domowej, Tony nie bardzo rozumiał.

— Paxton, proszę... Nie mów, że ludzie jeszcze obchodzą takie rzeczy. Wojna Domowa? Nie wierzę w to.

Opowiedziała mu o ojcu, o czasie, który z nim spędzała, o ukochanych sobotnich porankach w jego biurze. Tony zrewanżował się opowieścią o pracy w firmie ojca, w Bronxie, o powolnym stawaniu rodziny na nogi i wreszcie osiągnięciu przez nią umiarkowanego dobrobytu. Chętnie pomagał ojcu. Dzięki temu czuł się dorosłym mężczyzną, mimo że był jeszcze chłopcem. Wrócił też pamięcią do urodzin córeczki, która zachorowała i umarła. Opisał Paxton przyjście na świat Joeya, na szczęście zdrowego i silnego.

— Nie wiesz, jak to jest — mówił z błyszczącymi radością oczami. — To najwspanialsze uczucie na świecie..., posiadanie dzieci. — A potem, jakby coś nagle przyszło mu do głowy.

— Chcesz mieć kiedyś dzieci, Pax?

— Chyba tak. Jeszcze się nad tym nie zastanawiałam. Chociaż nie, to nieprawda. — Kiedy planowaliśmy z Peterem wspólną przyszłość, było tam miejsce na dzieci. W przypadku Billa było inaczej. Sądziłam, że nie będzie mógł się ze mną ożenić. Jakoś nie potrafię nawiązać kontaktu z dziećmi.

— Jest inaczej, gdy ma się własne — zapewnił Tony. — To zupełnie coś innego. To cud... Trudno to opisać. Masz świadomość, że to dziecko zawsze będzie częścią ciebie.

Popatrzyła na niego z czułością.

— Czy to właśnie czujesz w stosunku do Joeya?

Zastanowił się chwilę i pokiwał głową.

— Tak, dokładnie tak.

— W takim razie powinieneś się z nim spotkać.

— Tak, chyba powinienem — przyznał. Tego samego wieczoru wybrali się na tańce, a potem poszli do hotelu. Tony odprowadził Paxton, jak zwykle, do pokoju. Pocałował ją na dobranoc i miał zamiar odejść, gdy Paxton pociągnęła go delikatnie za rękaw. Odwrócił się i popatrzył na nią uważnie. Drzwi do jej pokoju były już otwarte. Nie śmiał pytać, co to ma oznaczać. Bez słowa wszedł za nią do środka. Potem przyciągnął ją do siebie i zaczął namiętnie całować. Jeszcze żadnej kobiety tak nie całował. Paxton gorąco odpowiedziała na jego pocałunki. Miała niezwykle wrażenie, że nikogo przed tym nie całowała, że urodziła się, by go spotkać, i całe życie na niego czekała. Kochali się, a gdy potem leżeli w łóżku, Tony powiedział:

— Nigdy nikogo nie kochałem tak jak ciebie, Pax. Po raz pierwszy mam ochotę spakować rzeczy i uciec stąd razem z tobą w jakieś bezpieczne miejsce.

Tony spędził z nią tę noc i kilka innych. Pod koniec lata czuli się jak stare małżeństwo. Gdy tylko Tony otrzymywał przepustkę, nie rozstawali się. Paxton radziła się go w sprawach, o których nigdy przedtem z nikim nie rozmawiała.

Tony mówił jej o wszystkim, z wyjątkiem swoich misji. Uważał, że są zbyt niebezpieczne i mógłby ją przestraszyć.

Nawet Ralph zmienił swój stosunek do Tony'ego. Na początku września wybrali się we czwórkę na kolację. France była już w zaawansowanej ciąży. Ralph żartował sobie z jej wyglądu. Tony orzekł, że wygląda pięknie. Paxton słysząc to, była wzruszona. Nie umiała sobie wyobrazić siebie w tym stanie.

Paxton i Tony nie mówili na głos o małżeństwie ani dzieciach, ale oboje w głębi serca o tym marzyli. Nie ośmielili się rozmawiać o planach na przyszłość, żeby nie wyzwać losu. W połowie września Tony dostał pięć dni urlopu i zabrał Paxton do Hongkongu. Kupił jej pierścionek, który założył jej na palec bez dalszych wyjaśnień. Była to rubinowa obrączka, z rubinowym i brylantowym serduszkim pośrodku. Spędzili w Hongkongu cudowne chwile. Mieszkali w hotelu Ambassador, tak jak inni amerykańscy żołnierze i ich żony lub dziewczyny.

Po powrocie Paxton dowiedziała się, że pod jej nieobecność Ralph pojechał do Da Nang. Uważała, że było to z jego strony głupie posunięcie. Dziecko mogło urodzić się w każdej chwili. Uprzedzała Ralpa, że teraz nie powinien zostawiać France samej. Ralph zamówił akuszerkę, a lekarz był pod telefonem na wypadek komplikacji. Ralph dał także France numer telefonu do Paxton.

Pewnej nocy w pokoju Paxton rozległ się dzwonek telefonu. Wyrwana ze snu Paxton, podniosła słuchawkę.

— Halo? — Nie miała pojęcia, kto mógł telefonować o tej porze. Zerknęła na zegarek. Była czwarta rano.

— Paxton? Tu France. — Och, mój Boże. Paxton usiadła na łóżku, zastanawiając się, gdzie może być w tej chwili Ralph.

— Wszystko w porządku?

— Czuję się dobrze... — Paxton ujrzała oczyma wyobraźni, jak France uśmiecha się w ciemnościach. Nie zwykła narzekać ani się nikomu narzucać. Zatem musiało coś się wydarzyć. — Strasznie przepraszam — zaczęła, a potem nagle urwała. Paxton zastanawiała się, co się mogło stać. Nie przyszło jej do głowy, że France ma przedporodowe skurcze. — Ralph wyjechał — podjęła — a ja nie mogę skontaktować się z akuszerką... Doktor, do którego miałam dzwonić... — znowu zamilkła. Paxton wpadła w panikę.

— France?... France?... Jesteś tam? — Nerwowo uderzała w widełki telefonu, przekonana, że rozłączono rozmowę. Hałas obudził Tony'ego.

— Co się dzieje? — Paxton zaczęła wyjaśniać i przerwała, ponieważ France znowu się odezwała, tym razem bardziej zdecydowanym głosem.

— Nie mogę skontaktować się z akuszerką ani z lekarzem... Jest ze mną tylko An... Baxdzo przepraszam, że przeszkadzam, ale może... Gdybyś mogła zawieźć mnie do szpitala i zająć się An, dopóki Ralph nie wróci... — Paxton wreszcie domyśliła się, co się dzieje. Tony nie spuszczał z niej wzroku.

— Oczywiście, zaraz tam będę. Jesteś pewna, że dobrze się czujesz? Może zadzwonić po karetkę?

— Och, nie. Nie trzeba — odpowiedziała France. — Przyjedziesz szybko?

— Już jadę. I France... Czy ty teraz rodzisz?

— Mam nadzieję, że jeszcze nie. — Odłożyła słuchawkę. Tony wyskoczył z łóżka. Zaczął się szybko ubierać.

— Zawiozę cię do Gia Dinh. O tej godzinie nie powinno być zbyt dużego ruchu — zdecydował.

— Gdzie znajduje się najbliższy szpital? — Paxton usiłowała opanować rozbiegane myśli. Wystraszyła się nie na żarty...

— Myślę, że... Nie wiem. Sprawdzę w recepcji, jak będziemy wychodzić.

Jak tam z nią? — Tony był już gotowy.

— France co chwilę przerywała rozmowę. Myślałam, że nas rozłączono.

— Jeśli mnie pamięć nie myli, to już się zaczęło.

Dotarli do Gia Dinh w dwadzieścia minut. Paxton zadzwoniła do drzwi. Przez bardzo długą chwilę nikt nie reagował i Paxton zaczęła przypuszczać, że France pojechała już do szpitala. Tony wskazał jej światło na piętrze, więc czekali, aż w końcu zostali wpuszczeni. Pobiegli na górę i znaleźli France skuloną pod drzwiami. Na widok mężczyzny u boku Paxton France zmieszała się, ale Tony zachowywał się, jakby codziennie uczestniczył w porodzie. Pomógł France przejść z powrotem do sypialni. W sąsiednim pokoju spał An. Paxton zapytała, czy France próbowała zadzwonić znowu do lekarza, ale ciężarna tylko potrząsnęła głową i wczepiła się w Tony’ego.

— France, musisz się ubrać — powiedziała Paxton. France nie zwróciła na to uwagi.

Krzyknęła i przywarła do Tony’ego. Trzymał ją delikatnie w ramionach i łagodnie ułożył na łóżku, aż skurcz minął.

— France, musimy cię stąd zabrać — mówił spokojnie, ale stanowczo. — Zanioś cię. — France znowu zaczęła krzyczeć. Pierwsze bóle pojawiły się o północy, a teraz była piąta rano. Nagle Paxton spostrzegła na łóżku krew i przeraziła się nie na żarty. Tony ocenił sytuację i oznajmił:

— Nigdzie nie jedziemy. Przynieś mi wszystkie ręczniki, jakie znajdziesz i dużo gazet. — Zaczął rozwiązywać buty, a Paxton pomyślała, że chyba zwariował.

Przyniosła ręczniki, kilka czystych prześcieradeł i paczkę gazet, którą znalazła w kuchni. Tony kazał jej rozłożyć gazety na podłodze i uklęknąć obok niego. Gdy to zrobiła, usiadł za plecami France, cały czas ją podtrzymując. Kiedy nadeszła kolejna fala skurczów, France wyciągnęła rozpaczliwie ręce, a Paxton chwyciła je mocno. Kobiety trzymały się kurczowo za ręce. Zaczął się poród.

— Och, nie... Och, nie! Dziecko już wychodzi!

— Wiem — odparł łagodnym tonem Tony. Zawiązał sobie jedno z prześcieradeł jak fartuch. France dalej ścisnęła dłonie Paxton i mocno parla. Paxton krzyczała razem z nią. Tony kazał jej złapać France za nogi. France ciągle pana. W pewnym momencie ciałem France wstrząsnął gwałtowny skurcz, po czym wszyscy troje ujrzeni malutką, czerwoną twarzą.

— Zaraz będzie po wszystkim — powiedział Tony. — Teraz musisz mocno przeć.

Pojwiły się ramionka. Tony delikatnie pomógł wyjść dziecku. Wziął je ostrożnie na ręce. Urodziła się dziewczynka. Paxton pojawiły się w oczach łzy. Tony natychmiast pochylił się ku niej i pocałował. France już się uśmiechała. Paxton ze zdumieniem obserwowała, jak Tony podwiązuje pępowinę sznurówką.

— Wezwij karetkę — polecił. Paxton uświadomiła sobie, że kocha Tony’ego. Chciała mu pogratulować i podziękować, ale nie było na to czasu.

Wezwała karetkę i obudziła Ana. Mały z radością powitał siostrzyczkę.

— Czy ona przysłała tu, gdy mama spała? — zapytał, a oni się uśmiechnęli. — Czy ona cię obudziła? — zwrócił się do France. Był bardzo rozczarowany, gdy dowiedział się że mama i siostra pojedą karetką do szpitala, ale ucieszył się, że Tony zabierze go do hotelu. Paxton miała towarzyszyć France.

— Przepraszam za kłopot — szepnęła przepraszająco France, kiedy jechały karetką. Paxton dalej trzymała ją za rękę. Nie mogła dojść do siebie. Niedawne przeżycia wydawały się takie nierzeczywiste. To wojna była realna, prawdziwa. Śmierć czyhała na każdym kroku i Paxton zdążyła się do niej przyzwyczaić. Cud narodzin wprawił ją w podziw.

— Byłaś taka odważna, France — powiedziała Paxton. — Przepraszam, że nie umiałam ci pomóc... Nie miałam pojęcia, co mam robić...

- Byłaś wspaniała — odparła France sennym głosem, ciągle ściskając rękę Paxton. Oczy powoli jej się zamykały. Paxton została w szpitalu do samego rana. Gdy wróciła do swojego pokoju w hotelu, Tony bawił się z Anem, i obaj wyglądali na zadowolonych. Na szczęście Tony dostał przepustkę na dwa dni więc mógł poczekać na Paxton.

— Jak się ona czuje? — zapytał z niepokojem. — Czy wszystko w porządku?

— W najlepszym. — Paxton uśmiechnęła się nieśmiało. — Gdy je zostawiałam, France karmiła małą piersią. — Paxton odniosła wrażenie, że uczestniczenie w porodzie France zbliżyło ich jeszcze bardziej.

Tony dał jej wzrokiem do zrozumienia, że odczuwa to samo, a potem ciągle trzymając w dłoni rączkę Ana, drugą ręką objął ją i pocałował.

— Byłaś bardzo odważna. — Była to noc, którą oboje zawsze będą pamiętać.

— Nigdy w życiu nie byłam tak przerażona.

— To cud narodzin. — Tony podniósł Ana i posadził go sobie na ramionach.

Ralph przyjechał o piątej po południu. Natychmiast pośpieszył do szpitala odwiedzić France i córeczkę. Paxton żałowała, że nie

widział narodzin swojego dziecka. Szczęśliwy pojawił się w hotelu, żeby podziękować i zabrać Ana. Zdążył ich poinformować, że on

i France zamierzają nazwać dziecko na cześć Paxton Pax Tran Johnson. Pax wydawało się odpowiednim imieniem, gdyż po łacinie oznaczało „pokój”.

Paxton była ciągle mocno poruszona tym, co widziała, i gdy tej nocy poszli do łóżka, nie przestawała myśleć o tym, co się wydarzyło.

— Czy ja wiem, Tony — powiedziała cicho, leżąc obok niego w ciemnościach — chyba nie jestem przygotowana na urodzenie dziecka. — Ciągle zastanawiała się, jak France wytrzymała tyle bólu. Była świadkiem jej cierpienia.

Tony tylko roześmiał się łagodnie, odwrócił do niej i pocałował.

— Myślę, że jeszcze przez jakiś czas nie musisz się o to martwić.

Raczej powinnaś zatroszczyć się o kilka innych rzeczy. — Choćby o to, żeby przeżyć wojnę, dodał w myśli. Widok nowo narodzonego dziecka sprawił, że zaczął marzyć o innym życiu niż to, które pędził w Wietnamie. — Chciałbym mieć jeszcze dzieci — wyznał.

— Dobrze sobie z nimi radzisz — zauważyła Paxton, przypominając sobie jego radosne zabawy z An. Ale czy kiedykolwiek będą mieli szansę? Czy przeżyją?

— Kocham cię, Pax — wyszeptał Tony w ciemnościach.

— Ja też cię kocham — odszepnęła Paxton, a potem zasnęła w jego ramionach, śniąc o dziecku France.

Rozdział XXIV

W październiku na początku listopada w całych Stanach miały miejsce demonstracje żądające zakończenia wojny w Wietnamie. Trzeciego listopada Nixon publicznie obiecał, że zakończy wojnę.

Szesnastego listopada cały naród dowiedział się o tym, co wydarzyło się w My Lai przed rokiem. W Stanach zatrzymano do wyjaśnienia porucznika Calleya, a w Wietnamie generałowie rozpoczęli w tej sprawie dochodzenie. W Wietnamie okrucieństwo było na porządku dziennym. Toczyła się tu okrutna wojna. Jednak My Lai przechyliło czarę goryczy.

Przekroczone zostały dopuszczalne granice. Prasa publikowała zdjęcia rozstrzelanych dzieci i niemowląt. Biura prasowe „Time’a”, CBS, ABC czy też NBC były zasypywane żądaniem publikowania sprawozdań z toczącego się śledztwa. Wszyscy mieli pełne ręce roboty, nie wyłączając Ralph’a i Paxton. Paxie z trudem znajdowała czas na spotkania z Tonym. Tony przeprowadził stosowne transakcje, w wyniku których udało im się pojechać do Bangkoku na Święto Dziękczynienia. Zatrzymali się w hotelu Montien, gdzie spędzili cztery szczęśliwe dni. Paxton nigdy jeszcze nie była z nikim tak blisko jak z Tonym. Byli nie tylko kochankami, ale i przyjaciółmi i mogli mówić sobie niemal wszystko. W drodze powrotnej do Wietnamu rozmawiali o My Lai i poruczniku Calleyu.

— Czy spotkałeś go kiedyś? — Paxton była ciekawa tego człowieka. Tony zaprzeczył.

— Nie, ale słyszałem o podobnych przypadkach. Oczywiście nieoficjalnie. Żołnierze są przerażeni, wściekli na żołtków i czasami stają się naprawdę nieobliczalni. Tu nie obowiązują żadne reguły, Pax. Wiesz o tym. Niektórzy żołnierze się gubią, nie potrafią się tu odnaleźć. Cały czas giną ich koledzy, najlepsi przyjaciele. Wokół widzą śmierć. Nie mogą wytrzymać naporu okrucieństwa i nagle zaczynają szaleć, wyładowując wściekłość na Wietnamcach. Również w tym roku na Boże Narodzenie przyjechał Bob Hope. Wybrali się z Tonym na przedstawienie. Rok temu towarzyszył jej BiU. Dopiero minął rok. Już minął rok. Darowany rok. Święta spędzili w jej hotelu. Paxton zadzwoniła z życzeniami do Sayannah. Następnego dnia odwiedzili Ralph’a i France. Wręczyli podarunki dla An i niemowlęcia. Mała Pax wydawała się kwitnąć pod troskliwą opieką France. Ralph był zachwycony córeczką. Starał się nakłonić France do zawarcia małżeństwa, ale bez rezultatu. W Nowy Rok miał zamiar wybrać się do Mekong Delta. Chciał zabrać ze sobą Paxton, ale ona miała zaległą robotę. Tego dnia Tony musiał zostać w bazie, a Paxton chciała wykorzystać ten czas na pisanie. Potem pojechali z Tonym na dwa dni do Da Nang. Po powrocie Paxton udała się do biura prasowego, w poszukiwaniu Ralph’a. Nikt nie wiedział, gdzie podział się Ralph. Następnego dnia już wszyscy wiedzieli. Gdy Paxton weszła do biura, zapadła kompletna cisza. Nie zarejestrowała jej w pierwszej chwili, zatrzymała się i sprawdziła dalekopisy, a potem weszła do gabinetu Ralph’a. Nie zastała go. Zastanawiała się, czy czekać na niego, czy też nie, gdy nagle zorientowała się, że pracownicy biura bacznie ją obserwują. W końcu asystent szefa biura podszedł do niej wolno. Skinął na nią bez słowa, a ona, zaintrygowana, poszła za nim do jego pokoju.

— Co się dzieje? Gdzie jest Ralph? — Śpieszyła się jak zawsze. Tego dnia zamierzała opracować kilka tematów i miała nadzieję, że Ralph wkrótce się pokaże. I wtedy asystent odważył się jej powiedzieć. Ralph zginął w drodze powrotnej z My Th. Jego dżip najechał na minę. Gdy do Paxton dotarła wreszcie ta straszna wiadomość, usiadła i wpatrywała się w asystenta, nie wierząc własnym uszom. To nie mogło się przydarzyć. Nie Ralphowi. Był tu już od lat. Doświadczony, ostrożny, przebiegły. Właśnie po raz pierwszy został ojcem. Czy ktoś o tym wiedział? Dziecko... France... Kto teraz będzie się nimi opiekował? Czy kogoś to obchodzi? Paxton bez słowa wstała z krzesła i wyszła z biura. Poruszała się jak automat. Wróciła do hotelu, wynajęła samochód i pojechała prosto do bazy Cu Chi. Chciała zobaczyć Tony’ego i powiedzieć mu o śmierci Ralph’a. Nie przebrała się w strój wojskowy. Miała na sobie różową spódnicę, bluzkę i białe sandały. Spotkali się przez przypadek. Właśnie szykował się do wyjazdu z nowymi rekrutami na ćwiczenia, kiedy nagle ją zobaczył. Wyskoczył z dżipa, rozkazując kapralowi zarządzić krótki postój, a potem pobiegł w jej kierunku.

— Co ty tu robisz? — Wystraszyła go nie na żarty. Przez chwilę pomyślał, że coś się stało, ale gdy zobaczył jej strój, zdecydował, że jednak nie. — Kto cię tu przywiózł?

— Sama przyjechałam — odparła.

— Co się stało, Pax? Co się stało? — Z bliska spostrzegi, że jest roztrzęsiona, poruszona i przerażona. — Kochanie, co jest? — Objął ją i przytulił. Paxton popatrzyła na niego, zachłysnęła się powietrzem i rozszlochała.

— Spokojnie... Oddychaj powoli... Spokojnie... Wszystko w porządku... — Jakiś rekrut przypatrywał im się bacznie, ale Tony nie zwracał na to uwagi. Myślał tylko o Paxton, dławiącej się z płaczu w jego ramionach.

— Powiedz mi, co się stało?

— Ralph... — wykrztusiła, a Tony poczuł, jak serce mu zainiera.

— Spokojnie... Powoli... Oddychaj... — Posadził ją delikatnie na ziemi i usiadł obok niej. — Wszystko będzie w porządku, Pax... W porządku... — Już przez to wcześniej przechodził, znał to uczucie zbyt dobrze, widział to zbyt często. A potem Paxton opowiedziała mu o wszystkim.

— Trafił na minę, kiedy wracał z Deltę przed dwoma dniami. Nikt mi nie powiedział. — Wzrok miała pusty. Niespodziewanie zaczęła rozpaczliwie łkać i okładać go pięściami ze złością i ślełą furią.

— Nie! Cholera! Nie! Ci pieprzeni Wietnamcy dostali go w końcu! Po tych wszystkich latach! Dostali go... — Tony cierpiał, słysząc te słowa, ale dla niego była to stara, znana śpiewka.

— Czy France wie?

— Jeszcze nie wiem. Nie dzwoniłam do niej.

Tony przyciągnął Paxton do siebie i delikatnie pocałował.

— Słuchaj, muszę iść. Cały oddział na mnie czeka. Jak tylko wrócę, przyjadę do hotelu.

Razem pojedziemy wtedy do France. A teraz ktoś cię odwiezie. — Paxton kiwnęła głową jak posłuszne dziecko. Tony pobiegł na poszukiwanie kierowcy.

— Uważaj na siebie! — krzyknęła, zanim odjechała. Pomachał jej ręką i odszedł wraz z oddziałem. W drodze powrotnej Paxton siedziała sztywno obok żołnierza, który ją odwoził. Nie odezwała się ani słowem, nie zapytała, jak się nazywa, nie odpowiadała na jego pytania. Po prostu siedziała i nie widzącym wzrokiem patrzyła w okno, rozmyślając o Ralphie, France, An i małej Pax.

Gdy dotarła do hotelu, poszła na górę do swego pokoju i położyła się do łóżka. Kiedy zadzwonił telefon, nie ruszyła się, żeby go odebrać. Tony przyjechał o ósmej bardzo zdenerwowany. Obawiał się, że coś się jej stało, ponieważ chłopak, który prowadził samochód, jeszcze nie wrócił do bazy.

— Kochanie, przestań — poprosił Tony i położył się na łóżku obok Paxton. — Posłuchaj, on był świadom ryzyka. Liczył się z możliwością śmierci. Wszyscy o tym wiemy.

— Był najlepszym reporterem, jakiego w życiu znałam... Najlepszym moim przyjacielem poskarżyła się tonem dziecka, kopiącego w bezsilnej złości kamienie do rzeki, dopóki nie poznałam ciebie. Był dla mnie jak brat. Ukochany starszy brat, jakim George nigdy nie był.

— Wiem o tym. Ja też go polubiłem. Przyjaźniłem się z wieloma facetami. Niektórzy mieli szczęście i cało wrócili do domu, a niektórzy nie. Gdyby Ralph chciał, już dawno pojechałby do Stanów. — Paxton wiedziała, że to prawda, ale ta świadomość nie zmniejszyła jej rozpacz. O, Boże, jak bardzo będzie go brakowało!

— A co z France? Co teraz się z nią stanie?

— To zupełnie inna historia — odparł ponuro Tony. — Jej przyszłość nie zapowiada się różowo.

Wziął prysznic i przebrał się. Postanowili odwiedzić France. Wsiedli do dzipa Tony'ego i pojechali.

Na piętrze paliło się światło podobnie jak w noc narodzin dziecka. Tym razem również France nie odpowiedziała na dzwonek. Zadzwonili do sąsiadów, którzy ich zwymyślali, ale w

końcu otworzyli drzwi. Drzwi do mieszkania France były zamknięte. Z wnętrza dobiegała muzyka. Przez szparę w drzwiach sączyło się światło. Tony z niepokojem spojrzał na Paxton. — Mam nadzieję, że nic się nie stało. Może nie chce nikogo widzieć, a może się mylę i nikogo nie ma w domu. Przyjedziemy później? — Paxton przecząco pokręciła głową. Ogarnęło ją złe przeczucie.

— Jak dostać się do mieszkania? — spytała.

— Chcesz się włamać? — Popatrzył na nią zdenerwowany.

— Poprosimy o pomoc właściciela?

— Ja się z nim nie dogadam. Nie potrafię sklecić zdania po wietnamsku. Zaczekaj chwilę. Mam inny pomysł. — Tony wyjął z kieszeni nóż. Przez chwilę grzebał nim w zamku. Już miał zrezygnować, gdy nagle drzwi ustąpiły i otworzyły się wolno. Oboje czuli się nieswojo. Chcieli dostać się do środka, pełni niepokoju o France, a teraz nie byli pewni, czy powinni to zrobić. Wydało im się, że są intruzami.

Tony wszedł pierwszy. Paxton tuż za nim. Wszystko wydawało się w najlepszym porządku. Mieszkanie było czyste i schludne. Nadal rozlegały się delikatne dźwięki muzyki. W pokoju An paliło się światło, ale Paxton nie ujrziała tam nikogo. Tony otworzył drzwi sypialni, stanął w progu i szybko wyciągnął rękę, żeby zatrzymać Paxton.

— Nie patrz! — krzyknął, ale było za późno. Paxton weszła do sypialni i zobaczyła całą trójkę na łóżku. France w ao daj, łagodnie uśmiechnięta, z niemowlęciem w ramionach. Tuż obok An, O wyglądzie aniołka, uczesany, w swoim najlepszym ubranku. Paxton chciała powiedzieć Tony’emu, żeby był cicho i ich nie budził. Nie wiedziała, że nic już nie mogło ich obudzić. Tony miał więcej doświadczenia i zorientował się od razu. Dotknął delikatnie ich twarzy. Nie żyli już od dłuższego czasu. France zostawiła wiadomość w języku wietnamskim i list do Paxton. Okazało się, że otruła siebie i dzieci na wieść o śmierci Ralpa. Tony ukląkł przy łóżku

i zaczął rozpaczliwie szlochać. Paxton uklękła obok niego. Płakała i dotykała ciał zmarłych, jakby chciała ich pobłogosławić.

— Och, Boże, dlaczego... — wyszeptwała do niego. — Dlaczego?... — I An, i dziecko, któremu pomogli przyjść na świat dopiero trzy i pół miesiąca temu. Mała Pax... Pokój... France poszła śladem ukochanego, nie chciała się z nim rozstawać. Tak napisała w liście. Wolą śmierć niż samotne życie w Sajgonie. — Mogła pojechać do Stanów... mogła... — szepnęła Paxton, ale Tony potrząsnął głową. France nie poradziłaby sobie bez opieki Ralpa ani w Stanach, ani w Sajgonie. Wszyscy byli tacy piękni, tacy słodcy... tacy bezbronni, gdy tak leżeli obok siebie.

Paxton i Tony długo czuwali przy zmarłych, a potem wezwali policję. Tony wyjaśnił, co według niego się stało. Wiadomość pozostawiona przez France potwierdziła jego opinię. Mniej więcej to samo zawierał list do Paxton, w którym France dziękowała jej i Tony’emu za wszystko, co dla niej zrobili, żegnała się z nimi i życzyła im szczęścia w życiu. Paxton odłożyła list i zaczęła szlochać w ramionach Tony’ego. Patrzyła, jak zabierano trzy ciała. To było więcej niż mogła znieść. Łkała, gdy Tony wyprowadzał ją z mieszkania, gdzie do niedawna Ralph i France byli tacy szczęśliwi. Wrócili do hotelu i Tony zamówił dla nich po brandy.

— Tony, dlaczego? Dlaczego to zrobiła?

— Myślała, że nie ma innego wyjścia.

W Paxton coś pękło. Kolejno odchodzili na zawsze bliscy i przyjaciele. Zostawiali ją pełną żalu do losu, zrozpaczoną i samotną. Ile można przeżyć? Każda śmierć jest nieodwołalna, ostateczna. Ile łez można wypłakać? Czy człowiek pozostanie nienaruszony? Tony wiedział, że nawet jeżeli pewnego dnia Paxton osiągnie równowagę ducha, to wspomnienie tej tragedii na zawsze pozostanie w jej pamięci. Ich serca już dawno temu rozpadły się na kawałki.

Styczeń minął jak zły sen. Podobnie było z lutym. W marcu, gdy nadciągnęły monsuny, Paxton powoli zaczęła na nowo odzyskiwać wiarę w życie. Przebywała w Wietnamie od blisko dwóch lat. Związek z Tonym przetrwał już osiem miesięcy, co tutaj było prawie wiecznością. Nadal ciężko jej było mówić o Ralphie, France czy dzieciach.

Nie wypuszczali się na miasto tak często jak przedtem, a z powodu brzydkiej pogody rzadko wyjeżdżali na weekendy, nawet gdy Tony miał kilka wolnych dni. Zamykali się w pokoju hotelowym, kochali się i rozmawiali, próbując znaleźć sens w tym, czego byli świadkami. Artykuły Paxton stały się teraz dojrzsze. Poinformowano ją, że redakcja rozważa możliwość przyznania jej nagrody. Niewiele ją to obeszło. Nade wszystko pragnęła przeżyć tę wojnę. Teraz to się ticzyło. Rozmawiali z Tonym o Joeyu. Paxton namawiała go, by częściej pisywał do syna.

Tony kończył służbę w czerwcu. Był zdecydowany me zaciągać 3 się po raz kolejny, ale nie miał pojęcia, co chciałby robić. :

Nie zamierzał spędzić następnego roku w Wietnamie, lecz nie był pewny, czy jest gotów wracać do domu. Paxton też niczego nie planowała. W czerwcu zeszłego roku uprzedziła redakcję, że zostaje jeszcze na rok, ale w każdej chwili mogła wrócić do Stanów. Tak jak i Tony żyła w zawieszeniu. Liczyła się •f terażniejszość, kolejny przeżyty dzień. Oboje byli przesadni i bali się rozmawiać o wspólnej przyszłości. Łączące ich więzi stawały się coraz głębsze i silniejsze. Garnęli się do siebie w poszukiwaniu poczucia bezpieczeństwa.

Potrzebowali się bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Myśl o powrocie do domu przerażała Tony'ego, chociaż niewiele o tym mówił. Postanowili, że w maju 3 pojedą jeszcze raz do Hongkongu, a potem zdecydują, co dalej. Paxton stale nosiła rubinowy pierścionek, który dostała od Tony'ego. Właściwie nigdy go me zdejmowała, dając tym wyraz przywiązaniu do ukochanego. Obrączka z rubinów, ozdobiona 3 sercem wysadzonym brylancikami, zawsze znajdowała się na 3 jej palcu. Tony niczego nie obiecywał, niczego nie żądał, nie snuł planów wspólnej przyszłości, ale jego serce należało do niej na zawsze.

Na trzy tygodnie przed planowanym wyjazdem do Hongkongu, w okresie silnych monsunów, Tony'ego posłano w niebezpieczny :

rejon, w którym roilo się od Wietnamców. Mieszkańcom tych ziem nie przeszkadzały ulewne deszcze w przeciwieństwie do żołnierzy amerykańskich, którzy z największą niechęcią przedzierałi się za nimi w strugach deszczu.

Było gorąco, parno, wilgotno. Oddział Tony'ego wpadł w zasadzkę. Piętnastu żołnierzy poniosło śmierć na miejscu, dziewięciu

było rannych. Helikoptery penetrowały teren, ale bez rezultatu, a samoloty wywiadowcze w ogóle nie mogły wystartować ze względu na pogodę. Na pomoc wysłano inny oddział, który również poniósł straty. Porucznik został trafiony szrapnelem. Był to istny pogrom. Dopiero po dwóch dniach ci, którzy pozostali przy życiu, zdołali przedrzeć się i wrócić do bazy w Cu Chi. Zabrali ze sobą rannych i zabitych. Wszystkich z wyjątkiem Tony'ego, który został uznany za zaginionego w akcji.

Rozdział XXV

orucznik przyszedł osobiście do hotelu przekazać tragiJ czną wiadomość. Paxton nie była całkowicie zaskoczona. Miała złe przecucia. Od dwóch dni nie mogła spać ani jeść. Była niespokojna. Kiedy porucznik stanął w progu, cofnęła się na jego widok z przerażeniem

L w oczach.

— Nie... — Podniosła rękę w obronnym geście. To nie mogło się jej przytrafić raz jeszcze. Nie mogło. Nie zniosłaby tego.

— Panno Andrews — zaczął, przestępując z nogi na nogę. — Chciałem się z panią zobaczyć. — Gdzie jest Tony?

Porucznik milczał. Potrząsnął głową ze smutkiem i po dłuższym czasie powiedział:

— Obawiam się, że zaginął podczas akcji. Nic więcej me wiem. Oddział wpadł w zasadzkę. Podano nam błędne informacje i zostaliśmy zaatakowani. Straciliśmy wielu żołnierzy, ale sierżant Campobello nie został zaliczony do zabitych. Gdy się wycofywaliśmy, przeczesał dokładnie teren i me znaleźliśmy jego ciała. Teraz nie mogę powiedzieć nic więcej ponad to, że zaginął.

— Czy mógł dostać się do niewoli? — Na myśl o tym poczuła ucisk w żołądku. Słyszała, z jakim okrucieństwem Wietnamcy traktowali jeńców. Kilka miesięcy temu wysłuchała mrozących krew w żyłach opowieści żołnierza, który zdołał zbiec z niewoli.

— To możliwe — porucznik nie chciał wprowadzać Paxton w błąd — aie mało prawdopodobne. Nie chodziło im o jeńców. Chcieli wybić nas do nogi. I prawie im się udało — dodał ponuro, nadal stojąc w progu. Paxton nie zaprosiła go do środka. Był zwiastunem śmierci i nie życzyła sobie, aby przebywał w jej życiu ani chwili dłużej niż to konieczne.

— A gdzie pan był?

Szliśmy przez Hobo Woods do Trang Baag, a potem w górę Tay Ninh, całkiem blisko granicy z Kambodżą. I tam właśnie go zgubiliśmy.

Paxton opadła na krzesło i zasłoniła twarz rękami. Wewnętrzny głos uparcie powtarzał, że Tony żyje. Byli ze sobą tak blisko. Potrafili odgadywać swoje myśli. Uzupełniali się. Nie mogło żadnego z nich zabraknąć. Przeczucie mówiło jej, że Tony nie zginął. Nie potrafiła opisać swych odczuć porucznikowi. Mogła mu jedynie podziękować za okazaną troskę i współczucie. Po wyjściu porucznika położyła się na łóżku, które przez ostatnie dziesięć miesięcy dzieliła z Tonym. Wydawało się jej, że ktoś zaraz przyjdzie i przeprosi za pomyłkę. Tony ma się dobrze i niedługo go zobaczy. Naprawdę w to uwierzyła.

Ta wiara nie opuszczała Paxton przez wiele dni. Poruszała się utartymi ścieżkami. Wysyłała korespondencje, czytała dalekopisy, wpadała do biura prasowego, pisała artykuł o Sajgonie, a nawet wyprawiała się w teren. Funkcjonowała jak dobrze naoliwiony mechanizm, ale jej dusza była martwa. Umarła wraz z zaginięciem Tony'ego. Bez niego nie wyobrażała sobie żadnej przyszłości.

Drugiego maja zatelefonował jej brat z informacją, że matka niespodziewanie umarła w wyniku komplikacji po operacji woreczka żółciowego, o której Paxton nawet nie wiedziała. George uważał, że powinna wrócić i pomóc Allison w organizacji pogrzebu. Odparła, że zadzwoni jeszcze tego wieczoru. Pojechała do Cu Chi, żeby zapytać porucznika, czy są jakieś nowe wiadomości o Tonym. Okazało się, że w sprawie Tony'ego nic się nie wyjaśniło. Rodzina została powiadomiona oficjalnie że sierżant Anthony Edward Campobello został uznany za zaginionego w akcji.

— Co, do cholery, to ma znaczyć? — napadła na porucznika, nie zważając na jego stopień ani dobre intencje. — Czy mam tu na niego czekać? Czy mam go sama szukać? Czy mam wam jakoś pomóc? Czy mam jechać do domu? Co, do cholery, mam teraz robić? — krzyczała. Łzy po raz pierwszy napłynęły jej do oczu. Tony nie wracał, może już nigdy nie wróci. Zaczynało to do niej docierać. A potem dodała: — A jeśli jest ranny?

— Nie sądzę — odparł cicho porucznik. — Paxton, myślę, że on nie żyje. Po prostu nie mogliśmy znaleźć ciała. Bardzo mi przykro. — Dotknął jej ręki. Szybko się cofnęła, by nie powiększał jej bólu swą życzliwością i współczuciem. — Wiesz co? Powinnaś wrócić do domu. Są pewne granice wytrzymałości. Siedzisz tu zbyt długo. Tony miał wracać w czerwcu i myślał, że pojedziesz razem z nim. Jeśli go znajdziemy, to przysięgam, że cię zawiadomimy.

Patrzyła na porucznika bez słowa dłuższą chwilę, a potem odwróciła się i wyszła. Miał rację. Nadszedł czas powrotu do domu. Może tym razem już na dobre. W Wietnamie osiągnęła dojrzałość. Przyjechała tu jako dziewczyna, nieszczęśliwa po stracie ukochanego, poszukująca odpowiedzi. Nie znalazła ich, natknęła się tylko na nowe pytania. Miała dwadzieścia cztery lata, straciła na tej wojnie trzech ukochanych, przyjaciół i współpracowników. Wraz z nimi straciła jakąś część samej siebie i wiedziała, że nigdy jej już nie odzyska. A jednak coś odnalazła. Odnalazła prawdę i poznała kraj, który pokochała. Wiedziała, że zawsze będzie tęsknić za Wietnamem, tak jak zawsze będzie kochać Tony’ego.

Rozdział XXVI

Ostatni dzień pobytu Paxton w Sajgonie minął błyskawicznie. Po południu pożegnała się z pracownikami biura prasowego. Po raz ostatni poszła na „nowinki o piątej”, a potem odwiedziła taras w hotelu Continental Palace. Żebracy, wrzaskliwie domagający się datków, już jej nie przerażali, a jedynie przygnębiali. Ludzie, których kochała, odeszli. Wpadła na Jean-Pierre’a i zaprosiła go na drinka. Miał już nieźle w czubie i z niewiadomych przyczyn cały czas mówił o Nigele, który przecież już od dawna nie żył. Paxton zastanawiała się, czy po pewnym czasie upodobniłaby się do Jean-Pierre’a. Zgorzkniałego, szukającego zapomnienia w alkoholu, zagubionego. Tak właśnie kończyli ci, którzy zbyt długo przebywali w Wietnamie. Ci, którzy wcześniej wyjeżdżali, również byli skażeni wojną. Kto zatem wychodził bez szwanku? Czyżby ci, którzy zginęli? Nie było przegranych ani wygranych.

— Czy jeszcze wrócisz? — zapytał Jean-Pierre, który zdawał się nagle wytrzeźwieć. Paxton potrząsnęła przecząco głową. Tym razem naprawdę tak myślała. Nie przychodziło jej łatwo wracać do Stanów. Nadszedł czas zastanowienia się nad dalszym życiem. W głębi serca była przekonana, że tuie zaprzestanie poszukiwań Tony’ego. Może w Stanach znajdzie sprzymierzeńców. Dochodziły do niej słuchy o organizowaniu się rodzin zaginionych i jeńców wojennych.

— Ja też powinienem niedługo pojechać do domu — stwierdził Jean-Pierre, choć podobnie jak ona, na dobrą sprawę nie miał po co wracać.

Paxton pożegnała się z Jean-Pierre’em i przespacerowała się wolnym krokiem do swego hotelu na Tu Do. Czuła bolesny skurcz serca, gdy wdychała zapachy i słyszała dźwięki, które na zawsze kojarzyć jej się będą z Sajgonem i Wietnamem. Roześmiała się na widok żołnierza próbującego nauczyć gromadę uliczników gry w piłkę nożną. W bazie Tan Son Nhut cały czas odbywały się mecze piłki nożnej. Kilka razy oglądała je wraz Billem. Tony nie interesował się sportem. Wolał dyskutować i filozofować. Tak wiele ją nauczył, tyle przekazał... Bezustannie wracała myślą do tego, co jej mówił...

Przechodząc przez hol „Carayelle”, Paxton przypominała sobie spotkanie z Tonym, który próbował ją przeprosić za swoje zachowanie po śmierci Billa. Początki ich znajomości były trudne. Potem byli tacy szczęśliwi... Paxton nadal nosiła rubinowy pierścionek z serduszkciem. Zawsze będzie go nosić tak jak bransoletkę od Billa i znaczek identyfikacyjny Petera. Gdy pakowała swoje rzeczy, zewsząd wyłaniały się duchy przeszłości. Odkładała na bok książki, które zostawiała przyjaciołom. Zabierała ze sobą tak niewiele prócz wspomnień. Ich nikt jej już nie odbierze. Następnego dnia rano wzięła taksówkę do bazy Tan Son Nhut, skąd miał ją zabrać samolot. Gdy zatoczyli krąg nad Sajgonem, Paxton wstrzymała oddech.

— Chao ong — wyszeptwała. Na razie... Do widzenia, Wietnamie.... Do widzenia... Naprawdę cię pokochałam... Kiedy zamknęła oczy, miała wrażenie, że Tony siedzi obok niej. Wracała

do domu na pogrzeb matki. Czuła się nieswojo. Zupełnie jakby zamiast serca miała w piersi kamień. Wiedziała, że nadal kocha Tony'ego, że zawsze będzie go kochać, ale on zabrał jakąś część niej samej.

Samolot wziął kurs na Midway, a stamtąd poleciał do San Francisco. Paxton nie zatrzymała się w San Francisco, tylko ruszyła w dalszą drogę do Sayannah. Postanowiła przyjechać za kilka dni i uporządkować swoje sprawy. Wiedziała, że cykl „Wieści z Wietnamu” został zdjęty z łamu na dobre.

Była czwarta po południu, gdy wylądowała na lotnisku Trayis Field w Sayannah. Odebrała bagaż i złapała taksówkę, podając kierowcy adres domu rodzinnego. Ciągłe miała klucze. W domu nie zastała nikogo. Od razu zadzwoniła do George'a. Wyczerpana schroniła się w znajomej kuchni. Lodówka była pusta. Również w szafkach niewiele znalazła.

Wzięła prysznic, przebrała się, a potem pojechała do domu pogrzebowego w śródmieściu, żeby spotkać się z George'em. Gdy stanęła przy trumnie matki, nie czuła nic prócz współczucia. Współczucia dla nieszczęśliwej kobiety, niezdolnej do miłości, zajętej sobą, życiem towarzyskim, klubami. Było to puste, ułomne życie, a i ono teraz się skończyło.

— Wyglądasz na zmęczoną — powiedział George przyciszonym głosem. Paxton zauważyła pierwsze ślady siwizny na jego skroniach, co nadawało mu bardzo dystyngowany wygląd.

— Jestem po dwudziestosześciodzinnej podróży. — Spojrzała na niego ponuro.

Zachowywał się zupełnie jak matka. Ucałował ją przelotnie na powitanie, zdawkowo uściskał, nie zapytał, jak się czuje, a na dodatek był zaskoczony, że wyglądała na zmęczoną.

— Chyba schudłaś.

— Możliwe. Życie w Wietnamie jest trochę wyczerpujące. Jak tam Allison i dzieciaki? — Ich drugie dziecko urodziło się, gdy Paxton była w Wietnamie.

— Dobrze. Przyszłyby tu dziś, ale dzieci są chore.

Wieczorem składano im kondolencje. Uroczysty pogrzeb odbył się następnego dnia. Trumnę Beatrice nieśli mężowie jej przyjaciółek. Ceremonia przebiegała zgodnie z życzeniem matki w atmosferze powagi i poszanowania. Gdy było już po wszystkim, Paxton zapragnęła jak najszybciej wyjechać. Przygnębiało ją przebywanie w pustym domu. Zleciła bratu zajęcie się domem. Nie wyobrażała sobie, że mogłaby przeprowadzić się do Sayannah.

— Może ty i Allison chcielibyście się wprowadzić?

— Ten dom jest dla nas za mały — odparł. — Czy chcesz jakieś rzeczy po matce? —

Beatrice zgromadziła trochę biżuterii. Większość tych przedmiotów miała wartość jedynie sentymentalną.

— Część wyślij mnie, resztę daj Allison.

— Allison chciałaby zatrzymać stroje mamy i jej kurtkę futrzaną — powiedział George niewyraźnie, jakby coś stało mu w gardle. Kurtka miała dziesięć lat i była niemodna. Paxton popatrzyła na brata ze współczuciem i litością. Na końcu języka miała uwagę, że raczej powinien kupić żonie nowe futro, ale się powstrzymała.

— W porządku. — Była dużo wyższa od matki, a zresztą nie chciałaby nosić jej ubrań.

— Co teraz będziesz robić? — zapytał George. Nadal nie rozumiał motywów spędzenia dwóch lat w Wietnamie, w strefie wojny. Był mile zaskoczony poziomem jej korespondencji, które publikowały również gazety w Georgii.

— Jeszcze nie wiem. — Popatrzyła na niego i westchnęła, zastanawiając się, jakie wrażenie zrobiłby na Tonym. Pewnie by się zniechęcił od pierwszego wejrzenia. Tony był zbyt bezpośredni, szczery i uczciwy, żeby dogadać się z George'em.

— Jutro wracam do San Francisco. Muszę porozmawiać z przełożonymi na temat dalszej pracy. Myślę, że przynajmniej przez

jakiś czas, podobnie jak większość żołnierzy, którzy wracają z Wietnamu, nie będę mogła znaleźć sobie miejsca. Tak było w zeszłym roku.

— Nie zamierzasz znowu tam wracać? — Patrzył na nią zastanawiając się, kim naprawdę jest jego siostra.

— Raczej nie. Myślę, że już teraz zostanę na dłużej.

— Nie mogłem pojąć, dlaczego pojechałaś... Rozumiem, że ten chłopak tam zginął, ale to chyba nie był wystarczający powód, żeby ryzykować pobyt w pobliżu toczącej się wojny.

— Może nie. — W każdym razie, odezwę się. — Pożegnała się z bratem, który przelotnie cmoknął ją w policzek. Rano, gdy opuszczała dom, zamknęła drzwi, a klucz wrzuciła do skrzynki na listy. Nie będzie ich już potrzebować. Powiedziała George'owi, że zawiadomi go, gdzie zatrzymała się w San Francisco, by odesłał jej rzeczy.

Wyjeżdżając, czuła się jak Cyganka. Bez domu, korzeni, celu w życiu. Inni powracający z Wietnamu byli tak samo zagubieni, obciążeni bagażem straszliwych przeżyć, nie dostosowani do codziennej troski o byt.

W San Francisco Paxton zameldowała się w małym hotelu. Tym razem nie czekał na nią apartament w „Fairmont”, a Wilsonowie nie zaprosili jej na obiad. Po długim namyśle Paxton zdecydowała się nie dzwonić do Gabby. Po prostu nie wiedziała,

o czym z nią rozmawiać. Co można było opowiedzieć... o France...

o Ralphie... o Billu... o Tonym komuś, kto nie wystawiał nosa poza dom, pędził bezpieczne, spokojne życie? To było niemożliwe.

W redakcji Paxton spotkała Eda Wilsona. Zaczęli rozmawiać o jej planach zawodowych.

Ojciec Petera mógł jej zaoferować jedynie prowadzenie kolumny wydarzeń lokalnych.

— Sprawy w kraju przybrały inny obrót, Paxton. Ludzie już nie chcą słyszeć o wojnie. Są zmęczeni hałasem, jaki się wokół tego wywołuje, demonstracjami i narzekaniem. Czasy się zmieniły. — Mylił się. Nie brał pod uwagę oburzenia, jakie wywołała śmierć czterech

studentów w czasie antywojennej demonstracji na Uniwersytecie Ken State w Ohio. To Paxton miała rację. Byli jeszcze ludzie, których obchodziło to, co działo się w Wietnamie.

„The New York Times” pomógł Paxton podjąć decyzję. „Morning Sun” reprezentował raczej poglądy konserwatywne. Ed Wilson w swoim czasie dał jej szansę wyjazdu do Sajgonu, ale

później uznał, że nie ma potrzeby utrzymywania stałego korespondenta. Niespodziewanie

„Times” zaproponował jej wyjazd do Paryża, na rokowania pokojowe w sprawie Wietnamu.

Paxton pochlebila zarówno propozycja, jak i oferowana pensja. Szefowie „Timesa” wyrażali się pochlebnie o jej „Wieściach z Wietnamu”. Traktowali ją jak eksperta. Paxton cieszyła się

jak dziecko. Żałowała, że nie może opowiedzieć o swoim sukcesie Tony'emu. Myślała o nim przez całą noc, a kiedy w końcu zasnęła, śniło się jej, że Tony przedziera się przez dżunglę i

ukrywa w tunelach. To był tylko sen, a jednak wyrażał on jej głębokie wewnętrzne

przeświadczenie, że ukochany wciąż żyje. Czasami zastanawiała się, czy to przekonanie nie wzięło się z chęci nieprzyjmowania do wiadomości śmierci Tony'ego. Ed Wilson

pogratulował Paxton tak poważnej propozycji zawodowej. Odetchnął z ulgą. Przeczynał, że

Paxton trudno byłoby znaleźć sobie miejsce w redakcji „Sun”. Był zadowolony, że Paxton

wyjeżdża. Nie była już tą samą dziewczyną, którą znał. Wydoroślała i nabrała pewności

siebie. Bolesne przeżycia osobiste i ocieranie się o śmierć w Wietnamie spowodowały, że

zgorzkniała i zobojętniała, choć w głębi duszy nadal była młodą gniewną. Zyczył jej

szczęścia, Paxton przekazała pozdrowienia dla pani Wilson i Gabby. Nie zobaczyła się z

żadną z nich. Uznała, że zbyt się od siebie oddaliły, że żyją w dwóch różnych światach.

Paxton pojechała do Nowym Jorku, aby spotkać się z nowymi szefami. „Times”

zarezerwował jej pokój w hotelu Algonquin. Roilo się tu od dziennikarzy, pisarzy. Dostrzegła też kilku biznesmenów. Była usatysfakcjonowana spotkaniem w redakcji „Timesa”.

Współpraca zapowiadała się bardzo interesująco. Redaktorzy oczekiwali, że będzie pisać prawdę na temat przebiegu rozmów pokojowych w Paryżu. Polecili Paxton przeprowadzenie

wywiadu z porucznikiem Calleyem jeszcze przed wyjazdem do Paryża. Aprobowali jej

stosunek do wojny w Wietnamie. Podobały im się reportaże z An Loc, Da Nang, Long Binh,

Chu Lai, napisane z pazurem i bez owijania niczego w bawełnę. Paxton wiedziała, że nie mogła spodziewać się lepszej propozycji.

— Kiedy mogłabym zacząć? — zapytała z błyskiem podniecenia w oku.

— Jutro — odpowiedział redaktor naczelny z uśmiechem satysfakcji. Martwili się, że nie będzie zainteresowana ich ofertą. Wielu ludzi miało już dość tego tematu. — Może w przyszłym tygodniu spotka się pani z Calleyem? Pomożemy pani to zaaranżować. Po tym będzie pani mogła polecieć do Paryża. Zgoda?

Znakomicie. — Była zadowolona, że zyskała trochę czasu. Miała pewne plany.

Spędziła cały dzień na wędrowce po Nowym Jorku. Poznawała to miasto tak jak niegdyś Sajgon. Obserwowała przechodniów, ruch uliczny, odkrywała charakterystyczne miejsca i zapachy. Kupiła kilka sztuk ubrań, z myślą o pracy przedstawiciela „New York Timesa”. W końcu wróciła do hotelu i postanowiła odszukać numer telefonu do domu Tony’ego. Uznała, że nie miałyby nic przeciwko temu. Zadzwoiła do informacji telefonicznej w Queens i trzy razy literowała nazwisko. W końcu znaleźli właściwy numer w Great Neck na Long Island. Thomas Campobello. Modliła się, żeby to był on. To musiał być on. Nie było przecież zbyt wielu Thomasów Campobello.

Wykręciła numer. Odczekała kilka sygnałów. Wreszcie usłyszała kobiecy głos.

— Campobello, słucham. — To ona, pomyślała Paxton. Głos miał przyjemne brzmienie i silny nowojorski akcent. Paxton nabrała pewności, że to Barbara.

— Pani Campobello? Barbara Campobello?

— Tak. — Kobieta zaczęła się denerwować. — Kto mówi?

— Ja... Wiem, że to może dziwne, ale ja... — Proszę, nie odkładaj słuchawki, och, proszę...

— Poznałam w Wietnamie pani eks-męża — wykrztusiła Paxton i zamilkła. — Ja... my byliśmy dobrymi przyjaciółmi — podjęła po dłuższej przerwie — i... Tony chciał, żebym skontaktowała się z panią i Joeyem, gdyby mu się coś przytrafiło. — Pewnej nocy Tony poprosił ją, żeby dowiedziała się, co się dzieje z jego synem na wypadek, gdyby on sam nie był w stanie tego uczynić. Nie wspominał o Barbarze. Paxton sądziła, że będzie miała większe szanse, jeśli nieco zmieni treść prośby Tony’ego. — Nie miałam zamiaru niepokoić pani o tej porze, ale jestem przejazdem w Nowym Jorku i...

— Jak go pani poznała? — spytała była żona Tony’ego cichym głosem.

— Byliśmy... — Nie wiedziała, jak to określić. — Byliśmy bliskimi przyjaciółmi... i... Tony bardzo kochał Joeya. Jestem pewna, że pani o tym wie.

— Nie widział go od pięciu lat — zauważyła gorzko.

— Nie było go w Stanach, pani Campobello. Po tym wszystkim, co się stało... Myślę, że nie mógł... — Niewielkie poczucie winy nie zabije jej. Minęło już prawie sześć lat. Miała troje dzieci z bratem Tony’ego. — Uważał, że Joey jest szczęśliwy z panią i pani mężem.

Bo jest — stwierdziła Barbara autorytatywnie, ale Paxton wyczuwała, że jej rozmówczyni powoli traci pewność siebie.

— Czy Joey wie, co się stało z jego ojcem w Wietnamie?

— Powiedziałam mu, że zaginął w akcji. Tony pisywał czasami do Joeya. a my nie chowaliśmy listów. Zawsze trafiały do adresata. — zapewniła. — Myślę, że śmierć ojca przygnębiła go, ale jest bardzo spokojnym, niezbyt rozmownym chłopcem. — Jak miał się zachowywać, skoro matka wyszła za męża za wujka, a ojciec zniknął z domu? Paxton odniosła wrażenie, że Barbara uważała zaginięcie w akcji za równoznaczne ze śmiercią.

— Czy mogę z nim porozmawiać? Czy miałyby pani coś przeciwko temu?

— A co chce mu pani powiedzieć?

— Że jego ojciec bardzo go kochał. I jaki był, zanim zaginął. Należał do jednych z najodważniejszych żołnierzy. Miał ciężką służbę. Tropili partyzantów w tych słynnych podziemnych tunelach. Joey mógłby uznać to za fascynujące. Na pewno byłby dumny ze swego ojca — oznajmiła spokojnie Paxton.

— Tak — odparła Barbara. — Być może. Zapytam męża. Przepraszam, czy może pani powtórzyć swoje nazwisko?

— Paxton Andrews.

— I poznała pani Tony’ego w Wietnamie? Jest pani pielęgniarką czy kimś w tym rodzaju?

— Nie. Byłam korespondentem pewnej gazety z San Francisco. Obecnie pracuję dla „New York Timesa” i za kilka dni wyjeżdżam do Waszyngtonu, Georgii i Paryża. — Specjalnie wymieniła te wszystkie informacje, żeby zrobić na pani Campobello dobre wrażenie. — Czy mogę do pani zadzwonić później? — Paxton nie dawała za wygraną.

— To my do pani zadzwonimy. Jaki jest pani numer?

— Zatrzymałam się w hotelu Algonquin na Manhattanie.

— Zadzwonię wieczorem.

— Dziękuję. — odparła i dodała: — Przysięgam, że nie będę Joeya zbyt zasmucać. Obiecałam to Tony’emu. — Tak rzeczywiście było. Przysięgła Tony’emu, że odwiedzi jego syna. Chciała zobaczyć Joeya również z egoistycznych pobudek. To było dziecko jej ukochanego. Barbara musiała usłyszeć coś w jej głosie, bo się zawahała.

— Czy pani była w nim zakochana?

— Tak, byłam — odparła Paxton po chwili milczenia. Uważała, że to nie powinno obchodzić byłej żony Tony’ego. Nieoczekiwanie „pomiędzy obiema kobietami nawiązała się nić porozumienia.

— Ja też, dawno temu. Był dobrym człowiekiem... i dobrym ojcem. Mieliśmy małą córeczkę... umarła... może Tony opowiadał pani o tym.

— Tak, opowiadał — powiedziała miękko Paxton.

— Chyba jej śmierć była początkiem końca naszego małżeństwa. Tony był zupełnie załamany. W jego obecności nie mogłam uciec od tych strasznych wspomnień. A Tommy... on sprawił, że po- czułam się lepiej. — Tak, założę się, że tak, pomyślała złośliwie j Paxton. Choć, z drugiej strony, tkwiło w tym źdźbło prawdy. Tony przyznał, że rozpacz po śmierci dziecka po prostu go zjadała. Po przyjsciu na świat Joeya zupełnie oszalał na jego punkcie. Zona mogła poczuć się odsunięta, pozbawiona męzowskiej miłości. Barbara znalazła się w trudnej sytuacji. Jednak nie musiała szukać pocieszenia w ramionach rodzzonego brata swego męża. Dlatego właśnie Tony zaciągnął się do wojska i wyjechał do Wietnamu.

— Bardzo przepraszam, że przeszkodziłam — odezwała się Paxton.

— Tak... Zadzwonię do pani. — Barbara odłożyła słuchawkę, a Paxton spędziła resztę popołudnia w Metropolitan Museum. Po powrocie do hotelu zastała wiadomość od matki Joeya. Paxton natychmiast oddzwoniła i ku swej radości usłyszała, że może odwiedzić Joeya następnego dnia rano, w sobotę. Mały nie idzie do szkoły i będzie miał trochę czasu. Barbara nie dodała, że Tommy wściekł się na propozycję Paxton. Uznała jednak, że powinien się zgodzić ze względu na pamięć brata. Powiedziała mężowi, że Paxton jest dziennikarką „New York Timesa” i może narobić zamieszania wokół całej sprawy, jeśli nie pozwolą jej zobaczyć chłopca. Barbara podała Paxton przez telefon adres i doradziła, jak dojechać do ich domu. Następnego dnia rano Paxton wypożyczyła samochód i pojechała do Great Neck.

Czekała na nią cała rodzina łącznie ze starszą panią Campobello w czarnej sukni i trzema małymi dziewczynkami w różowych sukienkach. Wyglądały jak cukiereczki. W pewnym oddaleniu od nich stał wysoki, mocno zbudowany mężczyzna, który w trakcie powitania trzymał się na uboczu. Paxton nie mogła się zorientować, czy przypomina Tony’ego. Barbara przedstawiła swoją teściową Paxton, która zauważyła ogromne podobieństwo Tony’ego do matki. Kiedy Paxton podała jej rękę, starsza pani Campobello się rozplakała.

— Poznała pani mego chłopca w Wietnamie? — spytała po chwili drżącym ze wzruszenia głosem.

— Tak, poznałam go. — Paxton z trudem powstrzymywała łzy. Barbara z córeczkami wycofały się z ganku do domu. — Był dzielnym żołnierzem. Może pani być z niego dumna. — Gdy to mówiła, głos jej się łamał. — Był znany ze swej odwagi w całym Wietnamie. — Objęła matkę Tony’ego i delikatnie ją przytuliła.

— To moja wina... Powinnam była go powstrzymać, a nie zrobiłam tego.

— Nie mogła pani nic zrobić — pocieszyła ją Paxton, wiedząc, co czuje starsza pani. Jej też ciążyło poczucie winy. Od lat mówiła sobie, że przez nią zginął Peter i Bill, a teraz Tony... — On do nikogo me miał pretensji. Był szczęśliwy. — Pani Campobello wydmuchała nos i przytaknęła, a potem spojrzała na Paxton z zainteresowaniem.

— Pani była jego dziewczyną?

Paxton uśmiechnęła się, słysząc to określenie. Skinęła głową.

— Był wspaniałym mężczyzną i bardzo go kochałam. — Nagle uświadomiła sobie, że mówi o Tony’em w czasie przeszłym, a przecież nie wierzyła w śmierć Tony’ego, nie godziła się z nią. Łatwiej byłoby przyjąć ją do wiadomości.

— Jest pani śliczną dziewczyną — powiedziała matka Tony’ego. — Co pani tam robiła? — Pytała z ciekawości, choć w jej głosie słychać było ton dezaprobaty.

— Jestem dziennikarką. Byłam korespondentem wojennym. — Paxton uśmiechnęła się. — Na początku strasznie się kłóciliśmy. — Na te słowa pani Campobello uśmiechnęła się przez łzy.

— Ze mną też się kłócił. Gdy był mały, doprowadzał mnie do szaleństwa. — Nie to co Tommy, chciała powiedzieć, ale ugryzła się w język. Bóg już ją za to ukarał, ponieważ Tommy był wśród nich, a Tony nie.

W drzwiach pojawiła się Barbara Campobello, popatrzyła surowo na Paxton i powiedziała:

— Joey czeka w domu, jeśli chce pani tam z nim porozmawiać.

— Dziękuję, tak będzie dobrze — odparła Paxton i poszła za Barbarą do środka. Barbara na pewno była kiedyś bardzo zgrabna i ciągle jeszcze miała ładną twarz, ale sprawiała wrażenie kobiety nieustępliwej i rozczarowanej życiem. Na kanapie, ubrany w dżinsy, czystą koszulkę i czapkę baseballową siedział syn Tony’ego. Popatrzył na nią tak, jak zrobiłby to jego ojciec.

— Cześć — powiedziała cicho Paxton. Barbara dyskretnie się wycofała. — Nazywam się Paxton. Poznałam twojego tatę w Wietnamie. Prosił mnie, żebym cię odwiedziła, jeśli znajdę się kiedyś w tych stronach. Tak się złożyło, że przyjechałam na parę dni do Nowego Jorku. Pomyślałam sobie, że zobaczę się z tobą.

Joey pokiwał ze zrozumieniem głową. Bardzo przypominał Tony’ego.

— Czy pisze pani artykuł o tacie? Tak mówiła moja mama. — Paxton szybko potrząsnęła głową.

— Nie, Joey. — Chciała być uczciwa wobec niego, tak jak była uczciwa wobec Tony’ego. — Jestem tutaj, bo go kochałam. A on bardzo cię kochał., naprawdę. — Uśmiechnęła się przez łzy. — Ciągle go kocham. Kilka tygodni temu wróciłam z Wietnamu i chciałam się z tobą zobaczyć.

— Co się z nim stało? — Joey patrzył na nią z niemym oskarżeniem w oczach. — Jak został zabity?

— Nie wiadomo, czy w ogóle został zabity. Po prostu zaginął w czasie akcji. To znaczy, że była bitwa, a on się zgubił i nie wrócił. Być może żyje i dostał się do niewoli. Chociaż to nic pewnego.

— Ojej! — Joey był wyraźnie podekscytowany tym, co usłyszał. Miał osiem lat i Paxton uważała, że ma prawo poznać prawdę.

— Nikt nic nie wie. Podejrzewają, że nie żyje. Jest bardzo prawdopodobne, że mają rację. Ale nie są pewni.

Chłopiec spojrział jej prosto w oczy i zadał najtrudniejsze pytanie.

— A co pani sądzi?

— Co ja sądzę? — powtórzyła, zastanawiając się, czy powinna zwierzać się ze swych rozterek małemu chłopcu. Wreszcie się zdecydowała. Nie mogę ci wyjaśnić dlaczego, mogę się mylić, ale myślę, że on żyje. Po prostu czuję to... Może tak bardzo go kocham, że nie chcę, żeby umarł. Może dlatego tak mi się wydaje. — Chłopiec pokiwał głową, chłonąc każde jej słowo. Przysunął się bliżej.

— Czy ma pani jakieś zdjęcia taty? — Niestety, nawet o tym nie pomyślała.

— Mam, ale w hotelu. Przyślę ci odbitki. — Znowu kiwnął głową, zadowolony z takiego rozwiązania.

— Czy wraca pani do Wietnamu?

— Chyba nie.

— Tam musi być strasznie, prawda? — Przysunął się jeszcze bliżej.

Z nikim nie mógł rozmawiać o ojcu. Mama zachowywała się tak, jakby rozmowa o tacie była przestępstwem, babcia płakała na każdą wzmiankę o nim, natomiast ojczym od razu zaczynał wrzeszczeć.

— Raczej tak. — Paxton uśmiechnęła się do małego. — Ale nie cały czas. Od czasu do czasu dobrze się bawiliśmy. Dużo rozmawialiśmy o tobie — powiedziała, obserwując, jak chłopcu rozjaśniła się twarz. Miała wielką ochotę go uściskać.

— Naprawdę?

— Tak. Tony pokazywał mi twoje zdjęcie. Chciał się spotkać z tobą.

— Czy przyjedzie pani do mnie jeszcze raz? — zapytał Joey z nadzieją. Wyciągnął nieśmiało rękę, żeby dotknąć jej włosów, takich prostych i złotych, itak nie podobnych do włosów jego matki.

— Bardzo bym chciała, o ile twoja mama i ojczym nie będą mieli nic przeciwko temu.

Joey zrobił śmieszny minę i wyszeptał:

— On nie jest moim prawdziwym ojczymem. To mój wujek!

Paxton odpowiedziała również szeptem.

— Wiem! Twój tata mi o tym powiedział.

— Mówił ci wszystko, prawda? — Joey się roześmiał. Znalazł nowego przyjaciela. Paxton pogłaskała go po włosach i delikatnie dotknęła jego twarzy, a potem objęła ramieniem. Tak zastała ich matka Joeya.

— Gawędziliśmy sobie — oznajmiła Paxton, wdzięczna za to, że Barbara pozwoliła jej zobaczyć syna Tony'ego. — Mam zamiar przysłać Joeyowi kilka zdjęć jego ojca.

— Taak — mruknął chłopiec potwierdzająco i wziął Paxton za rękę. Wyszli wolno przed dom. Zanim się rozstali, Paxton wzięła go w ramiona i mocno uścisnęła.

— Pamiętaj, że twój tata bardzo cię kochał. — Joey pokiwał głową. Miał łzy w oczach.

Paxton tuliła go do siebie, pamiętając, jak się czuła, gdy zginął jej ojciec. Jednak nie powiedziała tego Joeyowi. — Zadzwoń znów do ciebie.

— Dobrze.

Wtedy zobaczyła Tommy'ego czającego się w pobliżu, obserwującego ją ukradkiem. Był to wysoki, ciemnowłosy mężczyzna, zupełnie niepodobny do swego brata. Nie podszedł, żeby się przywitać. Wrócił do garażu, do swych zajęć. Paxton podziękowała Barbarze raz jeszcze i ucałowała na pożegnanie matkę Tony'ego. Życzyły jej powodzenia, jakby ją dobrze znały. — Przyślę ci zdjęcia — obiecała ponownie chłopcu. Pomachał jej przyjaźnie na pożegnanie. Paxton zniknęła za rogiem, pogrążona w myślach. Jakie to smutne, że Jocy nigdy już nie ujrzy swego ojca.

Paxton zjawiła się w Paryżu w piękny wiosenny dzień. Miała za sobą wizytę w Waszyngtonie i wywiad z porucznikiem Calleyem. Porucznik stał się bolesnym symbolem wojny, utraty kontroli nad biegiem wydarzeń, eskalacji brutalności i spustoszenia, którego sprawcami, chcąc nie chcąc, byli amerykańscy żołnierze. Gdy Paxton analizowała rozmowę z porucznikiem, doszła do wniosku, że jest jej żal Calleya, innych żołnierzy uczestniczących w wojnie, żal z powodu tego, co się stało.

Paryż rozwiął trochę jej ponury nastrój. Znalazła urocze mieszkanie w pobliżu Sekwany. Często spacerowała samotnie wieczorami, rozmyślając o tym, jak bardzo jej obecne życie różni się od tego, które prowadziła w Sajgonie. Pozostały jej wspomnienia o miejscach, których już nie zobaczy, i ludziach, którzy odeszli na zawsze, oraz praca. Poświęcała jej cały swój czas. Codziennie przysłuchiwała się rozmowom pokojowym, przeprowadzała wywiady z czołowymi politykami takimi jak Kissinger i Le Duc Tho.

Wysłała Joeyowi odbitki zdjęć, a on odpisał jej swoim starannym pismem i przesłał podziękowanie. Od tej pory, co jakiś czas, Paxton posyłała mu z Paryża pocztówki.

Chłoneła wszystkie wiadomości z Wietnamu. W październiku straty Amerykanów znacznie zmalały, ale ciągle umierali ludzie i na pewno Paxton z ulgą przyjęłaby koniec wojny.

Próbowała dotrzeć do tych, którzy mogli coś wiedzieć o losie żołnierzy uznanych za zaginionych w akcji. Nadal nie było żadnych wieści o Tonym. Paxton powoli traciła nadzieję, choć w głębi duszy żywiła jeszcze przekonanie, że Tony żyje. Zrozumiała, że Tony będzie dla niej żył wiecznie. Pod koniec roku niemal dała się przekonać, że sprawa jest beznadziejna.

W listopadzie „Times” posłał ją do Fort Benning, w Georgii, na rozpoczęcie procesu porucznika Calleya. Proces okazał się bardzo przygnębiający. Pokazano wstrząsające zdjęcia i wysłuchano przerażających zeznań, które w końcu doprowadziły do skazania porucznika.

Po procesie Paxton pojechała odwiedzić brata, któremu, jak zwykle, niewiele miała do powiedzenia. Nie czyniła też już żadnych wysiłków w celu porozumienia się z Allison.

Z Savannah poleciała do Waszyngtonu na następny wywiad z Kissingerem. Stamtąd udała się do Nowego Jorku na spotkanie z redaktorem naczelnym „Timesa”. W wolnej chwili zadzwoniła do Joey’a i tym razem zaprosiła go na lunch. Chłopiec właśnie skończył dziewięć lat i stał się jeszcze bardziej podobny do Tony’ego. Paxton zabrała go do „Radio City Music Hall”, a przedtem zjedli razem lunch w „21”. Joey z ciekawością obejrzał miniatury samolotów wiszące nad barem. Kierownik sali, jak się okazało, zapalony czytelnik „The New York Timesa”, skojarzył nazwisko Paxton i starał się odgadywać każdą jej zachciankę, a Joeyowi podarował plecaczek z napisem firmowym „21”.

— To wspaniałe miejsce — zachwycił się chłopiec. Paxton uśmiechnęła się. — Myśli pani, że tacie by się tu podobało? — To było dla niego najważniejsze kryterium.

— Myślę, że bardzo by mu się podobało. Często rozmawialiśmy o powrocie do Nowego Jorku albo do San Francisco. Tam przedtem mieszkałam i chodziłam do college’u. — Ta informacja zrobiła na Joeyu wrażenie. Zażądał, żeby mu opowiedziała o studiach, a kiedy skończyli deser, popatrzył na nią niezwykle poważnie.

— Mój tata... mój drugi tata, to znaczy, no wie pani, mój wujek. — Paxton pohamowała wybuch śmiechu. Nie chciała urazić Joeya, ale cała sytuacja była wręcz groteskowa. Paxton wiedziała, że Tony też by się roześmiał. — On mówi, że to nieprawda, że mój tata żyje. On mówi, że nie żyje, a pani jest wariatką.

— Może ma rację. Bardzo możliwe, że ma, w obu przypadkach. — Paxton spróbowała się do niego uśmiechnąć. — Prawda jest taka, Joey, że nikt nie wie. I to właśnie oznacza „zaginiony w akcji”. Niektórzy żołnierze, którzy zaginęli, zostali odnalezieni w niewoli. Nie wiadomo, czy twój tata jest w rękach partyzantów. Nie ma go na liście jeńców wojennych. Nie

odnaleziono jego szczątków w pobliżu miejsca zaginięcia. Nikt nie wie, co się z nim stało. — Brak pewności zabijał.

— To znaczy, że może on żyje, prawda? — Znowu popatrzył na nią z nadzieją, ale po chwili zastanowienia ponownie przygaś.

— Ale mój tata... mój wujek... Mówi, że tata nie żyje. Paxton, czy pani myśli, że to prawda?

— Nie — powiedziała z mocą, potrząsając głową i patrząc mu prosto w oczy. — Nie, Joey, nie sądzę. — Potem wzięła go za rękę i mocno uścisnęła, znowu uświadamiając sobie, jak bardzo Joey przypomina Tony'ego.

Rozdział XXVIII

Cały rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty pierwszy Paxton spędziła bardzo pracowicie. Większość czasu przebywała w Paryżu. Nadal wielkie nadzieje łączyła z rozmowami pokojowymi, które się tu odbywały. Uważała, że zbliża się koniec wojny, i to przekonanie znajdowało odbicie w jej korespondencjach i relacjach. Jednak wojna nadal trwała, a żołnierze w Wietnamie zaczęli się niecierpliwić. Coraz częściej zdarzały się przypadki niesubordynacji oraz samookaleczenia. Szeregowcy detonowali granaty rozpryskujące, żeby niby przypadkowo, przez pomyłkę, ranić swoich oficerów. Takie wypadki zaczynały się rozpowszechniać. Również problemy rasowe stanowiły punkt zapalny. W lutym armia potudniowowietnamska zaczęła działania w rejonie Laosu, mając na celu zniszczenie części szlaku Ho Chi Minha. Nadal nie było żadnych wiadomości o losie Tony'ego.

W marcu Paxton wróciła do Stanów na zakończenie procesu Calleya. Była świadkiem skazania porucznika. W Waszyngtonie obserwowała ogromną demonstrację pod hasłem „Weterani Wojny Wietnamskiej przeciwko Wietnamowi”, w czasie której niektórzy jej uczestnicy rzucili swe odznaczenia wojenne na stopnie Kapitolu. Paxton sporządziła relacje dla „Timesa”, a potem wróciła do Paryża.

Nadal przebywała w Paryżu, gdy Daniel Ellsberg opublikował w czerwcu „Dokumenty Pentagonu”. W lipcu Nixon zapowiedział podróż Kissingera do Chin. W październiku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego roku Thieu został ponownie wybrany na prezydenta Wietnamu Południowego. W grudniu Paxton mogła z radością poinformować czytelników, że na skutek rokowań pokojowych liczba amerykańskich wojsk w Wietnamie została zmniejszona do stu czterdziestu tysięcy. Nadal nic się nie zmieniło w życiu osobistym Paxton. Nie natrafiła na żaden ślad Tony'ego Campobello. Ta świadomość była przytłaczająca. Upłynęło za dużo czasu. Paxton nie mogła już dawać Joeyowi zbyt wiele nadziei. Mimo to podczas rozmów telefonicznych, jakie od czasu do czasu odbywali, zapewniała chłopca, że jego ojciec żyje.

Paxton skończyła dwadzieścia pięć lat. Wypiękniała jeszcze bardziej i miała ogromne powodzenie. Nie zwracała na to uwagi. Pochłaniała ją praca dziennikarska. Przywiązała się bardzo do małego chłopca mieszkającego w Great Neck. On był teraz jej jedyną miłością. Reszta była już tylko wspomnieniami, utrwalonymi na fotografiach, które trzymała na stole w salonie. Peter... Bill... Ralph... France... Pax... An... i oczywiście Tony. Cała galeria ludzi, których kochała i utraciła na zawsze, w miejscu, do którego już nie wróci, a do którego tęskniła. Odnosiła sukcesy zawodowe i była zadowolona, w miarę usatysfakcjonowana. Zdążyła zapomnieć, jak smakuje szczęście. Ciągle brakowało jej Tony'ego. Rubinowy pierścionek nadal tkwił na jej palcu.

Początek tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku nie przyniósł zakończenia wojny. Rozmowy pokojowe prowadziły donikąd. W marcu siły północnowietnamskie przekroczyły strefę zdemilitaryzowaną i zaczęły posuwać się na południe wzdłuż autostrady numer 1, siejąc postrach i zniszczenie. W maju drogi były pełne uciekinierów i żołnierzy. Armia południowowietnamska okazała się słabym przeciwnikiem. Ginęli cywile, palono dzieci, zabijano kobiety. Zdjęcia, które Paxton oglądała wraz z resztą świata, były przerażające.

Druga fala ataków zniszczyła Środkową Wyżynę. Była kolejnym dowodem przewagi Północy. Amerykanie starali się przerzucić ciężar wojny na armię południowowietnamską, a ta zdecydowanie przegrywała.

Trzeci atak nastąpił w kwietniu, w pobliżu granicy z Kambodżą, na północ od Sajgonu. Trzy tysiące żołnierzy Viet Congu uderzyło na An Loc i przejęło kontrolę nad całą prowincją. Zaczynało być jasne, że „wietnamizacja” Wietnamu to żart, ponury żart, który drogo kosztował i z którego nikt w Wietnamie się nie śmiał.

W połowie kwietnia Nixon wyraził zgodę na ataki bombowe terenów w pobliżu Haiphongu i Hanoi. Po raz pierwszy od dwóch lat Paxton cieszyła się, że nie została w Wietnamie. Zaczynało być wątpliwe, czy ktokolwiek przeżyje tę wojnę, która zamieniała się w wielką rzeź. Paxton mogła więcej zdziałać tu, w Paryżu. Coraz bardziej martwiła się o Tony’ego. Sytuacja jeńców amerykańskich stawała się groźna. Paxton cały czas miała wewnętrzne przekonanie, że Tony ciągle znajduje się wśród żywych.

Jedynym wydarzeniem, które przyciągnęło jej uwagę po upadku Quang Tri w maju, to aresztowanie w czerwcu pięciu ludzi, którzy wtargnęli do kompleksu Watergate w Waszyngtonie. Ta sprawa była w Stanach na ustach wszystkich. Paxton napisała na ten temat zabawny artykuł wstępny, który został zamieszczony w „Timesie”. Tekst ten zebrał wiele pochlebnych ocen. Powoli Paxton stawała się kimś w rodzaju gwiazdy na firmamencie dziennikarskim. Nie zwracała na to uwagi. Uwielbiała swoją pracę, ale nie dbała o rozgłos. Celem jej życia było informowanie ludzi, demaskowanie kłamstw i obłudy. Koledzy po fachu, żartem, ochrzcili ją zagorzałą krzewicielką prawdy. Nie interesowała jej sława. Liczyło się tylko to, co pisała, i co mogło mieć choć minimalny wpływ na bieg wydarzeń.

Przełom w rozmowach paryskich nadszedł wreszcie w październiku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku jako rezultat spotkania Kissingera i Le Duc Tho, chociaż niewielu zdawało sobie z tego sprawę. Dwudziestego pierwszego października władze Wietnamu Północnego przyjęły projekt traktatu pokojowego. W ciągu pięciu dni Kissinger obwieścił osobiście z Białego Domu, że „pokój jest w zasięgu ręki”. Jednak prezydent Thieu z Wietnamu Południowego odmówił podpisania porozumienia, nie zgadzając się, żeby oddziały Północy zostały na terenie Południa.

W niespełna dwa tygodnie później Nixon wygrał wybory bardzo niewielką przewagą głosów. Dwa tygodnie po wyborach prezydent

Thieu zażądał sześćdziesięciu dziewięciu poprawek w porozumieniu, które mogło przynieść pokój Wietnamowi. Paxton i inni dziennikarze załamali się, słysząc tę wiadomość. Sytuacja ponownie stała się beznadziejna.

Rozmowy przerwano i wznowiono je dopiero w grudniu. W tym czasie Amerykanie bombardowali cele wojskowe i obiecali, że dołożą starań, by ludność cywilna nie była dotknięta działaniami wojennymi. Hanoi stało na stanowisku, że wznowi rokowania, jeśli ustaną bombardowania. Wstrzymano je na jeden dzień w święta Bożego Narodzenia. Hanoi ponownie zażądało zaniechania nalotów. Trzydziestego grudnia raz jeszcze przerwano bombardowania i ponownie rozpoczęto rokowania. Bob Hope po raz ostatni pojechał do Wietnamu organizować przedstawienie świąteczne. Paxton nie zwracała sobie głowy występami. Była całkowicie pochłonięta przebiegiem rozmów paryskich i zdobywaniem informacji na temat Wietnamu od wysoko postawionych osób, niektórych nawet z

Waszyngtonu. Wielką przyjemność sprawił jej telefon od Joeya, który zadzwonił w Wigilię. Chłopiec miał się dobrze. Rozmowa z nim podbudowała Paxton, gdyż wyznał jej przyciszonym głosem, że za nią tęskni. Była jego wyjątkowym przyjacielem, kumplem od serca — aniołem stróżem, przysłanym przez prawie nie znanego mu ojca.

Wreszcie 8 stycznia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku Kissinger i Le Duc Tho podjęli poważne decyzje w Paryżu, na dzień przed sześćdziesiątymi urodzinami Nixona. Dokładnie tydzień później ambasador USA w Sajgonie, Ellsworth Bunker, zapowiedział prezydentowi Thieu, że jeśli ten natychmiast nie podpisze dokumentów pokojowych, Stany Zjednoczone nie udzielą dalszej pomocy jego krajowi.

W rezultacie wstrzymanie ognia nastąpiło niespełna dwa tygodnie później, dwudziestego siódmego stycznia, pięć dni po śmierci Lyndona Johnsona. Nixon zażądał natychmiastowego zwolnienia wszystkich amerykańskich jeńców i obiecał, że wycofa amerykańskie wojska z Wietnamu w ciągu sześćdziesięciu dni, licząc od marca. W Paryżu Paxton z niedowierzaniem przyjmowała do wiadomości te nowiny i modliła się w duchu, żeby jeńcy zostali zwolnieni jak najszybciej i że któryś z nich będzie coś wiedział o Tonym. Jeśli i ta możliwość nie wypali, będzie trzeba uznać go za zmarłego. Już bez mała trzy lata czekała na znak życia od Tony’ego. To było ponad jej siły. Doszła też do wniosku, że nie powinna wiecznie zwodzić Joeya. Chłopiec tęsknił za ojcem, którego nie było i którego prawdopodobnie nigdy nie będzie. Należało raczej przyzwyczajając go do myśli, że ma ojczyma. W końcu był to brat Tony’ego. Paxton wiedziała, że ojczym nie lubił chłopca. Podejrzewała, że wywoływał w nim poczucie winy. Domyślała się, że Tommy już od początku romansu z bratową zdawał sobie sprawę, że nie postępuje właściwie.

Trzeciego lutego tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku ogłoszono, że od początku wojny w Wietnamie poległo ponad pięć tysięcy amerykańskich żołnierzy. Paxton bolało serce na myśl o Peterze, Billu i Tonym. Czasami trudno jej było rozgraniczyć to, co czuła jako kobieta i jako dziennikarka. Gdy usłyszała, że dwunastego lutego zostali zwolnieni pierwsi amerykańscy jeńcy, położyła się na łóżku i płakała, wiedząc, co to musi oznaczać dla nich i dla ich żon. Wreszcie byli wolni od koszmaru, przemocy i wizji śmierci.

Paxton przebywała w Paryżu, pracując nie tylko nad artykułami dla „Timesa”, ale także nad książką o Wietnamie. Pewnej nocy zatelefonował jej szef z Nowego Jorku i polecił Paxton dołączyć do transportu wojskowego lecącego do Manili.

Ale dlaczego? Dlaczego ja? — cisnęło się jej na usta. Trzy lata zajęło jej ukojenie bólu, trzy lata walczyła z nocnymi koszmarami o okaleczonych dzieciach wędrujących ulicami Sajgonu. Czy naprawdę właśnie ona musiała witać jeńców wracających do domu? Patrząc w twarze ludziom, którzy dopiero co opuścili Wietnam? Sprawić, by ożyły bolesne wspomnienia? Jeńcy wojenni lecieli do Clark Field na Filipinach. Miała dwa dni, żeby tam dotrzeć.

— Czy to rozkaz, czy prośba? — zapytała zmęczonym głosem. W Paryżu minęła północ.

— I jedno, i drugie — odparł uprzejmie szef, a Paxton westchnęła. Znowu się zaczynało. Nadzieja. Modlitwy. Pragnienie, żeby ktoś coś wiedział o Tonym.

— W porządku — powiedziała po krótkiej chwili.

— Dziękuję. Doceniam to. — Szef spodziewał się, że Paxton się zgodzi. Miała Wietnam we krwi. Nie potrafiła i nie chciała zapomnieć. Nie mogła zobojętnieć.

Rozdział XXIX

Paxton poleciała z Paryża do Wiesbaden w

Niemczech J i tam przesiadła się do wojskowego samolotu. Wyładowali w Manili na osiem godzin przed przybyciem jeńców. Stała w tłumie żon i dzieci. Patrzyła na otaczające ją twarze, robiła notatki i rozmyślała.

Dzieci nie mogły dobrze pamiętać swych ojców. Zdawała sobie sprawę, jak straszne to musi być i dla nich, i dla rodziców.

Już od jakiegoś czasu pogodziła się z utratą Tony'ego. Bez względu na wewnętrzne przekonanie i pragnienie, by ocalał. Musiała przyjąć do wiadomości stan faktyczny. Powiedziała o tym Joeyowi.

Oczekujące swych mężczyzn kobiety mówiły o tym, jak z roku na rok wpatrywały się jedynie w fotografie, żyły strzępami wiadomości, okruchami relacji żołnierzy, którzy cudem wydostali się z tego piekła lub dzięki przypadkowi uciekli z niewoli. Chociaż wiedziały, że mężowie żyli, ledwie przetrzymały w stałej niepewności ten koszmarny czas. Jaki był koszt? Jaką cenę zapłaci, rodzina? — to już inne pytania.

Paxton nie podjęła rozmowy z żadną z kobiet, nie wtrącała się, nie czyniła uwag. Na razie czekała wraz z nimi i słuchała. Później poprosi je o udzielenie wywiadu, porozmawia z ich mężami. Obiecała sobie, że nie ulegnie emocjom, że zachowa dziennikarski dystans. Jednak na widok jeńców opuszczających samolot zaczęła łkać prawie tak głośno, jak pozostałe kobiety. Byli wychudzeni, powłóczyli nogami, wystraszeni, z zaczerwienionymi oczami i skołtunionymi włosami, stawy mieli spuchnięte od bicia, nogi się pod nimi uginały. Słaniali się, ale podtrzymywali się nawzajem, a na ich twarzach malowała się durna, gdy pozdrawiali swe rodziny. Było to zwycięstwo wolności i miłości, a także zdolności przetrwania.

Było to bardzo emocjonujące popołudnie. Paxton wylała prawie tyle samo łez, co rodziny uwolnionych jeńców. Ale dla niej nie było ukojenia. Nie było jej dane uściskać ukochanego, przytulić go, pocieszyć. Jak można było przeżyć osobno i z dala tyle lat? Jak można było nie stracić nadziei? I co można sobie powiedzieć, teraz, już po wszystkich? Znała Vietnam i fakt, że oni ocaleli zakrawał na cud.

Następnego dnia zbierała wywiady. Poczekała, aż odpoczęli w towarzystwie żon i dzieci. Dołączył do niej fotograf. Paxton czuła się wyczerpana i przygnębiona. W pewnym momencie doznała olśnienia. Oto rozmawiała z jednym ze szczurów tunelowych z bazy Cu Chi, który dostał się do niewoli niedługo przed tym, nim Tony został uznany za zaginionego w akcji. Paxton z trudem trzymała długopis w drżących palcach. Nie była w stanie zapisywać tego, co mówił jej rozmówca. Spędził w niewoli trzy lata. Właśnie od trzech lat Tony nie dawał znaku życia.

Ja... — Głos jej się trząśił, podobnie jak ręce. — Chciałam zapytać pana o coś, ale to nie jest dla prasy. — Żołnierz spojrzał na nią nagle przerażony, jakby spytała go o coś, co mogłoby rzucić cień na niego lub jego rodzinę. — Czy spotkał pan kiedyś sierżanta Tony'ego Campobello, gdy był pan w bazie Cu Chi? — Jeniec skinął głową, zastanawiając się, o co może chodzić. Czyżby Campobello był wrogim agentem?

— Dlaczego pani pyta?

— Kochałam go... Przebywałam wtedy w Sajgonie — powiedziała z trudem. Wróciła przeszłość, a wraz z nią ból. — Został uznany za zaginionego w akcji krótko po tym, jak pan dostał się do

niewoli... Już od trzech lat nie ma o nim żadnych wiadomości... Po prostu pomyślałam sobie... Byłam ciekawa, czy pan... — Zaczęła płakać. Nienawidziła się za słabość. Ci ludzie przeszli wystarczająco dużo i byli ponad miarę obciążeni. Jeniec wyciągnął rękę i dotknął jej dłoni swymi wykrzywionymi, połamanymi palcami. Ta dziewczyna była teraz jego siostrą... przyjacielem... dzieckiem... Gdy zaczął mówić, Paxton podniosła głowę i popatrzyła na niego przez łzy.

Wszystko, co mogę pani powiedzieć, to, że żył jeszcze dwa lata temu. Przywieźli go do obozu, w którym wtedy byłem. Nie wiem nawet, jak się to miejsce nazywało. Byłem bardzo chory, gdy tam przybyłem — cicho wyrzucał z siebie kolejne zdania.

— Czy wie pan, gdzie on teraz jest? — zapytała tym samym, przyciszonym tonem.

— Nie... Ale był tam. Znałem go z Cu Chi... Był silny... i żył, kiedy go złapali. To wszystko, co wiem. Powinna pani zapytać Jordana. Też tam był i sądzę, że go znał.

Z Jordanem udało się jej porozmawiać trzy dni później. Nie miał dla niej dobrych wiadomości. Tony był jednym z trzech jeńców, którzy uciekli, i Jordan był pewien, że wszyscy trzej zostali wtedy zabici. Wprawdzie przez krótki czas mówiono, że przyniesiono z powrotem do obozu tylko dwa ciała, ale nie miał pewności. Twierdził, że nikt nie mógł ujść przed ich psami, karabinami, pułapkami i włóczniami. Tony na pewno musiał zginąć. W ciągu ostatnich dwóch lat ich ścieżki nigdy się ponownie nie skrzyżowały i nigdy już nie słyszał jego nazwiska. Jordan uważał, że Tony nie żyje. Gdy jej to mówił, płakał. Paxton też płakała.

To był dla niej okropny tydzień. Brutalny czas stawania twarzą w twarz bólem, śmiercią, nadzieją i rozpaczą. Wysłuchiwała tylu opowieści jeńców o okrucieństwie Wietnamczyków z Północy! To były nie kończące się historie. Żony musiały wykazać się odwagą. Wreszcie kiedy było już po wszystkim i Paxton wróciła do Francji, czuła się tak, jakby razem z żołnierzami przebywała w niewoli. To było ponad jej siły, ale artykuł, który powstał w rezultacie tych przeżyć, okazał się bardzo interesujący i zebrał pochwały. Zaczęto

go

— Wygiąda na to, że już niedługo wracam na dobre i tutaj będę pracować dla „Timesa”. Prawdopodobnie w końcu marca, kiedy wycofają ostatnie oddziały. To już nie potrwa długo. Joey wyglądał na uszczęśliwionego.

— Może twoja mama zgodzi się, żebyśmy razem wyjechali gdzieś na weekend. Jak sądzisz?

— Pewnie. — On już to załatwi, bez względu na trudności. Potem, już w lepszych nastrojach, poszli na lunch. Spokojni, ale smutni. Ostatecznie pozwolili Tony’emu odejść ze swego życia.

mówić, że Paxton pewnego dnia zdobędzie Nagrodę Pulitzera. Pierwszego marca Paxton poleciała do Nowego Jorku, żeby zobaczyć się z synem Tony’ego i przekazać mu to, co usłyszała od dwóch zwolnionych jeńców. Wyglądało na to, że nie ma już ucieczki od bolesnej pewności, że Tony nie żyje.

Przed lunchem wybrali się na długi spacer po Central Parku, i w końcu usiedli na ławce. Joey miał teraz jedenaście lat. Był w tym samym wieku co Paxton, kiedy zginął jej ojciec. Miała nadzieję, że udźwignie to, co miała mu do zakomunikowania.

— Przykro mi, Joey. — Łzy napłynęły jej do oczu. — Sądziłam, że gdyby żył, gdyby nie został zabity tego dnia, to wytrzymałby. Był taki silny, inteligentny..., dobry... — Paxton zabrakło słów. Objęła syna Tony’ego i przytuliła mocno do siebie. Płakali oboje.

— Teraz w to nie wierzysz? — zapytał z bólem. Paxton kiwnęła twierdząco głową. Dla jego, jak i dla jej dobra. Ciężko było porzucić nadzieję, ale wiedziała, że musi to zrobić.

— Tak, wierzę w to, Joey. Musimy wierzyć. On zginął. — Stracili po raz drugi. Tym razem ostatecznie, nieodwołalnie.

— Co teraz? — zapytał smutno chłopiec, trzymając ją za rękę.

— Nie wiem... — Znowu czuła się zagubiona. Prawie tak samo jak trzy lata temu. Inne kobiety odzyskały swych mężów, a ona nie.

— Zachowamy go na zawsze w pamięci... Będziemy o nim myśleć, będziemy pamiętać o rzeczach poważnych i o głupstwach... Będziemy go kochać.

— A co z tobą? — Wiedział, że czekała na jego tatę, ale co zrobi teraz? — Myślisz, że wyjdiesz za męża za kogoś innego? — zapytał Joey ze zmartwioną miną. Może za kogoś, kto nie pozwoli jej się z nim widywać.

Paxton umiała czytać w jego myślach. Przytuliła go mocniej do siebie.

— Nie, nie wyjdę. Chyba że ty obiecasz szybko dorosnąć. Wiesz, że mogę na ciebie poczekać.

— Co my teraz zrobimy? Czy wracasz do Paryża? — Tęsknił za nią. Nawiązały się między nimi szczególne więzi. Był synem jej ukochanego, krwią z jego krwi. Był także dzieckiem, którego nie miała.

Rozdział XXX

Ostatnie oddziały amerykańskie opuściły Wietnam 29 marca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku, a trzy dni później, 1 kwietnia, ostatni amerykański jeńiec został uwolniony w Hanoi. Paxton ostatecznie pożegnała Paryż. W Nowym Jorku za

mieszkała na razie w hotelu Algonquin. Gdy następnego dnia zjawiła się w redakcji, me mogła uwierzyć własnym uszom. Kazano jej polecieć do San Francisco i przeprowadzić wywiady z jeńcami wojennymi przybywającymi do Presidio. Zdecydowanie odmówiła. Przytoczyła szereg argumentów, które w gruncie rzeczy nie były istotne, z czego oboje, zarówno ona, jak i szef, zdawali sobie sprawę. W końcu Paxton zwróciła się wprost do redaktora naczelnego, oznajmiła, że bez względu na konsekwencje i tak nie pojedzie, bo jest to po prostu zbyt dla niej bolesne, do cholery.

Przez resztę dnia zostawili ją w spokoju. O szóstej redaktor naczelny zadzwonił do niej i błagał, żeby pojechała. Wreszcie wsiadła w samolot do San Francisco. Następnego dnia zdążyła na moment lądowania samolotu w bazie lotniczej w Trayis. Historia się powtarzała. Podobną scenę obserwowała sześć tygodni temu w Manili. Wiedziała, co ją czeka i ile za to zapłaci. Tym razem starała się przygotować. Zebrała siły, żeby udźwignąć ciężar wyznań żon, mężów i dzieci. Przewidywania Paxton sprawdziły się co do joty. Gdy zbierała materiały, nagle odżyła znajoma historia o ucieczce trzech więźniów. Paxton, wbrew sobie, zaczęła zadawać te same pytania, co tamtym jeńcom. Tym razem odpowiedzi różniły się od poprzednich. Na pewno trzech jeńcy uciekli. Wcześniej udało się uciec dwóm innym. Pozostali, którzy próbowali, zostali zabici, raz siedmiu jeńców, potem czterech i dwóch. Ale niektórym się udało, a z tych trzech, jeden uciekł na pewno. Dwóch zabito, ale jeden nigdy nie wrócił.

— Kim on był? — zapytała zduszonym głosem, żałując, że w ogóle tu przyjechała. Nie miała siły znowu tracić nadziei. Pochowała już Tony'ego w swym sercu, dlaczego więc jej na to nie pozwalają? — Czy wie pan, kto to był?

— Nie jestem pewien. — Nie dopisywała mu pamięć. Poddawano go najprzeróżniejszym torturom. Obcięto mu oba kciuki i o mało nie stracił nóg z powodu gangreny. Jak, do diabła, miał teraz pamiętać, kto ucieki i kto przeżył.

— Wiem, że był z bazy Cu Chi... Szczur tunelowy... Ale nie jestem pewien, jak się nazywał. Może przypomniabym sobie, gdybym usłyszał jego nazwisko — powiedział przepraszająco, a Pax- ton poczuła wyrzuty sumienia, że tak go naciska.

— Tony Campobello? — wyszeptwała.

— Tak! — Wpatrywał się w nią zdumiony. — To on! — Był zaskoczony, że znała to nazwisko. — Uciekł... och, nie wiem... Może osiemnaście miesięcy temu... Może dwa lata temu... Teraz nie jestem pewien. Wiem, że mu się udało. — Paxton ledwie trzymała się na nogach.

— Skąd pan to wie?

— Nie przyniesiono z powrotem jego ciała i... — lekko się zmieszał — powiedział mi jeden ze strażników.

— Czy nie okłamał pana?

— Nie sądzę. Zazwyczaj nie przyznawali się, że ucieki im jeniec, więc jeśli tak powiedzieli, to prawdopodobnie tak właśnie było. Torturowali jednego z pozostałych, żeby dać wszystkim nauczkę.

— Czy wie pan, gdzie on mógł się udać?

— Bardzo mi przykro, ale nie wiem. Chyba na południe, jeśli był w stanie... Może ciągle się ukrywa gdzieś w centrum kraju. Jeśli był szczurem tunelowym, posiadał doświadczenie i nie brakowało mu

sprytu. Może jeszcze żyje. — Może... i co wtedy? I co ona ma teraz powiedzieć Joeyowi? Ze jego ojciec „może” żyje gdzieś w centrum Wietnamu? Czy że może zginął w jakimś tunelu lub jakiejś dziurze czy w pniu drzewa? Podziękowała jeńcowi, szybko zakończyła przeprowadzanie wywiadów i cała odrętwiała wróciła do Nowego Jorku.

Następne trzy dni spędziła w pokoju hotelowym. Nie wychodziła i z nikim nie rozmawiała. Musiała się zastanowić, przetrwać to, co usłyszała. W poniedziałek podjęła decyzję.

Odbyła rozmowę z redaktorem, a on z początku powiedział Paxton, że zwariowała. Po chwili Paxton go przekonała. Była tam już przedtem i dobrze zna ten kraj. Teraz, gdy wojska się wycofały, zostali dziennikarze, personel medyczny, kilku zagranicznych biznesmenów. Ktoś musiał tam zostać. Nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Musiała wrócić i zostać, dopóki nie znajdzie odpowiedzi na swe pytania, bez względu na to, jak dużo czasu jej to zajmie i czym to się skończy.

W końcu szefowie się zgodzili. Nie mieli wyboru. Mogli albo stracić znakomitą dziennikarkę, albo pozwolić jej jechać z ich błogosławieństwem, więc przystali na wszystko.

W weekend wybrała się na długi spacer z Joeyem. Oznajmiła, że wraca do Wietnamu, żeby znaleźć Tony’ego lub też jego szczątki czy kogoś, kto będzie mógł jej powiedzieć z całą pewnością, co się z nim stało. Wspomniała chłopcu o informacjach, przekazanych przez jeńców. Miał prawo wiedzieć, a ona musiała mu powiedzieć.

— Wiesz, mama i tata uważają, że jesteś szalona. — Uśmiechnął się do niej, choć sam też się nad tym zastanawiał, ale wiedział, że ją kocha.

Chłopiec pokiwał głową, martwiąc się teraz o jej wyjazd. Chciał, żeby wróciła cała i zdrowa.

— Na jak długo jedziesz?

— Nie wiem. Nie chcę ci niczego obiecywać. Będę do ciebie pisać i, jeśli będę mogła, zadzwonię. Wrócę do domu, kiedy zbadam wszystkie możliwości, prześlę wszystkie ślady, nie wcześniej.

Joey złapał ją mocno za rękę i przytrzymał.

— Uważaj na siebie, Pax... Nie pozwól, żeby ci się coś stało, tak jak tacie.

— Nic mi się nie stanie — obiecała. Pochyliła się i pocałowała chłopca we włosy, a potem pogłaskała go po głowie. — Nie jestem taka odważna jak on.

— Ty też tak myślisz? — Spytała z uśmiechem.

— Czasami, ale dla mnie jesteś w porządku.

— Dzięki. Prawdę mówiąc, mnie też czasami się wydaje, że muszę być stuknięta, skoro tam wracam. Chyba nigdy nie spocznę, zanim się nie dowiem czegoś pewnego. Przez krótki czas byłam przekonana, że już coś wiemy. Teraz mam wątpliwości. Ten facet był zbyt pewny siebie. Chyba wymyślił tę historię.

— Naprawdę wierzysz, że tata może jeszcze żyć? Zaginął trzy lata temu. — Nawet Joey był sceptycznie nastawiony.

— Po prostu już nic nie wiem, Joey.

Rozdział XXXI

Samolot kołował nad lotniskiem w Tan Son Nhut. Z góry wszystko wyglądało tak samo. Dopiero na dole okazało się, jak wiele się zmieniło. Ziemię znaczyły ślady po bombach. Na ulicach Sajgonu wyległo więcej bezdomnych, osieroconych, żebrzących dzieci. Ich ojcowie wrócili do swego kraju, matki zostały albo nie chciały ich znać. Krążyło masę prostytutek, otwarcie handlowano narkotykami, wiele domów zmieniło się w ruinę. Nawet hotel Carayelle wyglądał jakoś gorzej niż przedtem, chociaż nadal pamiętano tam Paxton i bardzo mile ją powitano. Tym razem dostała inny pokój, z czego była bardzo zadowolona. Nie mogłaby znieść przebywania w tym pokoju, który kiedyś dzieliła z Tonym.

Biuro prasowe mieściło się w tym samym budynku i Paxton spostrzegła kilka znajomych twarzy.

Zaczęła od nawiązywania kontaktów z ludźmi, których powinna poznać, i ku swemu zdziwieniu poczuła się znowu jak w domu. Jednak zewsząd otaczały ją wspomnienia, a poza tym zbyt długo przebywała na Zachodzie. Dużo częściej spędzała bezsenne noce. Nie była skora do podejmowania ryzyka. Nabrała doświadczenia i mądrości życiowej. Pod tym względem bardzo się zmieniła. Wypuszczała się w teren w wynajętych samochodach, czasami z kierowcą albo fotografem z biura prasowego. Wszędzie, w każdym miasteczku, w każdej wsi, w każdej chacie, pytała o Tony'ego. Ale nikt go nie widział. Jednak była przekonana, że jeśli wystarczająco długo będzie się rozpytywać, w końcu, jeśli oczywiście żyje, ktoś go rozpozna. Może bał się ujawnienia, może był kaleką, nie mógł o własnych siłach pokonać dalekiej drogi? Przekonała się na własne oczy, jakie ogromne zniszczenia poczyniły wojska Północy i amerykańskie bombardowania. Uświadomiła sobie, jak trudno byłoby przeżyć i ukryć się niezauważenie.

W kwietniu do Sajgonu przybył Graham Martin, żeby zastąpić Ellswortha Bunkera na stanowisku ambasadora. A w czerwcu, w Stanach, wybuchła afera Watergate. W lipcu Senat zaczął rozważać możliwość bombardowania Kambodży, ale w sierpniu zrezygnowano z tego posunięcia. Osiem dni później Nixon mianował Kissingera na stanowisko sekretarza stanu na miejsce Rogersa. Lato upłynęło w Wietnamie spokojnie. Cały czas padało, a mimo to Paxton dalej jeździła po całym kraju, pokazując zdjęcie Tony'ego, pytając, czy ludzie go nie widzieli. W rezultacie nabawiła się zapalenia płuc.

We wrześniu, gdy poczuł się lepiej, znowu rozpoczęła poszukiwania. Każdego tygodnia wysyłała relację ze swoich poczynań Joeyowi. Nawet jej całe przedsięwzięcie zaczynało wydawać się trochę szalone. W Wietnamie nic nie było zwyczajne.

W październiku Agnew złożył dymisję jako wiceprezydent, a w listopadzie Kongres przegłosował weto Nixona wobec ustawy, która ograniczała uprawnienia prezydenta do prowadzenia wojny. Kongresmeni nie chcieli, żeby ta sama sytuacja powtórzyła się kiedyś w przyszłości. Amerykanie przegrali w Wietnamie i teraz woleli dobrze się zastanowić, zanim rozpoczną podobną interwencję. Kongres chciał utrzymać kontrolę nad posunięciami prezydenta już na stałe.

Paxton spędziła święta Bożego Narodzenia w Sajgonie. Minęło osiem miesięcy od jej przyjazdu. Powiedziała sobie, że wróci do domu, jak tylko dowie się czegoś konkretnego albo po roku, jeśli nie znajdzie żadnych śladów. Ale gdy minął rok, ktoś rozpoznał zdjęcie Tony'ego i to dodało jej sił do dalszych poszukiwań. Stara chłopka z Północy powiedziała, że znalazła go w lesie i dała mu jedzenie, a potem zabrali go żołnierze. Więc ponownie wzięli go do niewoli, ale kiedy i gdzie, i co się wtedy stało? Paxton postanowiła nie dzielić się tymi rewelacjami z Joeyem. Nie było sensu. Nie ustawała w poszukiwaniach.

Trzy miesiące później, w sierpniu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego roku, Nixon złożył urząd, a prezydentem został Ford. „Tinies” wzywał Paxton do powrotu, a ona odmówiła. Przesyłała znakomite teksty z Wietnamu i najwyraźniej nie była zainteresowana żadnym innym tematem.

Jej brat położył już na niej krzyżyk, a Ed Wilson, czytając jej artykuły, nie mógł przestać się dziwić. To, co pisała, było bardzo interesujące, ale wydawało się, że przerodziło się w obsesję Wietnamem i wojną. Nawet Joey zaczynał mieć wątpliwości. Może po prostu podobało jej się tam, a może nie potrafiła pogodzić się z faktem, że jego ojciec zginął, może była tak szalona, jak to sugerowali jego rodzice. Joey nie widział Paxton prawie od dwóch lat, ale, jak czasami zwierzał się babci, ciągle za nią tęsknił. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek wróci, lecz nie był już tego pewien. Miał prawie trzynaście lat. Jego ojciec zginął na wojnie pięć lat temu, ale przecież zostawił go przed dziesięciu laty. To szmat czasu. Paxton nie wydawała się skora do rezygnacji, bez względu na konsekwencje.

Od czasu do czasu ktoś rozpoznawał Tony’ego na zdjęciu. Jednak Paxton nie była pewna, czy ludzie mówili prawdę, czy kłamali, czy oczekiwali napiwku albo nagrody, albo też po prostu chcieli jej zrobić przyjemność. Napisała do „Timesa” artykuł, w którym bez ogródek informowała, że Wietnam Południowy znalazł się w poważnych tarapatach. Wspomniała o Amerykanach po cichu obiecujących wywieźć milion ludzi z Wietnamu Południowego, zanim wpadną w ręce komunistów, co z pewnością niedługo nastąpi. Paxton wiedziała, że kiedy to się stanie, będzie musiała wrócić do Stanów i zostawić tu Tony’ego, żywego bądź umarłego. Będzie musiała wyjechać i zrezygnować z odnalezienia Tony’ego. Z tym większą energią przystąpiła do dalszych poszukiwań.

W lutym tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku sprawy się skomplikowały, a w marcu zrobiło się gorąco. Uchodźcy ogromnym strumieniem napływali do Sajgonu, a dalej na północy ponad milion uchodźców, uciekając przed komunistami, wkroczyło po upadku Hue do Da Nang. Pociski północnowietnamskie spadły na miasto, czyniąc spustoszenie wśród ludności cywilnej. Amerykanie otrzymali polecenie opuszczenia miasta. Dalekopisy, które napływały do biura prasowego, zupełnie zwariowały. Trzy dni później spanikowane tłumy zablokowały lotniska, porty i plaże, usiłując za wszelką cenę wydostać się z Wietnamu. W ciągu ostatnich kilku dni Paxton zapomniała o swych daremnych poszukiwaniach i raz jeszcze dała się ponieść biegowi wydarzeń.

W niedzielę wielkanocną Da Nang przeszła w ręce komunistów. Amerykanie zaczęli się pakować, a Paxton wraz z nimi. Nadszedł czas powrotu. To była już kwestia kilku dni. Kraj, który był kiedyś taki piękny i który kosztował ich tak wiele, stał w przededniu katastrofy. Wszyscy w głębi serca zdawali sobie z tego sprawę.

Amerykanie, którzy przebywali jeszcze w Sajgonie, zaczęli się niepokoić, czy zdążą opuścić miasto przed wkroczeniem komunistów. Również Wietnamczycy, którzy byli blisko związani z Amerykanami, wpadali w panikę, obawiając się represji ze strony swych współziomków z Północy. Pięćdziesiąt tysięcy Amerykanów i Wietnamczyków zdołało opuścić Wietnam w kwietniu. Wyjazd do Stanów obiecano ponad milionowi Wietnamczyków. W ostatnim tygodniu kwietnia stało się jasne, że będzie to niemożliwe i że tylko nielicznym się to uda.

„Times” naglił, żeby Paxton jak najszybciej wracała. Ustaliła z ambasadorem, że zarezerwuje jej miejsce w ostatnim samolocie. Ze spakowaną torbą, gotowa w każdej chwili do wyjazdu, dziennikarskim okiem obserwowała upadek Sajgonu, krążąc po ulicach z własnym aparatem fotograficznym. Całkowicie zarzuciła poszukiwania Tony’ego. W końcu pogodziła się z tym, że Tony nie żył, a ludzie, którzy mówili, że go widzieli, kłamali. Mówili to, co, jak uważali, ona chciała usłyszeć. Gdy nadeszły ostatnie dni Sajgonu, wiedziała, że Tony musiał zginąć. Była tak wyczerpana, że nie mogła już o nim myśleć. Marzyła, by wrócić bezpiecznie do Stanów, do Joeya.

Dwudziestego piątego kwietnia prezydent Thieu wyjechał do Tajwanu, a dwudziestego ósmego oddziały komunistów stanęły na wprost amii południowowietnamskiej w Newport Bridge, u wrót Sajgonu. Paxton mieszkała już wtedy w ambasadzie, czekając na ostatnie biuletyny. Dwudziestego dziewiątego sekretarz ambasady ponuro oznajmił, że Wariant IV zostaje wprowadzony w życie.

Oznaczało to największą ewakuację za pomocą helikopterów, jaką kiedykolwiek zanotowano w historii. Milion Wietnamczyków, którym obiecano azyl w Stanach, został pozostawiony własnemu losowi i tylko ci, których Amerykanie zdołają wywieźć helikopterami, opuszczą szary Wietnam, ale na pewno nie będzie ich wielu. Przez cały dzień Paxton obserwowała przygotowania do tej operacji, a potem widziała, jak śmigłowce pod ostrzałem komunistów zabierały uchodźców i Amerykanów do czekających na morzu statków.

W ciągu osiemnastu godzin, jak Paxton później relacjonowała, siedemdziesiąt amerykańskich helikopterów przewoziło ludzi między ambasadą a czekającymi statkami. Tysiąc Amerykanów i sześć tysięcy Wietnamczyków wydostało się w ten sposób z oblężonego miasta. W mieście zapanowała panika.

Ludzie w popłochu biegli ulicami, krzycząc histerycznie. Wszędzie dookoła błąkały się opuszczone i zagubione dzieci. Kolo południa Paxton próbowała wydostać się z ambasady. Nie mogła się ruszyć w oszalałym tłumie. Już wiele godzin wcześniej brama została wyważona. Tłum zaległ teren ambasady, starając się na siłę dostać do helikopterów. W większości byli to Wietnamczycy, pragnący uciec przed komunistami. Paxton wiedziała, że ona też będzie musiała wkrótce zająć miejsce w śmigłowcu. Gdy zaczęła kierować się w stronę ambasadora, poczuła, że ktoś mocno chwyta ją za ramię. Stary Wietnamczyk ciągnął ją ze sobą, torując sobie drogę wśród tłumu. Próbując się wyzwolić z jego uścisku, Paxton zauważyła, że ten człowiek poruszał się jak nieprzytomny. Smierdział i cały był umazany błotem. Gdy wreszcie uwolniła się od niego, on znowu, słaniając się na nogach, padł jej w ramiona. I wtedy zobaczyła... nie, to niemożliwe..., to nie może być... to okrutny żart... musiała w końcu postradać zmysły w tym piekle, które towarzyszyło upadkowi Sajgonu.

— Nie... — To nie mógł być on. To tylko jej wyobraźnia.

Mężczyzna wyprostował się i powiedział coś do niej po wietnamsku. Paxton instynktownie wyciągnęła ręce, gdy nieznajomy zaczął osuwać się na ziemię. Wiedziała już bez żadnych wątpliwości. To był Tony.

— Och, mój Boże... — Ludzie cisnęli się zewsząd, żeby dostać się do helikopterów.

Większość z nich musiała zostać.

— Jak się tu dostałeś? — zapytała nadal zaskoczona. Wpatrywała się w niego, starając się upewnić, że nie śni.

Mężczyzna znowu powiedział coś po wietnamsku, potem słuchając jej, zrozumiał. Nie wiedział, kim ona jest, ale widział, że to Amerykanka i że teraz jest bezpieczny, prowadzony energicznie przez nią do jednego z budynków.

— Sierżant Anthony Campobello, baza Cu Chi, Wietnam — recytował, a ona z całych sił ciągnęła go w kierunku miejsca, gdzie odbywał się załadunek do śmigłowców. Nie mogli już dłużej czekać. Musiała go stąd wydostać, zanim ktokolwiek ich zatrzyma.

Na jednym ramieniu miał ranę. Spojrzał dziwnie na Paxton i łzy zaczęły spływać mu po policzkach.

— No, dalej — krzyknęła, przekrzykując ryk silników. Ktoś usiłował wepchnąć jej niemowlę. Ale ona me zamierzała zabierać nikogo oprócz niego. Zbyt ciężko, zbyt długo o to walczyła. Szukała go od pięciu lat i tyle samo czekał na niego jego syn.

— Tony, wytrzymaj! — Tony zaczął osuwać się na ziemię, zanim dotarli do śmigłowców.

Musieli jeszcze wdrapać się na wąskie schody. Paxton nie była pewna, czy Tony da radę.

— Do cholery!... Podnoś nogi... Dalej, włącz tam... — wrzeszczała, płacząc jednocześnie. On też płakał, ale były to łzy ulgi. Dwa miesiące zajęło mu przedostanie się tu z kryjówek w

tunelach, którymi dotarł aż do przedmieść Sajgonu. Udało mu się! I ona też tu była, a on nie rozumiał jak ani dlaczego udało mu się ją odnaleźć. Ale to nie miało już znaczenia. Ona tu była. I byli razem, nawet jeśli mieli teraz zginąć.

— Ten człowiek jest jeńcem wojennym! — krzyknęła do kogoś, kto nie zwrócił na to uwagi. Nagle para silnych rąk chwyciła Tony’ego, wyciągnęła z tłumu i wsadziła do helikoptera. Niespodziewanie ona też siedziała w środku, tuż za nim. Byli uratowani. Lecieli na otwarte morze. Paxton przypomniała sobie helikoptery, które zabrały rannych żołnierzy. Teraz byli wolni, a Wietnam powoli się oddalał. Zostali tam ludzie, krzyczący, płaczący i błagający. Ludzie, którzy zginą, którzy zostaną zabici. Nie mogła im już pomóc. Pisała o nich, była wśród nich z przerwami przez siedem lat. Zrobiła dla nich wszystko, co było w jej mocy. Trwało to zbyt długo. I kosztowało zbyt wiele. Lecz przynajmniej Tony ocalał. Patrzyła na niego z niedowierzaniem. Leżał w jej ramionach,

Następnego dnia o jedenastej, 30 kwietnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku, upadł Sajgon, a Wietnam Południowy poddał się siłom Północy. Walka, którą tak długo toczyli Amerykanie, była zakończona.

A na pokładzie Nu Ridge Paxton i Tony kierowali się w stronę domu, świata, któró \$ tak dawna nie widzieli. Świata, o którym prawie zapomnieli. Wietnam należał już do przeszłości. Był odległym wspomnieniem... koszmarem... snem. Dla nich i dla wszystkich innych wojna wreszcie się skończyła.

śmiertelnie wyczerpany, posiniaczony, przerażony, prawie nie do poznania. Ale to był on.

Uśmiechnął się do niej, gdy zostali opuszczeni na pokład statku.

— Gdzie, do diabła, byłaś? — Skrzywił w uśmiechu swą ubłoconą twarz. Przez ostatnie dwa lata żył w tunelach, które znajdował lub sam kopał. Przeżył rzeczy, o których ona nawet nie śmiała myśleć. A teraz, przez czysty przypadek lub zrządzenie Boga, odnalazł ją.

Szukałam cię — powiedziała cicho, delikatnie ścierając błoto z jego twarzy. — Szukałam cię bardzo, bardzo długo...

— Witajcie w domu — powiedział jakiś głos, a ktoś pomógł im stanąć na nogi.

— Witajcie w domu! — słyszeli wokół siebie, gdy dotarli wreszcie na pokład statku, Tony płakał w ramionach Paxton. Nad ich głowami powiewała flaga amerykańska. W ogólnym hałasie Tony wyszeptał:

— Kocham cię, Delta Delta...

* * *

Następnego dnia o jedenastej, 30 kwietnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku, upadł Sajgon, a Wietnam Południowy poddał się siłom Północy. Walka, którą tak długo toczyli Amerykanie, była zakończona.

A na pokładzie Blue Ridge Paxton i Tony kierowali się w stronę domu, świata, którego od tak dawna nie widzieli. Świata, o którym prawie zapomnieli. Wietnam należał już do przeszłości. Był odległym wspomnieniem... koszmarem... snem. Dla nich i dla wszystkich innych wojna wreszcie się skończyła.

KONIEC.